



Colleen McCullough

Aniołek

Z angielskiego przełożyła Małgorzata Grabowska

Tytuł oryginału ANGEL PUSS



Ożywca, pochłaniająca lektura. Trudno się od niej oderwać.

"York Evening Press".

Świetnie napisana powieść o wolności, sile przetrwania i miłości do dziecka.

Rok 1960 to przełomowy czas w życiu 21-letniej Harriet Purcell: Zaczyna pracę jako radiolog w szpitalu, zrywa zaręczyny, wyprowadza się od rodziców. Jej nowym miejscem na ziemi staje się Niezwykły Dom w owianej złą sławą dzielnicy Sydney - Kings Cross. Tutaj w otoczeniu niezwykłych postaci - wróżbitki Delvecchio Schwartz, pary lesbijek, transseksualisty, uroczego malarza - odmienia się życie Harriet. Szczególnie po spotkaniu z córeczką gospodyni, czteroletnią Flo. Mały aniołek, choć nie mówi, potrafi wiele przekazać...

Colleen McCullough - popularna pisarka australijska, z zawodu neurofizjolog. Światową sławę przyniosła jej powieść Ptaki ciernistych krzewów. W Polsce ukazały się m.in. jej książki: Bieg Morgana, Tim, Czas miłości, Pieśń o Troi.

TLR

Dla Maxa Lamberta, ukochanego przyjaciela

Piątek. 1 stycznia 1960. (Nowy Rok).

Kurczę, jak by się tu pozbyć Davida? Brałam nawet pod uwagę morderstwo, ale nie uszłoby mi na sucho, tak jak nie uszło mi na sucho bikini, które kupiłam za te gwiazdkowe pięć funtów od babci.

- Odnieś to z powrotem, moje dziecko, i przynieś coś skromniejszego, ze wstawką osłaniającą wstydlive rejony - powiedziała mama.

Prawdę mówiąc, sama się trochę przeraziłam, kiedy zobaczyłam w lustrze, ile „rejonów” to bikini odsłania. Ujawniły się nawet czarne mechate pasemka, których nigdy przedtem nie było widać, bo skrywała je skromna wstawka. Na myśl o tym, że miałabym wyrwać milion włosów łonowych, pognałam w te pędy do sklepu i wymieniłam bikini na model Esther Williams w najmodniejszym odcieniu „amerykańska piękność”. To taki mocny róż wpadający w czerwień. Ekspedientka zapewniła, że wyglądam w nim zniewalająco, ale kto mnie zniewoli, kiedy ten cholerny David Murchison pilnuje mojego ciała jak pies kości? A sam David? On na pewno nie!

Temperatura dochodziła dziś do czterdziestu stopni, więc poszłam na plażę zamoczyć nowy kostium. Morze wypiętrzało się wysoko, co jest dość niezwykle jak na Bronte, ale fale wyglądały jak gładkie zielone wałki - takie bałwany załamują się gwałtownie i nie nadają do surfowania ciałem, bez deski. Rozłożyłam ręcznik na piasku, posmarowałam grubo nos kremem cynkowym, naciągnęłam czepek, również w kolorze „amerykańska

piękność", i pobiegłam do wody.

- Morze jest zbyt wzburzone, wyrzuci cię na brzeg - usłyszałam.

David. Cholerny David Murchison. Spodziewając się, że dla bezpieczeństwa zaproponuje mi zatoczkę dla dzieciarni, przygotowałam się w myślach do walki.

- Chodźmy do zatoczki, tam jest bezpiecznie - rzekł.

- Chcesz, żeby nas rozgniotły skaczące dzieciaki? Nie! - warknęłam i ruszyłam do ataku, rozpoczynając sprzeczkę.

Słowo „sprzeczka” nie jest właściwe. Ja się wydzieram i odstawiam cyrk, a David zachowuje się wyniośle i wcale się nie odgryza. Ale z dzisiejszej sprzeczki wynikło coś nowego - odważyłam się wreszcie powiedzieć, że już nie mam ochoty dłużej być dziewicą.

- Chcę mieć z tobą romans - zakomunikowałam.

- Nie mów głupstw - odparł z niewzruszonym spokojem.

- Nie mówię głupstw! Wszyscy, których znam, mieli romans, z wyjątkiem mnie! Do licha, mam dwadzieścia jeden lat i zaręczyłam się z facetem, który nawet nie chce się całować z otwartymi ustami!

David pogłaskał mnie po ramieniu i usiadł na swoim ręczniku.

- Harriet - rzekł tonem wyższości, tym swoim afektowanym głosikiem absolwenta męskiego katolickiego college'u - pora wyznaczyć datę ślubu. Zrobiłem doktorat, zaproponowano mi własne laboratorium i grant na badania, chodzimy ze sobą od czterech lat, a od roku jesteśmy zaręczeni. Romans jest grzechem. Małżeństwo nie.

Wrr!

- Mamo, chcę zerwać zaręczyny z Davidem! - oznajmiłam po powrocie

z plaży, nie zamoczywszy nowego kostiumu.

- Więc powiedz mu to, kochanie - odparła mama. -Próbowałaś kiedyś powiedzieć Davidowi Murchisonowi, że nie chcesz za niego wyjść? - spytałam natarczywie.

Mama zachichotała.

- Nie. Jednego męża już mam.

Ach, jak ja nie cierpię, kiedy mama ze mnie kpi! Nie dałam za wygraną.

- Mamo, miałam raptem szesnaście lat, gdy go poznałam, siedemnaście, kiedy zaczął ze mną chodzić, a wtedy akurat było świetnie mieć chłopaka, któremu nie musiałam się opierać. Kłopot w tym, że on jest taki... taki konserwatywny! Jestem przecież pełnoletnia, a on ciągle traktuje mnie tak samo jak wtedy, kiedy byłam siedemnastką! Czuję się jak mucha uwięziona w bursztynie.

Mama jest równa, więc nie zaczęła prawić mi morałów, choć minę miała lekko zatroskaną.

- Jeżeli nie chcesz wyjść za niego za męża, Harriet, nie rób tego. Ale to bardzo dobra partia, kochanie. Przystojny, dobrze zbudowany, no i ma przed sobą wspaniałą przyszłość! Spójrz tylko, co się stało z twoimi przyjaciółkami, zwłaszcza z Merle. Przestają z chłopakami, których David bije na głowę dojrzałością i wrażliwością, a potem cierpią. Nic nie wychodzi z takich związków. David przykleił się do ciebie i tak już będzie zawsze.

-Wiem - wycodziłam przez zęby. - Merle wierci mi dziurę w brzuchu, wciąż powtarza, jaki ten David jest boski i że sama nie wiem, jakie mam szczęście. Ale tak szczerze mówiąc, to nudziarz! Znajomi faceci myślą, że

jestem zajęta, bo już tak długo z nim chodzę, a ja, kurczę, w ogóle nie miałam okazji się przekonać, jacy są inni reprezentanci męskiej połowy świata!

Ale mama słuchała mnie jednym uchem. Oboje z tatą akceptują Davida od samego początku. Może moje życie wyglądałoby inaczej, gdybym miała siostrę albo była bliższa wiekiem braciom - naprawdę ciężko jest komuś, kto przydarzył się rodzicom przypadkiem i w dodatku ma nie tę płeć, co trzeba! No bo tak, Gavin i Peter obaj już przekroczyli trzydziestkę, ale nadal mieszkają z rodzicami, bzykają hordy babek na wodoodpornym materacu w furgonetce, prowadzą razem z tatą sklep z artykułami sportowymi, a w wolnym czasie grają w krykieta - żyć nie umierać! A ja muszę mieszkać w jednym pokoju z babcią, która siusia do nocnika, a potem wylewa siuski na trawę w głębi ogródka. Smrodek, że hej.

Protesty taty kwituje krótko:

-Masz szczęście, Roger, że nie wylewam nocnika na pranie sąsiadów.

Ten pamiętnik to świetny pomysł! Poznałam już paru cudacznym i cudownym psychiatrów, więc wiem, że dysponuję „medium, poprzez które mogę dać upust frustracjom i stłumionym uczuciom”. To Merle doradziła mi prowadzenie pamiętnika - podejrzewam, że zechce do niego zaglądać za każdym razem, kiedy wpadnie, ale mowy nie ma. Zamierzam go opierać o listwę przypodłogową pod łóżkiem babci, tuż za nocnikiem.

Życzenia na dziś: Niech David Murchison zniknie z mojego życia. Niech nocnik zniknie z mojego życia. Niech znikną z mojego życia kiełbaski curry. Chcę mieć pokój tylko dla siebie. I pierścionek zaręczynowy, żebym mogła go cisnąć Davidowi w twarz. Powiedział, że

nie da mi pierścionka, bo to wyrzucanie pieniędzy. Skąpiradło!

Sobota. 2 stycznia 1960.

Dostałam pracę! Po zdaniu w zeszłym roku egzaminów końcowych w wyższej szkole technicznej w Sydney złożyłam podanie o pracę na stanowisku technika specjalisty na oddziale rentgenologii w szpitalu Royal Queens, a dziś listonosz przyniósł list z zawiadomieniem, że zostałam przyjęta! Zaczynam w najbliższy poniedziałek jako starszy technik radiolog w największym szpitalu na południowej półkuli. Przeszło tysiąc łóżek! Szpital Ryde, moja Alma Mater, wygląda przy nim jak ponton przy liniowcu „Queen Elizabeth”. Teraz, gdy patrzę wstecz, widzę, że popełniłam fatalny błąd, szkoląc się w szpitalu Ryde, ale swego czasu byłam zachwycona pomysłem, który podsunął mi David. Jego starszy brat, Ned, jest tam lekarzem. Ha! Zachowywał się jak cerber. Ilekroć jakiś mężczyzna spojrzał na mnie prowokująco, cholerny Ned Murchison ostrzegał: to dziewczyna mojego brata, wara od cudzych konfitur! Początkowo jakoś mi to nie przeszkadzało. Później jednak, kiedy wyrosłam z nastoletniej skromności i myślałam czasem, że fajnie byłoby się umówić z Iksem albo Igrekiem, zaczęło mnie to potwornie wnerwiać.

Szkolenie w Ryde miało jednak pewien plus. Dojazd z Bronte publicznymi środkami komunikacji zajmował dwie godziny, a nauka w publicznych środkach komunikacji idzie mi bez porównania lepiej niż w rezydencji Purcellów, między babcią i mamą oglądającymi telewizję a mężczyznami, którzy celebrować przez cały wieczór zmywanie naczyń,

snując przy tym niekończącą się gadkę o krykcie. Clint Walker i Efrem Zimbalist Junior w bawialni, Keith Miller i Don Bradman w kuchni, nie ma przy tym drzwi, a jedynym miejscem do nauki jest stół w jadalni. Sto razy lepiej jest się uczyć w autobusie albo w pociągu. Skutek? Pełny sukces! Najwyższe noty ze wszystkich przedmiotów. Dlatego dostałam pracę w Royal Queens. Kiedy podano wyniki, mama z tatą trochę mi przygadywali, bo po ukończeniu szkoły średniej w Randwick nie chciałam studiować medycyny ani nauk ścisłych. Dowiedziawszy się, że wypadłam celująco na specjalności technik rentgenolog, przypomnieli sobie o moim braku ambicji. Ale komu by się chciało iść na uniwersytet i znosić złośliwe przytyki facetów, którzy nie chcą, żeby baby uprawiały męskie zawody? Mnie nie!

Poniedziałek. 4 stycznia 1960.

Dzisiaj zaczęłam pracę. O dziewiątej rano. O ileż bliżej jest z Bronte do Royal Queens niż do Ryde! Tylko dwadzieścia minut jazdy autobusem, jeżeli ostatnie dwa kilometry przejdę na piechotę.

Ponieważ podanie o pracę składałam w wyższej szkole technicznej, nigdy przedtem tu nie byłam. Mijałam najwyżej to miejsce, jadąc na południe do kogoś w odwiedzinach albo na piknik. Jest co podziwiać! Szpital ma własne sklepy, oddziały banków, pocztę, elektrownię, pralnię tak dużą, że zawiera umowy z hotelami, warsztatami i magazynami - w Royal Queens jest wszystko, co tylko chcesz. A jaki to labirynt! Całe piętnaście minut truchtałam od bramy głównej do oddziału rentgenologii, dokonując po drodze przeglądu rozmaitych stylów architektonicznych, jakim

hołdowano w Sydney przez ostatnie sto lat. Czworokątne dziedzińce, rampy, werandy ozdobione filarami, budynki z piaskowca, z czerwonej cegły i te nowe obłożone szkłem koszmarki, w których można się upiec z gorąca!

Sądząc po liczbie mijanych ludzi, szpital musi zatrudniać z dziesięć tysięcy pracowników. Pielęgniarki są owinięte w tyle nakrochmalonych warstw, że wyglądają jak zielono-białe pakunki. Biedactwa muszą nosić grube bawełniane pończochy i brązowe sznurowane buciki na płaskiej podeszwie! Nawet Marilyn Monroe trudno byłoby wyglądać seksownie w kryjących pończochach i płaskich sznurowanych pantoflach. Ich czepki przypominają parę splecionych ze sobą białych gołąbków. Mankiety i kołnierzyki są z celuloиду(!), spódnice sięgają do pół łydki. Pielęgniarki dyplomowane wyglądają podobnie, z tą różnicą, że nie używają fartuchów, zamiast czepków wkładają stroiki w stylu egipskim, no i noszą nylony - a ich sznurowane buciki mają pięciocentymetrowe klockowe obcasy.

Wiem, że przy moim temperamentie nie zniosłabym takiego reżimu, takiej bezdusznej dyscypliny, podobnie jak nie wytrzymałabym złego traktowania ze strony broniących męskiego terytorium studentów uniwersytetu. My, techniczki, nosimy białe uniformy, zapinane z przodu na guziki (kolana muszą być zakryte), a do tego nylony i mokasyny.

Fizjoterapeutek jest chyba ze sto. Jak ja ich nie znoszę! No bo właściwie czy taka fizjoterapeutka nie jest po prostu masażystką o szumnym tytule? Człowieku, jak one się puszą! Same, z własnej woli krochmalą uniformy! I wszystkie są pełne zapachu jak wymachujący kijami hokeiści, pokazują, że są lepsze od innych, uwijają się dziarsko niczym oficerowie armii, szczerzą

końskie zęby i mówią: „Ale fajnie!” albo „Och, super!”

Całe szczęście, że wyszłam z domu wystarczająco wcześnie i po piętnastominutowym spacerze stawiałam się na czas w biurze siostry Toppingham. Co za wiedźma! Pappy mówi, że wszyscy nazywają ją siostrą Agatą, więc ja też będę tak ją nazywać - za jej plecami. Ma chyba tysiąc lat i do tej pory nosi wykrochmalony egipski stroik dyplomowanej pielęgniarki z wysokimi kwalifikacjami. Z figury przypomina gruszkę, gruszkowata jest nawet jej wymowa, szeroka i zaokrąglona. Oczy ma bladoniebieskie, zimne jak mroźny poranek. Popatrzyła na mnie tak, jakbym była plamą na szybie.

- Rozpocznie pani pracę, panno Purcell, przy klatkach piersiowych. Na początek łatwe prześwietlenia płuc. Dbam o to, by każdy nowy pracownik przeszedł okres próbny, wykonując proste zadania. Później przekonamy się, co pani naprawdę umie, zgoda? Świetnie, znakomicie!

No, no, cóż za wyzwanie! Klatki piersiowe. Dopchnąć pacjenta do pionowej płyty i kazać wstrzymać oddech. Kiedy siostra Agata powiedziała „klatki piersiowe”, miała na myśli chorych na chodzie, nie poważne przypadki.

Rutynowe rentgeny klatki robimy we trzy, ja i dwie przyuczające się praktykantki. Ale na ciemnie jest wściekle zapotrzebowanie - musimy bardzo szybko przerzucać kasety, a jak ktoś się grzebie dłużej niż dziewięć minut, to na niego krzyczą.

Oddział jest opanowany przez kobiety, co mnie zdumiewa. Jakie to rzadkie! Technicy w rentgenie dostają męskie wynagrodzenie, więc mężczyźni garną się do tego zawodu - w Ryde prześwietlenia robili niemal wyłącznie mężczyźni. Domyślam się, że w Queens jest inaczej dzięki

siostrze Agacie, z czego wnoszę, że nie jest taka zła.

Pomoc pielęgniarską spotkałam w ponurym zakątku, mieszczącym nasze szafki oraz toalety. Już na pierwszy rzut oka spodobała mi się o wiele bardziej niż techniczki, które dziś poznałam. Koleżanki praktykantki są miłe, ale obie z pierwszego roku, więc trochę nudne. Natomiast pomoc pielęgniarska Papele Sutama jest bardzo interesująca. Samo imię jest niezwykle, a co dopiero jego właścicielka! Górne powieki zdradzają znaczną domieszkę chińskiej krwi - tak pomyślałam od razu, kiedy ją zobaczyłam. Nie japońskiej, bo ma zbyt zgrabne, proste nogi. Później potwierdziła mój domysł. Och, to najśliczniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałam! Usteczka jak pączek róży, kości policzkowe jak marzenie, brwi delikatne jak piórka. Znana jest pod imieniem Pappy, co jej odpowiada. Kruszyna, nie ma nawet metra sześćdziesięciu wzrostu, szczuplusieńka, a przy tym nie wygląda, jakby wyszła z Bergen-Belsen, jak te przypadki anorexia neruosa, które przysyła do nas psychiatria na rutynowe rentgeny klatki - kiego grzyba nastolatki tak się głodzą? Ale wracajmy do Pappy, której skóra przypomina jedwab koloru kości słoniowej.

Ja też jej się spodobałam, więc kiedy się dowiedziała, że przyniosłam z domu gotowy lunch, poprosiła, żebym zjadła razem z nią na trawniku przed kostnicą. To niedaleko od rentgena, a przy tym można pozostać niezauważonym przez patrolującą oddział siostrę Agatę, która lunchów nie jada, bo pilnuje ładu i porządku w swoim imperium. Nie mamy oczywiście pełnej godziny przerwy, zwłaszcza w poniedziałek, kiedy trzeba wcisnąć rutynowe badania z weekendu między normalnie napływających pacjentów.

Mimo to udało nam się przez te pół godziny sporo nawzajem o sobie dowiedzieć.

Przede wszystkim Pappy powiedziała mi, że mieszka w Kings Cross! Ach! To jedyna część Sydney, do której tata zakazał mi chodzić - gniazdo rozpusty, jak mówi babcia. Przesiąknięte występkiem. Nie wiem, o co chodzi z tym występkiem, w każdym razie alkoholizmu i prostytucji nie brak w Kings Cross, sądząc po tym, co ma do powiedzenia wielebny Alan Walker. No, ale on jest metodystą -bardzo prawym człowiekiem. W Kings Cross mieszka Rosaleen Norton, czarownica - ciągle o niej mówią w wiadomościach, bo maluje obsceniczne obrazy. Co to właściwie jest obsceniczny obraz - kopulujący ludzie? Spytałam Pappy, która odrzekła, że obsceniczność tkwi w oku patrzącego. Ona jest intelektualistką, czyta Schopenhauera, Junga, Bertranda Russella i im podobnych, ale o Freudzie nie ma dobrego zdania. Spytałam, czemu nie studiuje na uniwersytecie w Sydney, a ona na to, że nie ukończyła odpowiednich szkół. Jej matka była Australijką, ojciec zaś Chińczykiem z Singapuru. Pochłonął ich wir drugiej wojny światowej. Ojciec zmarł, a matka zwariowała po czterech latach obozu jenieckiego Changi - jakże tragicznie układają się ludzkie losy! A ja na co narzekam? Na Davida i na nocnik. Urodzona i wychowana w Bronte.

Pappy mówi, że David jest kłębkim stłumionych uczuć, o co wini jego katolickie wychowanie. Ma nawet swoje określenie na ludzi pokroju Davida - „katolicycy uczniacy z zatwardzeniem”. Ale ja nie chciałam rozmawiać o Davidzie, ciekawiło mnie, jak się mieszka w Kings Cross. Tak samo jak gdzie indziej, odparła. Nie wierzę, zła sława nie wzięła się znikąd. Umieram z ciekawości!

Środa. 6 stycznia 1960.

Znowu ten głupi David. Czemu do niego nie dociera, że ktoś, kto pracuje w szpitalu, nie ma ochoty iść na okropnie pompatyczny europejski film? Jemu to nie przeszkadza, bo tkwi w wysterylizowanym świecie, gdzie najbardziej ekscytującym wydarzeniem jest jakiś cholerny guzek wyrastający na cholernej myszy, a ja pracuję w takim miejscu, gdzie cierpią ludzie, gdzie ludzie czasem umierają! Otacza mnie makabryczna rzeczywistość - przygnębiająca do łez! Wybieram się do kina po to, żeby się pośmiać albo przynajmniej zdrowo pochlipać, kiedy Deborah Kerr wyrzeka się miłości swojego życia, bo jest przykuta do wózka. A David lubi filmy, które są okropnie przygnębiające. Nie smutne, ale przygnębiające.

Próbowałam mu wyjaśnić to, co powyżej wyniszczyłam, kiedy zapowiedział, że zabiera mnie na nowy film do Savoy Theatre. Nie użyłam słowa „przygnębiający”, tylko „ohydny”.

- Wielka literatura i wielkie filmy nie są ohydne - odparł.

Zaproponowałam, żeby podręczył duszę w zaciszu Savoyu, a ja tymczasem pójdę na western do Prince Edward, ale zrobił minę, z której, nauczona wieloletnim doświadczeniem, wyczytuję zapowiedź mowy będącej skrzyżowaniem kazania i tyrady, więc poddałam się i poszłam z nim do Savoyu na Gewaise - według Zoli, jak wyjaśnił po wyjściu z kina. Czuję się jak wyciśnięty zmywak do naczyń, co w tym przypadku nie jest złym porównaniem. Rzecz się działa w ogromnej wiktoriańskiej pralni.

Bohaterka była bardzo młoda i ładna, ale z męskiej obsady nie było na kim zawiesić oka - sami grubi łysole. Zdaje się, że David jest na najlepszej drodze do wyłysienia, bo od czasu, gdy go poznałam, przerzedziły mu się włosy.

David nalegał, żebyśmy wrócili taksówką, chociaż ja wolałabym szybkim krokiem podejść do Quay i złapać autobus. Przed naszym domem zawsze odprawia taksówkę, odprowadza mnie bocznym przejściem, a potem, w ciemnym kącie, kładzie mi ręce na biodrach i wyciska na moich ustach trzy całusy tak niewinne, że sam papież nie dopatrzyłby się w nich grzechu. Następnie obserwuje, czy bezpiecznie wchodzę do domu tylnymi drzwiami, po czym idzie na piechotę, cztery przecznice dalej, do siebie. Mieszka z owdowiałą matką, chociaż kupił już przestronny bungalow w Coogee Beach. Wynajmuje go rodzinie Nowych Australijczyków z Holandii - są bardzo czyści, jak mnie zapewnił. Och, czy w żyłach Davida w ogóle płynie krew? Ani razu nie tknął choćby palcem, nie mówiąc o dłoni, moich piersi. To po co je mam?

W domu moi duzi bracia robili sobie herbatę i tarzali się ze śmiechu, wyobrażając sobie, co działo się w ciemnym bocznym przejściu.

Życzenie na dziś: Żeby w nowej pracy udało mi się zaoszczędzić piętnaście funtów tygodniowo, tak bym na początku 1961 roku mogła sobie pozwolić na dwuletni wyjazd do Anglii. Wtedy uwolnię się od Davida, który nie zostawi przecież swoich cholernych myszy, bo którejś może wyrosnąć cholerny guzek.

Czwartek. 7 stycznia 1960.

Moja ciekawość względem Kings Cross zostanie zaspokojona w sobotę, bo właśnie wtedy wybieram się na kolację do Pappy. Nie powiem mamie ani tacie, gdzie dokładnie mieszka Pappy. Wspomnę tylko, że na obrzeżach Paddington.

Życzenie na dziś: Oby Kings Cross mnie nie rozczarował.

Piątek. 8 stycznia 1960.

Wczoraj wieczorem mocnych wrażeń dostarczył nam Willie. Moja mama, jak to ona, uparła się kiedyś uratować i odchowić papużkę kakadu znaną przy Mudgee Road. Willie był taki mizerny i żaloszny, że mama podała mu od razu zakraplaczem ciepłe mleko podprawione trzygwiazdkową szpitalną brandy, którą trzymamy dla babci na jej drobne dolegliwości. Potem, ponieważ ptaszek miękkim dziobkiem nie mógł kruszyć nasion, przerzuciła się na owsiankę podprawioną trzygwiazdkową szpitalną brandy. I tak Willie wyrósł na wspaniałego, grubego białego ptaka z żółtym grzebieniem i flejtuchowatą piersią oblepioną zaschłą owsianką. Owsiankę z brandy mama podawała mu zawsze na ostatnim talerzyku z dziecięcej zastawy, zachowanym z czasów, gdy byłam małym brzdącem. Wczoraj, niestety, stłukła zabytkowy talerzyk z króliczkami i dała Williemu jeść na innym, obrzydliwie zielonym. Willie łypnął okiem, przewrócił talerzyk z nietkniętą kolacją do góry dnem i dostał bzika - wywrzaskiwał

górne C tak długo, aż wszystkie psy w Bronte zaczęły wyć i tata musiał się tłumaczyć policjantom, którzy przyjechali do nas furgonetką.

Pochłaniane przez lata kryminały niewątpliwie wyostrzyły mój zmysł dedukcji, gdyż po okropnej nocy wypełnionej wrzaskiem papugi i wyciem tysiąca psów ustaliłam dwa fakty. Po pierwsze, papugi są wystarczająco inteligentne, by odróżnić talerzyk z hasającymi wzdłuż rąbka ślicznymi króliczkami od talerzyka w obrzydliwie zielonym kolorze. Po drugie, Willie jest alkoholikiem. Kiedy zobaczył podmieniony talerzyk, wywnioskował, że odstawiono mu owsiankę z brandy, i wtedy sam odstawił szopkę - typowy zespół abstynencki.

Kiedy dziś po południu wróciłam z pracy do domu, w Bronte wreszcie nastał spokój. W czasie przerwy obiadowej skoczyłam taksówką do centrum i kupiłam nowy talerzyk z króliczkami. Filiżankę też musiałam kupić - za dwa funty i dziesięć centów! Na szczęście Gavin i Peter to równe chłopaki, choć moi duzi bracia. Zrzucili się po jednej trzeciej, więc nie nadszarpnęłam zanadto kieszeni. Głupota, co nie? Ale mama tak kocha to ptaszydło.

Sobota. 9 stycznia 1960.

Kings Cross ani trochę mnie nie rozczarował. Wsiadłam z autobusu na przystanku przed Taylor Square i resztę drogi przeszłam na piechotę, kierując się zapamiętanymi wskazówkami Pappy. W Kings Cross nie jada się widać wcześniej, bo miałam się stawić dopiero o ósmej, więc kiedy

wysiadłam z autobusu, już się ściemniło. Potem, gdy mijałam szpital Saint Vincent's, zaczęło padać - zwykła mżawka, której bez trudu dała odpór moja różowa parasolka z falbankami. Wreszcie dotarłam do tego wielkiego skrzyżowania, zapewne właściwego Kings Cross, Królewskiego Krzyża. Widziane z chodnika, którym szłam, z mokrymi ulicami, z jaskrawymi neonami i światłami aut falującymi w kałużach, wyglądało zupełnie inaczej niż przez okno rozpędzonej taksówki. Pięknie tu. Nie wiem, jak sklepikarze omijają obowiązujące w Sydney ograniczenia handlu, lecz o tej porze, w sobotę wieczorem, sklepy nadal były otwarte! Trochę się rozczarowałam, że moja trasa nie biegnie obok sklepów przy Darlinghurst Road - musiałam pójść Victoria Street, przy której stoi Dom. Tak właśnie nazywa to miejsce Pappy - „Dom” - słychać, że wypowiada to słowo od dużej litery. Jakby oznaczało instytucję. Więc przyznam, że maszerowałam ochoczo wzdłuż Victoria Street.

Uwielbiam niekończące się szeregi starych wiktoriańskich domów w centralnej części Sydney - niestety, nie zabezpieczane i nie konserwowane należycie. Odarto je z pięknych żeliwnych koronek, które zastąpiono arkuszami z tworzyw sztucznych, przerabiając balkony na dodatkowe pokoje. Otynkowane mury wyglądają obskurnie. Mimo to domy tchną tajemnicą. Okna, przesłonięte ciężkimi firanami i roletami z brązowego papieru, przypominają zamknięte oczy. Ileż one widziały! Nasz dom w Bronte liczy zaledwie dwadzieścia dwa lata. Tata wybudował go, kiedy minęły najgorsze lata kryzysu i jego sklep zaczął przynosić zyski. Zatem nasz dom nie widział nic poza nami, a my jesteśmy nudni. Największy dramat, jaki się w nim rozegrał, to stłuczenie talerzyka Williego - tylko ten

jeden raz przyjechała do nas policja.

Dom, do którego zdążałam, był usytuowany w dalszej części Victoria Street. Zauważyłam, że w tym odleglejszym krańcu ulicy szeregowy domy zachowały żeliwne ozdoby, były pomalowane i starannie utrzymane. Na samym końcu, za Challis Avenue, ulica rozszerzała się, tworząc półokrągły ślepy zaułek. Widać radzie miejskiej skończyła się smoła, bo wyłożono go drewnianą kostką brukową. Zwróciłam też uwagę, że na półkolistym placu nie parkował ani jeden samochód. Dzięki temu pięć szeregowych domów zamykających półkole otaczała aura niedzisiejszości. Wszystkie nosiły numer 17 - 17A, B, C, D oraz E. Ten w środku, 17C, był Domem Pappy. Bajeczne drzwi frontowe miały szybki z rubinowego szkła trawionego we wzór lilii. Skośne cięcia połyskiwały bursztynowo i fioletowo od płonącego wewnątrz światła. Drzwi nie były zaryglowane, więc pchnęłam je i weszłam do środka.

Bajkowe drzwi wiodły do krainy spustoszenia. Obskurny hol, skąd prowadziły na górę schody z jałowca wirginijskiego, był pomalowany na brudny kremowy kolor, kilka nagich żarówek upstrzonych przez muchy zwisało na długich, poskręcanych, brązowych przewodach, okropne stare brązowe linoleum miało dziury od szpilek. Wszystkie ściany w zasięgu mojego wzroku, na ponad metr od podłogi, pokrywały gryzmoły - wielobarwne, bezładne pętle i spirale, ze świecowo kredkowym połyskiem.

- Halo! - zawołałam.

Zza schodów wyłoniła się Pappy, witając mnie uśmiechem. Dość niegrzecznie wybałuszyłam na nią gały, bo tak się odmieniła. Zamiast małego

twarzowego jasnofioletowego uniformu i ukrywającego włosy czepka miała na sobie obcisłą sukienkę tubę z zielononiebieskiej satyny haftowanej w smoki, z rozcięciem na lewej nodze, odsłaniającym brzeg pończochy i podwiązkę z koronkową falbanką. Włosy spadały jej na plecy gęstą, prostą, błyszczącą kaskadą - czemu ja takich nie mam? Moje są równie czarne, ale tak mocno skręcone, że gdybym je zapuściła, sterczałyby na wszystkie strony jak szczotka w ataku epilepsji. Dlatego łapię za nożyczki i przycinam je sobie bardzo krótko.

Pappy wprowadziła mnie przez drzwi w końcu holu, obok schodów, do drugiego, o wiele krótszego korytarzyka, biegnącego w bok i wychodzącego, jak się zdawało, na otwartą przestrzeń. Były tam tylko jedne drzwi - te, które otworzyła Pappy.

Za nimi rozpościerała się kraina snów. Pokój był tak wypełniony książkami, że aż przesłaniały one ściany - nic tylko książki, książki, książki, od podłogi do sufitu, a prócz tego stosy książek na podłodze, zdjętych z krzeseł i stołu zapewne specjalnie na moje przyjście. Próbowałam je policzyć tego wieczoru, ale było ich za dużo. Kolekcja lamp zwała mnie z nóg, takie były śliczne. Dwie witrażowe w kształcie smoków, iluminowana kula ziemską na postumencie, lampy naftowe z Indonezji przerobione na elektryczne, jedna, która wyglądała jak biały komin wysoki na prawie dwa metry, pokryty porozcinanymi fioletowymi guzami. Żarówkę pod sufitem skrywał chiński papierowy lampion z jedwabnymi frędzlami.

Pappy wzięła się do przygotowywania jedzenia, które nie wykazało żadnego pokrewieństwa z „czął-miał” od Hoo Flunga przy Bronte Road.

Język trochę mnie piekł od imbiru i czosnku, kiedy pałaszowałam najpierw jedną porcję, a potem dwie dokładki. Nie narzekam na brak apetytu, mimo to nie udało mi się dotąd trwale przybrać na wadze i zmienić stanik z miseczką B na C. A niech to! Jane Russell ma D bez oszukiwania, chociaż Jayne Mansfield, jak mi się wydaje, ma tylko B przy bardzo wydatnej klatce piersiowej.

Kiedy skończyłyśmy jeść i wypiliśmy czajniczek aromatycznej zielonej herbaty, Pappy oznajmiła, że pora iść na górę. Miałam poznać panią Delvecchio Schwartz, gospodynię.

Moją uwagę, że to imię brzmi dziwnie, Pappy skwitowała wesołym uśmiechem.

Poprowadziła mnie z powrotem do holu wejściowego i drewnianych schodów. Idąc po nich, zżerana przez ciekawość, spostrzegłam, że kredkowe gryzmoły wcale się nie urwały. Wręcz przeciwnie, było ich więcej. Schody prowadziły jeszcze wyżej, ale my zakończyłyśmy wspinaczkę na pierwszym piętrze i skierowałyśmy się do pokoju od frontu. Pappy wepchnęła mnie do środka.

Gdyby ktoś chciał zobaczyć pokój będący zupełnym przeciwieństwem pokoju Pappy, powinien tu przyjść. Było w nim goło. Jeśli nie liczyć gęstych gryzmołów, niepozostawiających ani skrawka wolnego miejsca. Fragment ściany z grubsza zamalowano, zapewne by dostarczyć artystce świeżego „płótna”, już zresztą ozdobionego pierwszymi esami-floresami. W ogromnym pokoju zmieściłoby się sześć kompletów wypoczynkowych i stół na dwanaście osób, lecz było tu prawie zupełnie pusto. Stał tylko podrdzewiały chromowany stół kuchenny z blatem z czerwonego laminatu,

cztery stare krzesła z czerwonymi siedziskami, z których wyściółka uchodziła niczym ropa z karbunkułu, aksamitna kanapa cierpiąca na ostry atak łysienia i najnowszy model lodówki-zamrażarki. Dwuskrzydłowe przeszklone drzwi prowadziły na balkon. - Tutaj, Pappy! - zawołał ktoś.

Wyszliśmy na balkon, gdzie stały dwie kobiety. Ta, którą zobaczyłam najpierw, najwyraźniej przyjechała tu z lepszej dzielnicy, przedmieścia Harbourside Easter lub z górnego North Shore - włosy po niebieskiej płukance, sukienka z Paryża, dobrane pantofle, torebka i rękawiczki z kozłej skóry w kolorze burgunda, no i kapelusik o wiele elegantszy od tych, które nosi królowa Elżbieta. Potem ukazała mi się pani Delvecchio Schwartz, a ja zupełnie zapomniałam o tamtej modnisi.

Ach! Kobieta wielka jak góra! Może nie tyle gruba, ile ogromniasta. Metr dziewięćdziesiąt w brudnych, przydeptanych kapciach, potężnie umięśniona. Bez pończoch. W wypłowiałej, nieuprasowanej podomce zapinanej z przodu na guziki, z kieszeniami na biodrach. Twarz okrągła, poorana zmarszczkami, z zadartym nosem i całkowicie zdominowana przez oczy, które wejrzały prosto w moją duszę - jasnoniebieskie z ciemniejszymi obwódkami wokół tęczówek, z małymi źrenicami kłującymi jak igły. Rzadkie siwe włosy, krótkie jak u mężczyzny, ledwie widoczne brwi. Wiek? Dobrze po pięćdziesiątce, jak sędzę.

Kiedy tylko odwróciła wzrok od moich oczu, odruchowo sięgnęłam do zasobów swojej wiedzy medycznej. Akromegalia? Syndrom Cushinga? No nie, nie miała przerośniętej zuchwy ani wypukłego czoła charakterystycznych dla akromegalii, podobnie jak nie była zbudowana ani owłosiona tak jak chory na cushinga. Coś z przysadką mózgową,

śródmózgowiem albo podwzgórzem, tego byłam pewna, ale co konkretnie, nie wiedziałam.

Modnisia powitała Pappy i mnie skinieniem głowy, przefrunęła obok nas i oddaliła się wraz z podążającą w ślad za nią panią Delvecchio Schwartz. Ponieważ stałam w drzwiach balkonu, dojrzałam, jak eleganka sięga do torebki, wyjmując gruby plik ceglanych banknotów -dziesiątaków! - i zaczyna je, po kilka na raz, oddawać. Gospodyni Pappy stała z wyciągniętą ręką, dopóki liczba banknotów jej nie zadowoliła. Wtedy je złożyła i wsunęła do kieszeni, a modnisia z super zamożnego przedmieścia Sydney wyszła z mieszkania.

Pani Delvecchio Schwartz powróciła i rzuciła się na zestawione ze sobą cztery krzesła, wskazując dwa inne szerokim gestem ręki wielkości jagnięcego udźca.

- Siadaj, księżniczko, siadaj! - ryknęła. - Jak się masz, do diaska, panno Harriet Purcell? Dobrze imię, nie powiem, dwa razy po siedem liter, silna magia! Duchowa świadomość i dobry los, szczęście dzięki wyteżonej pracy, i to wcale nie w rozumieniu lewicujących polityków, he, he, he.

„He, he, he” to złośliwy, wyrazisty chichot. Brzmi tak, jakby absolutnie nic nie mogło jej zaskoczyć, a zarazem wszystko bardzo ją śmieszyło. Przypomina chichot Sida Jamesa z filmów z cyklu Carry on.

Byłam taka zdenerwowana, że podjęłam wątek mojego imienia i uraczyłam ją opowieścią o Harrietach w rodzinie Purcellów. Powiedziałam, że nosimy to imię od pokoleń, lecz aż do momentu mojego przyjścia na świat wszystkie jego właścicielki były stuknięte. Pewna Harriet Purcell trafiła do więzienia za wykastrowanie niedoszłego kochanka, inna zaś za

napaść na premiera Nowej Południowej Walii podczas wiecu sufrażystek. Gospodyni słuchała mnie z ciekawością, lecz westchnęła rozczarowana, kiedy kończąc opowieść, wspomniałam, że w związku z obawami, jakie wiązano z tym imieniem, zabrakło go w pokoleniu mojego ojca.

- A jednak twój tata dał ci na imię Harriet - podkreśliła. - Fajny gość! Chętnie bym go poznała, he, he, he.

Uuuuuuła! Ręce precz od mojego taty, pani Delvecchio Schwartz!

- Powiedział, że podoba mu się imię Harriet i że nie robi na nim wrażenia rodzinna gadanina - odparłam. - Byłam takim późniejszym dzieckiem, no i wszyscy się spodziewali kolejnego chłopca.

- A tu nic z tego - rzekła z uśmiechem. - Och, to mi się podoba!

Podczas tej rozmowy popijała ze szklanki, jaką dają w promocji pasty serowej Krafta, nierozcieńczoną trzygwiazdkową brandy bez lodu. Pappy i ja też dostałyśmy po szklance, ale po jednym łyku tej gorzały poczułam, że muszę ją odstawić - okropny trunek, surowy i gryzący. Zauważyłam, że Pappy popija go ze smakiem, choć nie tak szybko jak pani Delvecchio Schwartz.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie oszczędziłabym sobie skurczu ręki, pisząc w skrócie „pani D-S”, ale jakoś nie mam odwagi. Tak w ogóle odwagi mi nie brak, ale „pani D-S”? Nie.

Potem uzmysłowiłam sobie, że na balkonie jest z nami jeszcze ktoś, ktoś, kto był tu przez cały czas, lecz pozostawał zupełnie niewidoczny. Ciarki przebiegły mi po skórze, poczułam rozkoszny dreszczyk, jak przy pierwszym chłodzącym podmuchu południowego wiatru po długotrwałej fali upałów przekraczających trzydzieści pięć stopni. Ponad stołem

pojawiła się buzia wyzierająca zza biodra pani Delvecchio Schwartz. Przeurocza twarzyczka z ostrą bródką, wysokimi kośćmi policzkowymi, nieskazitelną jasnokawową cerą, do tego niesforne jasnobrązowe kosmyczki, czarne brwi i czarne rzęsy tak długie, że wydawały się splątane - och, chciałabym być poetą, żeby opisać tę boską dziewczynkę! Ręce same mi się do niej wyciągały, patrzyłam na nią i czułam, że ją pokochałam. Oczy miała ogromne, szeroko rozstawione, bursztynowobrazowe, najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Usteczka jak pączek róży rozchyliły się - uśmiechnęła się do mnie. Ja do niej też.

- O, zdecydowałaś się do nas dołączyć, tak?

W następnej chwili maleństwo wdrapało się na kolana pani Delvecchio Schwartz. Uśmiechniętą buzię cały czas obracało do mnie, jednocześnie skubiąc łapką sukienkę olbrzymki.

- Moja córka, Flo - wyjaśniła gospodyni. - Zdawało mi się, że przeszłam klimakterium cztery lata temu, aż tu któregoś dnia zabolął mnie brzuch i poszłam do kibelka, bo myślałam, że mam sraczkę. A tu - bach! Na podłodze, cała w śluzie, wije się Flo. Póki ze mnie nie wyskoczyła, nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Szczęście, że nie utopiłam cię w kibelku, prawda, aniołku? - Ostatnie zdanie było skierowane do Flo, która kręciła guzik przy matczynej sukience.

- Ile ona ma lat? - spytałam.

- Skończyła cztery. Koziorożec, który nie jest Koziorożcem - powiedziała pani Delvecchio Schwartz, niedbale rozpinając sukienkę.

Wypnęła się pierś, przypominająca starą pończochę z palcami wypchanymi ziarnami fasoli, i wielki zrogowaciały sutek trafił do buzi Flo.

Ta zamknęła oczy w ekstazie, oparła się na ręce matki i zaczęła mocno ssać, siorbiąc przy tym okropnie głośno. Siedziałam z rozdziawioną gębą, nie wiedząc, co powiedzieć. Padł na mnie prześwietlający wzrok gospodyni.

- Moja Flo przepada za mlekiem matki - rzuciła gawędziarskim tonem. - Ma cztery lata, wiem, ale co tu ma do rzeczy wiek, księżniczko? Najlepsze papu na świecie - mleko matki. Kłopot z tym, że wyrznęły jej się ząbki, więc piekielnie mnie boli.

Siedziałam, łapiąc muchy ustami, aż raptem odezwała się Pappy:

- No i co pani myśli, pani Delvecchio Schwartz?

- Myślę, że Dom potrzebuje panny Harriet Purcell - powiedziała pani Delvecchio Schwartz, pieczętując swą opinię kiwnięciem głowy i mrugnięciem. Popatrzyła na mnie i spytała: - Myślałaś kiedyś o tym, żeby wyprowadzić się z domu, księżniczko? Do własnego wygodnego mieszkania?

Zamknęłam raptem usta, potrząsnęłam głową.

- Nie stać mnie na to - odparłam. - Oszczędzam na wyjazd do Anglii. Chciałabym wyjechać tam na dwa lata i popracować.

- A w domu płacisz za utrzymanie? - spytała. Odparłam, że płacę pięć funtów tygodniowo.

- Mam od podwórza miłe mieszkanie, dwa duże pokoje, cztery funty tygodniowo, w tym rachunek za elektryczność. W pralni jest wanna i kibelek, do użytku tylko dla ciebie i Pappy. Janice Harvey, moja lokatorka, akurat się wyprowadza. Jest podwójne łóżko - dodała, łypiąc na mnie chytrze. - Nienawidzę tych ciupcich pojedynczych.

Cztery funty! Dwa pokoje za cztery funty? Istny cud w Sydney!

-Masz większe szanse na pozbycie się Davida, jeżeli wyprowadzisz się z domu i zamieszkasz tutaj - rzekła przekonująco Pappy. Wzruszyła ramionami. - Masz męską płacę, więc i tak pewnie zaoszczędzisz na wyjazd.

Pamiętam, że przełknęłam ślinę, rozpaczliwie szukając w myślach uprzejmej formułki odmowy, lecz z moich ust padło raptem słowo „tak”! Nie wiem, skąd się wzięło -z pewnością nie miałam go na myśli.

-Fantastiko, księżniczko! - huknęła basem pani Delvecchio Schwartz, wyciągnęła sutek z buzi Flo i dźwignęła się na nogi.

Gdy moje oczy napotkały wzrok Flo, zrozumiałam, dlaczego się zgodziłam. To Flo włożyła do moich ust słowo „tak”. Flo chciała, żebym tu zamieszkała, a ja nie potrafiłam jej odmówić. Podeszła i objęła moje nogi, uśmiechając się do mnie pobielonymi mlekiem wargami.

- Patrzcie państwo! - wykrzyknęła pani Delvecchio Schwartz, obdarzając Pappy radosnym uśmiechem. - Czuj się zaszczycona, Harriet. Flo nie garnie się do ludzi, prawda, aniołku?

Staram się to wszystko spisać, nim kontury rzeczywistości stracą ostrość, i zastanawiam się jednocześnie, jak, u licha, powiadomię rodzinę, że zamierzam się niebawem przeprowadzić do dwóch pokoi w Kings Cross, dzielnicy alkoholików, prostytutek, homoseksualistów, satanicznych artystów, wachaczy kleju, palaczy haszyszu i Bóg wie kogo jeszcze. Wiem tyle: podobało mi się to, co dojrzałam w zadeszczonym zmierzchu, a poza tym Flo chce, żebym zamieszkała w Domu.

Może powiedzieć, rzuciłam do Pappy, że Dom jest w Potts Point, a nie

w Kings Cross, ale Pappy tylko się
zaśmiała.

- Potts Point to eufemizm, Harriet - rzekła. - W Potts Point panuje
niepodzielnie Królewska Marynarka Australii.

Życzenie na dziś: Żeby tylko rodzice nie dostali zawału.

Niedziela. 10 stycznia 1960.

Jeszcze im nie powiedziałam. Wciąż zbieram się na odwagę. Kładąc się
wczoraj spać - babcia chrapała jak nie wiem co - byłam pewna, że rano,
gdy się obudzę, zmienię zdanie. Ale tak się nie stało. Co zobaczyłam,
ledwie otworzyłam oczy? Kucającą nad nocnikiem babcię. Moja dusza
przyoblekła się w stal. Świetne wyrażenie! Dopiero kiedy zaczęłam
prowadzić pamiętnik, przekonałam się, że w trakcie lektur podłapałam
mnóstwo różnych zwrotów. W rozmowie jakoś się nie pojawiają, natomiast
na papierze - owszem. Chociaż prowadzę te zapiski dopiero od kilku dni,
zapełniłam już sporo kartek grubego zeszytu i chyba się uzależniłam. Może
dlatego, że nigdy nie mogę usiedzieć w miejscu i zwyczajnie pomyśleć,
zawsze muszę coś robić, więc teraz piekę dwie pieczenie przy jednym
ogniu. Mam okazję zastanowić się, co się ze mną dzieje, a równocześnie
coś robię. Przekonałam się, że prowadzenie zapisków wymaga dyscypliny.
Podobnie jak moja praca. Wykonuję ją z wyteżoną uwagą, ponieważ ją
lubię.

Nie wyrobiłam sobie jednoznacznej opinii o pani Delvecchio Schwartz,
choć ta kobieta bardzo mi się podoba. To trochę tak jak z pacjentami,

którzy zapadli mi w pamięć, którzy są ze mną od samego początku, odkąd robię prześwietlenia, i może zostaną ze mną do końca mojego życia. Jak na przykład kochany staruszek ze szpitala Lidcombe State, który wciąż skrupulatnie składał koc. Kiedy spytałam, co robi, odparł, że składa żagiel, a potem, kiedy się przysiadłam, żeby z nim porozmawiać, opowiedział, że był bosmanem na dużym żaglowcu, jednym z kliperów pływających z wiatrem do Anglii, wyładowanych po krawędzie nadburcia ziarnem pszenicy. To jego słowa, nie moje. Dużo się od niego dowiedziałam, a potem uprzytomniłam sobie, że niebawem umrze i wszystkie jego przeżycia i doświadczenia zginą razem z nim, ponieważ ich nie spisał. No cóż, Kings Cross to nie żaglowiec, a ja nie jestem żeglarzem, ale jeżeli wszystko spiszę, to ktoś kiedyś, w odległej przyszłości, może przeczyta te zapiski i dowie się z nich, jak żyłam. Mam dziwne przeczucie, że nie czeka mnie nudny, przewidywalny żywot na przedmieściach, choć taka perspektywa rysowała się przede mną minionego sylwestra. Czuję się jak zrzucający skórę wąż.

Życzenie na dziś: Żeby tylko rodzice nie dostali zawału.

Piątek. 15 stycznia 1960.

Jeszcze im nie powiedziałam, ale zdobędę się na to jutro. Kiedy spytałam mamę, czy David może do nas przyjść na stek z frytkami, odparła, że oczywiście tak. Najlepiej, uznałam, kawa na ławę przy wszystkich. Dzięki temu David może zdążyć się oswoić z pomysłem wyprowadzki, zanim przydybie mnie gdzieś na osobności, żeby mi ją

wybić z głowy. Cierpnę na samą myśl o jego kazaniach! Ale Pappy ma rację, naprawdę łatwiej mi będzie pozbyć się Davida, jeżeli nie będę mieszkała z rodzicami. Ta jedna myśl każe mi kierować mój stateczek kursem na Krzyż, jak mawiają tubylcy. A więc hajda do Cross!

Zobaczyłam dziś w pracy mężczyznę. W łączniku między radiologią a Chichester House, eleganckim gmachem z czerwonej cegły, gdzie zażywają luksusu prywatni pacjenci. Każdy ma do dyspozycji własny pokój z łazienką zamiast jednego z czterdziestu łóżek ustawionych w dwóch rzędach na ogromniastym oddziale. To musi być okropnie przyjemnie, kiedy nie trzeba leżeć i słuchać, jak połowa pacjentów wymiotuje, pluje, odkasłuje albo bełkocze bez sensu. Chociaż z drugiej strony konieczność słuchania, jak połowa pacjentów wymiotuje, pluje, odkasłuje albo bełkocze bez sensu, niewątpliwie znakomicie pobudza do tego, by wyzdrowieć i wyjść ze szpitala bądź czym prędzej uwinąć się z umieraniem.

Wracając do tego mężczyzny. Otóż kiedy skończyłam wieszac klisze w suszarni - do tej pory nie miałam ani jednego zepsutego zdjęcia, co wprawia dwie młodsze koleżanki w taki podziw, że są mi uległe i posłuszne - siostra Agata złapała mnie za łokieć.

- Panno Purcell, proszę prędko dostarczyć to panu Naseby Mortonowi do Chichester Trzy - powiedziała, machając mi przed nosem rentgenowską kopertą.

Wyczuwając jej niezadowolenie, wzięłam kopertę i pobiegłam. Widocznie siostra Agata nie mogła znaleźć Pappy, która z pewnością była pierwsza na liście do takich zleceń. Pappy mogła też, oczywiście, podtrzymać nerkę wymiotującemu albo podawać komuś basen. Nie

mnie wchodzić w przyczyny - pobiegłam w te pędy jak najmłodsza praktykantka do prywatnego szpitala. Chichester House, elegancja Francja! Gumowe podłogi z takim połyskiem, że wyobraziłam sobie, na drogich postumentach stoi tyle kwiatów, że można by tu otworzyć kwaciarnię. Było tak cicho, że kiedy pokonałam susem ostatni schodek na poziomie Chichester Trzy, aż sześć różnych osób popatrzyło na mnie z wyrzutem, przykładając palec do ust. Ciiiiii! Uuuuuu-łaa! Zrobiłam skruszoną minę, podałam zdjęcia i oddaliłam się na paluszkach niczym Margot Fonteyn.

Schodząc łącznikiem, zobaczyłam zbliżającą się grupkę lekarzy - konsultanta ze swiątą podwładnych. Wystarczy przepracować jeden dzień w dowolnym szpitalu, by dowiedzieć się, że konsultant jest bogiem, przy czym bóg w Royal Queens stoi znacznie wyżej od boga w szpitalu Ryde. Tutaj bogowie noszą granatowe prążkowane lub szare garnitury z flaneli, krawaty elitarnych szkół, koszule z dyskretnymi, lecz solidnymi złotymi spinkami przy mankietach, buty z brązowego zamszu lub czarnej koźlęcej skórki, na cienkiej podeszwie.

Ten okaz gatunku wybrańców miał garnitur z szarej flaneli i buty z brązowego zamszu. Towarzyszyło mu dwóch lekarzy (długie białe kitle), podlegli mu starsi i młodszy rezydenci (białe garnitury i białe buty) oraz sześciu studentów medycyny (krótkie białe kitle). Studenci ostentacyjnie obnosili się ze stetoskopami, a w palcach z poobgryzаныmi paznokciami trzymali preparaty mikroskopowe i statywy z probówkami. W rzeczy samej bóg bardzo dostojny i wysoko postawiony, skoro tylu wokół niego skacze. To zwróciło moją uwagę. Robiąc rutynowe prześwietlenia klatki

piersiowej, nie spotkałam boga, ani wyżej, ani niżej postawionego, więc byłam ciekawa. Rozmawiał z wielkim ożywieniem z jednym z lekarzy, z odrzuconą w tył szlachetną głową - musiałam zwolnić i zamknąć usta, które ostatnimi czasy dziwnie same mi się rozdziawiają. Och, jaki on cudny! Bardzo wysoki. Mocne ramiona, płaski brzuch. Włosy gęste, ciemnorude, lekko zakręcone, z dwoma śnieżnobiałymi pasemkami na skroniach. Cera oproszona piegami, rzeźbione rysy. Tak, naprawdę cudowny mężczyzna. Rozmawiali o demineralizacji kości, więc zapisałam go sobie w pamięci jako ortopedę. A potem, kiedy przemykałam obok tej grupy - zajmowali prawie całą szerokość łącznika - padło na mnie badawcze spojrzenie zielonkawych oczu. Och! To już drugi raz w tym tygodniu serce zamarło mi w piersi, ale nie dlatego, że poczułam nagły przyływ miłości, jak do Flo. Odebrało mi dech przemożne przyciąganie. Kolana ugięły się pode mną.

W czasie lunchu, uzbrojona w domysł, że objawił mi się ortopeda, wysondowałam Pappy.

-Duncan Forsythe - odparła bez wahania. - Starszy konsultant na ortopedii. Czemu pytasz?

- Popatrzył na mnie zaczepnie - odparłam. Pappy wybałuszyła oczy.

- Naprawdę? To dziwne, bo nie uchodzi za lowelasa. Jest żonaty i uważany za najsympatyczniejszego konsultanta w całym szpitalu. Prawdziwy dżentelmen. Nie ciska przedmiotami w instrumentariuszkę, nie opowiada sprośnych kawałów ani nie czepia się młodszych rezydentów, jeśli są niezdarni albo nietaktowni.

Zmieniłam temat, choć na pewno niczego sobie nie wmówiłam. Nie rozbierał mnie wzrokiem ani nic z tych rzeczy, ale popatrzył na mnie

niewątpliwie jak mężczyzna na kobietę. Dla mnie to najatrakcyjniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam. Starszy konsultant! Młody jak na takie stanowisko, ma nie więcej niż czterdzieści lat.

Życzenie na dziś: Chciałabym częściej widywać pana Duncana Forsythe'a.

Sobota. 16 stycznia 1960.

Dzisiaj wreszcie się odważyłam, przy kolacji, którą jadł z nami David. Każdy lubi stek z frytkami, tylko mama ma wtedy ciężko, bo na jednej wielkiej patelni smaży niezliczone kotlety i jednocześnie musi mieć oko na patelnię do smażenia frytek w głębokim tłuszczu. Gavin i Peter spałaszowali po trzy steki na łebka, nawet David uporał się z dwoma. Na deser był pudding „pryszczaty Dick” z budyniowym sosem, potrawa ciesząca się dużą popularnością, więc wszystkich biesiadników ogarnęło błogie zadowolenie, gdy mama z babcią postawiły na stole czajniczek z herbatą. Pora na moją bombę.

- Mam dla was nowinę. Zgadnijcie jaką - zagałam. Nikt nie kwapił się z odgadywaniem. -Wynajęłam mieszkanie w Kings Cross i wyprowadzam się z domu.

Na to dictum też nikt się nie odezwał, ale ucichły wszystkie odgłosy. Brzęczenie łyżeczek w filiżankach, babcine siorbanie, papierosowy kaszel taty. Potem tata wyciągnął paczkę ardathów, poczęstował Gavina i Petera, a następnie zapalił wszystkie trzy szlugi jedną - jedną! - zapalką. Uuuuuuła, szykuje się afera!

- Kings Cross - powtórzył, przesywając mnie stalowym spojrzeniem. - Jesteś głupia, dziewczyno. A przynajmniej taką mam nadzieję. W Kings Cross poza cyganerią mieszkają tylko dziwki i głupcy.

- Nie jestem głupia, tato - broniłam się dzielnie. - Nie jestem też dziewczynką ani artystką. Zresztą w dzisiejszych czasach dawną cyganerię zastąpili bitnicy. Znalazłam sobie bardzo porządne mieszkanie w bardzo porządnym domu, który przypadkiem stoi w Cross, w lepszej części Cross, niedaleko Challis Avenue. Właściwie w Potts Point.

- Potts Point jest własnością Królewskiej Marynarki Australii - sprostował tata.

Mama wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

- Dlaczego, Harriet?

- Bo mam dwadzieścia jeden lat i potrzebuję własnego lokum, mamo. Skończyłam naukę, nieźle zarabiam, a w Kings Cross mieszkania są tak tanie, że mogę coś wynająć i jeszcze odłożyć na wyjazd do Anglii w przyszłym roku. Gdybym wyprowadziła się gdzie indziej, musiałabym mieszkać razem z dwiema albo trzema innymi dziewczynami, ale wtedy jaki sens miałyby wyprowadzka z domu?

David nie odezwał się ani słowem. Siedział po prawej ręce taty i patrzył na mnie jak na cielę z dwiema głowami.

- A ty, bystrzaku, co na to powiesz? - warknął na niego Gavin.

- Jestem przeciwny tej decyzji - odparł David lodowatym tonem. - Wolałbym jednak porozmawiać z Harriet na osobności.

- Moim zdaniem pomysł jest ekstra - rzekł Peter. Pochylił się i trzepnął mnie po przyjacielsku w rękę. - Potrzebujesz więcej miejsca dla siebie,

Harry.

Widocznie to przeważało szale, bo tata rzekł z westchnieniem:

- No cóż, zrobisz, co zechcesz, pewnie i tak bym cię nie zatrzymał, prawda? Przynajmniej to bliżej niż nasza stara ojczyzna Anglia. Jeżeli wpadniesz w tarapaty, z Kings Cross zawsze będę cię mógł wyrwać.

Gavin ryknął śmiechem, nachylił się nad stołem, tłuszcząc krawat masłem, i cmoknął mnie w policzek.

- Brawo, Harry - rzekł. - Koniec pierwszej rundy, a ty ciągle na bramce. Nie wypuszczaj pałki z garści, szykuj się na podkreśnione piłki!

- Kiedy się zdecydowałaś? - spytała mama, mrugając powiekami.

- Kiedy pani Delvecchio Schwartz zaproponowała mi mieszkanie.

Imię to w naszym domu zabrzmiało bardzo dziwacznie. Tata ściągnął brwi.

- Pani jaka? - spytała babcia, która do tej pory siedziała z zadowoloną miną.

- Delvecchio Schwartz. Gospodyni. – Przypomniałam sobie o czymś, o czym jeszcze nie mówiłam. - Mieszka u niej Pappy. Stąd znam panią Delvecchio Schwartz.

- Wiedziałam, że ta Chinka będzie wywierać na ciebie zły wpływ - powiedziała mama. - Od kiedy ją znasz, przestałaś spotykać się z Merle.

Wysunęłam hardo brodę.

- To Merle przestała się ze mną spotykać, mamó. Ma nowego chłopaka i świata poza nim nie widzi. Wrócę do jej łask, kiedy ją rzuci.

- Czy to porządne mieszkanie? - spytał tata.
- Dwa pokoje. Łazienka wspólna z Pappy.
- To niehigienicznie korzystać ze wspólnej łazienki - zauważył David.

Uniosłam wargę.

- A tutaj nie korzystam ze wspólnej łazienki? To zamknęło mu usta.

Mama postanowiła chwycić byka za rogi.

- Przypuszczam, że będą ci potrzebne talerze, sztućce i garnki. Pościel możesz zabrać swoją z domu.

Odpowiedziałam prędzej, niż pomyślałam.

- Nie, mam, nie mogę. Mam tam dla siebie duże podwójne łóżko!

Wspaniale, prawda?

Wybałuszyli oczy, jakby wyobrazili sobie, że w nogach podwójnego łoża stoi konduktorska torba na pieniądze z pobieranych opłat.

- Podwójne łóżko? - spytał poblady David.

- Tak, podwójne.

- Samotne dziewczyny śpią w pojedynczych łóżkach, Harriet.

- Całkiem możliwe, że tak jest, Davidzie - rzuciłam ostro. - Ale ta samotna dziewczyna będzie spała w podwójnym łóżku!

Mama poderwała się na nogi.

- Chłopaki, naczynia nie zmywają się same! - zawołała radośnie. -

Babciu, pora na siedemdziesiąty siódmy odcinek Sunset Strip.

- Kooky, Kooky, użycz mi swego grzebyka! - zaśpiewała babcia, podskakując jak przedszkolanka. - No, no, kto by pomyślał? Harriet się wyprowadza, będę miała pokój tylko dla siebie! Chyba też sprawię sobie podwójne łóżko,

hi-hi!

Tata z braćmi szybciej niż zwykle sprzątnęli ze stołu i zostawili mnie samą z Davidem.

- Skąd się wziął ten pomysł? - spytał i zacisnął wargi.

- Z braku prywatności.

- Masz coś o wiele cenniejszego od prywatności, Harriet. Masz dom i rodzinę.

Uderzyłam pięścią w stół.

- Czy ty naprawdę nic nie widzisz, Davidzie? Mieszkam w jednym pokoju z babcią i jej nocnikiem. Nie mam gdzie rozłożyć swoich rzeczy, a jeżeli czegoś używam, muszę to potem natychmiast schować. Przestrzeń, w której tutaj żyję, należy też do innych. A teraz będę się rozkoszować przestrzenią należącą wyłącznie do mnie.

- W Kings Cross.

- Tak, do cholery, w Kings Cross! Gdzie jest niski czynsz, na który mnie stać.

- W domu z mieszkaniami do wynajęcia, zarządzanym przez obcokrajowca. Nową Australijkę.

To mnie dobiło, roześmiałam mu się prosto w twarz.

- Pani Delvecchio Schwartz obcokrajowcem? Ona jest Australijką z takim twardym akcentem, że można go nożem kroić.

- To jeszcze gorzej - odparł. - Australijka o włosko-żydowskim nazwisku? W najlepszym razie popełniła mezalians.

-Ty cholerny snobie! - Zaczerpnęłam tchu. - Ty bigoteryjny dupku! Starzy Australijczycy są według ciebie wytworni i wyrafinowani?

Wszyscyśmy tu przybyli jako skazańcy, do cholery! Przynajmniej Nowi przybywają jako wolni osadnicy!

- Z wytatuowanymi pod pachą literami SS albo chorzy na gruźlicę, albo śmierdzący czosnkiem! - warknął. -, „Wolni osadnicy”, też coś! Wszyscy oni przyplłynęli tu dzięki subsydiowanym biletom po marne dziesięć funtów od łebka!

Miarka się przebrała. Poderwałam się i zaczęłam trzepać go po uszach, raz z jednej, raz z drugiej strony. Trzask, prask, trzask!

- Odwal się ode mnie, Davidzie, odwal się, do cholery! - wrzasnęłam.

Odwalił się, ale z jego oczu wyczytałam, że uważa mój wybuch za symptom „jednego z tych dni” i że zamierza wrócić i kontynuować perswazje.

No więc właśnie tak to wyglądało. Lubię swoją rodzinę, to fajni ludzie. Ale David odpowiada opisowi Pappy - katolicki uczeń z zatwardzeniem. Dzięki Bogu należę do Kościoła anglikańskiego.

Środa. 20 stycznia 1960.

Byłam taka zajęta, że nie miałam czasu usiąść i napisać paru słów, ale wszystko dobrze się układa. Wyperswadowałam tacie i braciszkom oględziny mojego nowego lokum (oglądałam je w niedzielę, jeszcze się nie nadaje na rodzinną inspekcję) i zasuwałam jak mały parowozik, żeby przygotować się do sobotniej przeprowadzki. Mama jest fantastyczna. Dostałam góry naczyń, sztućców, pościeli i garnków, a tata wcisnął mi do ręki sto funtów, pochrzając i tłumacząc się gęsto, że nie chce, bym

naruszała swoje oszczędności na wyjazd do Anglii i kupowała rzeczy, które i tak należą mi się jako posag. Gavin dorzucił do tego skrzynkę z narzędziami i multimetr, a Peter ofiarował „stary” sprzęt hi-fi, wyjaśniając, że potrzebuje czegoś lepszego. Babcia podarowała mi butelkę wody kolońskiej 4711 i komplet serwetek, które zrobiła szydełkiem z myślą o mojej skrzyni posagowej.

W nowym mieszkaniu sypialnię z salonem łączy łukowate przejście - bez drzwi - więc część ze stu funtów od taty wydam na szklane paciorki i zrobię sobie zasłonkę. Te gotowe, które można kupić, są plastikowe, wyglądają okropnie i wydają jeszcze gorszy odgłos. Chcę mieć coś, co dzwoni. W kolorze różowym. Urządzę mieszkanie na różowo, ponieważ ten jeden kolor w Bronte jest niedozwolony. A ja lubię różowy. Jest ciepły, kobiecy i działa na mnie rozweselająco. Poza tym dobrze wyglądam na różowym tle, czego nie da się powiedzieć o żółtym, niebieskim, zielonym i paśowym. Jestem za ciemna.

Moje mieszkanko mieści się przy otwartym przejściu biegnącym wzdłuż pokoju Pappy i prowadzącym do pralni oraz na wewnętrzne podwórko. Pokoje są duże i bardzo wysokie, ale skromnie wyposażone. W kącie kuchennym jest zlew, stara kuchenka gazowa i lodówka. Nie sposób tego kąta ładnie urządzić, więc zadzwoniłam do Ginge'a, pierwszego sanitariusza w Ryde, z zapytaniem, czy mógłby mi załatwić stary szpitalny parawan. Nie ma sprawy, odparł, a potem zaczął narzekać, że beze mnie zrobiło się nudno. Bzdury! Z powodu odejścia jednego technika z rentgena? Okręgowy Szpital Pomnik Żołnierzy w Ryde nie jest aż taki mały. Ginge miał zawsze skłonność do przesady.

Wczoraj przyszła do rentgena przełożona pielęgniarek. Ależ babiszon! Jeżeli konsultant jest bogiem, to przełożona pielęgniarek jest Najświętszą Marią Panną, a ponieważ warunkiem otrzymania tego stanowiska wydaje się dziewictwo, więc porównanie nie jest bezzasadne. Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś mężczyzna zebrał się na odwagę i ożywił przełożoną pielęgniarek, do tego potrzeba gołębicy, która wleci przez okno. Przełożona pielęgniarek, zwana matroną, z reguły przypomina okręt wojenny pod pełnymi żaglami, muszę jednak przyznać, że matrona w Queens to bardzo elegancki i świetnie utrzymany okręt. Jest wysoka, ma nie więcej niż trzydzieści pięć lat, dobrą figurę, rudozłote włosy, oczy koloru akwamaryny, piękną twarz. Oczywiście spod egipskiego weloniku mało widać włosów, ale na pewno nie są farbowane. Natomiast oczy mogłyby zmrozić tropikalną lagunę. Lodowate. Arktyczne. Uuuuuu!aa!

Właściwie to jej współczuję. Jest królową królowych, więc niemożliwe, żeby była równocześnie kobietą. Kiedy ktoś chce podmalować ścianę albo powiesić plakat dla rozweselenia pacjentów, przełożona pielęgniarek decyduje o kolorze farby oraz o tym, czy plakat może zostać. Nosi białe bawełniane rękawiczki; wprawdzie nie używa ich w rentgenie (ściśle rzecz biorąc, jest tu gościem siostry Agaty), za to we wszystkich pomieszczeniach, w których pracują lub odpoczywają pielęgniarce, przesuwa końcem palca wzdłuż listew przypodłogowych, parapetów i gdzie tylko się da. Boże, miej w opiece siostrę oddziałową, kiedy na podległym jej terenie tę białą rękawiczkę skala szara smużka! Przełożona stoi na czele personelu pomocniczego i pielęgniarstwa, dorównuje statusem ogólnomedycznemu inspektorowi, a także jest członkiem zarządu, któremu

przewodniczy, jak się dowiedziałam, sir William Edgerton-Smythe, wuj mojego seksownego Duncana Forsythe'a. Teraz wiadomo, dlaczego w tak młodym wieku został starszym konsultantem na ortopedii. Wujaszek na pewno mu w tym pomógł. Wielka szkoda. A ja wzięłam pana Forsythe'a za takiego, który nie zniży się do korzystania z podciągających w górę sznurków. Dlaczego bożyszczka zawsze mają gliniane nogi?

Tak czy siak zostałam przedstawiona siostrze przełożonej, która obdarzyła mnie uściskiem dłoni trwającym tyle tysięcznych sekundy, ile wymagają względy uprzejmości i hierarchii. Jak siostra Agata przeszła mnie na powitanie niewidzącym spojrzeniem, tak siostra przełożona popatrzyła mi w oczy jak pani Delvecchio Schwartz. Przyszła, żeby omówić kupno nowych obrotowych urządzeń do pracowni rentgenowskich, ale czuła się w obowiązku zrobić obchód całego oddziału.

Życzenie na dziś: Chciałabym przestać myśleć o Forsycie Lizusie.

Sobota. 23 stycznia 1960.

Jestem już tutaj! Wprowadziłam się! Dziś rano wynajęłam taksówkę bagażową i wpakowałam się razem z pełnymi łupów kartonowymi pudłami do domu pod adresem Victoria Street 17C. Kierowca, równy gość, nie wyrwał się z żadnym komentarzem, pomógł mi tylko wnieść rzeczy, grzecznie przyjął napiwek i zmył się do następnego klienta. Jeden z kartonów był wyładowany po brzegi puszkami różowej farby - dzięki za sto funciaków, tato - a w drugim mieściło się z dziesięć milionów różowych szklanych paciorków. Zakasałam rękawy i zabrałam się do roboty. Wyjęłam

baryłkę mydła z eterem (przydało się, że pracuję w szpitalu i znam zalety takiego mydła), szmaty, szczotkę do szorowania, watę stalową i wzięłam się do sprzątania. Pani Delvecchio Schwartz, pokazując mi mieszkanie, zapowiedziała, że w nim posprząta, no i nie mogę powiedzieć, że nie wywiązała się z obietnicy, ale wszędzie są ślady po karaluchach. Muszę znów zadzwonić do Ginge'a w Ryde i poprosić o trutkę na karaluchy. Nienawidzę tego paskudztwa, roznoszą masę zarazków - w końcu żyją w rurach kanalizacyjnych, ściekach, śmieciach.

Czyściłam i szorowałam, aż poczułam, że muszę iść za potrzebą, więc poszłam poszukać toalety. Pamiętałam, że jest w pralni. Szopa, w której mieści się pralnia, wygląda okropnie. Nic dziwnego, że pani Delvecchio Schwartz nie zaprowadziła mnie do niej przy okazji oględzin mieszkania. Jest tam miedziany bojler na gaz, z licznikiem pożerającym pensy, oraz dwie niesamowicie wielkie betonowe wanny ze staroświecką wyżymaczką przyśrubowaną do podłogi. Łazienka jest za magłem, z boku. Mieści starą wannę, w połowie odartą z emalii. Kiedy oparłam o nią rękę, przechyliła się z głośnym stukiem - brakowało jednej nóżki w kształcie lwiej łapy. Drewniany klocek bez trudu zastąpi nóżkę, ale żeby sama wanna wyglądała jako tako, trzeba położyć kilka warstw emalii rowerowej. Piecyk gazowy na ścianie zapewnia dopływ ciepłej wody - kolejny licznik połykający pensy. Drewnianą kratkę wsadziłam od razu do wanny w pralni, żeby się pomoczyła w roztworze odkażającego mydła. Sedes siedzi (dobry żart!) w osobnej maciupkiej komórce i jest prawdziwym dziełem sztuki - dziewiętnastowieczna angielska porcelana, z muszlą ozdobioną w środku i na zewnątrz kobaltowymi ptaszkami i pnączami. Spłuczka, umieszczona

wysoko na ścianie i połączona z muszlą zgniecioną ołowianą rurą, też jest w niebieskie ptaszki. Usiadłam ostrożnie na starej drewnianej desce, akurat bardzo czystej - brzeg muszli jest tak wysoko nad podłogą, że nawet ja muszę usiąść, aby się wysuszyć. Łańcuch do spuszczenia wody ma na końcu stylową porcelanową gałkę. Kiedy za nią pociągnęłam, do muszli spłynął wodospad Niagara.

Pracowałam cały dzień i nie zobaczyłam żywej duszy. Specjalnie nie spodziewałam się nikogo zobaczyć, ale myślałam, że usłyszę gdzieś w oddali Flo - małe dzieci, kiedy nie płaczą, śmieją się i piszczą. Ale w Domu było cicho jak w grobie. Nie miałam pojęcia, gdzie podziła się Pappy. Mama zapakowała mi koszyk prowiantu, więc mogłam się posilić przy ciężkiej pracy. Ale byłam zupełnie sama. To dla mnie nowe i bardzo dziwne odczucie. I w salonie, i w sypialni znalazłam tylko po jednym gniazdku. Ponieważ jednak mam sporą wprawę w dociąganiu energii elektrycznej na własne potrzeby, wyjęłam narzędzia od Gavina i multimetr, po czym zainstalowałam kilka dodatkowych gniazdek. Potem musiałam wyjść na werandę od frontu i obejrzeć skrzynkę z bezpiecznikami. Tak, ten jest mój! Ceramiczny bezpiecznik na wcisk, z trzyamperowym drucikiem między biegunami. Wyjęłam bezpiecznik, uzbroiłam go w piętnastoamperowy przewód i właśnie zamykałam skrzynkę, gdy przez bramę wszedł młody, krótko ostrzyżony facet w pogniecionym garniturze i z przekrzywionym krawatem.

- Cześć - powiedziałam, sądząc, że to lokator.

- Pani jest nowa, he? - rzekł w odpowiedzi. Potwierdziłam i czekałam, co będzie dalej.

- Gdzie pani mieszka? - spytał.

- Z tyłu, koło pralni.

- Nie na parterze od frontu?

Wykrzywiłam twarz w grymasie, który przy mojej ciemnej cerze może wyglądać bardzo groźnie.

- A co panu do tego? Nie pański interes - odparowałam.

- Ależ mój interes, bez dwóch zdań. - Sięgnął pod połę marynarki, wyjął wytarty skórzany portfel i szybkim ruchem go otworzył. - Policja obyczajowa - rzucił. - Jak panience na imię?

- Harriet. A panu?

- Norm. Czym się zajmujesz?

Zamknęłam skrzynkę z bezpiecznikami i wsunęłam dłoń w zagięcie jego łokcia, ze zmysłowym spojrzeniem wzorowanym na Jane Russell. Zmysłowym w zamierzeniu.

- Filizankę herbaty? - spytałam.

- Dzięki - rzekł ochoczo i pozwolił się wprowadzić do środka.

- Jeżeli pracujesz w branży, to jesteś okropną czyściochą - ocenił, rozglądając się po moim salonie, gdy nastawiałam wodę na herbatę.

Wrzuć monetę! Będę musiała kupować te cholerne pensy na worki, tyle mam tu do karmienia liczników gazu.

- Nie pracuję w tej branży, którą masz na myśli, Norm. Jestem starszym technikiem radiologiem w szpitalu Royal Queens - odparłam, krzątając się koło kuchni.

- Ach! Więc to Pappy cię tutaj ściągnęła.

- Znasz Pappy?

-A kto jej nie zna? Ale ona nie pobiera opłat, więc wszystko jest w porządku.

Podaliśmy mu filiżankę, sobie też nalałam i poszukałam słodkich ciasteczek, które mama włożyła do koszyka z prowiantem. Przez chwilę w milczeniu maczaliśmy ciasteczka w herbacie, a potem zaczęłam wypytywać Normę o obyczajówkę. Świetna okazja do poszerzenia wiedzy! Norma jest nie tylko kopalnią wiedzy, ale kimś, kogo Pappy nazwałaby „skończonym pragmatykiem”. Na nic się zdadzą biadolenia i pouczenia stróżów moralności, arcybiskupów, kardynałów i pastorów metodystów - nie da się wyrugować prostytucji z życia społecznego, tłumaczył, dlatego trzeba te rzeczy trzymać pod kontrolą, żeby panował spokój i porządek. Każda lala ma swoje terytorium, a kłopoty zaczynają się wtedy, kiedy jakaś nowa odbiera koleżankom klientów w ustalonym rewirze. Wtedy rozpętuje się piekło.

- Zęby i pazury, zęby i pazury - rzekł obrazowo, sięgając po jeszcze jedno chrupkie ciasteczko. - A potem idą w ruch noże i brzytwy sutenerów.

- Hm, więc nie aresztujecie znanych prostytutek? - spytałam.

- Dopiero kiedy wymuszą to na nas stróże moralności, którzy z ambony wezwą do działania Ligi Matek i Legiony Przyzwoitości. Stróże moralności, upierdliwe cholery. Jezu, jak ja ich nienawidzę! Ale - ciągnął, tłumiąc emocje - z waszym mieszkaniem na parterze od frontu jest ciągle problem, bo siedemnaście C nie należy do branży. Pani Delvecchio Schwartz próbuje komuś je wynająć, ale przychodzą tu różne, a wtedy pod siedemnaście B i D robi się rwetes.

Mieszkania na parterze od frontu w Cross są idealne, jak odkryłam, dla panienki lekkich obyczajów. Może ona wprowadzać klientów przez oszklone drzwi na werandę i tą samą drogą po piętnastu minutach ich wypychać. Ilekroć pani Delvecchio Schwartz wynajęła komuś mieszkanie na parterze od frontu, okazywało się nieodmiennie, że ma pod swoim dachem kobietę przyjmującą klientów. Wysondowałam Norma jeszcze trochę i dowiedziałam się, że domy po obu stronach naszego Domu są burdelami. Co by powiedział na to tata? Nie zamierzam mu o tym mówić.

- Robicie naloty na te najbliższe burdele? - spytałam. Norm - tak a propos sprawia miłe wrażenie – oburzył się.

- A skąd! To dwa najelegantsze burdele w Sydney, zapewniają usługi najlepszym klientom. Członkom rady miejskiej, politykom, sędziom, przemysłowcom. Gdybyśmy zrobili nalot, powiesiliby nas za jaja.

- Uuuuuuuu! - odparłam.

Dopiliśmy herbatę, a potem się go pozbyłam. Przed wyjściem zaprosił mnie na piwo w przyszłą sobotę po południu, do baru dla pań w pubie Piccadilly. Przyjęłam zaproszenie. Norm nawet nie wiedział, że na moim horyzoncie widnieje niejaki David Murchison - o, dzięki ci, pani Delvecchio Schwartz! Nie minął dzień, a ja już się z kimś umówiłam. Nie przypuszczam, że Norm będzie moją pierwszą miłością, ale prezencję ma, i owszem, więc mogę się z nim napić piwa. A może pocałować?

Życzenie na dziś: Oby w moim życiu nie brakło interesujących mężczyzn.

Niedziela. 24 stycznia 1960.

Dzisiaj poznałam kilkoro lokatorów Domu. Do dwóch pierwszych spotkań doszło po tym, jak wzięłam kąpiel (nie ma prysznic) i postanowiłam rozejrzeć się po podwórku. Victoria Street zaintrygowała mnie, bo po lewej stronie brak odchodzących w bok uliczek, nasz zaułek kończy się ślepo i nie ma domów z numerami niższymi od 17. Brukowaną ceglami dróżką, która biegnie koło mojego mieszkania, wyszłam na właściwe podwórko, poprzecinane sznurami do suszenia bielizny. Kilka z nich dekorowały prześcieradła, ręczniki i ubrania, które należały zapewne do kobiety i mężczyzny. Wisiały tam śliczne koronkowe desu a la Gussie Moran, bokserki, męskie koszule, dziewczęce staniki i bluzki. Odgarniając je - były suche - przedostałam się dalej i odkryłam, dlaczego po lewej stronie nie ma bocznych uliczek i dlaczego jesteśmy ślepym zaułkiem. Victoria Street wdrapała się na dwudziestometrową skałę z piaskowca! W dole widać Woolloomooloo, rzędy szeregowych domów pokrytych łupkiem maszerują w stronę Domain - o tej porze roku ozdobionej piękną trawą. Podoba mi się, że te zielone tereny oddzielają Woolloomooloo od centrum, choć uprzytomniłam to sobie dopiero wtedy, kiedy stanęłam przy płocie ogradzającym podwórko od tyłu. Ileż nowych budynków wyrosło w City! Mają tyle pięter. Ale nadal widać wieżę radiową AWA. Na prawo od Woolloomooloo jest zatoka, upstrzona białymi plamkami, ponieważ jest niedziela i wszyscy rzucili się do żagli. Co za widok! Jestem zadowolona ze swojego mieszkania, ale czuję ukłucie zazdrości na myśl o lokatorach 17C, którzy mieszkają wyżej i mają okna z tej strony. Raj za marne kilka funtów tygodniowo.

Rozgarnęłam prześcieradła, bo musiałam wrócić do malowania, i zobaczyłam idącego brukowaną dróżką młodego mężczyznę z pustym koszem.

- Cześć, jesteś pewnie tą słynną Harriet Purcell - powiedział, podchodząc do mnie i wyciągając długą, szczupłą, elegancką dłoń.

Tak się na niego zagapiłam, że trochę się spóźniłam z uściśnięciem wyciągniętej dłoni.

- Jim Cartwright - przedstawił(a) się.

Uuuuuuuaa! Lesbijka! Z bliska stawało się oczywiste, że Jim nie jest mężczyzną, nawet takim z miękkim nadgarstkiem. Ubrana była jednak w męskie spodnie - z rozporkiem z przodu zamiast rozcięcia z boku - i kremową męską koszulę z podwiniętymi mankietami. Ostrzyżona modnie, po męsku, bez śladu makijażu, z dużym nosem, bardzo pięknymi szarymi oczami.

Potrząsnęłam jej dłoń, zapewniając, że miło mi ją poznać, a ona zaśmiała się bezgłośnie, z kieszeni koszuli wyjęła woreczek z tytoniem oraz bibułki i jedną dłonią, ze zręcznością Gary'ego Coopera, zwinęła papierosa.

- Bob i ja mieszkamy na drugim piętrze, nad panią Delvecchio Schwartz. Ekstra! Okna wychodzą od tej strony i od frontu.

Od Jim uzyskałam kolejne informacje o Domu - gdzie kto mieszka. Pani Delvecchio Schwartz zajmuje całe pierwsze piętro oprócz ostatniego pokoju, bezpośrednio nad moim salonem. Ten ostatni pokój wynajmuje starszy nauczyciel Harold Warner - mówiąc o nim, Jim wykrzywiła się ze wstrętem. Z kolei nad Haroldem mieszka Nowy Australijczyk z Bawarii,

Klaus Muller, który dla chleba graweruje biżuterię, a dla rozrywki gotuje i gra na skrzypcach. W każdy weekend jeździ do przyjaciół koło Bowral. Urządzają tam apokaliptyczne barbecue, piekąc w całości barany, wieprze i cielaki. Większą część drugiego piętra zajmują Jim i Bob, a poddasze - Toby Evans.

Wymawiając jego imię, Jim uśmiechnęła się szeroko.

- To artysta... oj, ależ ty mu się spodobasz!

Wyrzuciwszy papierosa do kubła na śmieci, Jim zaczęła ściągać ze sznurów pranie, więc pomogłam jej poskładać prześcieradła i ułożyć wszystko równo w koszu. Potem nadbiegła nachmurzona Bob. Drobiła jak myszka małymi stopkami w płaskich niebieskich pantofelkach. Mała blondynka przypominająca lalkę Kewpie, o wiele młodsza od Jim, ubrana według krzyku damskiej mody sprzed czterech lat - w pastelową niebieską sukienkę z wielką pełną spódnicą podtrzymywaną przez sześć nakrochmalonych halek, wcięta w talii, z piersiami upchniętymi w spiczaste stożki, które, jak mawiają moi braciszkuje, znaczą „Ręce precz!”.

Zdenerwowana Bob bała się, że nie zdąży na pociąg, a tu nie ma taksówek. Jim nachyliła się, żeby ją pocałować - no, to dopiero był całus! Z otwartymi ustami, z językami, z mrużeniem zadowolenia. Sztuczka się udała, Bob trochę się uspokoiła. Opierając kosz z bielizną na mało wydatnym biodrze, Jim poprowadziła Bob dróżką, skręciła za róg i znikła.

Ze wzrokiem wbitym w ziemię ruszyłam do swojego mieszkania, zajęta własnymi myślami. Wiedziałam o istnieniu lesbijek, ale nigdy żadnej nie poznałam - przynajmniej oficjalnie. Musi ich być sporo wśród

niezliczonych starych panien pielęgniarek w każdym szpitalu, ale się z tym nie zdradzają, to zbyt niebezpieczne. Nadszarpnięta reputacja złamałaby ich karierę zawodową. A tu proszę, Jim i Bob ani trochę się ze swoją miłością nie kryją! To znaczy, że pani Delvecchio Schwartz, która nie godzi się na ladacznice w mieszkaniu na parterze od frontu, przyjmuje pod swój dach parę afiszujących się ze sobą lesbijek. Brawo!

- Cześć, złotko! - krzyknął ktoś.

Wzdrygnęłam się i popatrzyłam w stronę jednego z okien pod numerem 17D, tego z jasnofioletowymi firankami. To stamtąd dobiegał kobiecy głos. Okna 17D bardzo mnie zaintrygowały; pod każdym rosły w skrzynkach ciemnoróżowe pelargonie, co przy jasnofioletowych firankach wyglądało nawet całkiem ładnie - 17D przypominał obskurny prywatny hotelik. Młoda naga kobieta wychyliła się przez okno, szcztokując mocnymi pociągnięciami bujne włosy farbowane henną. Jej piersi, bardzo pełne i leciuteńko obwisłe, kołysały się wesoło do taktu, a pomiędzy pelargonii przezierał górny brzeg jej czarnego krzaczka.

- Cześć! - zawołałam.

- Wprowadzasz się? - Tak.

- Miło było cię poznać, pa pa! - I zamknęła okno. Moja pierwsza lesbijka i moja pierwsza zawodowa dziwka!

Po tych atrakcjach malowanie było dość nudnym zajęciem, ale zawzięłam się i choć rozboleły mnie ręce, pociągnęłam raz wszystkie ściany i sufity. Trochę było mi żal niedzielnego meczu tenisa z Merle, Jane i Denise, ale machanie pędzlem działa podobnie jak machanie rakieta tenisową, więc przynajmniej miałam dość ruchu. Ciekawe, czy gdzieś w

poblizu Cross są korty tenisowe. Zapewne tak, ale nie sędzę, żeby wielu okolicznych mieszkańców grało w tenisa. Tutaj wolą o wiele poważniejsze gry.

O zachodzie słońca ktoś zapukał do moich drzwi. Pappy! - pomyślałam, ale zaraz potem uzmysłowiłam sobie, że ona puka inaczej. Ten ktoś pukał energicznie i stanowczo. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam Davida. Serce podjechało mi do gardła. Zupełnie się drania nie spodziewałam. Wszedł do środka, nim go zaprosiłam, i rozejrzał się z niesmakiem wybrednego wrażliwca - tak mógłby rozglądać się kot, gdyby znalazł się raptem na środku kałuży powstałej z sików piwoszy. Miałam cztery porządne krzesła ze stołowego, solidne i drewniane, których jeszcze nie potraktowałam papierem ściernym, więc pchnęłam jedno z nich stopą w stronę Davida i przysiadłam na stole, żeby patrzeć na niego z góry. Ale on nie dał się na to nabrać - stał, żeby patrzeć mi prosto w oczy.

- Ktoś tutaj pali haszysz - rzekł. - Wyczułem jego zapach w holu.

- To trociczki Pappy. Kadzidło, Davidzie, kadzidło! Taki dobry katolik jak ty powinien je rozpoznać po jednym pociągnięciu nosem - odparłam.

- Z pewnością rozpoznaję rozwiązłość i wyuzdanie. Poczuałam, jak usta zaciskają mi się w prostą kreskę.

- Chciałeś powiedzieć: jaskinię rozpusty.

- Skoro ten zwrot ci się podoba, owszem, tak - rzekł sztywno.

Przymusiłam się do swobodnego tonu, rzucając słowa, jakby nic nie ważyły.

-A więc, nie obwijając w bawełnę, zamieszkałam w jaskini rozpusty. Wczoraj policjant z obyczajówki zajrzał do mnie, by się upewnić, że nie

uprawiam najstarszego zawodu świata, a dzisiaj rano przywitałam się z pierwszorzędną profesjonalistką, która wychylała się nagusienka z okna sąsiedniego domu. Dzisiaj też poznałam Jim i Bob, parę lesbijek, które mieszkają dwa piętra nade mną, i patrzyłam, jak się całują z taką namiętnością, jakiej ty nigdy mi nie okazałeś! Podoba ci się czy nie, musisz się z tym pogodzić!

David zmienił taktykę. Wycofał się z zajętej pozycji i zaczął błagać, żebym się opamiętała. Wykład na temat przynależności miłych dziewcząt do domu rodzinnego do czasu zamążpójścia zakończył słowami:

- Harriet, kocham cię!

Prychnęłam gromko, co zabrzmiało jak potężne pierdnięcie, i mogę przysiąc, że w tym samym momencie coś mnie oświeciło, jakby nad moją głową zapaliła się lampka. Nagle wszystko zrozumiałam!

- Ty, Davidzie, jesteś takim mężczyzną, który z rozmysłem upatruje sobie bardzo młodą dziewczynę, żeby ją urobić i dostosować do własnych potrzeb. Ale twój plan, bracie, nie wypalił. Chciałeś mnie wtłoczyć w przygotowaną formę, a tu nic z tego, ja się z tej twojej cholernej formy wyłamalam!

Och, poczułam się tak, jakbym została wypuszczona z klatki! Wystarczająco długo David zastraszał mnie swoim perorowaniem. Mam gdzieś jego wykłady i kazania. Stracił nade mną władzę. Patrzcie go, jaki sprytny! Nigdy nie stworzył okazji, żebym oceniła go jako mężczyznę: nie całował mnie, nie pieścił ani - niech Bóg broni! - nie wyjął swojego dyndasa, żebym go mogła obejrzeć, nie mówiąc już o skorzystaniu. Trzymałam się Davida, ponieważ jest przystojny, dobrze zbudowany i

uchodzi za godną pozazdrosczenia partię; trzymałam się go, żywiąc przekonanie, że warto czekać na końcowy rezultat. Uświadomiłam sobie jednak, że on sam jest dla siebie końcowym rezultatem. Miałam nigdy się nie dowiedzieć, że jako mężczyzna ma liczne wady, a jedynym sposobem osiągnięcia tego celu było nie dopuścić, bym spróbowała innego towaru. Myliłam się - nie Davida musiałam się pozbyć, tylko dawnej siebie. I pozbyłam się dawnej siebie dokładnie w tym momencie, kiedy prychnęłam mu prosto w twarz.

Przynudzał jeszcze przez chwilę o tym, że przechodzę fazę rozwojową, że okaże mi cierpliwość i zaczeka, aż odzyskam rozum, tratata, tratata, tratata.

Wcześniej znalazłam w pralni paczkę du mauriersów, którą wsunęłam do kieszeni. Kiedy David doszedł do gadki o rozpierającej mnie energii, którą muszę rozładować, wyjęłam papierosy z kieszeni, wetknęłam jednego w usta i zapaliłam.

Davidowi oczy wyszły z orbit.

- Zgaś to świństwo! To wstrętny nałóg! Wydmuchałam mu kłęb dymu w twarz.

-Za chwilę przerwiesz się na haszysz, a potem zaczniesz wachać klej...

- Jesteś bigotem o ciasnych horyzontach - odparowałam.

-Jestem naukowcem prowadzącym badania w dziedzinie medycyny i mam wspaniale funkcjonujący umysł. Wpadłeś w złe towarzystwo, Harriet, nie trzeba być laureatem Nagrody Nobla, żeby wyciągnąć taki wniosek - rzekł.

Zgasłam papierosa na talerzyku - smakował obrzydliwie, ale nie

miałam zamiaru tego po sobie okazać - i wyszłam z Davidem z mieszkania. Odprowadziłam go do drzwi frontowych.

- Żegnaj na zawsze, Davidzie - powiedziałam.

Łzy napływały mu do oczu, położył dłoń na mojej ręce.

- Tak nie może być! - rzekł drżącym głosem. - Tyle lat! Proszę cię, pocałujmy się i pogódźmy.

Miałam dość. Zacisnęłam prawą dłoń w pięść i przyłożyłam mu fangę pod lewe oko. Kiedy się zachwiał - potrafię niezłe przywalić, już się o to postarali moi braciszekowie - spostrzegłam ponad jego ramieniem jakiegoś mężczyznę. Pchnęłam Davida jeden stopień w dół, na dróżkę. Liczyłam na to, że w oczach nieznajomego wyjdę na szczególnie niebezpieczną Amazonkę. David, wystawiony na śmieszność w obecności kogoś obcego, wypadł przez bramę i czmychnął Victoria Street, jakby go gonił pies Baskerville'ów.

W tej sytuacji ja i przybysz mogliśmy się sobie przyjrzeć. Nawet biorąc pod uwagę to, że stałam na stopniu, a on niżej ode mnie, oceniłam jego wzrost na metr sześćdziesiąt parę. Był przysadzisty, balansował lekko na palcach jak bokser i popatrywał na mnie ze złośliwym błyskiem w brązowych oczach. Ładny prosty nos, wydatne kości policzkowe, kasztanowe kędziory ujarzmione fryzjerskimi nożyczkami, proste ciemne brwi i gęste ciemne rzęsy. Bardzo atrakcyjny!

- Wchodzi pan czy będzie pan tak stał i ozdabiał drogę? - spytałam zimno.

- Wchodzę - odparł, nie ruszając się z miejsca.

Całą uwagę skupił na mnie. Miał szczególny wyraz oczu. Po gasnącej w

nich złościwości pozostał dystans, beznamiętna fascynacja. Przyglądał mi się zupełnie jak lekarz pacjentowi, chociaż jeśli on jest lekarzem, to ja zjem kowbojski kapelusz.

- Czy ma pani elastyczne stawy? - spytał. Powiedziałam, że nie.

-Szkoda. Mógłbym panią ustawić w fantastycznych pozach. Nie jest pani mocno umięśniona, ale na oko wysportowana, a przy tym ma pani bardzo ponętne piersi.

Przynależą do pani ciała, a nie do wytwórcy biustonoszy.

Mówiąc to, wskoczył na schodek i przystanął, aby przepuścić mnie przodem.

- Pan jest pewnie tym artystą z mansardy - powiedziałam.

- Strzał w dziesiątkę. Toby Evans. A pani to na pewno ta nowa dziewczyna z mieszkania na parterze od podwórka.

- Strzał w dziesiątkę. Harriet Purcell.

- Zapraszam do siebie na kawę, z pewnością ci się przyda po tym, jak przyłożyłaś temu biedakowi. Przez miesiąc będzie chodził z siniakiem.

Weszłam za sąsiadem dwie kondygnacje wyżej, gdzie na jednych drzwiach widniał wielki symbol Wenus (na pewno mieszkanie Jim i Bob), a druga strona wychodziła na alpejski widok (na pewno mieszkanie Klausa Mullera). Do mansardy wchodziło się po solidnej drabinie. Toby wspiał się pierwszy, a kiedy ja stanęłam na równym gruncie, pociągnął za linę, odrywając drabinę od podłogi i podwieszając ją pod sufitem.

- O, jak fajnie! - powiedziałam, rozglądając się ze zdumieniem. - Można podciągnąć zwodzony most i wytrzymać oblężenie.

Znalazłam się w ogromnym mansardowym pokoju z dwoma oknami w

niszach od tyłu i dwoma oknami od frontu, gdzie sufit opadał skosem. Całe mieszkanie było w odcy bieli i wyglądało sterylne jak sala operacyjna. Panującego tu porządku nie zakłócała nawet jedna porzucona szpileczka, najmniejsza plamka czy smuga, pyłek czy choćby zarys wyschłej kropli deszczu na szybie. Pod oknami, jak to w mansardzie, były siedziska - tutaj z poduszkami z białego sztruksu. Na pomalowanym na biało stojaku tkwiły odwrócone przodem do ściany obrazy. Obok dużych sztalug (też pomalowanych na biało) stała biała komódka, a na podeście białe krzesło. Strefa robocza.

Strefę wypoczynkową tworzyły dwa fotele pokryte białym sztruksem, białe półki z książkami ustawionymi na baczność, biały szpitalny parawan osłaniający kącik kuchenny, kwadratowy biały stół i dwa białe drewniane krzesła. Nawet podłoga była pomalowana na biało! Idealnie czysta, bez żadnego śladu. Oświetlenie - białe fluorescencyjne lampy. Jediną kolorową plamę stanowił szary wojskowy koc na szerokim łóżku.

Ponieważ Toby pierwszy zszedł na tematy osobiste, komentując wygląd moich piersi - bezczelny! - ja też pozwoliłam sobie na całkowitą szczerłość i powiedziałam, co myślę.

- Mój Boże, masz skłonność do obsesji! Założę się, że kiedy wyciskasz farbę z tubki, robisz to od końca, potem starannie zaginasz pusty kawałek i dociskasz, wyrównując brzegi.

Toby uśmiechnął się i przechylił głowę jak czujny piesek.

- Usiądź - zaproponował i znikł za wyprasowanymi bawełnianymi fałdami parawanu, żeby zaparzyć kawę.

Usiadłam, nie przerywając rozmowy. Kiedy wrócił z dwoma białymi

kubkami kawy, opowiedział mi o sobie. Był chłopakiem z buszu, dorastał wśród rozległych farm hodowców bydła w zachodnim Queenslandzie i na Terytorium Północnym. Jego ojciec zatrudniał się jako kucharz, ale częściej niż do garów zaglądał do butelki, więc zanim w końcu zmarł z przepicia, zwykle gotował Toby, chroniąc w ten sposób swojego starego przed utratą pracy. W tamtych czasach jedyne farbami, jakie miał do dyspozycji, były dziecinne akwarele, za blok rysunkowy służył mu tani papier od rzeźnika, a ołówki, zwykle HB, ścigał z biura na farmie. Po śmierci ojca ruszył do miasta, żeby uczyć się malować jak prawdziwy malarz, olejnymi farbami.

- Sydney jest bardzo ponure, kiedy człowiek nikogo tu nie zna i słowa wystaje mu z butów - rzekł, dolewając trzygwiazdkową brandy do swojej drugiej kawy. - Próbowałem kucharzyć. W hotelach, pensjonatach, garkuchniach, w szpitalu Concord Repat. To było okropne. Dokoła głośno niemówiące po angielsku i wszędzie z wyjątkiem Concord karaluchy. Szpitale mają przynajmniej ten plus, że jest w nich czysto. Ale jedzenie gorsze niż na farmie. Potem przeprowadziłem się do Kings Cross. Mieszkałem w szopie o rozmiarach dwa metry na dwa i pół, na podwórku domu przy Kellett Street, aż poznałem Pappy. To ona przyprowadziła mnie do pani Delvecchio Schwartz, która powiedziała, że mogę zamieszkać na strychu za trzy funty tygodniowo i płacić jej wtedy, kiedy będę miał pieniądze. Wiesz, jak wyglądają posągi Matki Boskiej, świętej Teresy i innych, to piękne kobiety. A mnie najpiękniejszą kobietą świata wydała się ta brzydka starucha, pani Delvecchio Schwartz. Któregoś dnia, kiedy nabiorę pewności siebie, namaluję ją z Flo na kolanach.

- Nadal gotujesz? - spytałam.

- Nie! - odparł wzgardliwie. - Pani Delvecchio Schwartz doradziła mi, żebym zatrudnił się w fabryce, przy dokręcaniu śrubek. „Nieźle zarobisz, słonko, i bez bólu”, powiedziała. Usłuchałem jej rady i dokręcam śrubki w fabryce w Alexandrii, a w wolnych chwilach maluję.

- Od jak dawna mieszkasz w Domu? - spytałam.

- Od czterech lat. W marcu kończę trzydziestkę - odparł.

Kiedy zaproponowałam, że zmyję kubki, przeraził się -pomyślał pewnie, że nie zrobię tego, jak należy. Ruszyłam więc na dół, do siebie, bardzo zamyślona. Co za dzień! Co za weekend! Toby Evans. To nawet całkiem przyjemnie brzmiało. Kiedy wspomniiał o Pappy, w jego oczach mignął cień innego uczucia. Coś jakby smutek, ból. Oświeciło mnie - kocha się w Pappy! Której nie widziałam od czasu, gdy się tu wprowadziłam.

Och, jaka jestem zmęczona! Pora zgasić światło i oddać się przyjemności spania, po raz drugi w życiu, w szerokim, podwójnym łóżku. Jedno wiem na pewno: nie będę już więcej spała w pojedynczym. Ależ komfort!

Środa. 3 lutego 1960.

Kiedy nie robię rutynowych prześwietleń klatki piersiowej, ochlapuję różową farbą wszystko w moim mieszkaniu, co się nie rusza i nie ucieka. Pochodziłam też po Cross za dnia, więc mam już jaką taką orientację. Cudna dzielnica. Sklepy wyglądają zupełnie inaczej niż te, które do tej pory znałam. W ciągu jednego tygodnia jadłam więcej dziwnych rzeczy niż przez całe swoje dotychczasowe życie. We francuskiej piekarni można

dostać długie cienkie pieczywo, które smakuje jak marzenie, a w ciastkarni zwanej patisserie - zamiast nadziewanych dżemem bułek, ciastek z kremem i biszkoptów w polewie czekoladowej z kokosem, jak w każdej zwykłej cukierni - są takie fantastyczne ciastka z wielu warstw cienkich jak wafle. Gdzie się obróćę, nektar i ambrozja. Kupiłam coś, co się nazywa sałatka ziemniaczana - och, co za smak! I surówkę z kapusty o nazwie „coleslaw” - pożarłam pełny pojemniczek i przez cały wieczór puszczałam bąki, ale co mi tam! Jest też blok z mielonego mięsa z jajkiem na twardo w środku, tak zwany węgierski klops. Jem salami zamiast mielonki Devon i ser Tilsiter zamiast tego pocącego się, mydlanego w smaku gniota, który mama kupuje w sklepie spożywczym - jeśli idzie o jedzenie, czuję się tak, jakbym umarła i poszła do nieba. Nie jest też wcale bardzo drogo, co zdziwiło mnie na tyle, że zagadałam do Nowego Australijczyka pracującego w moich ulubionych delikatesach. Jego odpowiedź rozwiała wątpliwości dotyczące surowych ograniczeń handlu i godzin otwarcia sklepów - powiedział, że wszystkie sklepy to interesy rodzinne, a mówiąc, przyłożył palec do nosa, żebym nie rozumiała go dosłownie. A więc to tak. Nie ma pracowników w rozumieniu prawa związkowego! Dzięki temu ceny są tak niskie.

Przy paru sklepach z bielizną dostaję wytrzeszczu oczu. W witrynach pełno przezroczystych czarnych lub jaskrawo czerwonych kompletów bikini i szlafroczków, na których widok David chyba się przewrócił ze zgrozy. Bielizna dla dziwek. Któregoś wieczoru, kiedy wracałyśmy razem do domu, Pappy próbowała mnie namówić, żebym sobie coś z tych rzeczy kupiła. Stanowczo odmówiłam.

- Mam zbyt ciemną cerę - wyjaśniłam. - W czarnym i w czerwonym

wyglądam, jakbym cierpiała na zaawansowaną marskość wątroby.

Próbowałam wyciągnąć z niej jakieś konkrety na temat jej i Toby'ego, ale omijała każdą przynętę, którą nadziałam na haczyk. Już samo to wydało mi się mocno podejrzane. Och, żeby tak wymyślić jakiś sposób na zbliżenie ich do siebie! Żadne nie miało rodziny, każde oddawało się z pasją ważnemu zajęciu - Pappy studiowaniu, a Toby swoim płótnom. Byli dla siebie stworzeni, no i mieliby takie piękne dzieci.

Siostra Agata wezwała mnie dziś do swojego biura i powiadomiła, że od przyszłego poniedziałku przechodzę z klatek piersiowych na oddział wypadkowy. Wypadkowy! Jestem wniebowzięta. Najlepsza praca, niekończące się urozmaicenie, każdy przypadek poważny, bo te niepoważne odsyłane są do głównego rentgena. A w Queens rentgen na wypadkowym pracuje od poniedziałku do piątku! Bo w weekendy rzadko zdarzają się nagłe wypadki. Na północ, zachód i południe od szpitala są fabryki, a na wschód ciągną się parki i tereny sportowe. Dzielnice mieszkaniowe Queens obsługuje wraz ze szpitalem Saint George's, choć ma też swoją działkę starych, sypiących się szeregowców. Oczywiście władze stanowe czynią starania, żeby zamknąć Queens, przerzucić pieniądze, które zżera niczym watę cukrową, do Saint George's i małych szpitali dalej na zachód, gdzie rozprzestrzenia się populacja Sydney. Ja jednak zawsze będę stała murem za siostrą przełożoną, występując przeciw ministrowi zdrowia. Na razie naszemu szpitalowi nie grozi zamknięcie, więc moja nowa praca na wypadkowym jest pewna.

- Znakomity z pani technik, panno Purcell - pochwaliła mnie siostra Agata, po swoim zaokrąglając samogłoski. - Z pacjentami też

wyśmieniecie sobie pani radzi. My to widzimy.

- Tak, siostrze, dziękuję, siostrze - odparłam i wycofałam się zgięta w ukłonie.

Hurraa, wypadkowy!

Życzenie na dzisiaj: Chcę, żeby Pappy i Toby się pobrali.

Sobota. 6 lutego 1960.

Wal głową w mur, Harriet Purcell, aż mózg ci zaskoczy i zaczniesz myśleć. Ależ jesteś głupia! Po prostu idiotka!

Wybrałyśmy się dziś z Pappy na zakupy, uzbrojone w torebki i sznurkowe siatki. W sobotnie przedpołudnie ledwie można się ruszyć na Darlinghurst Road, taki tam tłok, a nikt nie wygląda zwyczajnie, jak to w Cross. Minęła nas oszałamiająca piękność ubrana od stóp do głów w jedwabie i kozłą skórę w kolorze brzoskwiniowo różowym. Na smyczy wysadzanej sztucznymi diamentami prowadziła pudełka ufarbowanego na brzoskwiniowo. Sama miała włosy idealnie w tym samym odcieniu co pudełek.

-Ach! - westchnęłam, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

- Gość zwała z nóg, prawda? - rzekła Pappy z radosnym uśmiechem.

- Gość?

- Powszechnie znany jako lady Richard. Transwestyta. Osłupiałam.

- To znaczy ostentacyjny gej - powiedziałam.

- Nie, pasjonuje się ubraniami do tego stopnia, że jest aseksualny.

Transwestyci często są heteroseksualni. Po prostu lubią kobiece ciuchy.

Tak zaczęła się ta rozmowa. W Domu Pappy nie widuję, ale w ciągu tygodnia często się spotykamy, więc sądziłam, że ją znam. A okazało się, że wcale nie.

Czas najwyższy, zdecydowała, żebym miała z kimś romans, w czym się z nią zgodziłam. Niestety, Norm, policjant z obyczajówki, fatalnie całował - zalał mnie śliną. Wypiliśmy piwo i rozstaliśmy się w jak najlepszej komitywie, wiedząc, że nic nas nie połączy. A Toby Evans, choć nie mogłam o tym wspomnieć Pappy, jest zajęty. Niezmiernie mi się podoba, a wygląda na takiego, który dobrze się sprawia w łóżku. O tym właśnie mówiła Pappy, kiedy tak sobie szłyśmy. Nie mogłam przeżyć swojego Pierwszego Razu z jakimś niewrażliwym ignorantem, gapą czy egoistą.

- Musi być doświadczony, delikatny i czuły - powiedziała.

Rozśmieszyła mnie.

- Przemówił ekspert! - parsknęłam. Okazało się jednak, że jest ekspertem.

- Harriet - rzekła nieco rozdrażniona - nie zastanawiałaś się, dlaczego nie widzisz mnie w weekendy?

Przyznałam, że mnie to dziwiło, ale myślałam, że pograża się w lekturze.

- Och, Harriet, ależ ty jesteś tępa! - wykrzyknęła. - Spędzam weekendy, uprawiając seks z mężczyznami.

- Z mężczyznami? - spytałam, tracąc dech.

- Owszem, z mężczyznami.

- Nie z jednym, tylko z różnymi?

- Z różnymi.

Co można powiedzieć po czymś takim? Szukałam odpowiednich słów, gdy skręciliśmy w Victoria Street.

- Dlaczego?

- Bo szukam.

- Idealnego kochanka?

Pokręciła głową tak, jakby to mną chciała potrząsnąć.

- Nie, nie, nie! Nie chodzi o seks, chodzi o ducha. Szukam pokrewnej duszy. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Już chciałam jej podpowiedzieć, że ta pokrewna dusza packa farbą płótno w mansardzie, ale ugryzłam się w język. Kiedy wróciliśmy, na schodach siedział jakiś młody facet. Wstał, Pappy uśmiechnęła się do mnie przepraszająco, a wtedy ja wyprzedziłam ich szybciotko, pobiegłam do swojego różowego mieszkania i szybko usiadłam, żeby złapać oddech. A więc to miał na myśli Norm z obyczajówki, mówiąc, że Pappy nie pobiera opłat! Na pewno z nim też się przespała.

Pora na przemyślenia, Harriet Purcell. Wszystko, czego cię do tej pory uczono, w co kazano ci wierzyć, waży się na szali. Pappy nie podpada pod kategorię „miła dziewczyna”, a mimo to jest najmiłszą dziewczyną, jaką znasz. A przecież miłe dziewczyny nie są rozwiązłe, nie sypiają z wieloma mężczyznami. Tak robią tylko rozpustnice. Pappy rozpustnicą? Nie, na takie określenie się nie zgodzę! Jestem jedyną członkinią grupy Bronte-Bondi-Waverley, która nie wdała się w romans, a na przykład taka Merle ani nie uważa się za rozpustnicę, ani nią przecież nie jest. Och, w jakie wiry emocjonalne wpadała Merle, kiedy się zakochiwała! Byłam tego świadkiem. Zachwyty, wściekłość, zwątpienie, a na koniec rozczarowanie. A

raz te straszne dni, kiedy czekała na opóźniający się okres. Wreszcie się pojawił, a towarzyszącą temu ulgę odczułam równie intensywnie jak moja przyjaciółka, stawiając się w myślach na jej miejscu. Jeżeli coś nas trzyma na wąskiej ścieżce cnoty, to przede wszystkim strach przed ciążą. Do aborcji zabierają się ludzie z drutami do robótek. Alternatywą jest zepsuta reputacja. Zwykle dziewczyna nagle znika na cztery miesiące albo odbywa się przyspieszony ślub i dziecko przychodzi na świat „przedwcześnie”. Niezależnie jednak od tego, czy dziewczyna zdecyduje się na czteromiesięczny pobyt poza domem i odda dziecko do adopcji, czy wyjdzie za mąż, do końca życia ludzie będą na nią gadać: „Musiała wyjść za mąż!” albo „Wszyscy o tym wiemy, prawda? Chodzi smętna jak długi deszczowy tydzień, narzeczonego ani widu, ani słyhu, zaokrągla się w pasie, a potem raptem jedzie na kilka miesięcy w odwiedzinach do babci w Australii Zachodniej - komu ona chce zamydlić oczy, my przecież nie głupie, nie?”

Nie uznaję takiej złośliwości, niemniej każda dziewczyna się z nią spotyka. A tu Pappy, którą kocham, igra z ogniem i naraża się na wszystko - od ciąży do choroby wenerycznej i możliwości pobicia. Poprzez seks szuka pokrewnej duszy! Jak można odkryć duszę w mężczyźnie poprzez seks? Kłopot z tym, że nie potrafię odpowiedzieć na żadne z pytań, które sobie zadaję. Wiem tylko, że nie mogę źle myśleć o Pappy. Och, biedny Toby! Jak on musi się czuć? Czy ona z nim spała? A może nie przypadł jej do gustu? Tak. Sama nie wiem dlaczego, ale tak właśnie myślę.

Nie mogłam się uspokoić, więc postanowiłam pójść na spacer, zgubić się w tłumie fascynujących tubylców. W holu wejściowym natknęłam się

na panią Delvecchio Schwartz, która zamiatała podłogę. Z miernym skutkiem. Machała miotłą tak zamazyście, że kurz wzbijał się, kłębił i osiadał z powrotem za jej plecami. Już, już miałam ją spytać, czy nie pomyślała nigdy o tym, żeby przed zamiętaniem posypać podłogę wilgotnymi fusami po herbacie, ale się nie odważyłam.

- Fantastiko! - rzekła uradowana. - Chodź na górę, łycezek brandy nigdy nie zaszkodzi.

-Odkąd się wprowadziłam, zupełnie znikła mi pani z oczu - powiedziałam, wchodząc za nią po schodach.

- Nigdy nie przeszkadzaj ludziom, kiedy są bardzo zajęci, księżniczko - rzekła i klapnęła na krzesło na balkonie.

Zagulgotała brandy nalewana do dwóch szklanek z reklamą pasty serowej Krafta. Flo, trzymająca się do tej pory kurczowo spódnicy matki, ułożyła się na moich kolanach, wpatrując się we mnie smutnymi bursztynowymi oczami, w których jednak czaił się uśmiech.

Sączyłam obrzydliwy płyn, nie mogąc się do niego przekonać.

- Nigdy nie słyszę Flo - powiedziałam. - Czy ona mówi?

-Cały czas, księżniczko - odparła pani Delvecchio Schwartz.

Bawiła się talią dużych kart. Wtem prześwietliła mnie swoim rentgenowskim spojrzeniem i położyła karty na stole.

- Co cię gnębi? - spytała.

- Pappy mówi, że sypia z różnymi mężczyznami.

- Owszem, sypia.

- I co pani o tym sądzi? Myślałam, że właścicielki domów pozbywają się dziewcząt, które przyjmują u siebie mężczyzn. Wiem zresztą, że pani

też tak robi, gdy chodzi o mieszkanie na parterze od frontu.

- Czemu z gruntu dobra kobieta miałyby myśleć, że jest niegodziwa, tylko dlatego, że lubi się ścisnąć po kątach? Tak nie powinno być - odpowiedziała i pociągnęła duży łyk. - Obściskiwanie się jest normalne i naturalne jak siusianie i sranie. A Pappy? Nad czym tu rozmyślać? Seks to jej sposób podróżowania. - Znow prześwietliła mnie wzrokiem. - Twój raczej nie, prawda?

Poczułam się niezręcznie, jakbym nie spełniała oczekiwań. Poprawiłam się na krześle.

- Nie. Przynajmniej na razie - odparłam i znow pociągnęłam łyk. Trunek zaczął smakować troszkę lepiej.

- Ty i Pappy to dwa przeciwległe krańce kobiecego życia - rzekła pani Delvecchio Schwartz. - Dla Pappy brak dotyku to brak miłości. Jest królową mieczy spod znaku Wagi. Słabe obsadzenie. Głównie przez Marsa. Nieharmonijnie aspektowany. Tak samo Jowisz. Księżyc w Bliźniętach w kwadraturze z Saturnem. Myślę, że dobrze zapamiętałam.

- A kim ja jestem? - spytałam.

- Nie wiem, dopóki nie powiesz, kiedy się urodziłaś, księżniczko.

- Jedenastego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku - odparłam.

-Ach! Wiedziałam! Skorpion! Bardzo silna kobieta! Gdzie?

- W szpitalu Saint Vincent's.

- Tuż obok Cross! O której godzinie? Poszperałam w pamięci.

- Minutę po jedenastej przed południem. -Jedenastka, jedenastka, jedenastka. Bomba! Fantastiko! - Zaczęła sapać, odchyliła się do tyłu na

skrzypiącym krześle i zamknęła oczy. - Hm, zastanówmy się... Wschodzący Wodnik... no, no, no!

W następnej chwili klęczała przed szafką z której wyciągnęła zniszczoną, rozpadającą się książkę, kilka kartek i tani plastikowy kątomierz. Jedną, czystą kartkę podsunęła mi razem z ołówkiem.

- Zapisuj wszystko, co będę mówiła - poleciła i popatrzyła na Flo. - Aniołku, przynieś mi parę kredek.

Flo zsunęła się z moich kolan, potruchtała do pokoju i wróciła, ściskając w ręczce wielobarwny pęczek.

- Liczę w myślach, po tylu latach powinnam mieć wprawę - rzekła pani Delvecchio Schwartz, zaglądając do rozsypującej się książki i stawiając tajemnicze znaczki na kartce, na której widniał narysowany wcześniej torcik podzielony na dwanaście równych części. - Tak, tak, bardzo ciekawe. Pisz, Harriet, pisz! Trzy opozycje, wszystkie silne. Słońce z Uranem, Mars z Saturnem, Uran z Medium Coeli. Większość napięcia usuwają kwadratury, to ci szczęście, co?

Mówiła, nie zwalniając, więc z trudem nadażałam i bazgrałam jak Flo.

- Jowisz w pierwszym domu w Wodniku, twoim znaku wschodzącym, bardzo silne obsadzenie! Fortuna będzie ci sprzyjać, Harriet Purcell. Słońce w dziesiątym domu. Twój zawód będzie całym twoim życiem.

Słyszając to, wyprostowałam się raptownie! Spojrzałam nachmurzona.

- Na pewno nie! - rzuciłam. - Niech mnie diabli, jeżeli będę robić prześwietlenia aż do emerytury! Mam przez czterdzieści lat nosić ołowiany fartuch i co miesiąc robić badanie krwi? Ja to chromolę!

- Drogi zawodowe są różne - odparła z pogardliwym uśmiechem. -

Wenus też jest w dziesiątym domu, a twój Księżyc w Raku. Saturn przed wierzchołkiem trzeciego domu. To znaczy, że będziesz zawsze opiekowała się potrzebującymi. - Westchnęła. - Och, ile tu tego jest, ale wszystko funta kłaków niewarte przy idealnym kwinkunksie pomiędzy Księżycem a Merkurym!

- Kwinkunksie? - To brzmiało nieprzyzwoicie.

- Ten aspekt w zupełności mi wystarczy - powiedziała, z wielkim zadowoleniem zacierając ręce. - Trzeba się przyjrzeć całemu kosmogramowi, żeby kwinkunks nabrał sensu, ale progresja gwiazd od chwili twoich narodzin wskazuje, że kwinkunks to jest to. - Znow padło na mnie prześwietlające spojrzenie.

Pani Delvecchio Schwartz wstała, weszła do mieszkania i otworzyła lodówkę. Wróciła z talerzem, na którym leżały kawałki czegoś, co wyglądało jak poprzeczne przekroje węża.

- Spróbuj, księżniczko. Wędzony węgorz. Pożywny pokarm dla mózgu. Kolega Klausa, Lerner Chusovich, łowi węgorze i sam je wędzi.

Wędzony węgorz był przepyszny, więc zaczęłam wcinać.

- Zna się pani na astrologii - powiedziałam z pełną buzią.

- Ja myślę! Jestem wróżką psiakręc - odparła.

Przypomniała mi się damulka o niebieskawych włosach, pochodząca z górnego North Shore, oraz kilka innych napotkanych w holu pań. Teraz to wszystko ułożyło się w sensowną całość.

- Więc te zamożnie wyglądające kobiety to klientki? -upewniłam się.

- Trafiaś w dziesiątkę, słonko. - Wycelowwała we mnie te zimne reflektory. - Wierzysz w przyszłe życie?

Zastanowiłam się chwilę, nim odpowiedziałam.

- Nie bardzo. Ale dopuszczam jego istnienie. Trudno wierzyć w rozumność i sprawiedliwość niezmiennego bożego planu, kiedy pracuje się w szpitalu.

- Nie mówimy o Bogu, tylko o życiu po życiu. Odparłam, że nie jestem pewna, czy ono istnieje.

- A ja właśnie zajmuję się przyszłym życiem - rzekła pani Delvecchio Schwartz. - Stawiam horoskopy, kładę karty, czytam przyszłość w mojej szklanej Kuli - wypowiedziała to słowo od dużej litery - nawiązując łączność ze zmarłymi.

- W jaki sposób?

- Nie mam pojęcia, księżniczko! - odparła wesoło. - Kiedy skończyłam trzydzieści lat, przekonałam się, że to potrafię.

Flo wdrapała się jej na kolana, żeby possać pierś, ale matka łagodnie, lecz zdecydowanie odstawiła małą na podłogę.

- Nie teraz, aniołku, rozmawiam z Harriet. Podeszła do małej szafki. Wyjęła z niej bardzo ciężki przedmiot, przykryty kawałkiem przybrudzonego różowego jedwabiu, i postawiła na stole. Potem podała mi talię kart. Obróciłam je, spodziewając się ujrzeć jak zwykle kiery, kara, trefle i piki, ale na tych kartach były obrazki. Ten na samym spodzie, bardzo kolorowy, przedstawiał nagą kobietę otoczoną wieńcem.

- To jest świat - wyjaśniła pani Delvecchio Schwartz.

Pod spodem znajdowała się karta z dłonią trzymającą kielich, z którego lały się strumyczki płynu. Na kielichu widniało coś jak litera „W”, nad nim zaś unosiła się łapkami do góry gołębica z małym kółkiem w dziobku.

- As kielichów - wyjaśniła pani Delvecchio Schwartz. Delikatnie odłożyłam talie.

- Co to za karty?

- Do tarota, księżniczko. Umiem z nimi robić różności. Potrafię przewidzieć twój los, jeżeli sobie życzysz. Zadaj mi pytanie o swoją przyszłość, a ja ci na nie odpowiem. Czasem siadam sobie całkiem sama, wykładam karty na cygańską modłę, żeby wyczuć, co dzieje się w Domu, co dzieje się z ludźmi, którzy są pod moją pieczę. Karty mają usta. Karty mówią.

- Nie do mnie - wtrąciłam z drzeniem. Mówiła dalej, jakbym w ogóle jej nie przerwała.

- To jest kula - powiedziała, ściągając różowy jedwab z przedmiotu, który przed chwilą wyjęła z szafki.

Sięgnęła nad stolikiem do mojej dłoni i przyłożyła ją do pięknej, chłodnej powierzchni. Flo, która stała obok i przyglądała się, nagle złapała powietrze ustami i schowała się za matką, a potem z szeroko otwartymi oczami wyjrzała zza olbrzymiego cielska.

- Czy to szkło? - spytałam, zafascynowana kulą, w której wszystko się mieściło - balkon, właścicielka, platan - odwrócone do góry nogami.

- Nie, prawdziwy kryształ. Ma tysiąc lat. Widział wszystko. Nie korzystam z niego często, to jak atak trzęsionki.

- Atak trzęsionki? - Ile jeszcze pytań będę musiała zadać?

- Białe myszki, delirka, czyli delirium tremens. Kiedy się patrzy w kulę, nigdy nie wiadomo, jaka wrzeszcząca gęba zacznie się pchać od środka, żeby wydostać się na zewnątrz. O nie, najczęściej korzystam z kart. A przy

moich paniach - z Flo.

Kiedy wymówiła imię Flo, zrozumiałam, czemu wtajemnicza mnie w swoje sprawy. Z jakiegoś powodu, który pozostawał dla mnie ukryty, pani Delvecchio Schwartz uznała, że muszę poznać sekrety jej życia. Zadałam więc najważniejsze pytanie.

-Flo?

- Tak, Flo. Jest moim medium. Zna odpowiedzi na pytania zadawane przez moje panie. Ja się z tym darem nie urodziłam, przypałętał się ni stąd, ni zowąd, kiedy byłam... och, Harriet, byłam bez grosza, rozpaczliwie potrzebowałam pieniędzy! Zaczęłam wróżyć dla zarobku, wciskałam kit, uczciwie przyznaję. A potem odkryłam, że mam dar. A Flo się z tym urodziła. Potrafi mi napędzić takiego pietra...

Tak, mnie też napędza strachu, choć nie jest to strach połączony ze wstrętem. Mogłam bez trudu w to wszystko uwierzyć. Flo wygląda, jakby należała do innego świata, nie zdziwiło mnie więc wcale, że ma do niego dostęp. Może ten inny świat jest jej naturalnym środowiskiem. A może jest histeryczką. Histeryczką można być w każdym wieku. Wiedząc więcej o Flo, tym mocniej ją kochałam. Wyjaśniła się zagadka smutku w jej oczach. Co ona widzi, jak musi się czuć! Z takim wrodzonym darem.

Po wypiciu pełnej szklanki brandy dość niezdarnie zesłam po schodach, ale nie rzuciłam się od razu na łóżko; chciałam wszystko zapisać, zanim zapomnę. Siedzę więc z długopisem w ręku i zastanawiam się, dlaczego nie jestem zbulwersowana, dlaczego nie mam ochoty ostro wygarnąć pani Delvecchio Schwartz, że wykorzystuje córeczkę. A jak chcę, to potrafię ostro przygadać. To jednak, czego tutaj doświadczam, tak

odbiega od mojego dotychczasowego pojmowania świata, że w krótkim czasie, odkąd tu mieszkam, zmieniłam się i dojrzałam. Przynajmniej tak się czuję. Czuję się nowa, odmieniona. Podoba mi się monstrum o nazwisku Delvecchio Schwartz, a jej córeczkę po prostu kocham. Ostrość mojego języka stepiło przeświadczenie, że istotnie więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niżli się śniło filozofom w Bronte. Już tam wrócić nie mogę. Nigdy do Bronte nie wrócę.

Flo jest medium. Matka dała do zrozumienia, że nawiązuje łączność z zaświatami za pośrednictwem kuli, ale nie opisała mediumicznego pośrednictwa Flo w kontaktach ze zmarłymi. Flo zna odpowiedzi na pytania, które zadają „moje panie”. Przywołałam obraz „moich pań”, ale nie wyglądały na takie, co uganiają się za widmami ukochanych. Każda była inna, lecz żadnej nie otaczała aura nieutulonego żalu. To sprawy tego, a nie przyszłego świata, kazały im szukać pomocy u pani Delvecchio Schwartz, byłam o tym przekonana. Flo natomiast była nie z tego świata.

Może na początku, kiedy wciskała kit, żeby zarobić na życie, pani Delvecchio Schwartz ceniła pieniądze dla nich samych. Domyślam się, że kupiła wtedy Dom. Ale teraz? Kiedy mieszka w takich okropnych warunkach, w obskurnym pustym pokoju? Pani Delvecchio Schwartz nie dba o wygody, Flo także. Nie mają szaf z ładnymi sukienkami ani wygodnych kanap. Nie mogę pojąć, dlaczego Flo nadal ssie pierś. Widocznie potrzebuje takiej więzi z matką. Och, Flo! Aniołku. Twoja matka jest dla ciebie całym światem, jego początkiem i końcem. Jest twoim oparciem i twoim schronieniem. A ja czuję się zaszczycona, że okazałaś mi względy, że obdarzyłaś mnie uczuciem, aniołku. Czuję się

pobłogosławiona.

Poniedziałek. 8 lutego 1960.

Muszę przyznać, że zaczynałam dziś pracę w rentgenie urazówki bez nadgorliwego entuzjazmu. Moje życie troszkę się skomplikowało, odkąd ocieram się o nimfomanię i wróżbiarstwo. Chociaż nie jestem pewna, czy aktywność seksualna ograniczona do weekendów podpada pod miano nimfomanii. Wystarczyło jednak dziesięć minut pracy, żebym zapomniała o istnieniu innego świata poza rentgenem.

Jesteśmy tu trzy - szefowa, ja i praktykantka. Nie jestem pewna, czy lubię Christine Leigh Hamilton, jak przedstawiła się moja szefowa. Ma trzydzieści parę lat. Z mimowolnie podsłuchanych rozmów pomiędzy nią a siostrą oddziałową wywnioskowałam, że zaczyna cierpieć na - jak ja to nazywam - „syndrom starej panny”. Jeżeli w wieku trzydziestu paru lat nie będę mężatką, prędzej poderżnę sobie gardło, niż ulegnę syndromowi starej panny. Wynika on z rozmyślań nad starością, którą trzeba przeżyć wraz z inną kobietą we względnej biedzie, chyba że rodzina jest majątna, a zwykle nie jest. Głównym objawem tego syndromu jest przemożna chęć zdobycia mężczyzny. Wyjścia za mąż. Urodzenia dzieci. Potwierdzenia swojej kobiecości. Odnoszę się ze współczuciem do tych ciągót, ale przyrzekłam sobie solennie, że tą chorobą nigdy się nie zarażę. Nie jestem pewna, który popęd jest w niej silniejszy - chęć znalezienia kogoś, kogo można z wzajemnością kochać, czy też pragnienie osiągnięcia finansowej stabilizacji i bezpieczeństwa. Chris jest technikiem w rentgenie, więc

dostaje pensję taką samą jak mężczyzna na tym stanowisku, ale gdyby poszła do banku i poprosiła o pożyczkę na kupno domu, otrzymałaby odpowiedź odmowną. Banki nie udzielają kredytów kobietom, niezależnie od ich zarobków. A większość kobiet zarabia marnie, więc nigdy im się nie udaje odłożyć co nieco na stare lata. Rozmawiałam o tym z Jim - jest mistrzem drukarskim, lecz choć pracuje jak mężczyzna, nie dostaje równorzędnej płacy. Nic dziwnego, że niektóre kobiety dostają bzika i zupełnie odsuwają się od mężczyzn. Bob jest sekretarką jakiegoś potentata i też nie zarabia kroci. A jeżeli kobieta pracuje w instytucji rządowej, musi ją opuścić po wyjściu za mąż. Dlatego wysoko kwalifikowane pielęgniarki i szefowe oddziałów są starymi pannami. Choć muszę przyznać, że jest też trochę wdów.

- Gdyby nie pani Delvecchio Schwartz, wiodłybyśmy pieskie życie - powiedziała do mnie Jim. - W ciągłym strachu, że ktoś nas nakryje i wyeksmituje. Na własny dom nie byłoby nas stać. Ten Dom to nasz ratunek.

Ale wracajmy do Chris Hamilton. Kłopot w tym, że z taką urodą nie jest pułapką na mężczyzn. Masywnie zbudowana, o włosach, z którymi nic nie można zrobić, nosi okulary, źle się maluje, no i te nogi jak klocki pod fortepianem. Mogłaby temu wszystkiemu zaradzić, gdyby miała choć trochę wyczucia, ale go nie ma. Wyczucia co do mężczyzn, oczywiście. Ilekroć jakiś pan, zwłaszcza w białym fartuchu, wkroczy na nasze terytorium, Chris uśmiecha się głupkowato, zaczyna biegać i fikać koziółki, żeby wyrzucić na nim wrażenie. Nie robi tego przy nowoaustralijskich sanitariuszach (ich nie raczy zaszczycić uwaga), a kokietuje nawet facetów

z pogotowia, robi herbatę i gawędzi z nimi przy ciasteczkach. O ile, oczywiście, nie jesteśmy zajęte. Jej najlepszą przyjaciółką jest Marie CCallaghan, siostra oddziałowa na urazówce. Mieszkają razem w Coogee, obie mają po trzydzieści parę lat. I obie cierpią na syndrom starej panny! Czemu kobiety nie są uważane za prawdziwe kobiety, jeżeli nie wyjdą za mąż i nie mają dzieci? Gdyby Chris to przeczytała, powiedziałaaby z szyderczym uśmiechem, że mnie to dobrze, bo ja przyciągam mężczyzn, jestem gotową pułapką. Czemu jesteśmy wtlaczane w takie szufladki?

Młodsza techniczka jest bardzo nieśmiała i, jak to zwykle bywa na oddziale, gdzie jest duży ruch, większość dnia spędza w ciemni. Pamiętam, jak sama się szkoliłam; zdarzały się chwile, kiedy myślałam, że lepiej nadaję się do pracy dla Kodaka niż w rentgenie. W końcu jednak udaje się pokonać tę wyboistą drogę, zdobyć doświadczenie z pacjentami, zdać egzaminy - i wtedy można posyłać do ciemni młodszych od siebie. Kłopot z tym, co najważniejsze, zwłaszcza na urazówce - nie można popełnić błędu ani wypuścić nieudanego zdjęcia.

Już po paru minutach zrozumiałam, że tu, na urazówce, nie wszystko będzie się toczyło po mojej myśli. Przyszedł chirurg na specjalizacji w towarzystwie swojego starszego rezydenta, obrzucił mnie jednym spojrzeniem i zaczął dość nachalnie czarować. Nie wiem, czemu tak działałam na niektórych lekarzy (niektórych, nie wszystkich!), bo, szczerze mówiąc, wcale się nie uganiam za białymi fartuchami. Wolałabym zostać starą panną niż żoną człowieka, który wciąż gdzieś pędzi, wzywany przez telefon. I o czym tacy rozmawiają? W kółko i na okrągło o medycynie. Pappy mówi, że jestem sexy, a ja nie mam pojęcia, co to znaczy, skoro sexy

jest Bardotka. Przecież nie kręcę tyłkiem, nie nadymam ust, nie obrzucam mężczyzn uwodzicielskimi spojrzeniami, nie wyglądam, jakbym nie miała w głowie mózgu. Patrzę na drani jak na powietrze, z wyjątkiem spotkanego w łączniku pana Duncana Crawlera Forsythe'a. No więc nie robiłam nic, co mogłoby zachęcić tych dwóch doktorków, a mimo to jakoś nie spieszyło im się z odejściem i wchodzili mi w drogę. Aż w końcu powiedziałam, żeby się odwalili, co przeraziło Chris (i młodszą).

Na szczęście w tym momencie przez nasze podwójne drzwi wjechał pacjent z podejrzeniem urazu kręgosłupa. Wzięłam się do pracy. Nie zamierzałam dać Chris Hamilton powodu do uskarżania się na mnie siostrze Agacie.

Przekonałam się wkrótce, że nie będę miała czasu na wspólny lunch z Pappy - jadłyśmy w biegu. W ciągu czterech godzin mieliśmy trzy podejrzenia złamania kręgosłupa, złamanie piszczeli, kości strzałkowej i stawu skokowego, kilka złamań ze skruszeniem kości długich, połamane żebra, kilkanaście innych drobnych przypadków oraz jeden krytyczny - uraz głowy, w stanie śpiączki i z drgawkami - przewieziony natychmiast na salę operacyjną neurochirurgii. Chris, początkowo obrażona z powodu nadskakujących mi dwóch niezaobrączkowanych doktorów, zrozumiała, że nie będę zawałdą, jeśli idzie o pacjentów, więc niebawem wypracowałyśmy system.

Oddział był oficjalnie otwarty od szóstej rano do szóstej wieczorem. Chris przychodziła na wcześniejszą zmianę i kończyła o drugiej, a ja miałam zaczynać o dziesiątej i wychodzić o szóstej.

-Byłoby miło, gdybyśmy wychodziły o ustalonej porze, ale to fikcja -

rzekła Chris, zapinając płaszcz, który włożyła na uniform. Było wpół do czwartej. - Niemniej taki jest nasz cel. Nie chciałabym zatrzymywać młodszej dłużej, niż to konieczne, więc odeślij ją do domu o czwartej, chyba że byłby młyn.

Tak, proszę pani.

Udało mi się wreszcie wyjść trochę po siódmej. Byłam tak zmęczona, że pomyślałam o wezwaniu taksówki. W końcu jednak dowlokłam się do domu na piechotę, choć mówi się, że Sydney nie jest bezpieczne i kobiety nie powinny chodzić po mieście po zmroku. Zaryzykowałam i nic się nie wydarzyło. Aż do szpitala Saint Vincent's nie widziałam żywej duszy. Potem do łóżka. Jestem wykończona.

Wtorek. 16 lutego 1960.

Dziś wieczorem zobaczyłam się wreszcie z Pappy. Kiedy pchnęłam drzwi wejściowe, omal jej nie przewróciłam, ale widać nie wybierała się na ważne spotkanie, bo zawróciła wraz ze mną do mojego mieszkania, weszła i usiadła. Ja wzięłam się do parzenia kawy.

Usadowiwszy się w fotelu, przyjrzałam się jej uważnie i stwierdziłam, że nie wygląda dobrze. Jej cera przybrała żółtawy odcień, a podkrążone oczy wyglądały bardziej skośnie niż zwykle. Usta miała opuchnięte, a pod jednym i drugim uchem brzydki siniak. Mimo dużej wilgotności nie zdjęła sweterka - czyżby ręce też miała posiniaczone?

Kucharz ze mnie kiepski, ale zaproponowałam, że podsmażę kielbaski do sałatek - z kapusty i z ziemniaków -którymi ciągle się zajadam.

Pappy potrząsnęła z uśmiechem głową.

- Poproś Klause, żeby nauczył cię gotować - poradziła. — Jest w tym genialny, a ty masz temperament sprzyjający kucharzeniu.

- Jaki temperament sprzyja kucharzeniu? - spytałam.

- Jesteś szybka i dobrze zorganizowana - odparła, pozwalając głowie opaść na fotel.

Wiedziałam, co się stało. Sponiewierał ją jeden z weekendowych gości. Nie chciała się do tego przyznać, nawet mnie. Miałam chęć powiedzieć, że naraża się na potworne ryzyko, kiedy idzie do łóżka z mężczyzną, którego ledwie zna, ale coś mnie powstrzymało. Dałam temu spokój. Chociaż przyjaźń z Pappy jest pod wieloma względami lepsza niż dawna przyjaźń z Merle - dawna, uuuuuuła, ciekawe słowo mi się wysnęło! - miałam dziwne uczucie, że dzielą nas płoty, przez które nie powinnam nawet próbować zerknąć. Merle i ja byliśmy poniekąd równe sobie, nawet jeśli ona miała kilka romansów, a ja żadnego. Natomiast Pappy jest ode mnie dziesięć lat starsza i nieporównanie bardziej doświadczona. Nie mogę nawet udawać, że jej dorównuję.

Bolała nad tym, że ostatnio rzadko się widujemy - nie jemy wspólnych lunchów, nie chodzimy razem do Queens i z powrotem. Zna Chris Hamilton i zgodziła się ze mną, że to wredna baba.

- Uważaj - doradziła mi.

-Jeżeli chcesz powiedzieć, żebym nie oglądała się na mężczyzn, to takie ostrzeżenie już dostałam - odparłam. - Szczęśliwie się składa, że mamy okropnie dużo pracy, więc kiedy ona szykuje herbatkę dla jakiegoś pacana w białych spodniach, ja popycham naprzód robotę. - Odchrząknęłam. - Jak

się czujesz?

- Tak sobie - odparła z westchnieniem, po czym zmieniła temat. - Hm, poznałaś już Harolda? - spytała od niechcienia.

Zdziwiła mnie tym pytaniem.

- Nauczyciela, który mieszka nade mną? Nie.

Nie pociągnęła dalej tego wątku, więc ja też go nie zgłębiałam.

Kiedy wyszła, usmażyłam sobie parę kielbasek, najadłam się sałatek, a potem ruszyłam na górę w poszukiwaniu towarzystwa. Kto by się zrywał świtkiem rano, zaczynając pracę o dziesiątej. Wiedziałem, że jeśli pójdę spać za wcześnie, obudzę się razem z ptakami. U Jim i Bob odbywało się jakieś spotkanie. Zza ich drzwi dobiegał rozgwar przerywany czymś głośnym, rżącym śmiechem. Drabina Toby'ego była spuszczone, więc poruszyłam dzwonkiem zainstalowanym dla odwiedzających. Zaprosił mnie na górę.

Stał przed sztalugami, trzymając w zębach trzy pędzle, w prawej ręce cztery, a w lewej jeden i rozcierając maciupęnką kropkę farby na suchej powierzchni. Wyglądało to jak smużka oparów.

- Jesteś leworęczny - rzekłam, siadając na białym sztruksie.

- Wreszcie zauważyłaś - mruknął.

Domyślałam się, że obraz, nad którym pracuje, jest znakomitym dziełem, lecz nie mnie było o tym sądzić. Ja widziałam na nim coś, co przypominało parującą hałdę w czasie burzy, muszę jednak przyznać, że płótno przyciągało wzrok - było bardzo dramatyczne, cudownie kolorowe.

- Co to jest? - spytałam.

- Hałda w czasie burzy - odparł.

Poczułam się mile połączona! Harriet Purcell, koneserka sztuki, znowu daje popis!

- Czy hałdy parują? - spytałam.

- Ta tak. - Wykończył smużkę, zaniósł pędzle do starego emaliowanego zlewu, umył je dokładnie mydłem eukaliptusowym, osuszył, a potem wypolerował zlew mleczkiem do czyszczenia Bon Ami. - Nie masz nic do roboty? - spytał, nastawiając wodę.

- Nie mam.

- Nie możesz poczytać?

- Często czytam - odparłam zadziornie (ależ ten człowiek mnie drażni!)

- ale pracuję teraz na urazówce, więc kiedy schodzę z dyżuru, nie jestem w stanie wziąć książki do ręki. Ależ z ciebie gruboskórny drań!

Obrócił się do mnie z szerokim uśmiechem, poruszając brwiami w górę i w dół - ależ on jest atrakcyjny!

- Mówisz tak, jakbyś sporo czytała - wyjaśnił. Złożył laboratoryjny papier do filtrowania, wsunął go do laboratoryjnego szklanego lejka i nałożył łyżeczką sproszkowanej kawy. Przyglądałam się zafascynowana, bo pierwszy raz widziałam, jak Toby parzy kawę. Parawan tym razem był odsunięty na bok - pewnie miał jakąś plamkę.

Kawa była znakomita, pomyślałam jednak, że będę wierna swojemu nowemu elektrycznemu ekspresowi. Ułatwia mi życie, a ja nie jestem aż tak wybredna. Toby jest, bo taką ma duszę.

-Jakie książki czytasz? - spytał, siadając i zarzucając jedną nogę na poręcz fotela.

Opowiedziałam mu o swoich lekturach, od Przemięło z wiatrem do

Lorda Jima i Zbrodni i kary. Zrewanżował się wyznaniem, że czyta tylko popularne dzienniki i książki o malowaniu farbami olejnymi. Odkryłam, że bardzo cierpi na kompleks niższości z powodu nieukończenia szkół, był jednak tak czuły na tym punkcie, że wolałam nie podejmować żadnych prób naprawy owego stanu.

Artyści tradycyjnie noszą się jak włóczędzy, a przynajmniej ja tak to sobie wyobrażałam. Toby jednak ubiera się bardzo porządnie. Hałdą w czasie burzy zajmował się w stroju, w jakim nie wstydziliby się wystąpić Kingston Trio - moherowy sweter, na który był wyłożony pięknie wyprasowany kołnierzyk koszuli, spodnie z ostrym jak nóż kaniem, wyglansowane do połysku czarne skórzane buty. Nie skalala go najmniejsza plameczka farby. Kiedy nachylił się, żeby postawić przede mną kubek z kawą poczułam zapach jakiegoś drogiego sosnowo-ziołowego mydła. Widocznie dokręcanie śrubek w fabryce zapewniało niezłe dochody. Trochę już znam Toby'ego, więc pomyślałam, że jego nakrętki są z pewnością dokręcone idealnie, nie za mocno, nie za luźno. Kiedy mu o tym powiedziałam, zaczął się śmiać, aż łzy spłynęły mu po policzkach, ale nie wyjaśnił, co go tak rozśmieszyło.

- Poznałaś już Harolda? - spytał później.

-Jesteś dzisiaj drugą osobą, która zadaje mi to pytanie - odparłam. - Nie, ale nie poznałam też Klausa, a o niego nikt mnie nie pyta. Czemu Harold jest taki ważny?

Toby wzruszył ramionami, lecz nie kwapił się z odpowiedzią.

- Pappy, hę?

- Wygląda strasznie.

- Wiem. Jakiś drań dał się ponieść entuzjizmowi.

- Często się to zdarza?

Ignorując twarde spojrzenie, jakie w niego wlepiłam, powiedział, że nie. Jego twarz i oczy wyrażały zatroskanie, nie udrekę. Co za aktor! Jak musi go boleć takie odrzucenie, jak musi cierpieć! Chciałam go pocieszyć, ale mój język ostatnio jakoś trudno się rozwiązuje, więc milczałam.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o jego życiu w buszu, o tym, jak przenościł się razem ze swoim tatą, o farmach, gdzie niekończące się łąny trawy Mitchella rozpościerają się - jak powiedział - „niczym srebrnozłoty ocean”. Miałam to przed oczami, choć nigdy tego nie widziałam. Czemu my, Australijczycy, nie znamy własnego kraju? Dlaczego wszystkich nas tak ciągnie do Anglii? Zamieszkałam w domu pełnym niezwykłych ludzi i czuję się przy nich jak robak. Nic nie wiem! Czy uda mi się urosnąć, żeby spojrzeć im w oczy jak równy równemu?

Środa. 17 lutego 1960.

Mój Boże, w jaki ja nastrój wpadłam wczoraj, kiedy robiłam te zapiski! Wyrzekłam się siebie. Tobie tak na mnie działa. Chciałabym się z nim przespać! Co jest z Pappy, czemu nie widzi tego, co ma pod samym nosem?

Sobota. 20 lutego 1960.

Wreszcie się zdecydowałam. Podjęłam rodzinę kolacją w swoim nowym mieszkaniu. Merle też zaprosiłam, ale nie przyszła. Zadzwoiła do mnie w

styczniu, kiedy pracowałam jeszcze przy klatkach piersiowych. Musiałam poprosić praktykantkę, by jej powiedziała, że nie mogę podejść, że pracownikom nie wolno przyjmować prywatnych telefonów. Najwyraźniej Merle wzięła to nazbyt do siebie i poczuła się odrażona, bo od tamtej pory, ilekroć dzwonię do niej do domu, matka mówi, że jej nie ma. Rzecz w tym, że jest fryzjerką, a fryzjerki spędzają pół życia, wisząc na telefonie i prowadząc prywatne rozmowy. W Ryde nie było takich obostrzeń, ale w Queens jest inaczej - inna instytucja, inna polityka. No cóż...

Chciałam zaprosić na kolację również panią Delvecchio Schwartz razem z Flo, ale ta dama uśmiechnęła się tylko i zapowiedziała, że wpadnie później się przywitać.

Wieczór nie należał do najbardziej udanych, choć na pozór poszło gładko. Musieliśmy się ścieśnić przy stole.

Dodatkowe krzesła udało mi się ściągnąć z mieszkania na parterze od frontu, znów pustego. Ostatnio wynajmowały je trzy osoby - dwie kobiety i mężczyzna - utrzymując, że są rodzeństwem. Uch, przy ładniejszej z „sióstr” Chris Hamilton wyglądałaby jak Ava Gardner, a obie lokatorki pachniały jakimiś zwietrzałymi, okropnie nędznymi perfumami, które nakładały się na ich osobisty odór. „Brat” roztaczał wyłącznie osobisty odór. Interes świetnie się kręcił aż do momentu, kiedy pani Delvecchio Schwartz zadzwoniła do obyczajówki i pod dom zajechała policyjna furgonetka. W porcie stoi amerykański lotniskowiec i w czwartek wieczorem, kiedy otworzyłam drzwi wejściowe, zobaczyłam tłum marynarzy - byli wszędzie, siedzieli na schodach, opierali się o bazgroły Flo w holu, wepchnęli się nawet do korytarzyka Pappy i gromadnie

nawiedzali toaletę na górze, która zaczęła stękać i bulgotać od zbyt częstego spuszczenia wody. Pani Delvecchio Schwartz nie była zachwycona. „Brata” i „siostry” odstawiono do paki furgonetką, a marynarze pierzchli na widok chłopców w granatowych mundurach pod wodzą Normy i jego sierżanta, rosnącego i krzepkiego jak dąb Merva. Niezastąpieni Norm i Merv, gwiazdy obyczajówki w Kings Cross!

Bolało mnie, że nie odważyłam się opowiedzieć tej historii swojej rodzinie.

Ponieważ do tej pory nie poznałam Klause - a co dopiero mówić o rozpoczęciu nauki gotowania! - posunęłam się do oszustwa i sprowadziłam wszystkie pyszności z moich ulubionych delikatesów. Ale rodzince nic nie smakowało, ani sałatka z makaronem, ani gołąbki w liściach winogronowych, ani szynka. Na deser kupiłam boski tort z likierem pomarańczowym, składający się z cieniutkich warstw ciasta poprzedzielanych grubymi warstwami aromatycznego maślanego kremu. Jedli go od niechcenia. No cóż... Zapewne kiedy w środku nocy burczy im w brzuchu, śnią o steku z frytkami, puddingu z bakaliami albo lodach z polewą czekoladową.

Chodzili po mieszkaniu jak koty, które postanowiły, że nowe miejsce absolutnie im się nie podoba. Braciszki rozgarnęli paciorkową zasłonę, zaglądając nieśmiało do mojej sypialni, a mama i tata zupełnie ją zignorowali. Babcię absorbowwała konieczność chodzenia na siusiu co pół godziny. Biedna mama musiała wyprowadzać ją z domu i iść razem z nią do pralni, ponieważ mój sedes w niebieskie ptaszki jest tak wysoki, że babcia sama się na niego nie wgramoli. Przeprosiłam za stan toalety i

łazienki, wyjaśniając, że kiedy będę miała wolny czas, pokryję wszystko emalią rowerową i zrobi się elegancko. Trajkotałam gorączkowo o kolorach kobaltowym i białym i o czerwonej wannie. Tak w ogóle ciężar prowadzenia rozmowy spadł głównie na mnie.

Spytałam, czy ktoś widział Merle. Jest przekonana, jak wyjaśniła mi mama, że po przeprowadzce nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Nie chciała uwierzyć, że personelowi Queens nie wolno przyjmować prywatnych telefonów. Mama przemawiała tonem, jaki przybierają matki, kiedy spodziewają się sprawić swoim dzieciom gorzkie rozczarowanie, ale ja tylko wzruszyłam ramionami. Żegnaj, Merle.

Więcej do powiedzenia mieli o Davidzie, chociaż ich nie odwiedzał - nie odważył się przyjść, jak się domyślałam, dopóki nie zejdzie mu to nabite przeze mnie siniaczysko.

- Ma nową dziewczynę - rzuciła lekko mama.

- Mam nadzieję, że jest katoliczką - odparłam podobnie lekkim tonem.

- Owszem. I ma całe siedemnaście lat.

- Dobrana para - rzekłam z westchnieniem ulgi. Koniec z Davidem Murchisonem! Znalazł sobie nową żeńską glinę do urobienia.

Kiedy sprzątnęłam ledwie tknięty tort i zaparzyłam herbatę, zjawiała się pani Delvecchio Schwartz razem z Flo. O Boże! Rodzinka zupełnie nie wiedziała, co o nich myśleć! Jedna w ogóle się nie odzywała, druga robiła błędy gramatyczne; dobrze, że ich sukienki, choć nieuprasowane, były czyste. Flo, jak zawsze na bosaka, miała na sobie ten sam co zwykle bezrękawnik w kolorze tabaki, a jej matka wystroiła się w pomarańczowe kwiaty na jasno fioletowym tle.

Mój wysoki, wysportowany tata wyraźnie spodobał się gospodyni, która zrobiła do niego słodkie oczy, a potem przysiadła się i skupiła na sobie całą jego uwagę, co zirytowało mamę. Gwoli usprawiedliwienia dodam, że pani Delvecchio Schwartz uczepiła się wątku panien Harriet w rodzinie Purcellów i wypytywała, czemu ojciec nadał budzące lęk imię swojej jedynej córce. Tata, zwykle odporny na kobiece wdzięki, aż poróżnowiał z zadowolenia, że ktoś poświęca mu tyle uwagi. Można powiedzieć, że zaczął flirtować! Zbliża się do osiemdziesiątki, ale nie wygląda na więcej niż sześćdziesiąt pięć. Szczerze mówiąc, patrząc na tych dwoje, pomyślałam, że do siebie pasują. Kiedy pani Delvecchio Schwartz wstała, mama pałała wściekłością, a biedna babcia, zezując i krzyżując nogi, też pałała, ale chęcią udania się za potrzebą. Dopiero kiedy gospodyni wyszła, mama obsłużyła babcię. Pierwszy raz w życiu widziałam mamę zazdrosną.

- Patrząc na tego dzieciaka, dostałem dreszczy - rzekł Gavin. - Wygląda tak, jakby Bóg chciał opóźnić ją w rozwoju, a potem zapomniał o tym zamiarze i obdarzył ją mózgiem.

Zjeżyłam się jak wcześniej mama. Zgromiłam go spojrzeniem. Ślepy palant!

- Flo jest wyjątkowa! - rzuciłam.

- Wygląda mizernie, jakby była niedożywiona - wypowiedziała swój osąd babcia, wróciwszy z mamą z toalety. - A jej matka jaka zwalista! Bardzo pospolita kobieta.

To najbardziej potępiające określenie, jakiego w stosunku do innych osób używa babcia. Mama przytaknęła z zapalem.

O Boże! Wyprowadziłam ich o dziesiątej i pomachałam na pożegnanie,

gdy tata odjeżdżał nowym fordem customline.

Miałam nadzieję, że już tu nie wrócą. Mogłam się tylko domyślać, co mówili w drodze powrotnej o mnie, o moim mieszkaniu, o Domu, o Flo i o pani Delvecchio Schwartz. Miałam podstawy przypuszczać, że zdanie taty na temat mojej gospodyni różni się nieco od zdania mamy. Założę się, że stara prukwa umyślnie napsociła, żeby rodzina Purcellów nie robiła sobie przystanku pod Domem za każdym razem, kiedy wybierze się gdzieś samochodem.

Chce mi się płakać, bo tak bardzo chciałam się wygadać, podzielić swoimi opiniami, wrażeniami i wnioskami na temat wszystkiego, co mi się przydarzyło w ciągu ostatnich czterech tygodni. Kiedy ujrzałam, z jakimi minami patrzą na gryzmoły Flo w holu, zrozumiałam, że nie mogę wyrazić żadnej z tych opinii. Dlaczego tak się dzieje? Przecież nadal kocham ich nad życie? Kocham. Kocham! Ale to jest tak jak wtedy, gdy jedzie się do Quay, żeby pożegnać przyjaciela udającego się do Anglii na pokładzie starego parowca „Himalaya”. Stoisz z zadartą głową i widzisz setki twarzy nad barierką, ściskasz w rękę kolorową chorągiewkę, holowniki zaczynają ciągnąć statek, który odkleja się od nabrzeża, i wtedy wszystkie chorągiewki, z twoją włącznie, łamią się i wpadają do brudnej wody, by dołączyć do pływających w niej śmieci.

Pojadę kiedyś do Bronte w odwiedziny. Wiem, wcześniej napisałam, że nie mogłabym wrócić do Bronte, ale miałam na myśli powrót duchowy. Moje ciało jednak będzie musiało spełnić obowiązek.

Niedziela. 28 lutego 1960.

Jutro mogłabym się oświadczyć komuś, kto mi się podoba, ponieważ jest rok przestępny i luty ma dwadzieścia dziewięć dni. Mowy nie ma.

Dzisiaj poznałam Klausa, który nie pojechał na weekend do Bowral. Klaus jest niewysoki, puciołowaty, ma duże, okrągłe, jasnoniebieskie oczy i pięćdziesiąt kilka lat. Powiedział mi, że w czasie wojny służył w armii niemieckiej. Był urzędnikiem w magazynie pod Bremą. Dlatego został internowany przez Brytyjczyków w obozie w Danii. Zaproponowali mu do wyboru Australię, Kanadę lub Szkocję. Wybrał Australię, bo była daleko. Przez dwa lata pracował jako urzędnik państwowy, a potem powrócił do wyuczonego zawodu, do złotnictwa. Kiedy spytałam, czy nauczy mnie gotować, rozpromienił się i zapewnił, że uczyni to z wielką ochotą. Świetnie mówi po angielsku, wymową przypominając Amerykanina, i nie ma wytatuowanych pod pachami liter SS. Wiem, bo widziałam, jak wiesział pranie ubrany w podkoszulek bez rękawków. Więc wypchaj się, Davidzie Murchisonie, swoimi małodusznymi uprzedzeniami do Nowych Australijczyków. Umówiłam się z Klausem na środę o dziewiątej wieczorem. Zapewnił mnie, że nie jest to pora zbyt późna na europejską kolację. Ja zaś byłam przekonana, że na tę godzinę wrócę do domu, nawet jeśli na urazówce byłby koszmarny młyn.

W piątek wieczorem zaszłam do pubu Piccadilly i w sklepiku z alkoholem kupiłam kwartę trzygwiazdkowej od Joe Dwyera, z którym nawiązuję coraz bliższą znajomość, odkąd brandy straciła w moich ustach obrzydliwy posmak. Dziś popołudniu wbiegłam po schodach do pani gospodyni, która z wielkim entuzjazmem powitała i butlę, i mnie. Ona mnie

fascynuje, chciałabym dowiedzieć się o niej o wiele, wiele więcej.

Flo zgarnęła dziesiątki kredek i zajęła się rysowaniem bezsensownych esów-floresów na świeżo pomalowanym fragmencie ściany w pokoju, a my usiadłyśmy na balkonie, ze szklaneczkami z reklamą pasty serowej Krafta, talerzem wędzonego węgorza, bochenkiem chleba i funtem masła. Oddychałyśmy parnym słonym powietrzem i miałyśmy tyle czasu, ile dusza zapagnie, a przynajmniej tak się wydawało. Nie dała mi odczuć, że czeka na innego gościa, a już w ogóle nie było mowy o tym, żeby mnie popędzała czy chciała wyprosić. Zauważyłam jednak, że przez cały czas ma oko na Flo, że siedzi tak, by widzieć, jak Flo rysuje kredkami, że kiwa głową i pomrukuje, ilekroć mała obracała główkę i spoglądała pytająco.

Rozgadałam się. Narzekałam na to, że wciąż jestem dziewicą, na Davida, na rozczarowujący mokry pocałunek Norma. Słuchała tak, jakby to, co mówię, było ważne. Zapewniła, że przerwanie mojej błony dziewiczej nastąpi w niedługim czasie, ponieważ zapowiadają to karty.

- Jeszcze jeden król denarów, ktoś związany z medycyną - powiedziała, robiąc sobie kanapkę z masłem i wędzonym węgorem. - Leży obok twojej królowej mieczy.

- Królowej mieczy?

- Tak, królowej mieczy. W tym Domu wszyscy, z wyjątkiem Bob, jesteśmy królowymi mieczy, księżniczko. Jesteśmy silni! - Mówiła dalej o sąsiadującym ze mną królu denarów. - Statek przepływający nocną porą. Bardzo dobrze, księżniczko. Nie zakochasz się w nim. To katorga robić to pierwszy raz z kimś, w kim jesteś zakochana albo tak ci się wydaje. - Na jej twarzy odmalowało się złośliwe rozbawienie i zadowolenie z siebie. -

Większość mężczyzn nie jest w tym wcale dobra - ciągnęła swobodnie. - O, między sobą się przechwalają, i to jak, ale wierz mi, to tylko czece przechwałki. Widzisz, mężczyźni różnią się od nas nie tylko tym, że mają dzyndzle, he-he-he. Oni muszą szczytować, muszą wystrzelić z armaty, bo inaczej wariują. I ta potrzeba tak ich chłoszcze, że gnają jak lemingi na skraj przepaści. - Westchnęła. - Tak, jak lemingi na skraj przepaści! Ale my nie musimy szczytować, dla nas to jest... bo ja wiem... jakby mniej ważne. - Sapnęła ze złością. - Nie, nie ważne, to nie to słowo.

- Dla nas to nie przymus? - podsunęłam.

- Otóż to, księżniczko! To nie jest przymus. Dlatego możesz się rozczarować, jeżeli zechcesz przeżyć swój pierwszy raz z kimś, kto w twoim mniemaniu sra karmelowym budyniem. Wybierz doświadczonego faceta, który lubi sprawiać przyjemność kobiecie tak samo, jak lubi spuścić z krzyża. I w kartach on czeka na ciebie, daję słowo.

W końcu zdobyłam się na szczerłość i opowiedziałam o przerażeniu, jakie ogarnęło moją rodzinę - nie bacząc, że ona sama walnie się do niego przyczyniła - a także o odpływającym statku i połamanych chorągiewkach.

W trakcie rozmowy bawiła się kartami, pieszcząc je jak swoje przyjaciółki. Czasami odwracała którąś rysunkiem do góry, a potem wsuwała z powrotem do talii, trochę jakby nieobecna duchem. Potem spytała, czy stałam na statku, czy na brzegu, a ja odparłam, że na brzegu, na pewno na brzegu.

- Dobrze, dobrze - rzekła zadowolona. - To nie ty straciłaś kontakt z ziemią, księżniczko. I nie stracisz. Wrastasz w ziemię jak wiekowy eukaliptus. Nawet siekiera nie da ci rady. Nigdy nie będziesz płynąć z

prądem tak jak nasza kochana Pappy. Ona jest jak wodorost zdany na łaskę fal. A ty, Harriet Purcell, przynosisz do naszego Domu światło. Od dawna na ciebie czekałam.

Łyknęła resztkę brandy ze szklaneczki i naląła sobie drugą. Potem starannie potasowała karty i zaczęła je wykładać.

- Nadal tam jestem? - spytałam samolubnie.

- We własnej osobie i piękna jak obrazek, księżniczko.

- A czy się kiedyś zakocham?

-Tak, tak, ale jeszcze nie teraz, więc się wstrzymaj. Mało to mężczyzn chodzi po świecie? O, tu jest ten drugi medyk! Widzisz? To ten, król denarów, który za każdym razem wypada mi dla ciebie. He-he-he.

Czekaj, a doczekasz się odpowiedzi na wszystkie pytania. Zastanawiałam się, do czego zmierza z tym królem denarów, no i dowiedziałam się.

- Naprawdę elegancki, wyraża się jeszcze wykwintniej od Harolda. Ma po nazwisku długi ciąg liter. Nie pierwszej młodości.

Moje serce wykonało w piersi dziwny skok. Pomyślałam o panu Duncanie Forsycie, ortopedzie. Nie, to niemożliwe. Starszy konsultant i skromna techniczka z rentgena? Nigdy w życiu. Ale słuchałam z taką uwagą, z jaką Chris Hamilton słuchałaby pastora podającego słowa przysięgi małżeńskiej.

- Jest przy nim żona i dwóch nastoletnich synów. Rodzina bardzo majątna, on nawet nie musi pracować, ale orze jak wół, bo praca nadaje sens jego życiu. Żona jest zimna jak pierś macochy, więc on nie dostaje w domu nic oprócz gorącego posiłku. Nie zabawia się na boku, lecz złapał się

na twój haczyk.

To nie było prawdą, niezależnie od tego, co mówiły karty. Widziałam pana Forsythe'a tylko raz. Pani Delvecchio Schwartz posłała mi szelmowski uśmiech i dalej wykladała karty.

- To już wszystko o tobie. A teraz przyjrzyjmy się reszcie. A! Widzę mężczyznę dla Pappy! Ten też jest nie pierwszej młodości i ma tyle literek po nazwisku, ile ten twój. Chryste! A to co? O, cholera!

Urwała, ściągając brwi. Przyjrzała się kartom, wyciągnęła jeszcze jedną, chrząknęła i z lekkim smutkiem potrząsnęła głową. Nie kwapiła się z wyjaśnieniami.

- Tobi wpadł w sieć, której sam na siebie nie zarzucił - powiedziała, wracając do rozłożonych kart. - Ale za jakiś czas się z niej wypłacze. To dobry chłopak. - Kiedy zobaczyła następną kartę, wydała głuchy pomruk. - Otóż i ja, królowa mieczy! Bardzo dobrze uplasowana. Tak, tak, ciągle mi to wychodzi.

Zaczęłam się trochę nudzić, bo nie objaśniała mi znaczenia każdej karty z osobna ani jej wymowy w kontekście całości. Ale cztery czy pięć kart po królowej mieczy wyłożyła kartę przedstawiającą leżącą postać z dziesięcioma mieczami wbitymi w plecy - nie sposób było poznać jej płci. Ledwie ją zobaczyła, podskoczyła, zatrzęsła się i pociągnęła łyk brandy.

- Cholera! - syknęła. - Znów ta pieprzona dziesiątka mieczy, tuż przy Haroldzie.

Nie docierało do mnie, co mówi, bo omdlewałam z zachwytu - użyła słowa na „p” bez mrugnięcia okiem! Może pewnego dnia zbiorę się na odwagę i zrobię to samo. Ponieważ trudno mi było komentować jej

słownictwo, spytałam, co znaczy dziesiątka mieczy.

- To karta śmierci, jeżeli jesteś królową mieczy, księżniczko. A jeżeli jesteś królową innego koloru, buław, denarów czy kielichów, wówczas oznacza raczej klęskę, ruinę niż śmierć. A obok jest Harold. Zawsze obok jest Harold.

Zdrętwiała mi skóra wokół ust, popatrzyłam na nią przerażona.

- Widzi pani własną śmierć? - spytałam. Wybuchła serdecznym śmiechem.

- Nie, nie, księżniczko! Samemu nie można zobaczyć własnej śmierci! Na temat przyszłości wróżącego karty milczą jak mumie w grobowcu. Nie wiem, co oznacza Harold w połączeniu z dziesiątką mieczy, to mnie zbija z pantafelku. Ciągle wykladam te dwie karty razem, i to od Nowego Roku.

Harold leżał do góry nogami. „Król buław odwrócony”, jak wyraziła się pani Delvecchio Schwartz. Zrozumiałam, że jeżeli wyciągnie się kartę do góry nogami, nabiera ona wówczas znaczeń przeciwstawnych w stosunku do tych, które ma przy zwykłym ułożeniu. Ale czemu Harold był taki ważny? Bałam się spytać.

Flo upuściła kredki i przybiegła do nas na balkon. Mijając mnie, musnęła atlasowym policzkiem moją rękę, lecz zamiast wdrapać się matce na kolana i domagać się piersi, chwyciła szklanekę z brandy i pociągnęła z niej. Zesztywniałam przerażona.

-Och, niech się napije - rzekła pani Delvecchio Schwartz, czytając we mnie jak w książce. - Jest niedziela, wie, co ją czeka.

- Ależ ona może zostać alkoholiczką! - pisnęłam. Odpowiedziało mi głośne prychnięcie.

- Kto, Flo? Nie! - odparła z cudownym brakiem zatroskania. - Nic o tym nie ma ani w jej kartach, ani w horoskopie, księżniczko. Brandy to nie tylko gorzała, to dobre dla duszy. - Łypnęła na mnie chytrze. - Mężczyźni stawia zaganiacza. Jeżeli pije co innego, zwłaszcza piwo, to mu zwisa jak mokra skarpetka na sznurze.

Zaraz potem nastąpiła tak szybka akcja, że tylko mignęło mi przed oczami. Flo wzdrygnęła się, podskoczyła, rzuciła na wprost opróżnioną szklanekę, rozbryzgując brandy, a potem czmychnęła do pokoju, jakby goniło ją sto diabłów, i dała nura pod kanapę.

- O, cholera, idzie Harold.

Pani Delvecchio Schwartz westchnęła i wstała, żeby podnieść szklanekę, która nie stłukła się przy upadku. Opuściła balkon i przeszła do salonu. Ja za nią, wstrząśnięta szaleńczą ucieczką Flo.

Wszedł lekko, na palcach, niczym pokurczony stary tancerz. Odmierzał każdy krok, jakby powtarzając powyklubany na papierze schemat ruchów. Był wyblakłym, wyschniętym drobnym mężczyzną pod sześćdziesiątkę i spozierał na nas znad półkolistych okularów tkwiących na cienkim, ostrym nosie. Biła od niego wrogość. Ale to nie pani Delvecchio Schwartz, lecz ja byłam obiektem, na którym z całą intensywnością skupiło się to straszliwe spojrzenie. Nie bardzo potrafię opisać coś, z czym do tej pory się nie zetknęłam, nawet u obłąkanego pacjenta z morderczymi skłonnościami. Wpatrywał się we mnie z taką jadowitą nienawiścią! Wtem przypomniało mi się, że pani Delvecchio Schwartz powiedziała, że ja też jestem królową mieczy. Przyszło mi na myśl, że może zobaczyła w kartach moją śmierć. Albo śmierć Pappy. Albo śmierć Jim.

Pani Delvecchio Schwartz zdawała się nie dostrzegać, że coś jest nie w porządku, i tubalnym głosem przedstawiła gościa:

- To jest Harold Warner, Harriet. Mój konkubent. Bekliwym głósikiem powiedziałam coś grzecznego,

na co zimno skinął głową, po czym odwrócił ją, jakby nie mógł patrzeć na mnie ani chwili dłużej. Gdybym nie była słusznego wzrostu, metr siedemdziesiąt pięć, daję słowo, że wzorem Flo dałabym nura pod kanapę. Biedactwo! Harold najwyraźniej działał na nią tak jak na mnie.

„Mój konkubent”. A więc dlatego wszyscy się dopytywali, czy poznałam już Harolda!

Wyszli oboje z salonu, on przodem, ona za nim, jak pies pasterski zaganiający zabłąkane jagnię. Zapewne udali się do jej sypialni. A może do jego mieszkania, usytuowanego bezpośrednio nad moim dużym pokojem. Kiedy uświadomiłam sobie, że nie wrócę, położyłam się na podłodze, uniosłam postrzępiony brzeg kapy i zajrzałam w wielkie oczy błyszczące w mroku jak wtopione w asfalt szklane kulki. Nie od razu udało mi się wywabić Flo spod kanapy. W końcu zaczęła sunąć po linoleum jak krab, a kiedy dotarła do mnie, uwiesiła mi się na szyi. Posadziłam ją sobie na biodrze.

- No, aniołku - powiedziałam, przyglądając rozczochrane włoski - może pójdziemy do mnie i zrobimy porządek w twoich kredkach?

Zebrałyśmy wszystkie kredki z podłogi - musiało ich być przeszło sto i nie były to tanie kredki dla dzieci, lecz niemieckie kredki dla artystów, we wszystkich odcieniach. Za pieniądze, które matka na nie wydała, Flo mogłaby przez tydzień wkładać codziennie śliczną nową sukienkę.

Tego popołudnia dużo dowiedziałam się o Flo. Nie mówiła, przynajmniej w mojej obecności, ale miała czysty, żywy, inteligentny umysł. Pogięłyśmy karton w harmonijkę, tworząc tace z rowkami, a potem poprosiłam ją, żeby wybrała wszystkie zielone kredki. Wykonała moje polecenie. Potem kazałam jej ułożyć kredki na tekturowej tacy według odcieni i widziałam, jak zastanawia się, czy zielonożółta kredka należy do zielonych. Posegregowałyśmy kredki czerwone, różowe, żółte, niebieskie, brązowe, szare, fioletowe i pomarańczowe, a Flo ani razu się nie pomyliła. Łatwo było poznać, że świetnie się przy tym bawi, bo po chwili, nie otwierając buzi, zaczęła nucić ładną melodię. Ani razu nie próbowała rysować na moich ścianach, choć nie miałam pewności, czy tego nie zrobi. Usiadłyśmy przy stole, zjadłyśmy trochę szynki, sałatkę z ziemniaków i sałatkę z kapusty, popiłyśmy lemoniadą, a potem położyłyśmy się na moim łóżku, żeby chwilę podrzemać. Kiedy tylko się poruszyłam, przytrzymała się mojej nogi i przesuwała się razem ze mną. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak dziś po południu, spędzając czas razem z Flo, ucząc się jej świata. Podczas gdy matka, to zdumiewające kłębowisko sprzeczności, baraszkowała na górze z bardzo chorym człowiekiem. Co robiła Flo w inne niedzielne popołudnia? Schadzka z Haroldem odbywała się regularnie co tydzień, jak mogłam się domyślić ze słów pani Delvecchio Schwartz. Dziesiątka mieczy, królowa tego samego koloru, śmierć.

Odprowadziłam Flo, kiedy usłyszałam, jak gospodyni stentorowym głosem woła swojego aniołka. Dziecko podreptało z łapką w mojej ręce i powitało matkę bez śladu żalu, że porzuciła je na całe dwie godziny. Wycofałam się z mętlikiem w głowie i z bólem serca. Kiedy zamykałam

drzwi do ich mieszkania, moje spojrzenie pobiegło wzdłuż nieoświetlonego korytarza prowadzącego na tyły domu. Poczułam dreszcz okropnego strachu. W ciemnościach, niczym nie zdradzając swojej obecności, stał Harold. Wydawało mi się, że udało mu się wtopić w ścianę, bązgroły weszły na dolną połowę ciała, a górna połowa przybrała brudny kremowy odcień. Nasze spojrzenia spotkały się. Zaschło mi w ustach. Ta nienawiść była naprawdę wyczuwalna!

Zbiegłam czym prędzej po schodach, choć dawał znak życia tylko oczami.

A teraz, mimo że czas najwyższy, bym znalazła się w łóżku, z gęsią skórką siedzę przy stole. Co ja zrobiłam temu okropnemu człowieczkowi, żeby zasłużyć na taką nienawiść? I kim jest wychodząca w kartach królowa mieczy? Panią Delvecchio Schwartz, Pappy, Jim czy mną?

Środa. 2 marca 1960.

Prowadząc pamiętnik w zwykłym zeszycie, nie napotykaemy na szczęście pustych stron czyniących niemy wyrzut, że nie dokonano się wiernie jakiegoś wpisu. Ja po prostu zapisuję datę i zaczynam kolejny wpis bezpośrednio po poprzednim, nawet jeśli w czasie rzeczywistym dzieli je odstęp dwóch tygodni. Ciągnę już drugi brulion. Chociaż moje drzwi zamykają się na zasuwkę, potrafię je otworzyć nawet wtedy, kiedy zapomnę klucza, więc każdy, komu nie brak odrobiny zaradności, może zrobić to samo. Dlatego chowam ukończony brulion (bruliony) w głębi szafki, gdzie trzymam kawał sera Tilsiter. Mam teorię, że nikt, nawet

Harold, nie zbierze w sobie dość siły, żeby wetknąć głowę do tej szafki i czeokolwiek tam szukać. Smród jest niewyobrażalny! Udaje mi się ograniczyć woń do wnętrza szafki, bo obkleiłam szpary wałeczkami plasteliny, a na drzwiach, pod symbolem promieniowania radioaktywnego i czaszki z piszczelami, umieściłam słowa: „Strzeż się sera!” Osiągam w ten sposób dwa cele. Po pierwsze, usuwanie plasteliny jest pracochłonne, więc nie jem tilsitera częściej niż raz na tydzień - kiedy zacznę go jeść, nie mogę przestać. Po drugie, mój zapisany brulion (bruliony) będzie bezpieczny. Upewniam się co do tego, umieszczając w plastelinie włos - podpatrzyłam taki podstęp w filmie kryminalnym. Z bieżącym brulionem nie rozstaję się. Noszę go ze sobą wszędzie, i do Queens, i do sklepu. Ostrożności nigdy za wiele, gdy w grę wchodzi coś, co zawiera sekrety.

Dzisiaj w pracy wydarzyło się coś dziwnego. Na urazówce było wielkie urwanie głowy - na pasie startowym Mascot rozbił się dwudziestoosobowy samolot, więc połowa pasażerów trafiła do szpitala Saint George's, a połowa do nas, żywi i martwi. Nie cierpię oparzeń. Inni też. Sześciu pasażerów i dwóch pilotów przez urazówkę przetransportowano prosto do kostnicy, ale dwóch pasażerów jeszcze żyło, kiedy wychodziłam. Och, ten fetor! Jak od przypalonej pieczeni. Nie sposób się go pozbyć, przez co inni pacjenci urazówki są niespokojni i zaleknieni, pielęgniarki - co rzadko się zdarza - ogarnia strach, siostry zaś dwoją się i troją, a przecież nie mogą być w kilku miejscach naraz.

Później Chris poszła na zebranie zwołane przez siostrę Agatę, praktykantka porządkowała ciemnię, podczas gdy ja naprawiałam worki z piaskiem - dla odmiany nie miałyśmy wiele do roboty. I wtedy wszedł pan

Duncan Forsythe! Siedziałam przy naszym jedynym biurku w poczekalni dla pacjentów, machając igiełką, i przez chwilę nie podnosiłam głowy. A kiedy wreszcie spojrzałam, usta same otworzyły mi się ze zdziwienia. Jak on się do mnie uśmiechnął! Naprawdę jest przystojny. Udało mi się wygiąć usta w uprzejmym grymasie i wstać z rękoma założonymi do tyłu - posłuszna służka w obecności boga medycyny. Broda i brzuch wciągnięte, stopy na baczność. Po paru latach szpitalnej musztry taka postawa przychodzi naturalnie.

Chciał tylko skorzystać z telefonu - na urazówce, jak wyjaśnił, telefony się urywały z powodu katastrofy. Wskazałam nasz aparat i stałam cały czas na baczność, gdy kazał operatorce wezwać podległy mu zespół do Chichester Cztery. Spodziewałam się, że wyjdzie, odłożywszy słuchawkę, a on nie, został. Zamiast ruszyć do wyjścia, przysiadł na rogu biurka i huśtając nogą, gapił się na mnie. Potem spytał, jak się nazywam, a kiedy mu powiedziałam, powtórzył moje imię i nazwisko.

- Harriet Purcell. Ładnie brzmi, staroświecko.

- Tak, panie doktorze - odparłam, sztywna, jakbym kij połknęła.

Zielone oczy są tajemnicze. Autorzy romantycznych powieści porównują je do szmaragdów, ale z mojego doświadczenia wynika, że bardziej przypominają bagienną zieleń i są zmienne. Ja mam oczy czarne, aż trudno odróżnić źrenicę od tęczy, więc pewnie dlatego podobają mi się jego oczy - tak różne od moich, a niebędące ich przeciwieństwem. Wciąż siedział i patrzył na mnie, uśmiechając się w milczeniu. Trwało to tak długo, że poczułam ciepło napływające do twarzy, a wtedy zsunął się z biurka i podszedł do drzwi, poruszając się z cudownym roztargnieniem

charakterystycznym dla chirurgów, którzy przemieszczają się, jakby pchani jakąś zewnętrzną siłą.

- Do widzenia, Harriet - rzucił na odchodnym.

Ach! Ma pewnie prawie metr dziewięćdziesiąt, bo muszę zadzierać głowę, kiedy na niego patrzę. Cudowny mężczyzna! Ale nie, pani Delvecchio Schwartz nie złapie mnie w pułapkę swoich przeklętych kart!

A potem, wieczorem, zaliczyłam pierwszą lekcję gotowania. Kiedy po ósmej zapukałam do drzwi Klause, miał już przygotowane wszystkie składniki. Przyszłam trochę wcześniej, ale wiedziałam, że nie będzie mu to przeszkadzało, bo słyszałam skrzypce. Gra na nich jak wirtuoz, klasyczne kawałki pełne tęsknoty. Nie znam się na muzyce klasycznej, ale to, co gra Klaus, jest na tyle zachęcające, że zamierzam kupić płyty, które mi poleci. Billy Vaughan już dla mnie nie istnieje.

Zrobiliśmy boeuf Stroganow ze Spatzle (poprosiłam Klause, żeby mi to przeliterował - i bardzo dobrze, bo nie ma tego słowa w moim oksfordzkim słowniku). Wydawało mi się, że umarłam i poszłam do nieba. Klaus pokazał mi, jak trzeba cienko pokroić na wpół zmrożony filec wołowy i jak kroi się na plasterki grzyby i cebulę. Zrobił mi też wykład o ostrzeniu noży na ostrzałce ze stalowego pręta. Spatzle mają ten sam skład co kluski, które robi moja babcia, tylko Klaus przeciska ciasto przez dziurki w durszlaku do wrzącej osolonej wody i ścina je tak, żeby wyszedł krótki, gruby makaron.

- Podsmaż mięso lekko i szybko, przełóż do garnka, potem podsmaż cebulę, aż się ozłoci, dodaj do garnka, podsmaż grzyby, aż zmiękną, dodaj do garnka. Podgrzej patelnię, aż sos zbrązowieje, i dodaj odrobinę koniaku.

Koniak wlany na patelnię (Klaus skrzywił się szyderczo na

trzygwiazdkową brandy) zasyczał, zbulgotał i wyparował.

- Wlej na patelnię trochę świeżej śmietanki, zanim zaczniesz dodawać kwaśnej, Harriet. Jeżeli tego nie zrobisz, sos się zwarzy, zbliżając się do temperatury wrzenia. Ja lubię, kiedy jedzenie jest naprawdę gorące, dlatego używam najpierw świeżej śmietanki, żeby nie dopuścić do zwarzenia się kwaśnej. Dodaj kwaśną śmietanę, a potem trzepaczką do sosów ubijaj w trakcie ogrzewania, w ten sposób pozbędziesz się grudek. Na koniec wlej sos do garnka, zamieszaj i voila\ Boeuf Stroganow.

Przygotowanie całego posiłku trwało niespełna pół godziny, a w życiu nie jadłam czegoś równie dobrego.

- Nie dodawaj przecieru pomidorowego ani pikli -upomniał mnie surowo, jakbym zamierzała wybiec i natychmiast popełnić tę kulinarną zbrodnię. - Mój sposób przyrządzania boeuf Stroganow jest właściwy i jedyny. - Po chwili zastanowienia uściślił: - Z wyjątkiem koniaku, ale dolanie koniaku jest wybaczone. Dbaj o prostotę aromatów i pilnuj, żeby dodatki do sosu nie stłumiły smaku głównych składników. Jeżeli potrawa składa się z filetu wołowego, grzybów i cebuli, po co komu jeszcze inne smaki?

Koniec lekcji. W następnym tygodniu zrobimy kurczaka w papryce - słodkiej węgierskiej papryce! Trochę się posprzeczałyśmy o to, kto zapłaci za składniki - Klaus upierał się, że on, a ja nie chciałam się zgodzić. Stało się na tym, że podzielimy się kosztami po połowie.

W sobotę poszukam noży, ostrzałki i trzepaczki. Nie mogę się doczekać, kiedy powiem mamie, jak się robi sos bez grudek! Trzeba go rozmieszać drucianą trzepaczką.

Piątek. 11 marca 1960.

Nie wierzę kartom!

Dzisiaj był dzień urazów głowy. Nie wiem, czemu tak się dzieje, ale tak po prostu jest. Jednego dnia przeważają u nas pacjenci z takim, a nie innym rodzajem urazu. Dzisiaj królowały głowy, głowy, głowy.

Chris była jeszcze w pracy, kiedy Demetrios, Nowy Australijczyk pracujący jako sanitariusz na urazówce, wwiózł przez drzwi na szpitalnych noszach entego pacjenta z obrażeniami głowy. Demetrios jest Grekiem. Zorganizował tłumaczy dla obsłużenia wszystkich narodowości, z jakimi się stykamy w dzisiejszych czasach. Bardzo lubię Nowych Australijczyków, którzy napływają ze wszystkich stron świata, i myślę, że dobrze się przysługują krajowi - mniej steków z frytkami, więcej boeuf Stroganow. Ale moja rodzina ich nie cierpi, podobnie jak panna Christine Hamilton. Szkoda, bo Demetrios, kawaler, ogląda się za Chris. Widać uważa ją za niezłą babkę. Jest dość wysoki i całkiem przystojny, przyciąga wzrok lekko egzotyczną urodą. Powiedział mi, że pracę sanitariusza traktuje jako tymczasową. Uczęszcza do wieczorowego technikum mechanicznego, bo chce kiedyś otworzyć własny warsztat samochodowy. Jak wszyscy Nowi Australijczycy bardzo ciężko pracuje i oszczędza każdy grosz. Myślę, że właśnie dlatego większość Starych Australijczyków nie cierpi Nowych. Nowi Australijczycy uważają pracę za przywilej, nie prawo. I są szczęśliwi, że mają pełne żołądki i mogą coś odłożyć na koncie w banku.

W każdym razie Demetrios rzucił Chris tęskne spojrzenie, na które ona odpowiedziała gniewnym, po czym się oddalił, zostawiając nas z pacjentem. Ten zaś był zalany w trupa, śmierdział piwem, wiercił się, nie chciał współpracować. Kiedy się nad nim pochyliłam, żeby docisnąć mu do szyi woreczki z piaskiem, obrzygał mnie. Och, cała byłam ubrudzona wymiocinami cuchnącymi piwem! Zostawiłam przeklinającą Chris i praktykantkę, żeby starły podłogę, a sama poszłam do damskiej przebieralni. Zdjęłam uniform, buty, pończochy, pasek, stanik, majtki, wszystko. Miałam w szafce strój na zmianę, ale bez bielizny i zapasowych pantofli, więc musiałam wszystko zaprać w umywalce, wycisnąć, ile się dało, i włożyć z powrotem na siebie wilgotną bieliznę i pończochy. Nie wolno chodzić z gołymi nogami. Moje ukochane stare buty już nigdy nie będą takie jak przedtem, tragedia. Od trzech lat dogadzały moim stopom, a teraz będę musiała kupić nowe i je wydeptać - to męka, kiedy jest się cały czas na nogach. Ponieważ butów nie da się wyjąć jak ubrania, włożyłam mokrusieńkie i wróciłam do pracowni rentgena, plaskając i zostawiając za sobą mokre ślady.

Wizytująca nas siostra przełożona obejrzała mnie od stóp do głów.

- Panno Purcell, moczy pani podłogę, co stwarza duże zagrożenie dla innych - rzekła lodowato.

- Tak, siostrze. Zdaję sobie z tego sprawę, siostrze. Przepraszam, siostrze - powiedziałam i czmychnęłam za nasze drzwi. Nie należy się usprawiedliwiać ani przed siostrą przełożoną, ani przed siostrą Agatą, trzeba po prostu czym prędzej uciekać. Czyż ona jednak nie jest zdumiewająca? Widziała mnie tylko raz, a wie, kim jestem, i pamięta moje

nazwisko.

I dalej było podobnie - to jeden z tych pechowych dni.

Praktykantkę odesłałam o czwartej i odtąd mozoliłam się sama. Dopiero dobrze po ósmej zaniosiłam brudne rzeczy do zsypu i dopadłam kogoś, komu mogłam przekazać prośbę o szczególnie staranne posprzątanie naszego piętra. Po dokonaniu wpisu w księdze i przygotowaniu kaset na następny dzień byłam wolna.

Kiedy wyszłam na dwór, zobaczyłam, że zbiera się na prawdziwą marcową burzę. Mogła się rozszaleć lada moment. Miałam oczywiście parasolkę, lecz kiedy rozejrzałam się po South Dowling Street, okazało się, że wszystkie taksówki odjechały w siną dal, uciekając przed ulewą. Pozostało mi albo pójść do domu na piechotę, albo przespać się na plastikowej sofie na urazówce. Tego drugiego zapewne nie pochwaliby siostra przełożona.

Ktoś wyszedł przeznaczonymi dla pieszych drzwiami urazówki akurat w chwili, gdy wiatr zawył i potężnym podmuchem poniósł liście, papiery i puszki. Nie obejrzałam się, dopóki ten ktoś nie stanął tuż przy mnie. Zorientowałam się, że to musi być znajomy. Pan Forsythe, a jakże! Posłał mi ten swój olśniewający uśmiech i czubkiem czarnego parasola z hebanową rączką wskazał parking dla konsultantów. Rolly i bentleye już odjechały, pozostał tylko mercedes z lat trzydziestych i lśniący czarny jaguar sedan. Założyłam się w duchu ze sobą, że jeździ jaguarem.

- Zaraz zacznie się ulewa, Harriet - rzekł. - Pozwól, że odwiozę cię do domu.

Odważyłam się na wdzięczny uśmiech, a potem energicznie pokręciłam

głową.

- Dziękuję, dam sobie radę.

-To żaden kłopot, naprawdę - nalegał i parsknął triumfalnym śmiechem, gdy niebo otworzyło się i lunął deszcz. - Nie możesz, Harriet, przy takiej pogodzie czekać na autobus, a taksówki nie uświadczysz w promieniu kilku kilometrów. Pozwól, że odwiozę cię do domu.

Nie zamierzałam ustąpić. Każdy szpital jest wylegarnią plotek, a my staliśmy w bardzo publicznym miejscu, gdzie stale ktoś przechodził.

-Dziękuję, panie doktorze, ale śmierdzą wymiocinami - odparłam stanowczo. - Wolę się przejść.

Wysunęłam brodę do przodu, ale kąciki ust miałam opuszczone. Zajrzał mi w twarz, a potem wzruszył ramionami i otworzył parasol, którego rączkę otaczała srebrna opaska z wygrawerowanym napisem: „Od Geoffreya i Marka”. Pobiegł do czarnego jaguara. Zgadłaś, Harriet! Mercedes z lat trzydziestych to auto dla psychiatry albo patologa. Ortopedzi są ortodoksyjni. Kiedy czarny jaguar śmignął koło mnie, zobaczyłam za zaparowaną szybą niewyraźną twarz i uniesioną w pozdrowieniu dłoń. Nie pomachałam mu. Oczekałam jeszcze trochę, rozłożyłam parasolkę i ruszyłam w drogę. Czekał mnie mozolny prawie pięciokilometrowy marsz. Lepiej tak. O wiele lepiej.

Poniedziałek. 28 marca 1960.

Urazówka i gotowanie pochłaniają tyle energii, że długo nie pisałam w brulionie. Ale dziś wydarzyło się coś, o czym nie mogę zapomnieć, więc

może jeśli o tym napiszę, uda mi się przepędzić zmory i pograć we śnie, którego bardzo potrzebuję.

Jim wezwała mnie na spotkanie w pilnej i niecierpiącej zwłoki sprawie do mieszkania na górze, gdzie przedziwnie mieszały się style falbaniastej Bob i nieupiększonej Jim. Wiem od dawna, że harley davidson przymocowany łańcuchem do naszego płätana na Victoria Street należy do Jim, wcale mnie więc nie zdziwiło, że ściany ich mieszkania są obwieszane motocyklowymi plakatami. Obie ciągle mnie nagabują, żebym przychodziła na spotkania, które odbywają się regularnie, a ja, aż do dzisiejszego wieczoru, odmawiałam - przyznaję, zwyczajnie tchórzyłam.

Chyba po prostu nie chciałam się zadawać z grupą kobiet, które w większości noszą męskie imiona - Frankie, Billie, Joe, Robbo, Ron, Bert i tak dalej. Kocham Jim i Bob, ponieważ są częścią Domu, a także dlatego, że pani Delvecchio Schwartz powiedziała surowo, że lesbijki ciągną ciężki wózek, i to stale pod górkę (cudowne są te jej metafory, chociaż nigdy nie wiem, kiedy diabliska żartuje). Kiedy Jim zaczęła mnie błagać, żebym koniecznie dziś przysłała, zrozumiałam, że przechodzę próbę, więc poszłam.

Ku mojemu zdziwieniu przyszedł również Toby. I Klaus. Ale pani Delvecchio Schwartz nie było. Za to stało się sześć kobiet, których nie znałam. Jedna, przedstawiona mi jako Joe, jest adwokatem, i to z tytułem radcy królewskiego. To rzeczywiście budzi respekt - wspiąć się w spódnicy na szczyt prawniczego drzewa. A raczej w szytym na miarę garniturze. Dość tych dygresji, Harriet! Nie pora na nie. Tak sobie luźno dywaguję, żeby tylko opóźnić moment przelania na papier tematu spotkania.

Bohaterki dramatu - Frankie i Olivia - były nieobecne. Frankie, jak

zrozumiałam, jest wśród lesbijek po trosze idolką, osobą bardzo dynamiczną i atrakcyjną jak również bardzo męską. Niedawno zaczęła się spotykać z dziewiętnastoletnią Olivią, bardzo ładną, z nadzianej rodziny. Gdy ojciec Olivii dowiedział się o skłonnościach córki, nie dość, że się wściekł, to jeszcze postanowił dać jej nauczkę. Pociągnął za sznurki i doprowadził do tego, że policja zgarnęła Frankie i Olivię, kiedy spacerowały z psem. Przewieziono je na posterunek gdzieś na obrzeżach Sydney. I tam, w aresztanckich celach, dwunastu policjantów gwałciło je przez całą minioną noc, by dziś o świcie porzucić je na drodze przed stacją Milson's Point, razem z martwym psem. Obie, z poważnymi obrażeniami, przebywały obecnie w szpitalu Mater.

Zebrało mi się na mdłości, kiedy tego słuchałam. Myślałam nawet, że będę musiała wyjść i zwrócić kolację, ale duma pomogła mi powstrzymać sensacje żołądkowe, jakoś wytrzymałam. Toby'emu wystarczyło jedno spojrzenie. Przyszedł z drugiego końca pokoju, usiadł przy mnie na podłodze i wziął za rękę. Chwyciłam się kurczowo jego dłoni. Adwokatka Joe mówiła o wniesieniu pozwu, ale Robbo wyjaśniła, że Frankie odmawia złożenia zeznań, a biedną Olivię mają przenieść na oddział psychiatryczny w Rozelle, kiedy tylko fizycznie wydobrzeje na tyle, żeby wypisano ją z Mater.

Kiedy ucichły gniewne okrzyki i pogróżki, zaczęły się opowieści o losach lesbijek, pewnie ze względu na mnie. Robbo opowiedziała, że ma dwójkę dzieci, ale mąż doprowadził do rozwodu, wykorzystując zeznania innej pozwanej, i że nie wolno jej widywać dzieci, dopóki nie udowodni, że nie wywiera na nie „demoralizującego wpływu”. Dwie z obecnych były w

dzieciństwie wykorzystywane seksualnie przez własnych ojców, a matka jednej „sprzedała” córkę bogatemu staruchowi, który lubił uprawiać seks analny z małymi dziewczynkami. Wszystkie były naznaczone bliznami, zarówno fizycznymi, jak i psychicznymi. Jim i Bob wypadły przy tamtych wręcz blado. Krzywda Jim sprowadzała się do tego, że rodzice wyrzucili ją z domu za noszenie męskiego ubioru. Rodzice Bob, mieszkający w buszu, nie mieli pojęcia, że Jim jest kobietą.

Po spotkaniu Toby zabrał mnie do siebie na poddasze i poratował kawą z brandy. Trzęsłam się jak stary żołnierz w ataku malarii.

- Nie wiedziałam, że bycie lesbijką jest przestępstwem - rzekłam, gdy gorący płyn spłynął mi do żołądka i uspokoił łomoczące serce. - Wiem, że w przypadku mężczyzny homoseksualizm jest przestępstwem, ale słyszałam, że królowa Wiktoria, kiedy przedłożono jej stosowną ustawę, wykreśliła zapisy dotyczące kobiet, ponieważ nie wierzyła, że kobiety mogą być homoseksualne. Skoro jednak Frankie i Olivia zostały aresztowane, widocznie w świetle prawa popełniły przestępstwo.

-Ależ nie, dobrze słyszałaś - rzekł Toby, znów napełniając mój kubek. - Bycie lesbijką nie jest przestępstwem.

- Więc jak w ogóle mogło dojść do tej tragedii? - spytałam.

- Pod pokrywką, Harriet. W tajemnicy. Nie znajdziesz Frankie i Olivii w policyjnych rejestrach. Jakaś policyjna szychta spełniła prośbę tatusia. W zamyśle chodziło pewnie o pokazanie Olivii, co potrafi sprawny mężczyzna, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Pewnie po tym, jak Frankie rzuciła się na gwałcicieli. Twarda z niej sztuka, łatwo się nie poddaje, nawet w takiej sytuacji.

Toby zawsze zachowuje dystans. Przypuszczam, że tacy są dobrzy artyści. Obserwują świat w poszukiwaniu tematów.

Odrażająca strona życia nie jest mi obca. Nie może być inaczej po przeszło trzech latach pracy w szpitalu. Ale nigdy nie poznaje się całej historii, zwłaszcza w takiej specjalności jak rentgen, gdzie pacjenci przychodzą na prześwietlenie, a potem idą dalej, my zaś rzadko mamy taki luz, żeby wysłuchiwać ich opowieści. Kiedy spotykamy się przy lunchu, na przyjęciu albo mamy chwilę na rozmowę, przekazujemy sobie najświeższe plotki. Z przerażeniem patrzymy na trafiające do nas przypadki, na krzywdy, jakie potrafi wyrządzić człowiek człowiekowi. Nie, nie jest mi obca podszełka życia. Niemniej żyłam pod kloszem. Do czasu, kiedy przeprowadziłam się do Cross, do Domu.

Dziś doznałam oślepiającego oświecenia. Już nigdy nie będę umiała myśleć o ludziach tak jak przedtem. Jedna twarz na pokaz, dla publiczności, a za zamkniętymi drzwiami coś zupełnie innego. Wszędzie Dorian Gray. Nie mam bladego pojęcia, kim jest ojciec Olivii, ale dziś przypuszczam, że ktoś taki zachowuje pewnie spokój ducha, całą winę zwałając na Frankie i na córkę. I jeszcze to: nie mogę znieść myśli, że są ludzie, którzy znęcają się nad małymi dziećmi! Jaki ten świat jest straszny!

Piątek. 1 kwietnia 1960.

(prima aprilis)

Wróciłam dziś do domu wyjątkowo wcześnie i akurat Pappy nie miała nic do roboty. Nie wiem, gdzie była w poniedziałek wieczorem, kiedy Jim i

Bob zorganizowały spotkanie - prawie wcale jej nie widuję, odkąd pracuję na urazówce. Toby zaproponował wypad do Lorenziniego, winiarni przy końcu Elizabeth Street, w City.

- Dziś po południu usłyszałem w pracy dwie wieści - rzekł Toby, kiedy zśliśmy w dół schodami McElhone'a do Woolloomooloo, najkrótszą drogą do Lorenziniego. - Jedną dobrą i jedną złą.

Ponieważ Pappy się nie odezwała, spytałam:

- Jaka jest ta dobra?

- Dostałem dużą podwyżkę.

- To jaka jest zła?

- Księgowi spółki usiedli i zaczęli liczyć - rzekł z grymasem. - Skutek jest taki, że na początku przyszłego roku stracę pracę, a wraz ze mną prawie wszyscy zatrudnieni. Podwyżki płac, strajki, wezwania przedstawicieli załogi do strajku włoskiego i inwestorzy, którzy chcą, żeby ich pieniądze przynosiły wysokie dochody - wszystko to razem skłoniło zarząd spółki do podjęcia decyzji o zastąpieniu ludzi robotami. Roboty mogą dokręcać nakrętki i zestawiać części przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie potrzebują też przerw na posiłek ani nie chodzą za potrzebą.

- Przecież są horrendalnie drogie - zaproponowałam.

- Owszem, ale księgowi wyliczyli, że inwestycja dość szybko się zwróci, a potem inwestorzy, nie kłopotząc się o pracowników, będą sobie żyli jak w bajce.

- To straszne! -jęknęła Pappy. Zawsze gwałtownie protestuje przeciw krzywdom, jakie spotykają robotników. -Hańba!

- Tak to jest na tym świecie, Pappy, powinnaś o tym wiedzieć - rzekł

pouczająco Toby. - Każda ze stron ma swoją rację. Szefowie starają się nas eksploatować, a my staramy się eksploatować szefów. Chcesz kogoś obwiniać? Obwiniaj konstruktorów robotów.

- To ich wina! - rzuciła. - To nauka jest wszystkiemu winna!

Dołożyłam swoje trzy grosze, mówiąc, że wszystkiemu winni są ludzie jako tacy, bo potrafią spartaczyć nawet bibę w browarze.

U Lorenziniego jest zawsze więcej młodych mężczyzn niż kobiet, więc wkrótce zgubiliśmy Pappy, która i tak pewnie spała z całą tutejszą męską klientelą. Toby znalazł w głębi sali mały stolik z dwoma krzesłami. Siedzieliśmy w przyjemnym milczeniu, przyglądając się falom przemieszczających się gości i zawirowaniom wokół stolików. Biedny Toby! To musi być okropne kochać się w kimś takim jak Pappy.

Niedługo po naszym przyjsciu koło drzwi zrobiło się poruszenie i weszło kilka osób, prawie same młode dziewczyny. Pappy przyfrunęła do nas z szeroko otwartymi oczami.

- Harriet! Toby! Widzicie, kto przyszedł? Profesor Ezra Martralala, słynny filozof!

Chciałam, żeby powtórzyła dziwaczne nazwisko, ale ona już odfrunęła i dołączyła do tłumu otaczającego profesora Ezrę Małmazję. Tak go będę nazywała, brzmi nieźle. Trochę za stary jak na Lorenziniego, pomyślałam, kiedy tłum rozdzielił się i profesor wyłonił się z niego niczym słońce zza chmur.

Jedno jest pewne - nie miał szans na laury w konkursie na mistera Ameryki. Był chudy, cherlawy i brzydki, ukrywał łysinę pod pożyczką z długich włosów i ubierał się jak autorzy ważnych książek

niebeletrystycznych, widoczni na zdjęciu na drugim skrzydełku obwoluty - w tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, irlandzki sweter z warkoczami, sztruksowe spodnie. Uzupełnieniem takiego stroju jest zwykle trzymana w ręku fajka. Wieczór był ciepły i parny, więc profesor musiał gotować się z gorąca.

Nie mogę się połapać, jak Pappy to robi. Profesora otaczały trzy pierścienie studentek. Dziewczyny były co najmniej o dziesięć lat młodsze od Pappy, a niektóre śliczne jak wschodzące gwiazdy filmowe. A mimo to po paru minutach Pappy pozbyła się konkurentek i zasiadła po prawej ręce profesora, zwracając ku niemu twarz pełną uwielbienia i omiatając jego dłoń gęstymi, lśniącymi czarnymi włosami. Może to te włosy. Podobno mężczyźni za nimi przepadają, a ja nie znam drugiej kobiety z tak pięknymi i długimi.

Pociągnęłam nosem.

- Odwrócony rycerz kielichów - powiedziałam do Toby'ego, gestem ręki wskazując profesora.

Toby spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- Bierzesz lekcje u starej?

Zaprzeczyłam, wyjaśniając, że zobaczyła taką figurę w kartach Pappy.

- Stara czarownica udawała przede mną, że odwrócony rycerz kielichów to jest to, czego potrzebuje Pappy. Wiem, że karta dworska tylko odsłania osobę, że dopiero następne karty ją charakteryzują i ukazują w relacji do innych, ale pani Delvecchio Schwartz nie powiedziała mi prawdy. Widziała jak na dłoni, kim jest nowy mężczyzna Pappy, widziała też coś jeszcze, co bardzo ją zaniepokoiło. I nic mi o tym nie powiedziała. Nie zapamiętałam,

jakie karty wyszły po rycerzu kielichów, ale kupiłam książkę o tarocie i sprawdziłam tego rycerza, chociaż całości obrazu złożyć nie umiem.

- Myślałam, że rycerze to młodzi mężczyźni. A ten jest po pięćdziesiątce.

- Niekoniecznie - odparłam, popisując się nowo zdobytą wiedzą. - Nazywa się ich też waletami.

Odchylił się do tyłu i popatrzył na mnie spod na wpół przymkniętych powiek.

- Wiesz, księżniczko, chwilami okropnie mi przypominasz naszą gospodynię.

Uznałam to za komplement.

Kiedy Pappy wstała i wyszła razem z profesorem, zostawiając studentki z takimi minami, jakby miały ochotę popełnić zbiorowe samobójstwo, ja i Toby też postanowiliśmy wracać do domu. Mimo że wyszliśmy tuż za nimi, na Elizabeth Street nie było po nich śladu. Nie chciałam, żeby Toby odprowadził mnie aż do samego mieszkania, licząc się z tym, że Pappy przyjmuje profesora u siebie, ale on koniecznie chciał mi towarzyszyć.

O, jak to dobrze! - pomyślałam. Spod drzwi Pappy nie wydobywało się światło. Nie było słycać zmysłowych chichotów. Może profesor miał garsonierę, zważywszy, że z takim upodobaniem otaczał się rojem studentek.

Piliśmy z Tobym kawę i rozmawialiśmy o burdelach po obu stronach 17C. Nadał imiona wszystkim dziewczynom - Chastity Patience, Prudence, Temperance, Honour, Constance, Verity Columba. Nazwał także właścicielkę 17D madame Fuga, a właścicielkę 17B madame Toccata.

Biorąc pod uwagę, że miłość jego życia zapewne poszła do łóżka ze starym, łysym, zadufanym w sobie głupcem, Toby był w wyśmienitej formie, rozbawił mnie do łez. Skrytykował nadmiar różowego koloru, a zasłonę z paciorków uznał za podświadome pragnienie, by ktoś zamknął mnie w haremie, ale i tak świetnie się bawiłam.

- Dziwię się, że nie dołożyłaś mi tak jak Davidowi -rzekł i spojrzał na mnie surowo. - Nie radzę sobie dobrze z kobietami.

- Chyba że są lesbijkami.

- Lesbijki nie oceniają mężczyzny pod kątem jego zdatności na męża. Przypuszczam, że nie radzę sobie dobrze z kobietami, bo mówię, co myślę.

- Westchnął, przeciągnął się i obrzucił mnie rozleniwionym spojrzeniem. – Będiesz kiedyś uroczą, szczupłą starszą panią, no i nadal uważam, że masz fantastyczne piersi. Pora zmienić temat.

- Co sądzisz o Haroldzie? Toby uniósł wzgardliwie wargę.

- W ogóle o nim nie myślę. Czemu pytasz?

- Nienawidzi mnie.

- To mocne słowo, Harriet.

-Ale to prawda! - zapewniłam. - Spotkałam go już kilka razy. Śmiertelnie mnie przeraża. Ma w oczach taką nienawiść! Co gorsza, nie mogę dojść, co mu takiego zrobiłam.

- Zakradłaś się w łaski pani Delvecchio Schwartz, ot co - rzekł, wstając.

- Nie przejmuj się nim, i tak pójdzie w odstawkę. Stara ma dość jego błazenad.

Odprowadziłam Toby'ego do drzwi. Zatrzymał się na stopniu.

- Mogłabyś zeskoczyć na dróżkę? - spytał. Spełniłam jego prośbę.

Zyskał przez to pewną przewagę nade mną.

- O tak. Im będę wyżej, tym lepiej. - Ujął mnie za ramiona mocno, a zarazem delikatnie. - Dobranoc, księżniczko - rzekł i pocałował mnie.

Po traumatycznym wieczorze, jaki miał za sobą, spodziewałam się, że marzy mu się ciepłe, piękne pożegnanie na pocieszenie. Nic z tych rzeczy. Wsunął mi dłonie pod pachy, skrzyżował na plecach, przyciągnął do siebie i pocałował naprawdę. Z zaskoczenia otworzyłam szeroko oczy - niezwykle intensywny dreszcz przebiegł po moich szczękach i dosięgnął warg. Zamknęłam oczy i poddałam się emocjom. Ach, było cudownie! Po Davidzie i Normie nie mogłam uwierzyć w to, co czułam. Wiem, że jego dłonie na moich plecach w ogóle się nie poruszyły, ale ich dotyk palił tak, że docierał aż do kości. To miała być rozkosz dla mnie; dostosowywał się do mojego tempa, a kiedy musiałam zaczerpnąć tchu, tulił twarz do mojej szyi i mocno ją całował. Uuuuuuuu! To wywołało tyle reakcji! Dalej, Tobie, myślałam, dotknij tych fantastycznych piersi!

Drań mnie puścił! Oburzona uniosłam powieki i spostrzegłam w jego oczach szelmowski błysk.

- Dobranoc - powiedziałam, żeby mieć ostatnie słowo.

Jego oczy zatańczyły od szatańskiej wesołości. Cmoknął mnie niedbale w policzek i ruszył dróżką, ani razu się nie oglądając.

- Prima aprilis! - zawołał.

Wskoczyłam do środka i zatrzasnęłam drzwi. Przez chwilę zgrzytałam zębami, ale potem się uspokoiłam. Nawet jeśli był to primaaprilisowy żart, przeżyłam swój pierwszy porządny pocałunek. Bardzo mi się podobał. Wreszcie mam jakieś pojęcie o przyjemności, jaką może dać bycie z

mężczyzną. Krew we mnie tańczy.

Poniedziałek. 4 kwietnia 1960.

Pappy wróciła do domu z takim zapasem czasu, że przed wyjściem do pracy napiła się ze mną kawy. Wyciągnęła mnie w tym celu z łóżka dwie godziny wcześniej, niż potrzebowałam wstać. Tak bardzo chciałam się dowiedzieć, co się u niej dzieje, że nawet nie żałowałam tych dwóch straconych godzin snu. Pappy promieniała - ach, jaka ona piękna!

- Gdzie byłaś? - spytałam.

Wyjaśniła, że profesor ma małe mieszkanie w Glebę, niedaleko uniwersytetu.

- Poszliśmy tam, zamknęliśmy drzwi na zasuwę, zdjęliśmy słuchawkę z widełek i nie ruszyliśmy się stamtąd aż do szóstej rano. Och, Harriet, on jest cudowny, idealny - to król, to bóg! Jeszcze nigdy nie przydarzyło mi się coś takiego! Uwierzysz, że leżeliśmy razem nago i bawiliśmy się przez całe sześć godzin, zanim wziął mnie pierwszy raz? - Oczy jej się zaszklily na to wspomnienie. - Drażniliśmy się ze sobą, lizaliśmy się i ssaliśmy, aż byliśmy blisko... potem przestawaliśmy, potem zaczynaliśmy od nowa... szczytowaliśmy jednocześnie, uwierzysz? Dokładnie w tym samym momencie! A potem ogarnął nas taki głęboki, bezbrzeżny smutek, że oboje się popłakaliśmy.

Jej zwierzenia były tak krępujące, że poprosiłam, aby drastyczne szczegóły zachowała dla siebie. Pappy nie ma żadnych zahamowań, żadnego wstydu.

- Sama siebie wprawiasz w zakłopotanie, Harriet - powiedziała z dezaprobatą. - Najwyższy czas, żebyś pogodziła się z własnym ciałem.

Wysunęłam hardo brodę.

- Nikt mi się nie podoba - skłamałam. Toby, Toby, Toby.

- Boisz się.

- Że zajdę w ciążę, oczywiście.

- Pani Delvecchio Schwartz mówi, że jeżeli kobieta nie chce mieć dziecka całą duszą, to nie zajdzie.

Prychnęłam.

- Dziękuję, Pappy, nie mam zamiaru testować na sobie teorii pani Delvecchio Schwartz. Więc nieźle się zabawiałaś z profesorkiem. Czy to był wyłącznie seks, czy również rozmawialiście?

-Rozmawialiśmy bez końca! Wypaliliśmy trochę haszyszu, leżeliśmy przytuleni do siebie, wciągnęliśmy trochę kokainy... Nie przypuszczałam, że niektóre używki nasilają rozkosz tak, że staje się niemal nie do zniesienia!

Wiedziałałam, że gdybym teraz zaczęła jej robić wymówki, pokłóciłybyśmy się, dlatego spytałam, czy profesor jest żonaty.

- Tak - odparła zadowolona. - To smutna, ponura kobieta, której nie znosi. Mają siedmioro dzieci.

- Niechęć do żony nie jest więc chyba taka silna. Gdzie mieszkają?

- Gdzieś w pobliżu Gór Błękitnych. Jeździ tam od czasu do czasu ze względu na dzieci, ale mają osobne sypialnie.

-Niewątpliwie skuteczna metoda kontroli urodzeń -skomentowałam kąśliwie.

- Ezra powiedział, że zakochał się we mnie w chwili, gdy mnie zobaczył. Mówi, że dałam mu radość, jakiej nie dała mu nigdy żadna kobieta.

- Czy poznanie Ezry kładzie kres weekendowej paradzie mężczyzn w twoim życiu? - spytałam.

Pappy była głęboko urażona.

- Oczywiście, że tak, Harriet! Skończyłam szukać, znalazłam Ezrę. Inni mężczyźni nic dla mnie nie znaczą.

Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, w jakim stopniu mogę w to wszystko wierzyć. Pappy wierzy, więc przez wzgląd na nią mam nadzieję, że moje wątpliwości są bezpodstawne. Haszysz i kokaina. Pan profesor umie używać życia bez ograniczeń. Żonaty. Wielu mężczyzn jest nieszczęśliwych w małżeństwie, nie ma więc powodu wątpić, że Ezra Małmazja -jakżeż on się naprawdę nazywa -zalicza się do tej grupy. Och, naprawdę drażni mnie styl życia kochanego Ezry. Żonę i dzieci trzyma tak daleko od miejsca pracy, że może się ich wyprzeć, a w Glebę ma garsonierę. Bardzo wygodne mieszkanie sąsiadujące z niewyczerpanym źródłem dziewczeczek dojrzałych do zamążpójścia. Słowo daję, nie rozumiem, dlaczego taka paskuda wydaje się tym idiotkom tak atrakcyjna. Najwyraźniej jednak on coś w sobie ma, chociaż wątpię, żeby jego dyndas był długi jak wąż ogrodowy mojego taty. Pewnie haszysz i kokaina robią swoje.

Czuję, że wykorzystuje Pappy. Ale dlaczego wybrał właśnie ją, kiedy tyle ich było zapatrzonych w niego? Dlaczego, skoro już przy tym jestem, tylu mężczyzn tak mocno pożąda Pappy? Kiedy w umyśle mężczyzny seks

wysuwa się na pierwszy plan, kobieca uroda nie jest najsilniejszym magnesem. Kryje się w tym jakaś tajemnica, którą muszę wyjaśnić. Kocham Pappy, uważam ją za najpiękniejszą istotę chodzącą po ziemi. Ale w tym jest coś jeszcze.

Harriet Purcell, jesteś nowicjuską w dziedzinie miłości, jakim prawem snujesz te domysły? Pospiesz się, królu denarów numer jeden! Potrzebuję punktu odniesienia do porównań.

Czwartek. 7 kwietnia 1960.

Uuuuła! Ta głupia Chris Hamilton dała dziś niezłe przedstawienie. Zmąciła spokój naszego pracowitego świątka. Czemu, do diaska, nie przyjrzy się dobrze Demetriosowi, zamiast wyskakiwać na biedaka z buzią za każdym razem, kiedy ten wwozi do nas pacjenta.

Przed południem omal nie miałyśmy zgonu, a to jest najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć. Pacjent z podejrzeniem pęknięcia czaszki dostał ostrego obrzęku mózgu, kiedy robiłyśmy mu prześwietlenie. Poczułam, że ktoś odpycha mnie raptem na bok. Nieznany mi lekarz zadziałał błyskawicznie. Pacjent w mgnieniu oka został odstawiony na salę operacyjną na neurochirurgii. Ale po dziesięciu minutach lekarz wrócił i obrzucił Chris i mnie takim zimnym spojrzeniem, jakim nie karci nas nawet siostra przełożona.

- Nie widziałyście, co się dzieje, cholerne baby? - warknął. - Pacjent odjechał, bo ociagałyście się z wezwaniem pomocy! Cholerne, durne baby!

Chris oddała mi kasety, które akurat trzymała w rękach, i na sztywnych

nogach podeszła do drzwi.

- Zechce pan łaskawie udać się ze mną do biura siostry Toppingham, doktorze - rzekła lodowato. - Będę wdzięczna, jeżeli powtórzy pan swoje uwagi w jej obecności.

W chwilę później wpadła siostra oddziałowa z oczami wychodzącymi z orbit.

- Słyszałam, co powiedział doktor Michael Dobkins! -zawołała. - Kawał drania!

Praktykantka pofrunęła ze zdjęciami na salę operacyjną neurochirurgii, a ja nie miałam pacjenta, więc patrzyłam na siostrę oddziałową i w mojej głowie wykielkowało kilka myśli.

- Oni się znają, prawda? - spytałam. - Chris i doktor Dobkins?

Ponieważ siostra oddziałowa mieszka razem z Chris, przypuszczałam, że zna jej życie od podszewki.

- A jakże! - odparła ponuro. - Osiem lat temu, kiedy Dobkins był młodszym rezydentem, on i Chris byli tacy zakochani, że biedaczka uznała, iż są zaręczeni. A potem on ją rzucił, bez słowa wyjaśnienia. Pół roku później ożenił się z fizjoterapeutką, której ojciec jest dyrektorem spółki, a matka zasiada w Komitecie do spraw Równego Traktowania Czarnych i Białych. Ponieważ Chris była nadal dziewicą, nie mogła mu nawet zagrozić, że zaskarży go o zerwanie obietnicy małżeństwa.

Ho, ho, taka groźba na pewno załatwiłaby sprawę.

Chris wróciła z siostrą Agatą i doktorem Michaelem Dobkinsem. Musiałam przedstawić swoją wersję incydentu, która pokryła się z relacją Chris. Skutek mojego zeznania był taki, że pojawili się: inspektor, inspektor

kliniczny oraz siostra przełożona (w takiej kolejności), i musiałam powtarzać opowieść przed trzema nasrożonymi obliczami. Chris oskarżyła Dobkinsa o nieprofesjonalne zachowanie, polegające na obrzucaniu żeńskiego personelu obraźliwymi epitetami. Chirurdzy na sali operacyjnej klną bez przerwy, ale im się pozwala na drobne dziwactwa i słabostki. Natomiast doktor Dobkins, starszy lekarz robiący specjalizację, powinien nad sobą panować.

Najgorsze jest to, że całej afery w ogóle mogło nie być. Gdyby Chris zachowała zimną krew, zaciągnęła Dobkinsa gdzieś do kąta i utarła mu nosa za złe zachowanie, wówczas burza byłaby lokalna, „góra” zaś o niczym by się nie dowiedziała. A tak Chris zapaliła reflektor o mocy miliona watów, który nie tylko utrudnił nam pracę, ale też zakwestionował naszą zawodową uczciwość.

Po południu to nie my, lecz Dobkins stanął na dywaniku. Pacjent rzeczywiście „odjechał” - nagły obrzęk przycisnął ośrodki zawiadujące funkcjami życiowymi w pniu mózgu do otaczających je krawędzi kostnych - lecz na sali operacyjnej neurochirurgii udało się opanować rozległy krwotok podtwardówkowy i pacjent wyszedł z niego bez szwanku dzięki sprzętowi reanimacyjnemu oraz bliskości urazówki. Wyrok wydany przez „góre” i przekazany nam przez siostrę Agatę brzmiał: nie dopuściliśmy się zaniedbania obowiązków.

Wychodząc z pracy, Chris wyglądała jak Joanna d'Arc na stosie. Ja zostałam i musiałam dotrwać do końca tego okropnego dnia.

Dochodziła dziewiąta, kiedy na South Dowling Street rozejrzałam się za taksówką. Nie zobaczyłam ani jednej, więc ruszyłam na piechotę. Przy

światłach na Cleveland Street lśniący czarny jaguar zatrzymał się koło mnie na krawężniku. Otworzyły się drzwi dla pasażera i pan Forsythe powiedział:

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Harriet. Chcesz, żebym cię podwiózł do domu?

A co mi tam, pomyślałam i wskoczyłam do środka.

- Spadł mi pan z nieba, panie doktorze! - rzekłam, sadowiac się na skórzanym fotelu.

Błysnął uśmiechem, ale nic nie powiedział. Przy następnym dużym skrzyżowaniu odruchowo skręcił we Flinders Street, a wtedy uprzytomniłam sobie, że przecież nie wie, gdzie mieszkam. Musiałam go zatem przeprosić i wytłumaczyć, że mieszkam przy Victoria Street od strony Potts Point. Wstyd, Harriet Purcell! A gdzie się podział Kings Cross? Pan Forsythe przeprosił, że nie spytał, gdzie mieszkam, dotarł do William Street i zawrócił.

Kiedy z cichym warkotem silnika wjechaliśmy między wrzaskliwe neony, wyjaśniłam:

- Hm, tak naprawdę to mieszkam w Kings Cross. Cały Potts Point jest własnością Królewskiej Marynarki Australii.

Uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko.

- Nie domyśliłbym się, że mieszkasz w Kings Cross -rzekł.

- Czy w Cross mieszkają jacyś szczególni ludzie? - spytałam nieuprzejmie.

Ależ go zaskoczyłam! Oderwał na chwilę wzrok od drogi i popatrzył na mnie. Spostrzegł moje wojownicze nastawienie.

- Nie wiem - rzekł ugodowo. - Prawdopodobnie mam na ten temat wypaczone pojęcie, jak każdy, kto zna Cross wyłącznie z doniesień prasowych.

- Listonosz mówił mi, że mieszkające po sąsiedzku dziwki dostają pocztę na adres Potts Point, ale dla mnie, panie doktorze, cała Victoria Street, od końca do końca, biegnie przez Kings Cross!

Czemu aż tak się rozzłościłam? Przecież sama najpierw podałam nazwę Potts Point! Musiał odebrać w domu staranne wychowanie, bo nawet nie próbował się usprawiedliwić. W milczeniu podążał za moimi wskazówkami.

Wjechał na część parkingu zarezerwowaną dla dostojnych klientów domów 17B i 17D. Kaduceusz na tylnym zderzaku jaguara chroni przed mandatem za złe parkowanie absolutnie wszędzie.

Nim odnalazłam uchwyt przy drzwiach, on już zdążył wysiąść i podejść, żeby je przede mną otworzyć.

- Dziękuję za podwiezienie - wymamrotałam, marząc o tym, żeby czym prędzej czmychnąć.

Ale on stał i patrzył tak, jakby wcale nie miał zamiaru odejść.

- Mieszkasz tutaj? - spytał, szerokim gestem wskazując ślepa uliczkę.

- W środkowym domu. Mam własne mieszkanie.

- Urocze miejsce - rzekł, powtarzając gest.

Stałam przy nim, rozpaczliwie próbując wymyślić, co powiedzieć, aby dać mu do zrozumienia, że jestem wdzięczna za okazaną uprzejmość, lecz nie zamierzam go do siebie zapraszać. Wypnęło mi się jednak zupełnie co innego.

- Napije się pan kawy, doktorze?

- Dziękuję, chętnie.

O cholera! Modląc się w duchu, żeby nikt nas nie zobaczył, pchnęłam frontowe drzwi i ruszyłam przez hol z obrzydliwą świadomością, że on idzie za mną i ogarnia spojrzeniem zabazgrane ściany, starte linoleum i lep na muchy pod nagą żarówką. Pod numerem 17D robota szła pełną parą. Ciche odgłosy ciężko pracujących dziwek dobiegały równie wyraźnie jak dosadne uwagi, które madame Fuga wykrzykiwała w kuchni do Prudence, przypominając w niewybrednych słowach, co ma robić dziewczyna, by zadowolić dżentelmena o dość szczególnych upodobaniach.

- Nie chodź, kurwa, przedtem sikać, jeżeli ktoś chce, żebyś nasikała na niego, i wypij galon pieprzonej wody! - Do tego sprowadzała się istota rzeczy.

- Interesująca sprzeczka - skomentował pan Forsythe, gdy ja walczyłam ze starym zamkiem.

- To pierwszorzędny burdel, podobnie jak ten po drugiej stronie - powiedziałam, otwierając drzwi na oścież. - Obsługuje najlepszych klientów, wysoko postawionych obywateli Sydney.

Następne uwagi dotyczyły mojego mieszkania. Powiedział, że jest ładne, urocze i przytulne.

- Proszę siadać - rzekłam niezbyt zręcznie. - Jaką pija pan kawę?

- Czarną, bez cukru.

W tym momencie dobiegły nas dźwięki skrzypiec. Bruch - już potrafiłam rozpoznać kompozytora.

- Kto to? - spytał.

- Klaus z góry. Dobry jest, prawda?

- Wspaniały.

Gdy wyszłam z za parawanu z dwoma kubkami kawy, zobaczyłam, że rozsiadł się w fotelu i zaszłuchał. Był bardzo rozluźniony. Popatrzył na mnie i przyjął kubek z takim uśmiechem, jakbym sprawiła mu wielką przyjemność. Zmiękły mi kolana. Poczułam, że już mniej się go boję, i usiadłam względnie spokojna i opanowana. Szpitalna tresura sprawia, że personel niższego szczebla patrzy na lekarzy konsultantów jak na istoty z innej planety - istoty, które nie bywają w Cross. Chyba że jako klienci madame Fugi i madame Toccaty.

- Wyobrażam sobie, że zabawnie jest tu mieszkać - powiedział. - Intelktualiści obok prostaków.

No, nie wygłasza krytycznych sądów, to już coś.

- Owszem, jest tu bardzo zabawnie - potwierdziłam.

- Opowiedz mi o tym.

No nie! O czym mam opowiadać? Wszystko, co się tu dzieje, wiąże się z seksem. Czy pouczenia madame Fugi nie dały mu o tym pojęcia? Postanowiłam zatem powiedzieć o mieszkaniu na parterze od frontu.

- Zdaje się - rzekłam na koniec - że udało się znaleźć dwoje starszych ludzi, którzy nie pracują w branży.

- Z powodu wieku?

- Och, zdziwiłby się pan, doktorze - powiedziałam beztrąsko. - Na ulicy pracują kobiety już niemłode, nawet niedołążne. Młode i piękne są zatrudniane w burdelach z ustaloną marką. Mają lepszą płacę, lepsze życie i nie dostają cięgów od alfonsa.

Zielone jak bagno oczy wyrażały rozbawienie i smutek zarazem. Pomyślałam, że rozbawiła go rozmowa ze mną, ale skąd ten smutek? Może zawsze gości w jego spojrzeniu.

Zerknął na bardzo drogi złoty zegarek i wstał.

- Muszę już iść, Harriet. Dziękuję za kawę i za towarzystwo... oraz za pokazanie mi, jak żyje druga połowa ludzkości. Dobrze się bawiłem.

- Dziękuję za podwiezienie do domu, panie doktorze -odparłam i odprowadziłam go do drzwi wyjściowych.

Kiedy je za nim zamknęłam, oparłam się o nie i spróbowałam ogarnąć myślą to, co się wydarzyło. Zdaje się, że zyskałam nowego przyjaciela. Jak to dobrze, że nie próbował ze mną flirtować! Ciągłe przypomina mi się ten smutek w jego oczach i zadaję sobie pytanie, czy nie płynie on po prostu z potrzeby porozmawiania z kimś. Jakie to dziwne! Kto by przypuszczał, że konsultant, który jest bogiem, potrzebuje z kimś porozmawiać.

Poniedziałek. 11 kwietnia 1960.

Dziś rano widziałam się z Pappy, ale tym razem nie musiała mnie budzić. Leżałam, czekając na nią, a kiedy wróciła z weekendowego rendez-vous w Glebę, wyciągnęłam ją do siebie na porządne śniadanie. Co z tego, że się zakochała, kiedy jest coraz szczuplejsza.

Jest szczuplejsza, ale idyllicznie szczęśliwa.

- Udany weekend? - spytałam, podając jej jajka Benedict.

- Cudowny, cudowny, cudowny! Harriet, nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknęła, odrzucając w tył głowę i śmiejąc się z zachwytem. - Mój

Ezra chce się ze mną ożenić! W następny weekend powie o tym swojej żonie.

Oho, czemu to nie brzmi prawdziwie? Zachowałam jednak uśmiech na twarzy i okazałam zainteresowanie.

- Wspaniała nowina, Pappy.

Ziewnęła, skrzywiła się na widok talerza, który jej podałam, i odsunęła go od siebie.

-Jedz! - nakazałam surowo. - Nie możesz żywić się wyłącznie haszyszem i kokainą.

Postraszona, przyciągnęła z powrotem talerz i apatycznie doniosła do ust widelec z pierwszym kęsem. Posmakowało jej - lekcje pobierane u Klause nie idą na marne. Usiadłam naprzeciwko i pochyliłam się. Trudno... choć czułam się niezręcznie, zamierzałam powiedzieć to, co miałam do powiedzenia.

- Hm, dobrze wiem, że pytanie, jakie ci zadam, jest nieuprzejme i wścibskie, ale... - Zabrakło mi słów, nie bardzo wiedziałam, co dalej. Powiedziałaś A, trzeba powiedzieć B, Harriet, do dzieła! - Pappy, ty przecież prawie nie znasz Ezry, a on prawie wcale nie zna ciebie. Z tego, co wiem, żadne z was nie jest w stanie logicznie myśleć od piątku wieczór do poniedziałku rano. Dwa spędzone razem weekendy i on chce się z tobą ożenić? Na jakiej podstawie podjął taką decyzję? Że bez mrugnięcia okiem akceptujesz jego farmaceutyczne rekreacje? Rozumiem, czemu uważa, że bezpieczniej jest zadawać się z tobą niż z młodymi studentkami. Masz większe doświadczenie, jesteś otrzaskana. Nie wystawisz go glinom, nawet przypadkiem. Ale małżeństwo? Czy nie są to zbyt dalekosiężne plany po

raptem dwóch weekendach?

Mój sceptycyzm wcale jej nie uraził. Wątpię, czy dotarł do otumanionego umysłu.

- Chodzi o seks - odparła. - Mężczyzna potrzebuje seksu, żeby naprawdę się zakochać.

- Rzecz do dyskusji - zaproponowałam. - Nie mówisz o miłości, mówisz o małżeństwie. To znany filozof, jak twierdzisz. A zatem ma określoną pozycję na swoim poletku w intelektualnym imperium, nie może więc wykręcić się od zobowiązań, jakie nakładają na niego zatrudnienie i stanowisko na uniwersytecie. Nie jestem związana z żadną uczelnią, ale znam trochę to środowisko i powiem ci, że naukowcy są dość konserwatywni. Gdyby porzucił dla ciebie żonę i dzieci... - W tym miejscu ugrzęzłam. Popatrzyłam na Pappy bezradnie.

Powoli pokręciła głową.

- Kochana Harriet, ty nic nie wiesz - powiedziała. - Jest seks taki i seks owaki.

- Och, czemu wciąż wałkujemy to samo? - warknęłam. - Niecodzienne gusty nie idą w parze z małżeństwem. Jeżeli to właśnie rozumiesz przez seks.

- Jesteś taka młoda!

Zaczęłam wrzeszczeć jak moja babcia.

- Och, na litość boską, Pappy, mam dość lekceważenia mnie i traktowania jak kompletnej ignorantki! Nie wypytuję cię dlatego, że zżera mnie chorobliwa ciekawość! Po prostu chcę się dowiedzieć, dlaczego Ezra woli się z tobą ożenić, niż ciągnąć dalej cudowny weekendowy związek!

Znam cię, nie polujesz na ślubną obrączkę. Czemu tak mu na tym zależy?
Coś mi tu nie gra! Coś mi tu nie gra!

- Fellatio - odparła.

- Feli... co? - spytałam tępo.

- Fellatio. Ssę jego penis aż do wytrysku. Marzy o tym każdy mężczyzna obdarzony normalnym popędem - wyjaśniła. - Niewiele kobiet skłonnych jest to robić. Zwłaszcza wśród żon, które, tak jak ty, nie wiedzą o tym do czasu, aż poprosi je o to mąż. Wtedy się oburzają, myśląc, że jest zbrodźcą. Natomiast ja uwielbiam robić Ezrze fellatio. Jego penis jest dla mnie idealny, nie za duży i lekko sflaczały. Dlatego Ezra chce się ze mną ożenić. Jeśli zostanę jego żoną, będzie miał fellatio codziennie. - Westchnęła. - Och, Harriet, jak to byłoby cudownie wyjść za mąż za Ezrę!

Otworzyłam usta tak szeroko, że dolną szczęką dotknęłam stołu. Mimo to udało mi się uśmiechnąć.

- Nie ma co, wyjątkowo skuteczna metoda kontroli urodzeń - skonstatowałam.

- Och, robimy to też inaczej, tak jak jest przyjęte - zapewniła Pappy.

Proszę bardzo. Recepta na szczęście małżeńskie.

Wtorek. 12 kwietnia 1960.

Chris, wspomagana przez siostrę oddziałową, prowadzi nieustającą wendetę przeciw doktorowi Michaelowi Dobkinsowi. Okazuje się, że doktor Dobkins jako starszy lekarz robi specjalizację na urazówce. Czy „góra” zabrała go od nas po ostatniej awanturze? Nie! Pierze fruwa

regularnie. Doktor Dobkins, jak przewiduję, dojdzie niebawem do wniosku, że będzie szczęśliwszy w szpitalu Hornsby'ego, skąd do swojego domu w Pymble ma o wiele bliżej niż z Queens. Ja bym go odesłała do Royal North Shore, eleganckiego i odpowiednio dużego, ale tam trzymają swoich. Mężczyźni, którzy doprowadzają do irytacji kobiety posiadające władzę, są głupi (i nie mówię w tym momencie o fellatio). Dobkins powiedział „cholerne baby” i się nie mylił, ale „durne”? Sam jest durny.

Chris przy praktykantce wsiadła na mnie za to, że byłam miła dla Demetriosia. Wściekła rzuciłam się na nią z pazurami.

- Ty cholerna ksenofobko, facet jest jak kryształ, ma głowę na karku i świetne perspektywy! Wpadłaś mu w oko, Bóg jeden wie dlaczego, a nawet na niego nie spluniesz, bo jest zwykłym sanitariuszem i na dodatek Grekiem! Strzępcie sobie języki, ty i siostra Agata, a ja będę traktować Demetriosia jak człowieka! A tak w ogóle, Christine Leigh Hamilton, najlepiej by ci zrobiło porządne pieprzenie!

Powiedziałam to, powiedziała! Praktykantka omal nie zemdląła i z własnej nieprzymuszonej woli czmychnęła do ciemni. Chris gapiała się na mnie, jakby zaatakowała ją świnka morska.

Spodziewałam się, że złapie mnie za kark i odstawi do siostry Agaty, ale tym razem poszła po rozum do głowy i postawiła na dyskrecję. Nie odezwała się ani słowem, nawet do mnie. Kiedy Demetrios przywiózł kolejnego pacjenta, Chris popatrzyła na niego tak, jakby łuski spadły jej z oczu. Nawet się uśmiechnęła. Założę się, że jutro poczęstuje go herbatką i ciasteczkami.

Zasłużyłam na miano kupidyna, co?

Poniedziałek. 25 kwietnia 1960

(Dzień Anzac).

Przez prawie dwa tygodnie nie wyciągałam brulionu z torby. Musiałyśmy dziś pracować mimo święta, ale nie było dużo do roboty i wyszłam ze szpitala o czasie.

Kiedy otworzyłam drzwi do swojego mieszkania, nadal unosiły się w nim korzenne aromaty - gałki muszkatołowej, kurkumy, kardamonu, kozieradki, kminku. Jakie egzotyczne nazwy! Usiadłam przy stole, pochlipałam wśród otaczającej mnie ciszy i zapachów, a potem wyjęłam pamiętnik.

W tym tygodniu, w którym Pappy objaśniła mi swoją teorię szczęśliwego małżeństwa, a ja powiedziałam Chris Hamilton, że dobrze by jej zrobiło porządne pieprzenie, przypadał Wielki Piątek. W Cross Wielki Piątek nie różni się specjalnie od każdego innego piątku. Godziny pracy bez zmian, życie toczy się zwykłym trybem. Toby, Pappy i ja wybraliśmy się do Apollyona, kawiarni urządzonej w suterenie. Jak na mój gust za dużo tam mózgowców - wszyscy grają w szachy - ale Pappy uwielbia tam chodzić, a Toby spodziewał się spotkać swojego przyjaciela Martina. Wraz z przyjacielem poetą Gavinem Greenleesem, zeszła po schodkach Rosaleen Norton - pierwszy raz widziałam Czarownicę z Cross. Nie miała w sobie nic przerażającego, takie jest moje zdanie. Maluje się, żeby uzyskać sataniczny efekt - wysokie czarne brwi, usta pociągnięte krwistoczerwoną szminką, czarne włosy i oczy, a do tego cała twarz zrobiona na przeraźliwie

biało – ale nie wyczułam żadnych satanicznych emanacji, jak ujęłaby to pani Delvecchio Schwartz.

Potem przyszedł Martin, prowadząc pod rękę zachwycającego przystojniaka. Najbardziej zapaleni szachiści odrywali się od gry, żeby na niego popatrzeć, obejrzelili się nawet Rosaleen Norton i Gavin Greenlees. Mnie замуrowało. Poczułam się jak w siódmym niebie, kiedy nowo przybyli skierowali kroki do naszego skromnego stolika.

- Pozwolicie, że się psysiądziemy? - wyseplenił Martin.

Czy pozwolimy? Czym prędzej przesunęłam krzesło, robiąc dla nich miejsce. Gadatliwy Martin należy do homoseksualnej społeczności Cross, z czym się nie kryje, ale sepleni nie dlatego, że jest pedziem. Sepleni z braku zębów. Jest jednym z tych szczególnych ludzi, którzy za skarby świata nie przestąpią progu gabinetu dentystycznego.

- To jest Nal - rzekł, zręcznym gestem wskazując uśmiechniętego adonisa. - Ciężko go uwieść. Próbuję, próbuję i nic, już mi ręce opadają.

- Witam państwa - powiedział z oksfordzkim akcentem oporny obiekt uwodzenia, po czym usiadł naprzeciw mnie. - Nazywam się Nal Prarahandra, jestem lekarzem i przyjechałem do Sydney na tydzień, aby wziąć udział w kongresie Światowej Organizacji Zdrowia.

Jaki on był piękny! Nigdy nie myślałam o mężczyznach jako o pięknych istotach, ale żadne inne słowo tak dobrze do niego nie pasuje. Rzęsy miał długie, gęste i splątane jak Flo, brwi nad idealnie zaokrąglonymi łukami kostnymi czerniły się jakby narysowane węglem, a czarne oczy lśniły melancholijnie. Cerę też miał zbliżoną odcieniem do cery Flo. Nos wydatny, lekko orli, usta pełne, ale nie za bardzo. No i wysoki, szeroki w

ramionach, wąski w biodrach. Słowem, adonis. Siedziałam i wpatrywałam się w niego jak cieleń w malowane wrota.

Sięgnął ponad stołem, ujął moją dłoń i obejrzał, obróciwszy wnętrzem do góry.

- Jesteś dziewicą - rzekł, ale nie głośno. Musiałam śledzić ruch jego warg.

- Tak - odparłam.

Toby słuchał jednym uchem nawijającego Martina, ale nie spuszczał wzroku ze mnie, wyraźnie zły. Gdy Pappy położyła dłoń na jego ramieniu, obejrzał się na nią. Gniew się rozpułynał, Toby uśmiechnął się do Pappy. Biedny, biedny Toby!

- Mieszkasz w odpowiednim miejscu? - szepnął Nal.

- Tak - odparłam.

Moja dłoń wciąż spoczywała w jego dłoni, gdy wstał.

- Więc chodźmy.

I poszliśmy, tak po prostu. Nawet mi na myśl nie przyszło, żeby mu przyłożyć. Podejrzewam jednak, że ręka świerzbiła Toby'ego. Zaniepokoił się, jak przypuszczam, że wychodzę z obcym.

- Jak ci na imię? - spytał Nal, gdy na ulicy otoczył nas blask i gwar Cross.

Odpowiedziałam, nie wysuwając dłoni z jego uścisku.

- Jak to się stało, że przyszedłeś tu z Martinem? - spytałam, kiedy przechodziliśmy przez William Street.

- To mój pierwszy dzień w Sydney. Wszyscy mi radzili, żebym koniecznie zobaczył Kings Cross. Martin mnie zaczepił, kiedy oglądałem

ciekawą wystawę sklepową. Wydał mi się zabawny, więc zgodziłem się mu towarzyszyć. Czułem, że doprowadzi mnie do kogoś, kto mi się spodoba, i nie myliłem się - powiedział, posyłając mi uśmiech, który nie był aż tak cudowny jak uśmiech pana Forsythe'a, chyba dlatego, że tak zdumiewająca uroda nie jest stworzona do posyłania uśmiechów.

- Ale dlaczego ja? - spytałam.

- A dlaczego nie, Harriet? Nie jesteś jeszcze w pełni rozbudzona, ale masz wielki potencjał. I jesteś bardzo ładna. Będę szczęśliwy, mogąc nauczyć cię czegoś o miłości, a ty nasycisz mój tydzień w Sydney przyjemnością, którą zachowam w pamięci. Nie będziemy znali się na tyle długo, żeby zapalać do siebie prawdziwym uczuciem, więc rozstaniemy się jako dobrzy przyjaciele.

Nie jestem podobna do Pappy, bo nie mam wcale ochoty opisywać szczegółów. Zanotuję tylko, że pierwszy raz kochał się ze mną w wannie koło pralni - całe szczęście, że zdążyłam ją wcześniej pomalować czerwoną emalią do rowerów! I że był cudowny, czuły i troskliwy, miał wszystkie te cechy, jakimi - zgodnie z tym, co wciąż mi mówiono - powinien się wykazać mój pierwszy kochanek. Pieścił moje piersi tak, że sprawiał mi tym rozkosz. Był bardzo zmysłowy, co mi odpowiadało. Naprawdę czułam, że sam czerpie z tego przyjemność, a przecież wszystko, co robił, robił dla mnie, dla zaspokojenia moich pragnień. Ponieważ tajniki seksu nie były mi obce - zwłaszcza po niemal czterech miesiącach pobytu w Domu - potrafiłam docenić i sam akt, i kochanka o wiele lepiej niż dziewice w dawniejszych czasach. Dla nich to musiał być prawdziwy szok!

Tego wieczoru wprowadził się do mnie i mieszkał ze mną przez cały

tydzień, za przychylną wiedzą pani Delvecchio Schwartz. To pewnie jedyna tak tolerancyjna gospodyni w Sydney. Kiedy w sobotę po południu przyszła do mnie Flo, zafascynowała go jej niemota. Powtórzyłam zapewnienia matki, że Flo do niej mówi, ale nie chciał wierzyć.

- Możliwe, że porozumiewają się na innej płaszczyźnie - rzekł, poznawszy panią Delvecchio Schwartz, gdy przyszła odebrać Flo po dwóch godzinach zabawiania się z Haroldem. - Matka jest niezwykłą kobietą. Bardzo silną, o bardzo starej duszy. Myśli są jak ptaki, które przefruwają przez przedmioty materialne. Przypuszczam, że Flo i jej matka porozumiewają się bez słów.

Porozumiewanie się bez słów. No cóż, my też dość intensywnie to praktykowaliśmy. Pomimo że Nal, który jest psychiatrą, patrzył na świat w obcy dla mnie sposób, ogromnie go polubiłam. Myślę, że on też mnie polubił, i to nie tylko ze względu na seks. Dużo rozmawialiśmy -w normalny sposób.

Nauczył mnie przyrządzać dwa hinduskie dania: kormę i jarzynowe curry. Wy tłumaczył, że prawdziwego curry nie robi się z dodatkiem naszego „proszku curry”, ponieważ każde danie wymaga innego zestawu przypraw i ziół. W poniedziałek rano poszliśmy na Targowisko Paddy'ego i kupiliśmy gałkę muszkatołową, kurkumę, kardamon, kminek, kozieradkę i czosnek. Moim zdaniem hinduskie potrawy nie umywają się do boeuf Stroganow czy cieleciny piccata Klause, ale może to tylko kwestia czasu, jakiego potrzebują kubeczki smakowe, żeby dostosować się do niezwykłych smaków.

Różniliśmy się tylko w poglądach na temat Pappy. Czy to nie dziwne?

Powiedział, że jest mieszańcem i tyle. Wynika stąd, że Hindusi potrafią być równie pełni uprzedzeń jak Starzy Australijczycy. Nal należy do bardzo wysokiej kasty, jego ojciec jest maharadzą czy kimś takim. Powiedział, że wybrano już dla niego żonę, ale na razie jest jeszcze za młoda, by urządzić zaślubiny. Znałam odpowiedź na pytanie, którego mu nie zadałam - czy po ślubie, ilekroć wyjedzie za granicę, będzie szukał towarzystwa kobiet takich jak ja. Tak. Takim hołduje zwyczajom. My mamy inne. Niewątpliwie jego żona nie będzie z tego powodu źle o nim myślała, czemu więc ja miałabym go potępiać?

Czekał na urazówce co wieczór, żeby odprowadzić mnie do domu. Siedział na okropnej plastikowej sofie i czytał „Mirror”. Kiedy po wyjściu z pracowni zamknęłam drzwi na klucz, brał ode mnie torbę i wychodziliśmy, dostarczając wspaniałego materiału do plotek. Siostra oddziałowa pracuje na ranną zmianę, tak jak Chris, lecz jestem pewna, że siostra Herbert, która kieruje wieczorną zmianą, nie zachowuje nowin dla siebie. Chris kilka razy popatrzyła na mnie jakoś dziwnie, ale ten mój niedawny mały wybuch zdecydowanie uzdrowił nasze stosunki. Poza tym zaczęła umawiać się z Demetriosem. Będą pewnie mieli bardzo udane dzieci - flegmatyczna angolska krew doprawiona południowym temperamentem. Pod warunkiem, że Chris nie stchórzy. Siostra oddziałowa patrzy na tych dwoje z lekką pogardą i sączy do ucha przyjaciółki jad subtelnie złośliwych uwag. Musiałaby przecież znaleźć sobie nową współlokatorkę, gdyby Chris wyszła za mąż, prawda?

Nal poleciał do Nowego Delhi świtkiem rano w ostatnią sobotę. Nie mogłam znieść myśli, że spędzę ten weekend sama w Domu, więc

wróciłam do Bronte i do dziś okupowałam kanapę w salonie. Mama pilnie mi się przypatrywała, ale nic nie mówiła. Ja też.

Kolendra. Zapomniałam o kolendrze. Smużka jej zapachu doleciała dyskretnie zza parawanu aż do moich nozdrzy. Nal miał rację. Nie znaleźliśmy się na tyle długo, by zapalać do siebie wielką namiętnością, i rzeczywiście rozstaliśmy się - mój pierwszy król denarów i ja - jako dobrzy przyjaciele.

Wtorek. 26 kwietnia 1960.

Dziś wieczorem natknęłam się na Toby'ego. Pierwszy raz od czasu, gdy wyszłam z Apollyona razem z Nalem. Dziwne spotkanie.

Toby od dwóch miesięcy trzyma się nad portretem Flo. Wścieka się, bo nie może go skończyć. Kiedy zobaczyłam go w holu, spytałam, jak mu idzie.

- O, tysiączne dzięki, że jej wysokość raczyła zapytać! -warknął. - Mam bić pokłony z głębokiej wdzięczności za okazane zainteresowanie?

Aż mnie odrzuciło, jakby wymierzył mi policzek - o co on się, u licha, tak wściekł?

- Nie - odparłam uprzejmie - skądże znowu. Kiedy ostatnim razem o nim rozmawialiśmy, nie byłeś zadowolony. Dlatego właśnie szukałeś towarzystwa swojego mentora, Martina.

Grzeczna odpowiedź wyraźnie go zawstydziła. Wyciągnął rękę.

- Przepraszam cię, Harriet. Uściśniesz na zgodę? Uściśnęłam.

- Chodź i zobacz sama - zaproponował. Popatrzyłam niewyszkolonymi, trzeba to przyznać,

oczami na portret. Był olśniewający, a zarazem nieznośnie smutny. Mój aniołek! Toby'emu udało się odmalować cerę Flo, jakby była cienka jak bibułka. Twarzyczka stanowiła jedynie obramowanie dla ogromnych bursztynowych oczu, a tło zaludniały jakieś cienie czy duchy wyłaniające się z szarej mgły. Nigdy nie rozmawiałam dłużej z To-bym o Flo, więc widok tego tła mną wstrząsnął. Czyżby dla innych też było oczywiste, że to dziecko jest nie z tego świata? Czy dostrzegł to tylko Toby wnikliwym okiem artysty?

-Znakomity obraz - pochwaliłam szczerze. - Kiedy oglądałam go ostatnim razem, Flo wyglądała jak ofiara obozu koncentracyjnego, a teraz z powodzeniem oddałeś to, co w niej najważniejsze, nie wywołując wrażenia, że dzieje się jej krzywda.

- Dzięki - rzekł z trudem, ale nie poprosił, żebym usiadła, ani nie zaproponował kawy. - Kochaś zwią? - spytał raptem.

- Odleciał w sobotę.

- Masz złamane serce? Chcesz się wypłakać na ramieniu wujka Toby'ego?

Roześmiałam się.

- Coś ty, na głowę upadłeś? To wcale nie było tak. -A jak?

Co jest, Toby zadaje takie osobiste pytanie?

- Bardzo miło - odparłam.

Oczy mu poczerwieniały, twarz wykrzywiła się w groźnym grymasie.

- Więc nie wyrządził ci krzywdy?

A więc o to chodziło! Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Toby, zawsze chcesz chronić kobiety mieszkające w Domu. Potrząsnęłam głową.

- Żadnej krzywdy, daję słowo. To była miłośćka. Przelotne zadurzenie, bardzo mi potrzebne po tylu nużących latach z Davidem.

Gniew znów w nim wezbrał. Toby odsłonił zęby.

- Jak możesz coś takiego nazwać miłośćką? - spytał wojowniczo.

-Och, naprawdę! Mówisz jak bohater wiktoriańskiej powieści! - odpowiedziałam, też odsłaniając kły. - Toby, nie przypuszczałam, że opowiadasz się za podwójną moralnością! Młodzi mężczyźni już jako nastolatki mogą się ciupciać, a dziewczyny muszą siedzieć z rączkami w mał-drzyk, dopóki nie wyjdą za mąż! Idź i wypchaj się takimi poglądami! - wrzasnęłam.

- Tylko nie zacznij we mnie ciskać częściami garderoby! - powiedział, panując już nad gniewem.

Wyglądał, jakby nie wiedział, jakim emocjom dać upust. Tak mi się przynajmniej wydawało. Sama już nie wiem, mogłam się mylić, to było takie dziwne, takie do niego niepodobne.

-Nie zamierzam niczym ciskać, a już na pewno nie zamierzam się rozbierać! - ucięłam. - Miłośćka z hinduskim pawiem nie oznacza, że będę latać za australijskimi gawronami!

- Pokój, pokój! - zawołał, podnosząc ręce, jakby się poddawał.

Jeszcze się we mnie gotowało, ale za nic w świecie nie chciałam mieć na pieńku z Tobym. Jego przyjaźń jest dla mnie zbyt cenna. Zmieniłam temat.

- Wiem, że Ezra miał poprosić żonę o rozwód, ale słyszałam o tym dwa tygodnie temu. Od tamtej pory nie widziałam się z Pappy, więc w końcu nie wiem, co na to żona.

Przekładając emocje Toby'ego na barwy, można by powiedzieć, że jeśli przedtem przeszedł od gorącej czerwieni do brązu, to teraz przybrał odcień zgaszonej czerni.

- W ostatni weekend Ezra się nie pokazał, więc Pappy nie wie, jak się sprawy mają. Dzwonił w piątek, by powiedzieć, że żona robi duże trudności, więc będzie musiał znowu ją odwiedzić.

- Może w desperacji proponuje mu fellatio - rzuciłam bez zastanowienia.

Toby wybałuszył oczy, jakby złapał go atak paraliżu, potem obrócił się raptownie, złapał stojącą na stole butelkę brandy i nalał pełną szklanę. Dopiero schodząc po schodach, uzmysłowiłam sobie, dlaczego tak gwałtownie zareagował. Na pewno pomyślał, że to Nal zaznajomił mnie z tym terminem, nie stroniąc od praktyki. Od jakiegoś czasu wiem, że Toby przy całym swoim liberalizmie ma staroświeckie zapatrywania na to, co przystoi kobietom. W jego prywatnym rejestrze występuję jako kobieta. Natomiast Jim, Bob i pani Delvecchio Schwartz nie. Czyż mężczyźni nie są dziwni?

Piątek. 29 kwietnia 1960.

Lubię Joe Dwyera, który pracuje w stoisku z alkoholem na wynos w pubie Piccadilly. Dzisiaj wpadłam tam po kwartę trzygwiazdkowej brandy na niedzielną popołudniową posiadówkę u pani Delvecchio Schwartz. Joe zawinął butelkę w brązową papierową torbę i podał mi z wesołym uśmiechem.

- Dla jasnowidzącej tygrysicy na pięterku - rzekł.

Powiedziałam, że to zabrzmiało, jakby bardzo dobrze znał jasnowidzącą tygrysicę na pięterku. Roześmiał się.

- Och, to bardzo malownicza postać, wszyscy w Cross ją znają - rzekł. - A ja ją znam, jakbym przeżył z nią dwie kopy lat.

Jakaś nutka w jego głosie kazała się domyślać znajomości w sensie biblijnym. Zaczęłam się zastanawiać, ilu starszawych - i niekoniecznie starszawych - znajomych pani Delvecchio Schwartz to jej byli kochankowie. Na przykład ten nieśmiały, przemykający chyłkiem Lerner Chusovich, który wędzi dla nas węgorki i czasami jada z Klausem. Kiedy go spotykam, wyraża się o naszej gospodyni czule i z nostalgią. Czym zaś ona kieruje się w swoich wyborach? Na pewno nie cudzym zdaniem. Jest prawem sama dla siebie.

Ponieważ toaleta i łazienka na piętrze zajmują osobne pomieszczenia, często korzystam tam z łazienki, bo nad wanną jest prysznic. Dzięki nietypowym godzinom pracy nikomu nie wchodzę w drogę, bo innych mieszkańców Domu albo wtedy nie ma, albo są pochłonięci wieczornymi zajęciami. Prawdę powiedziawszy, jedna łazienka to za mało na czteropiętrowy budynek. Do pralni nie zagląda nikt.

Do rzeczy, Harriet! Harold. Łazienka i toaleta na piętrze mieszczą się pomiędzy królestwem Harolda tuż nad moim salonem a sypialnią i kuchnią pani Delvecchio Schwartz, których nigdy nie widziałam, bo drzwi do nich są zawsze zamknięte. Harold wie, kiedy nadchodzę, chociaż stąkam bardzo cicho, no i przecież nie wracam z pracy co dzień o tej samej porze, bo w rentgenie urazówki dzieją się rzeczy nieprzewidywalne. A Harold mimo to

stoi w korytarzu, niezmiennie pogrążonym w ciemności - żarówka przepala się chyba codziennie, chociaż kiedy wspomniałam o tym pani Delvecchio Schwartz, zrobiła zdziwioną minę i powiedziała, że przy niej zawsze się świeci. Czyżby Harold wysuwał ją z oprawki, kiedy czuje, że się zbliżam? Coś niecoś widać, bo w toalecie cały czas pali się światło i drzwi są uchylone, ale w korytarzu jest tyle ciemnych zakamarków. W jednym z nich, gdy wchodzę po schodach, czai się Harold. Nie odzywa się, tylko stoi przyklejony do ściany i wlepia we mnie nienawistne ślepie. Idę bardzo ostrożnie, gotowa zrobić unik, gdyby rzucił się na mnie z nożem albo kawałkiem metalowej linki do suszenia bielizny.

Czemu nie zadowolam się łazienką na dole? Bo jestem uparta. A dokładniej: bo chyba bardziej boję się tchórzostwa niż samego Harolda. Gdybym się poddała i nie wzięła prysznic na piętrze, to jakbym przyznała się przed Haroldem, że lękam się wkroczyć na jego terytorium. Zyskałby nade mną przewagę. Oddałabym władzę nad sobą w jego ręce. Nie zamierzam do tego dopuścić. Chodzę więc na górę, żeby wziąć prysznic, i udaję, że w ciemnościach nie czai się Harold i że nie jestem jedynym celem nagromadzonego w nim zła.

Niedziela. 1 maja 1960.

Kiedy weszłam, na stole w salonie leżała kryształowa kula. Odkryta. Lato przeminęło, powietrze jest ostrzejsze i pewnie dlatego pani Delvecchio Schwartz nie przesiaduje już na balkonie. Dzisiaj na dodatek pada.

Flo z rozradowaną buzią podbiegła mnie uściskać, a kiedy usiadłam, wgramoliła mi się na kolana. Dlaczego czuję się tak, jakby była krwią z mojej krwi? Kocham ją coraz mocniej. Mój aniołek.

- Ta kula musi być bardzo cenna, skoro liczy tysiąc lat -zagadnęłam panią Delvecchio Schwartz, która naszykowała na stole tę samą co zwykle przekąskę.

- Gdybym ją sprzedała, mogłabym pewnie kupić hotel Australia, ale kuli się nie sprzedaje, księżniczko. Zwłaszcza takiej, która działa.

- Jak znalazła się w pani rękach?

- Podarowała mi ją poprzednia właścicielka. W testamencie.

Jasnowidze przekazują sobie kule. Kiedy przyjdzie czas na mnie, przekażę kulę dalej.

Wtem Flo drgnęła konwulsyjnie, zeskoczyła z moich kolan i dała nura pod kanapę.

Niecałe pół minuty później przez otwarte drzwi wsunął się Harold. Skąd Flo wiedziała, że nadchodzi? Słuch mam dobry, a nie wyłapałam najlżejszego szmeru czy skrzypnięcia.

Pani Delvecchio Schwartz popatrzyła na niego z wściekłością.

- Co ty tu robisz, do diaska? - warknęła. - Jeszcze nie ma czwartej, dopiero pierwsza. Nie jesteś teraz mile widziany, Haroldzie, więc spadaj.

Harold, który cały czas wbijał we mnie nienawistne spojrzenie, przeniósł wzrok na nią, nie zamierzając się wycofać.

- Delvecchio, to hańba!

Delvecchio? Czyżby tak miała na imię?

Gospodyni odstawiła z hukiem butelkę brandy i popatrzyła na intruza. Z

miejsca, gdzie siedziałam, nie mogłam wyczytać, co miała w oczach.

- Hańba?

-Te dwie obrzydliwe dewiantki seksualne, które mieszkają nad nami, ukradły pieniądze z gazomierza w łazience!

-Masz na to dowód? - spytała, wysuwając dolną wargę.

- Dowód? Nie potrzebuję dowodu! A któż inny mógłby to zrobić? Sama prosiłaś, żebym co niedziela sprawdzał gazomierze! - Zrobił grymas. - Jesteś za wysoka, mówiłaś, żeby tak się schylać, a ja mam przecież kaczą chorobę!

Grzmot wesołości wezbrał w jej piersi, obejrzała się na mnie.

- To prawda, księżniczko. Wiesz, co to jest kacza choroba?

- Nie - odparłam. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby nie żartowała sobie z Harolda.

-Kuper za blisko ziemi. - Dźwignęła się na nogi. -Chodź, Haroldzie, zobaczymy razem.

Wiedziałam, że nie uda mi się namówić Flo na wyjście z kryjówki. Harold miał wrócić, a ona to przeczuwała. Percepcja pozazmysłowa. Czytałam gdzieś, że prowadzone są nad tym badania. Niech szlag trafi Harolda! Uciekł się do podstępu, żeby zepsuć mi spotkanie z panią Delvecchio Schwartz. Jim i Bob wykradające pensy z gazomierza? Nedorzeczny zarzut.

Wiele wskazywało na to, że ten tłumiący uczucia i hodujący nienawiść starszy człowiek jest kłębowiskiem negatywnych emocji. Przypomni mi się wykład psychiatry o „maminsynkach”. Jedynek, który pozostaje pod silnym wpływem matki aż do jej śmierci, potem, niezaradny życiowo,

wpada w objęcia innej dominującej kobiety. Czy Harold był maminsynkiem? Pasował do schematu. Tylko że schemat nie tłumaczył, skąd wzięła się nienawiść do mnie. Uzależniony od matki synek jest z reguły nieszkodliwy, a jeżeli budzi się w nim agresja, kieruje ją albo przeciw dominującej kobiecie, albo - częściej - przeciw sobie samemu. Tak twierdził wykładowca. Dzisiaj okazało się, że nie ja jedna jestem obiektem nienawiści Harolda. Dziś celem ataku są Jim i Bob. A Jim jest kolejną królową mieczy.

Słyszałam, że pani Delvecchio Schwartz wraca, bo ryczała ze śmiechu.

- Fantastiko! - zawołała, wpadając do pokoju. Tuż za nią wszedł poszarzały na twarzy Harold.

- Do diaska, kapitalne!

- Co? - spytałam, bo tak wypadło.

- Faktycznie, podkradali pensy z gazomierza w łazience, ale kłódki nie zerwali, o nie! Piłką do metalu przecięli zawiasy pod drzwiczkami skrytki na monety. Nic nie było widać! W głowie się nie mieści, że zadali sobie tyle trudu dla marnych dwóch szylingów w pensówkach. To łobuzy!

- Delvecchio, nalegam, żebyś wyrzuciła te dwie kobiety! - krzyknął Harold.

- Słuchaj, moje słonko - wycedziła pani Delvecchio Schwartz. - To nie Jim i Bob, tylko Chikker i Marge z mieszkania na parterze od frontu. Nikt inny.

- Przecież to są porządni, stateczni ludzie - odparł nadęty Harold.

- Kiedy ty dorośniesz, kretynie! Nie słyszysz, jak ją tłucze w każdy piątek wieczorem, kiedy wraca do domu nawalony? Porządni, stateczni,

akurat! - Zatrzęsły jej się ramiona. - Że też im się chciało tak trudzić dla kilku pensów! Ale nie mogę oskarżyć ich wprost. Zresztą wcale nie chcę. Nie urządzili burdelu i jeśli przymknąć oko na piątkowe wieczory, są dobrymi lokatorami.

- Muszę ci uwierzyć na słowo - rzekł Harold, któremu los Chikkera i Marge był najzupełniej obojętny. - Nalegam jednak, żebyś pozbyła się tych lesbijek! Baba na motocyklu, dajże spokój! Obrzydzenie bierze, a ty jesteś idiotką!

-A ty nie umiałeś sobie załatwić pieprzenia za friko pod siedemnaście D! - odparła swobodnie pani Delvecchio Schwartz. - Odwal się! No już, zabieraj się stąd! I nie wracaj o czwartej. Nie jestem w nastroju.

Zdecydowana odprawa trafiła w próżnię. Harold wpatrywał się we mnie z taką wściekłością, że aż ogłuchł. Ja zaś, z kłępującym poczuciem, że nie powinnam tego wszystkiego słuchać, wpatrywałam się pilnie w wielką kryształową kulę i odbijający się w niej odwrócony pokój.

- Szkolisz następną szarlatanę? - spytał z sarkazmem. Pani Delvecchio Schwartz nie odpowiedziała. Złapała go za kark i za siedzenie spodni i wyrzuciła za drzwi, jakby nic nie ważył. Upadł z hukiem na podłogę w korytarzu. Omal nie pobiegłam, żeby zobaczyć, czy coś mu się nie stało, ale usiadłam z powrotem. Jeżeli wyrzuciła mu jakąś krzywdę, to może się przynajmniej uspokoi.

- Odwal się, pieprzony wypierdku! - wrzasnęła w stronę korytarza i usiadła, promieniejąc z zadowolenia. Potem rzuciła w stronę kanapy: - Możesz już wyjść, Flo, Harold sobie poszedł.

-Dlaczego ona tak się go boi? - spytałam, popijając brandy.

Flo, na kolanach matki, ssała pierś.

- Nie wiem, księżniczko.

- Nie może tego pani z niej wydobyć?

- Nie chce o tym mówić. A ja nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć.

- Ale chyba... chyba nic by jej nie zrobił? - spytałam.

- Nie, Harriet, nie zrobiłby niczego złego. Nie jestem przecież głupia. To sprawy duchowe.

- Nie wiedziałam, że któremuś z mieszkańców Domu przeszkadzają Jim i Bob.

- Haroldowi przeszkadzają wszyscy.

- Czy jest maminsynkiem? Rentgen w oczach uaktywnił się.

- Umiesz ciągnąć za język, bystrzaku. I owszem, nie da się zaprzeczyć.

Jego matka była, jak ja to nazywam, profesjonalną inwalidką. Leżała w łóżku, a Harold koło niej skakał. Kiedy umarła, zachowywał się jak kurczak z odciętym łebkiem, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Ale jeszcze gorsze było to, że matka zapisała wszystko kuzynce w Anglii, której nie widziała od dzieciństwa. Kuzynka sprzedała dom i Harold nie miał się gdzie podziać. Wszystko, co zarobił, wydawał na samolubną starą krowę. Więc kiedy trafił do mnie, szukając pokoju, zlitowałam się nad nim. Dawno temu mieszkał u mnie jeden taki nauczyciel, który też uczy w tej aliganckiej prywatnej szkole. Od niego zresztą Harold dowiedział się o Domu. Wyłożyłam karty. Powiedziały, że Harold ma zrobić coś ważnego dla Domu, więc wzięłam go na lokatora. A potem - dodała z lubieżnym uśmiechem - dowiedziałam się, że jest starą panną nie tylko z zachowania... o tak, był prawiczkim! Słowo

daje, księżniczko, musisz skosztować prawiczka, nim umrzesz.

Miałam wielką ochotę powiedzieć, że moim zdaniem Harold jest chory, ale ugryzłam się w język, żeby nie narobić sobie kłopotów. Nie powiedziałam nawet o tym, że mnie prześladowuje.

- Ma go pani dosyć - rzekłam oględnie.

- Powyżej uszu, księżniczko.

- Nie może się pani go pozbyć?

- Nie mogę. Karty wciąż mówią, że ma zrobić coś ważnego dla Domu, a kartom nie wolno się sprzeciwiać. - Wychyliła szklaneczkę, zakąsiła kanapką z węgorem i rzekła nieco niewyraźnie: - A więc król denarów powrócił do Currylandu?

- Owszem osiem dni temu. Ostatni weekend spędziłam w Bronte.

- Uroczy młodzian! Przypominał mi pana Delvecchio, z tą różnicą, że pan Delvecchio był makaroniarzem i nie miał tej kropli smoły we krwi jak twój książę. A jaki był dumny i przystojny! Niczym król. Taki był pan Delvecchio. - Westchnęła i pociągnęła nosem. - Leżałam w łóżku i patrzyłam, jak chodzi i się puszy. Jak kogut na podwórku. - Jednym jasnym okiem spozierała kpiąco, drugie przymknęła w zamyśleniu. - Czy twój pierwszy król denarów był przyjemnie owłosionym mężczyzną?

- Nie. Przypominał raczej rzeźbę z kości słoniowej.

- Szkoda. Pan Delvecchio był gęsto porośnięty. Czesalam mu pierś, a jeśli idzie o niższe rejony - roześmiała się głośno - splątana gęstwina, splątana gęstwina! Po prostu dżungla. Uwielbiałam w niej buszować! Czesalam ją językiem.

Jakoś udało mi się zachować niewzruszony wyraz twarzy.

- Jak dawno to było? - spytałam.

- Wydaje mi się, że sto lat temu! A tak naprawdę około trzydziestu. Aaaach, pamiętam go, jakby to było wczoraj! Kobieta zawsze tak pamięta swoich mężczyzn. Przekonasz się, kiedy będziesz miała następnych. Taa, jakby to było wczoraj. To pomaga zachować młodość.

- A dzieci? - spytałam.

- Nie mieliśmy dzieci. Czy to nie dziwne? Taki owłosiony mężczyzna i nic. Myślę, że to przeze mnie. Flo wywołały hormony.

- Co się stało z panem Delvecchio? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Pewnego dnia wstał i wyszedł. Nawet nie zapakował torby. Czekałam kilka dni, ale nie wrócił. Więc wyłożyłam karty i wyszło mi, że odszedł na dobre. Wieża. Kochankowie odwróceni. Wisielec. Dziewiątka mieczy. Czwórka buław odwrócona. Zrujnowany dom i tyle. Ale królowa mieczy, czyli ja, miała dobrą pozycję, więc jakoś się pozbierałam. Raz, po wielu latach, zobaczyłam go w kuli. Szczęśliwego, otoczonego gromadką dzieci. Kiedy byliśmy ze sobą pierwszy raz, dał mi niebieski kocyk, dla syna, którego się nie doczekaliśmy. Tak bywa!

Ta historia, choć opowiedziana bez krzty żalu czy rozczulania się nad sobą, poruszyła mnie do głębi.

- Bardzo pani współczuję! - powiedziałam.

- Nie trzeba, księżniczko. Wszystko ma swój koniec, tak już jest. Znasz tę prawdę po tygodniu spędzonym z rzeźbą z kości słoniowej.

- Na to wychodzi.

- Masz złamane serce?

- Nawet nie zadraśnięte.

-A więc sama widzisz. W morzu kłębi się od ryb, dziewczyno. Tobie serca nikt raczej nie złamie, to ty będziesz łamać serca. Pod tym jednym względem jesteś podobna do mnie. Dla takich jak my, Harriet Purcell, życie jest zbyt przyjemne, a w morzu kłębi się od ryb. Nic nas nie złamie.

Brandy dawno straciła obrzydliwy posmak. Prawdę mówiąc, im więcej jej piję, tym lepiej mi smakuje. Byłam podchmielona, więc śmiało pytałam dalej.

- Wzięła pani rozwód z panem Delvecchio?

- To nie było konieczne.

- A więc formalnie nie byliście małżeństwem?

- Można i tak to ująć. - Pani Delvecchio Schwartz ponownie napełniła szklaneczki.

- Ale pana Schwartza pani poślubiła?

- Tak. Zabawne, prawda? I jeszcze zdążyłam mieć Flo. Nie byłam już młoda... latka lecą i nagle robi się chłodno bez męża, który ogrzeje stopy.

- Czy pan Schwartz był podobny do pana Delvecchio? -Był jego zupełnym przeciwieństwem, księżniczko,

zupełnym przeciwieństwem. I tak powinno być. Nigdy nie powtarzaj swoich błędów! Nigdy nie wybieraj po raz drugi podobnego faceta. Urozmaicenie to najlepsza przyprawa.

- Czy pan Schwartz był przystojny?

- Tak, w poetycznym sensie. Ciemne oczy, ale bardzo jasne włosy. Przyjemna twarz, świeża i młoda. Flo trochę przypomina tatusia.

Ogarniało mnie od środka rozkoszne rozleniwienie i może właśnie ono spowodowało, że kiedy zmrużyłam oczy, zobaczyłam nagle, jak wyglądała

pani Delvecchio Schwartz trzydzieści czy czterdzieści lat wcześniej. Nie piękna, nie ładna, lecz z pewnością bardzo atrakcyjna. Mężczyźni musieli czuć się jak sir Edmund Hillary na Mount Evereście, kiedy się na nią wspinali.

- Bardzo pani lubiła pana Schwartza - rzekłam.

- Tak. Zawsze lubimy tych, którzy nigdy się nie zestarzeją - rzekła czule. - Pan Schwartz nie zdążył się zestarzeć. Był o dwadzieścia pięć lat młodszy ode mnie. Żyd i uroczy dżentelmen.

Wybałuszyłam oczy. - I umarł?

- Tak. Pewnego ranka po prostu się nie obudził. Piękna śmierć, księżniczko. Wada serca, jak wykazało śledztwo. Może i tak. Ale karty mówiły, że odszedłby tak czy inaczej.

Mógł wpaść pod autobus, mogła go użądlić pszczoła. Nie da się uciec przed kostuchą. Na każdego przychodzi jego pora.

Odsunęłam od siebie szklaneczkę.

- Jeżeli teraz sobie nie pójdę, pani Delvecchio Schwartz, to zacznę bełkotać. - Przyszło mi na myśl jeszcze jedno pytanie. - Harold nazwał panią Delvecchio. Ale to nie jest pani imię otrzymane na chrzcie. Czy wolno spytać, jak ma pani na imię?

- Zabawne, że mówi się o imieniu nadanym na chrzcie, gdy świat po większej części nie jest chrześcijański - powiedziała, uśmiechając się. - Wieki temu przestałam używać swojego imienia. Moja magia płynie z Delvecchio Schwartz.

- A czy moją magią jest Harriet Purcell? - spytałam. Uszczypnęła mnie w policzek.

-Jeszcze nie wiem, księżniczko. - Przeciągnęła się. -Och, co za ulga!
Popołudnie bez pieprzonego Harolda.

Zeszłam na dół, padłam na łóżko i przespałam dwie godziny. Kiedy się obudziłam, nie tak dawno, czułam się cudownie. Tyle się dziś dowiedziałam o mojej gospodynie. Flo? Hormony? Psiakręć! Nie spytałam.

Środa. 11 maja 1960.

Późnym popołudniem trafił do nas biedny staruszek z nogami zgniecionymi tuż poniżej miednicy. Bezsensowny, absurdalny wypadek, który w ogóle nie powinien się zdarzyć. Staruszek szedł sobie, nikomu nie wadząc, a tu raptem od gzymsu w starej fabryce odpadł betonowy blok. Gdyby spadł wprost na niego, nie byłoby czego zbierać, ale uderzyła go połączona z blokiem metalowa płyta, która zmiażdżyła nogi, a potem odskoczyła i uwolniła staruszkę. Karetka przywiozła go do Queens.

Nie było dla niego nadziei, nie w wieku osiemdziesięciu lat.

Wracałam z damskiej toalety do swojego królestwa, gdy złapała mnie siostra Herbert, pracująca na wieczorną zmianę, i spytała, czy jestem zajęta. Powiedziałam, że nie.

- Mam urwanie głowy. Co prawda lada chwila przyjdą pielęgniarzy, ale potrzebny mi ktoś dobrze wyszkolony, kto dowie się, co gnębi tego biednego staruszkę w siódmce. Jest strasznie podenerwowany, nie może się uspokoić, a ja nie chcę, żeby odszedł taki nieszczęśliwy. Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, wkrótce przeniesie się na łono Abrahama, ale wciąż woła jakąś Marcelinę. Nie mogę znieść myśli, że nie zapewniamy

mu w ostatnich chwilach życia należytej opieki, a brak mi kogoś wolnego. Twierdzi, że nie ma rodziny, żadnych bliskich... och, jest w pełni władz umysłowych, taki przeżył szok. Czy mogłabyś z nim porozmawiać? - I pobiegła, bo naprawdę na oddziale było urwanie głowy.

Biedny staruszek. Uroczy i czyściuteńki. Wyjęli mu sztuczną szczękę, więc uśmiechnął się do mnie bezzębnie, chwycił za rękę. Kroplówki, stelaż podtrzymujący koldrę, monitory - żadna z tych rzeczy nie docierała do jego świadomości. Myślał tylko o Marcelinę. O swojej kotce.

- Nie wrócę do domu, żeby ją nakarmić - rzekł. - Marcelinę! Kto się zaopiekuje moim aniołkiem?

Te słowa przywały mi jak tona cegieł. Jego aniołkiem.

Serce zawsze ściska mi się na myśl o ludziach starych i zapomnianych - tyłu ich jest w dzielnicach wokół centrum. Żyją w ponurych, zaniedbanych szeregowcach pomiędzy Royal Queens a Cross. Mieszkanie z wyżywieniem, tylko dla mężczyzn - zachęcają wypisane ręcznie na tekturze ogłoszenia. Mężczyźni tacy jak mój biedny staruszek wynajmują maleńkie pokoiki, z trudem wiążąc koniec z końcem. Wszystkiego sobie odmawiają oprócz godności. Niektórzy popadają w alkoholizm. Jadają w tanich garkuchniach, pogodzeni z samotnością. Miałam przed sobą jednego z nich, umierał na moich oczach, a jego aniołkiem nie miał się kto zająć.

Pięć minut po mnie zjawiała się pielęgniarzka z czteroletnim stażem i we dwie przekonałyśmy go, że będę opiekowała się jego kotką, aż on wróci do domu. Kiedy nam uwierzył, zamknął oczy i zadowolony zasnął.

Pożyczyłam od Chris płócienną torbę na zakupy i pęk agrafek, poszłam na Flinders Street, odnalazłam wskazany dom, zapukałam. W końcu sama

otworzyłam drzwi frontowe i zaczęłam pukać po kolei do wszystkich mieszkań. Gospodarz gdzieś wybył, bo nikt nie wyszedł spytać, czego tu szukam. Jakiś dziadek, którym mocno telepało i od którego tak jechało alkoholem, że aż zakreśliło mi się w głowie, wskazał podwórko za domem. Szumne miano podwórka nosił zagracony skrawek ziemi. Tam, na szkielecie piecyka gazowego, tkwił aniołek mojego staruszka. Wychudzony szylkretowy kot, który na mój widok wstał i zamiauczał żałośnie.

Wyciągnęłam rękę.

- Marcelinę? To ty jesteś Marcelinę?

Zeskoczyła na ziemię i głośno pomrukując, zaczęła ocierać się o moje nogi. Kiedy położyłam na płask torbę Chris i uniosłam brzeg, tworząc coś w rodzaju jaskini, spokojnie weszła do środka. Postawiłam torbę i spięłam ją od góry agrafkami. Kotka cały czas mruczała. Bez kłopotu doniosłam ją do domu. Jedyne, co mnie dręczyło, to obawa, że pani Delvecchio Schwartz nie pozwoli mi trzymać aniołka o imieniu Marcelinę. Oprócz Klausa, właściciela dwóch papużek w klatce, którym czasem pozwala latać po pokoju, nikt nie ma zwierzaka.

Wiedziała, co niosę w torbie na zakupy, chociaż kotka ani się nie poruszyła, ani nawet nie miauknęła. Skąd pani Delvecchio Schwartz wszystko wie? Bo widzi to w kartach albo w kuli.

- Trzymaj go sobie, księżniczko - powiedziała, machając lekceważąco ręką.

Nie powiedziałam jej, że Marcelinę jest aniołem. Że przyniosłam do domu zwierzę omen.

Kiedy porozpinałam agrafki, Marcelinę drzemała na dnie z

podwiniętymi łapkami. Może mój biedny staruszek miał jakieś powody, żeby tak się przywiązać do jedynej żywej istoty towarzyszącej mu w życiu. Marcelinę była wyjątkowa. Nakarmiłam ją wędzonym węgorzem, na którego łapczywie się rzuciła, a kiedy wskazałam uchylone okno, popatrzyła na mnie z powagą, podreptała do niego z rozdętym brzuchem, wskoczyła na parapet i znikła.

Ciekawe, czy rano będę jeszcze miała kota.

Czwartek. 12 maja 1960.

Tak, nadal mam kota. Gdy się zbudziłam, Marcelinę leżała zwinięta w nogach łóżka. Wzięłam ją na ręce i skrupulatnie obejrzałam, sprawdzając, czy nie ma pcheł, zadrapań, świerzbu. Była czyściuteńka jak staruszek właściciel. I wychudzona. Zapewne dlatego, że jej pana nie było stać na obfitą i urozmaiconą karmę. Zjadłyśmy razem na śniadanie jajecznicę i grzankę - nie grymasiła. Lubi śmietankę. Na takiej diecie powinna przybrać na wadze. W Domu nie ma problemu z pozostawianiem otwartych okien. Żeby zakraść się na podwórko, ktoś musiałby się wdrapać na stromą dwudziestometrową skałę. A zresztą po co ktokolwiek miałby to robić, skoro drzwi od frontu są zawsze otwarte?

Mój biedny staruszek przeniósł się na łono Abrahama mniej więcej w tym samym czasie, gdy ja odbierałam jego aniołka z domu przy Flinders Street.

Ponieważ musiałam zanieść Marcelinę do weterynarza, żeby ją odrobaczyć i, być może, wysterylizować, zachowałam płócienną torbę

Chris i dałam jej nową, ładniejszą, którą kupiłam w drodze do pracy.

Sobota. 24 maja 1960.

I kto by uwierzył? David Murchison pokazał się niedługo po moim powrocie od weterynarza. Biedny staruszek wydawał, ile mógł, na swojego aniołka, bo okazało się, że kotka jest wysterylizowana. Zapłaciłam tylko za odrobaczanie i tabletki drożdżowe plus parę zastrzyków na kocie gorączki. Cholera, całe pięć funtów! Kiedy więc w moich progach zjawiał się David, myślałam o swoim kosztownym kocie i o tym, jak dobrze się urządzili weterynarze.

David, kiedy zobaczył na moich kolanach Marcelinę, wzdrygnął się i nie próbował nawet podejść bliżej. Zatrzymał się po drugiej stronie kominka, na którym (jeszcze jeden pożerający pensy licznik!) zapaliłam gazowy ogień. Zima zbliża się wielkimi krokami.

- Skąd go masz? - spytał z grymasem obrzydzenia.

- Podejrzewam, że spadł mi z nieba - odparłam. - Wróciłam właśnie od weterynarza i mogę ci powiedzieć, że ma na imię Marcelinę, jest wysterylizowana i liczy sobie około trzech lat.

Wydał odgłos wyrażający odrazę, lecz usiadł w fotelu naprzeciwko, popatrzył na mnie niebieskimi oczami, które kiedyś wydawały mi się boskie, i zetknął dłonie czubkami palców.

-Słyszałam, że masz nową dziewczynę - rzuciłam lekko.

Zarumienił się ze zdenerwowania.

- Wcale nie! - odparł opryskliwie.

- Uwolniła się od formy, w której chciałeś ją zamknąć?

- Przyszedłem tu - rzekł sztywno - prosić cię o zmianę zdania. Chcę, żebyś do mnie wróciła. Rosemary pomogła mi odreagować, to wszystko.

- Davidzie, przestałeś być częścią mojego życia - wyjaśniłam cierpliwie.

- Nie chcę się z tobą spotykać, w ogóle nie chcę cię więcej widzieć.

- Jesteś okrutna - wymamrotał. - Zmieniłaś się.

- Nie, wcale się nie zmieniłam, a przynajmniej nie w stosunku do ciebie.

Ale jestem inną osobą. Nabrałam śmiałości, jestem bardziej bezpośrednia i potrafię przeciwstawić się ludziom, którzy grają na moim współczuciu. Zabierz tyłek z mojego fotela i odwal się, bo ja ciebie nie chcę.

- To niesprawiedliwe! - krzyknął, rozkładając ręce. - Ja cię kocham! I nie przyjmuję twojej odmowy.

Dobrze, Harriet Purcell, pora wytoczyć ciężką amunicję.

- Nie jestem już dziewicą - powiedziałam. -Co?

- Słyszałeś. Nie jestem dziewicą.

- Żartujesz! Zmyślasz! Roześmiałam się.

- Czemu nie możesz uwierzyć w prawdę, Davidzie?

- Bo nie zrobiłabyś tego! Nie byłabyś do tego zdolna!

- Właśnie że byłam zdolna, do cholery, i zrobiłam to. Co więcej, wyśmienicie się przy tym bawiłam. - Strzel z dziesięcotonowego działa, Harriet! - Dodam jeszcze, że on nie był całkiem biały, choć muszę przyznać, że cerę miał w przepięknym odcieniu.

David wstał i wyszedł bez słowa.

- Wreszcie - powiedziałam później Toby'emu - pozbyłam się Davida na dobre. Podejrzewam, że przesądziło o tym raczej to, że mój kochanek był

Hindusem, niż to, że w ogóle miałam kochanka.

-Trochę i to, i to - odparł z wesołym uśmiechem Toby. - Dureń! Kilka lat temu powinien się zorientować, co się szykuje. To przecież kobiety wybierają sobie partnerów. Jeżeli mężczyzna jest zainteresowany, wystarczy, że pokornie poczeka, aż kobieta się zdecyduje. A jeżeli postanowi dać mu kosza, mówi się trudno. Odbywa się to tak samo i wśród psów, i wśród małych ptaszków. A co się tyczy pajaków - wzdrygnął się - to panie pożerają partnerów, i cześć.

- Dziękuję za porównanie, nie jestem suką w okresie rui! - warknęłam.

Parsknął śmiechem.

- Może nie, Harriet, ale z pewnością silnie działasz na nas, biedne stare psiska. - Przymknął powieki i przyjrzał mi się jak mierzący do celu snajper.

- Jesteś seksowna. Trudno sprecyzować, na czym to polega, ale to się czuje przez skórę.

- Nie odynamam usteczek, nie kręcę tyłkiem ani nie wysuwam języka!

-Mylisz reklamę z istotą rzeczy. Kiedy mężczyzna mówi, że kobieta jest sexy, uważa po prostu, że byłaby świetna w łóżku. Znam bardzo brzydkie kobiety, które są seksowne. Spójrz na panią Delvecchio Schwartz. Urodziwa nie jest, wręcz przeciwnie, a założę się, że mężczyźni fikali dla niej koziołki, odkąd skończyła dwanaście lat. Szczerze mówiąc, mnie ona też się podoba. Zawsze podobały mi się kobiety wyższe ode mnie. Widocznie miałem przodka Szerpę.

Podszedł do mojego krzesła, położył dłoń na oparciu, potem przysiadł na poręczu, unieruchamiając mnie kolanem.

- Wiem z doświadczenia, że seksowne kobiety naprawdę są świetne w

łóżku.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

- To tylko taka uwaga czy zaproszenie?

- Ani jedno, ani drugie. Nie pozwolę, żebyś na tym etapie złapała mnie na krótkie kręcone włoski. Co to, to nie. Ale to nie znaczy, że cię nie pocałuję.

I pocałował. Tak mocno, że w pierwszej chwili zabolalo. Oderwałam głowę od oparcia i obróciłam ją, żeby było wygodniej, a wtedy on przywarł ustami do moich ust i zaczął się bawić moim językiem.

- Dalej nie zamierzam się posunąć - rzekł, uwalniając mnie.

- Dalej nie pozwolę ci się posunąć - odparłam. Ciekawy człowiek ten Toby Evans. Kocha się w Pappy, a jednocześnie ja go też pociągam. No cóż, mnie on także pociąga, chociaż się w nim niekocham. Dlaczego wszystko w życiu sprowadza się do seksu?

Pappy znów spędza weekend w domu. Żona Ezry - jak wyjaśniła, kiedy zaprosiłam ją, żeby coś zjadła i poznała Marcelinę - robi straszliwe trudności.

- Wcale mnie to nie dziwi, skoro ma siedmioro dzieci - powiedziałam, stawiając na stole duszoną wołowinę, żebyśmy mogły brać sobie, ile zechcemy.

Pappy jak zauważyłam, zmarszczyła nosek i zaczęła wyławiać marchewki i ziemniaczki, zostawiając mięso.

- Co to znaczy? - spytałam.

- Ezra potępia jedzenie mięsa. Zwierzęta pasące się na łąkach nie są niczemu winne, a my poddajemy je okropnym torturom w rzeźniach -

wyjaśniła. - Ludzie nie są stworzeni do jedzenia mięsa.

- Ależ to kompletna bzdura! Ludzie zaczęli od myślistwa, a w naszych dziąsłach tkwi tyle samo zębów do rozdzierania mięsa, ile do rozcierania roślin! - odparłam porywczo. - Rzeźnie są kontrolowane przez inspektorów państwowych, a wszystkich tych zwierząt, które tam trafiają, w ogóle by nie było, gdybyśmy ich nie jedli. Kto powie, że marchewka, którą rozgniatasz swoimi wszystkożernymi zębami, nie została poddana okropnym torturom, kiedy wyrwano ją z ziemi, skrócono o głowę, wyszorowano tak, że zeszła jej skórka, okrutnie pokrajano na kawałki, a potem duszono tak długo, aż wyzionęła ducha? A to wszystko nic w porównaniu z losem ziemniaka, którym tak się delectujesz. Nie dość, że obdarłam go ze skóry, to jeszcze wzięłam ostry nóż, obracałam nim w jego ciele i wydłubywałam mu oczy! Duszone mięso jest dla ciebie najzdrowsze, bo schudłaś tak, że pewnie spalasz białko własnych tkanek. Zjedz wszystko!

O rety! Zamieniam się w sekutnicę. Ale podziałało. Pappy jadła wołowinę i cieszyła się jej smakiem, zapominając o kochanym, głupim, rzucającym kretyńskimi pomysłami Ezrze.

Na szczęście spodobała jej się - i to z wzajemnością - Marcelinę. Kotka wspięła się na kolana Pappy i zaczęła głośno mruczeć. Wypytyjąc o Ezrę, dowiedziałam się paru bardzo ciekawych rzeczy. Na przykład jak komuś, kto kieruje katedrą, udaje się utrzymać żonę z siódemką dzieci, a oprócz tego mieszkanie w Glebę i bardzo kosztowne substancje, których według prawa nie powinien posiadać. Pracownicy uczelni nie zarabiają tak dobrze jak menedżerowie, ponieważ posługiwanie się intelektem i nauczanie nie

idzie w parze z robieniem pieniędzy. Cała pensja, jak twierdzi Pappy, idzie na utrzymanie rodziny. Ale Ezra napisał też kilka książek, które cieszą się popularnością i dobrze się sprzedają, a dochody z tego tytułu zachowuje dla siebie. Och, im więcej się dowiaduję na temat tego Ezry, tym mniej mi się on podoba! Co za egoista!

Z drugiej strony Pappy jest taka szczęśliwa, a każdy dzień, w którym jest szczęśliwa, to kolejny dzień, w którym nie jest nieszczęśliwa. Nie ma w niej za grosz praktycyzmu. No cóż, nie wszyscy są tacy jak ja.

Sobota. 28 maja 1960.

Zwierzak jest dobrym towarzyszem. Dziś był bardzo spokojny dzień - Jim i Bob wybrały się na przejażdżkę harleyem davidsonem po Górach Błękitnych, Klaus pojechał do Bowral, Chikker i Marge w mieszkaniu na parterze od frontu odsypiali popijawę, Toby ze szkicownikiem i pudełkiem akwareli wyruszył do jakiegoś malowniczego zakątka w Iron Cove, pani Delvecchio Schwartz przyjmowała kawalkadę klientek z włosami po niebieskiej płukance (uwielbiają przychodzić w soboty), a Pappy przebywała gdzieś w krainie marzeń w Glebę. Harold, oczywiście, nie ruszył się z Domu. Nie wiem, co on ze sobą robi, kiedy nie uczy w szkole, ale na pewno nie wychodzi do miasta. Pani Delvecchio Schwartz pierze jego rzeczy razem ze swoimi, więc przynajmniej mam pewność, że nie natknę się na niego w pralni czy na podwórku. Z jego pokoju, choć znajduje się bezpośrednio nade mną, nie dochodzą żadne dźwięki - ani muzyka, ani choćby skrzypienie podłogi. Kiedy, będąc na dworze, zadre

głowę i popatrzę na jego okno, widzę zaciągniętą roletę i szczelnie zamknięte połówki okna. A mimo to przez cały czas podświadomie czuję jego obecność. Wcześniej zdarzało się to tylko wtedy, kiedy szłam wziąć prysznic, ale w ciągu ostatnich paru tygodni spostrzegłam, że jeśli pójde na górę - niezależnie od tego, do kogo i po co - kiedy schodzę, słyszę za sobą cichuteńki szmer stóp. Odwracam się, ale nikogo nie widzę. A ilekroć pójde w odwiedziny do pani Delvecchio Schwartz, Harold czatuje na podeście pod jej drzwiami -kiedy wychodzę, gapi się na mnie i ani drgnie.

Musiało już być koło szóstej, gdy ktoś zapukał do moich drzwi. Dni są coraz krótsze, więc koło szóstej robi się ciemno. Gdy tyły Domu pustoszeją i pozostają tu tylko ja i Harold, zamykam drzwi od wewnątrz na zasuwę. Na ogarniającą mnie paranoję wskazuje jeszcze coś. Od strony ram okiennych wbiłam w ościeżnicę sześciocalowe gwoździe, dzięki czemu mogę uchylić okno od dołu i od góry, ale nikt nie otworzy go na tyle szeroko, żeby wsunąć się do środka. W Sydney nie jest aż tak zimno, żeby w zimie całkiem zamykać okna, w bocznym przejściu nie hula wiatr ani nie zacina deszcz, a latem nie zagląda do mnie słońce. Kiedy jestem w swoim mieszkanku i mam drzwi zamknięte na zasuwę, czuję się bezpieczna. Ten okropny człowieczek na górze prowadzi ze mną psychologiczną wojnę i na kilku polach wygrywa, pomimo że boję się tchórzostwa i staram się je zwalczać. Choć na samą myśl o tym dostaję dreszczy nikomu nie mogę nic powiedzieć - gdy raz napomknęłam coś Toby'emu, zlekceważył moje niepokoje. Paranoja.

Więc kiedy ktoś zapukał do moich drzwi, podskoczyłam. Czytałam kryminał napisany przez snobistyczną Angielkę, na sprzęcie Petera leciała

suita Holsta Planety, na kominku płonął gazowy ogień, a Marcelinę spała zwinięta na drugim fotelu. Jakaś cząstka mnie chciała zawołać i spytać, kto tam, ale powiedziałam sobie, że to tchórzostwo. Podeszłam więc do drzwi, odsunęłam zasuwę i otworzyłam prędko, napinając mięśnie - nie do ucieczki, lecz do walki.

Za drzwiami stał pan Forsythe. Mięśnie mi sflaczały.

- Dobry wieczór, panie doktorze - powiedziałam wesoło i otworzyłam drzwi szerzej. - Aa, hm, ee, proszę wejść. - Słabym głosem.

- Ufam, że nie zjawiam się w niestosownym momencie - zagadnął, wchodząc.

Cóż za niecodzienne słowa! Bóg przemawia językiem istot wyższych, nie zniża się do zwykłego: „Hej, nie przeszkadzam?”

- Ależ w jak najbardziej stosownym - odparłam. - Proszę usiąść.

Marcelinę nie miała zamiaru ustąpić mu miejsca. Za bardzo lubi ogień. Wybrał proste rozwiązanie - podniósł kotkę, usadowił się w fotelu, położył ją sobie na kolanach i ugłaskał do snu.

- Mogę zaproponować kawę albo trzygwiazdkową brandy - powiedziałam.

- Poproszę kawę.

Znikłam za parawanem i stanęłam ze wzrokiem wbitym w zlew, jakbym miała w nim znaleźć odpowiedź na pytanie o sens życia. Dopiero głos doktora pobudził mnie do działania. Nalałam wody, odmierzyłam kawę łyżeczką i włączyłam kawiarkę.

- Byłem z wizytą u wiekowego pacjenta w Elizabeth Bay - mówił - i muszę wrócić dziś wieczorem. Niestety, do siebie mam przeszło godzinę

jazdy samochodem, więc pomyślałem, że może masz czas i zechciałabyś wybrać się ze mną na kolację gdzieś w okolicy.

O Boże! Ostatni raz widziałam go chyba ze dwa miesiące temu, tamtego wieczoru, kiedy podwiózł mnie do domu i wypił kubek kawy. Potem przepadł jak kamień w wodę.

- Za chwileczkę! - zawołałam, zastanawiając się, czemu kawiarki tak długo robią to, do czego są przeznaczone.

Po co on tu przyszedł? Po co?

- Czarna, bez cukru - powiedziałam, wychodząc wreszcie zza parawanu.

Usiadłam naprzeciw pana Forsythe'a i popatrzyłam na niego tak, jak Chris Hamilton popatrzyła na Demetriosa pamiętnego dnia, kiedy rzuciłam się na nią i zaczęłam drapać jak szczur wbiegający po rurze. Łuski spadły mi z oczu. Te nieszczęsne karty się nie myliły, pan Forsythe mnie pragnie. On mnie pragnie! Więc siedziałam i patrzyłam na niego głupio, taka zdumiona, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

Nie zauważył kubka z kawą, zapomniał o kocie na kolanach. W najwyższym skupieniu, z lekko uniesioną brodą, spokojnymi, znieruchomiałymi oczami wpatrywał się we mnie. Przypominał mi trochę aktora grającego szpiega przed egzekucją. Przygotowany na cierpienie, gotów umrzeć za to, w co wierzy. Raptem uzmysłowiłam sobie, że za mało wiem o mężczyznach, by pojąć, jakie siły popychają Duncana Forsythe'a do takiego postępowania. Wiedziałam tylko, że jeśli przyjmę jego zaproszenie, zapoczątkuję ciąg wypadków, które mogą zniszczyć nas oboje.

Jak szybka jest myśl? Jak długo siedziałam tak bez słowa, ile zajęło mi podjęcie decyzji? Pomijając szpiegowanie Harolda, jestem, ogólnie rzecz

biorąc, zadowolona - z siebie, ze swojej seksualności, ze swojego postępowania, ze swojego życia. Ale on, biedaczek, nie wie nawet, kim jest. Nie mam pojęcia, czemu mnie pragnie, wiem tylko, że ta potrzeba narosła w nim tak, iż przyszedł, by mnie poprosić. Po trzech krótkich spotkaniach.

- Dziękuję za zaproszenie, panie Forsythe - powiedziałam. - Z największą przyjemnością zjem z panem kolację.

Przez chwilę był wyraźnie skonsternowany, a potem jego twarz i oczy rozjaśnił uśmiech, w którym się roztapiam.

- Zamówiłem stół w Chelsea na siódmą - rzekł. Zauważył wreszcie kawę, uniósł ją do ust i napił się.

Chelsea. Szpitalna poczta pantoflowa działa bez zarzutu, nie jest flirciarzem. Zaplanował, że zabierze mnie do najelegantszej restauracji między centrum a Prunierem, gdzie z miejsca rozpoznałaby go połowa gości.

- Nie do Chelsea, sir - odparłam łagodnie. - Nie mam odpowiedniego stroju. Nie wystarczy Bohemian przy naszej ulicy? Jajko po rosyjsku i pieczeń z rusztu Esterhazy za dziesięć szylingów.

- Gdzie sobie życzysz - rzekł. Wyglądał, jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Odstawił kubek, wstał, odłożył Marcelinę na fotel. - Na pewno chcesz mieć chwilę dla siebie - dodał z galanterią, z której był znany. - Usiądę w samochodzie i zaczekam, aż wyjdiesz. - W drzwiach przystanął. - Czy mam pojechać tam wcześniej, zrobić rezerwację?

- To nie jest potrzebne, sir. Zaraz do pana przyjdę - odparłam i zamknęłam za nim drzwi.

Nal był przelotną miłością, ale to, w co miałam teraz wejść, nie mogło się skończyć jako krótkotrwałe zauroczenie zrodzone z przyjaźni. Flirt nie leżał w naturze Duncana Forsythe'a, sama to widziałam, bez radzenia się pani Delvecchio Schwartz. Cholera jasna! Co nas tak pcha, żeby narobić sobie życiowego bałaganu? Powinnam uprzejmie odesłać go z kwitkiem, dobrze o tym wiedziałam. Zabrakło mi siły charakteru. Nie jestem siostrą przełożoną. Włożyłam nowy zimowy kostium z różowego tweedu z gruzełkami, wsunęłam stopy w pantofle na najwyższych obcasach - nad nim i tak nie będę górować - i zaczęłam szukać jedynej pary rękawiczek. Białe, bawełniane, niestety nie skórkowe pod kolor. Kapeluszy nie cierpię, są bezużyteczne, zwłaszcza na epileptycznych włosach.

W Bohemian zjedliśmy jajka po rosyjsku i pieczeń z rusztu Esterhazy. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Nalegał, żebyśmy wzięli butelkę musującego burgunda, który niemal podwoił koszt posiłku. Pan Czerny obsługiwał nas osobiście i omal nie zemdlął z wrażenia, gdy Duncan Forsythe położył na stole szeleszczący, niebieski pięcioletni banknot i powiedział, że reszty nie trzeba.

Poszliśmy do Bohemian na piechotę i wracaliśmy tak samo. Gdy w ciemności zarysowała się sylwetka szkoły dla dziewcząt Saint Vincent's, ruszyłam skosem przez drogę, nie myśląc o samochodach, a wtedy złapał mnie za ramię. Spanikowałam, czując jego dotyk, i zatoczyłam się na platan. W następnej chwili opierałam się plecami o drzewo, mając przed sobą Duncana. Usłyszałam jego szybki wdech, a potem poczułam, jak jego usta przesuwają się po moim policzku. Zamknęłam oczy, odnalazłam jego wargi i przywarłam do nich z dziką radością, tym intensywniejszą, że

zmieszaną z obawami o przyszłość.

Potem zachęciłam go wzrokiem i dotykiem, żeby wszedł do środka. Czekały na nas zapalone światła i Marcelinę, która popatrzyła z fotela, ziewając różowo.

Głowę miał odchyloną do tyłu, źrenice rozszerzone i oddychał, jakby przed chwilą biegł. Och, ile w nim było życia! Wiedziałam, że zapłaci za to wysoką cenę, musiałam więc zrobić wszystko co w mojej mocy, żeby warto było ją zapłacić.

Pieściłam go ciałem, ustami, czubkami palców, delikatnie i niespiesznie, mocno i namiętnie. Jak pięknie było kochać się z mężczyzną, zwłaszcza z tym! Nał obdarzył mnie pouczającym doświadczeniem, beztroskim i bez zobowiązań, będącym zarazem środkiem i celem. Natomiast Duncan Forsythe coś dla mnie znaczył. Nie mogłabym wykreślić go ze swojego życia. Ileż uczuć przepelniało moje serce! Całowałam jego dłonie i stopy, ujeżdżałam go, aż jego lędźwie wsunęły się między moje śliskie uda, oplotłam go rękoma i nogami i walczyłam z nim, mięśnie przeciw mięśniom, aż jego przeważająca siła przemogła mnie i zdobyła.

Został, aż minęła jedenasta. Wydawało mi się, że zupełnie stracił poczucie czasu, ale raptem wyskoczył z łóżka i popatrzył na mnie z góry.

-Muszę już iść - rzekł. Nic więcej. Kiedy się ubrał i uczesał przed moim lustrem, wrócił do mnie, nachylił się i przytknął policzek do mojego policzka. - Mogę przyjść jutro o czwartej? - spytał.

- O, tak! - odparłam.

O, tak! Chyba się zakochałam. Bo inaczej jak mogłabym dopuścić do tego, co się stało?

Niedziela. 29 maja 1960.

Toby'ego spotkałam, zanim poszłam o pierwszej na posiadówkę z panią Delvecchio Schwartz. Nie mam pojęcia, w jaki sposób nowiny tak szybko się rozchodzą, bo Toby już wiedział. Niby skąd?

- Jesteś głupia - rzucił porywczo. W jego oczach czerwień dominowała nad brązem. - Jesteś głupsza od Pappy, jeżeli to w ogóle możliwe.

Nie zaszczyciłam go odpowiedzią, tylko wyminęłam i weszłam do salonu pani Delvecchio Schwartz.

- Pojawił się król denarów - powiedziała, kiedy usiadłam i sięgnęłam po szklaneczkę z logo pasty serowej Krafta.

- Nie do wiary - rzekłam, wstrzemięźliwie sącąc brandy. Lepiej się powściągnąć, pomyślałam, skoro za parę godzin wróci pan Forsythe. - Jakim sposobem wieści tak szybko się tu rozchodzą?

-Flo - odparła krótko, podrzucając naszego aniołka na kolanie.

Flo uśmiechnęła się do mnie smutno, zsunęła z kolan matki i poszła gryzmolić na ścianie.

- Nie martwi cię, że jest żonaty? - spytała moja gospodyni, wykładając wędzonego węgorka i chleb z masłem.

Zastanowiwszy się chwilę, wzruszyłam ramionami.

- Szczerze mówiąc, jestem z tego raczej zadowolona. Nie bardzo wiem, czego chcę. Wiem natomiast z pewnością, czego nie chcę.

- A czego nie chcesz?

- Nie chcę zamieszkać na stałe w eleganckim domu i grać roli pani

doktorowej.

- No i dobrze - rzekła z wesołym uśmiechem. - Karty nie przepowiadają ci życia na przedmieściach, Harriet Purcell.

- Czy czeka mnie życie w Kings Cross? - spytałam. Zrobiła unik, nie chciała mi nic obiecywać.

- Wszystko zależy od tego. - Wskazała kryształową kulę.

Przyjrzałam się jej z zaciekawieniem i większą uwagą niż kiedykolwiek przedtem. Nie była całkiem bez skazy, choć nie widać w niej pęknięć ani banieczek powietrza. Jedyne cienkie smużki niczym gwiazdne mgławice na niebie południa. Kula tkwiła mocno w czarnej hebanowej podstawie, która musiała mieć odpowiednie zagłębienie, by utrzymać taki duży przedmiot (o średnicy co najmniej dwudziestu centymetrów). Zauważyłam też fałdkę czarnej tkaniny osłaniającej krawędź podstawy. No tak, pani

Delvecchio Schwartz musiała zabezpieczyć kulę przed zadrażnieniem o heban. W bibliotece Queens zajrzałam do informatora Mercka pod hasło „kryształ kwarcowy” i dowiedziałam się, że cechuje go „miękką” twardość. Nie nadaje się do wykorzystania jako kamień szlachetny, można go natomiast ciąć i polerować.

Dlaczego to powiedziała? To ma jakieś znaczenie. Ale jakie?

- Wszystko zależy od tego, co stanie się z kulą - powiedziałam.

- Zgadza się.

A więc zamierzała pozostać tajemnicza. Chcąc ją wy badać, zadałam od niechcienia pytanie:

- Kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby zrobić z kryształu kulę i użyć jej do przewidywania przyszłości?

-W kuli niekoniecznie widać przyszłość. Przeszłość też. Nie wiem kto, ale musiał być już stary, kiedy czarodziej Merlin był małym chłopcem - odpowiedziała, nie dając się wciągnąć w dalsze dywagacje.

Wysłałam trochę wcześniej, żeby być na dole, kiedy przyjdzie pan Forsythe. Nie wszystko miało się zmienić ze względu na niego. Czy mu się to spodoba, czy nie, zamierzałam wziąć do siebie Flo na dwie godziny. Pani Delvecchio Schwartz sprzeciwiała się, ale postawiłam na swoim. Po przyjsciu Harolda aniołek miał sfrunąć do mnie.

Harold jak zwykle czaił się w ciemności. Czekał. Z oczami pełnymi nienawiści. Ignorując go, ruszyłam schodami w dół.

- Dziwka! - szepnął. - Dziwka!

Pan Forsythe przybył punktualnie. Siedziałyśmy na podłodze, a wokół nas leżały kredki, bo Flo nie chce się bawić niczym innym. Przyniosłam z Bronte kilka własnych starych zabawek - lalkę z ubrankami, trójkołowy rowerek, klocki z literami alfabetu. Ale Flo nie chciała nawet na to spojrzeć. Interesowały ją wyłącznie kredki.

- Otwarte! - zawołałam.

Biedaczek! Kiedy wszedł, zobaczył swoją dziewczynę siedzącą na pleconym dywaniku i bawiącą się kredkami z czteroletnim dzieckiem. Ależ miał minę! Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Ona nie jest moja - wyjaśniłam.

Wstałam i podeszłam do niego. Ustami i nosem dotknęłam siwizny na jego skroni. Pachniał rozkosznie, drogim mydłem, i nie smarował tych cudownych włosów żadnym olejkiem. Wzięłam go za rękę i podprowadziłam do Flo, która popatrzyła na niego bez strachu i od razu się

uśmiechnęła.

- To jest Flo, córka gospodyni. Każdej niedzieli pilnuję jej od czwartej do szóstej, więc jeżeli się spieszysz, to, niestety, będziemy mogli najwyżej porozmawiać.

Przykucnął i uśmiechając się, pogłaskał Flo po główce.

- Jak się masz, Flo?

Ortopedzi z reguły nawiązują dobry kontakt z dziećmi, które często bywają ich pacjentami, ale mimo usilnych starań nie udało mu się nakłonić Flo do mówienia.

- Sprawia wrażenie niemej - rzekłam - ale jej matka twierdzi, że mała mówi. Zrozumiem, jeżeli odniesiesz się do tego sceptycznie. Ja i mój przyjaciel wierzymy, że porozumiewa się z matką bez słów, za pośrednictwem telepatii.

Istotnie odniósł się sceptycznie - no cóż, jest chirurgiem. Chirurdzy nie puszczają wodzy wyobraźni, a przynajmniej nie w związku z telepatią i postrzeganiem pozazmysłowym. Do tego potrzeba psychiatry, i to najlepiej pochodzącego z Azji.

Pani Delvecchio Schwartz szybko rozprawiła się dziś z Haroldem. Wpadła do mojego mieszkania, choć Flo nie była u mnie nawet pół godziny.

-Ach, tu jesteś, aniołku! - pisnęła sztucznym głosem, jakby szukając jej, przetrząsnęła cały Dom. Potem podparła się pod boki jak cyrkowy komik i udała, że dopiero w tej milisekundzie spostrzegła mojego gościa. - Oho!

Król denarów! - ryknęła i porwała zdumioną Flo. - Chodź, aniołku, nie przeszkadzaj. Państwo potrzebują trochę prywatności, he-he-he.

Rzuciłam jej spojrzenie, mówiące, że w życiu nie widziałam tak kiepskiego występu, i dokonałam prezentacji:

- Pani Delvecchio Schwartz, doktor Duncan Forsythe. Doktor jest jednym z moich szefów w szpitalu Queens. Panie doktorze, to jest matka Flo i moja gospodyni.

Nie do wiary, stara wiedźma dygnęła.

- Jestem zaszczycona, sir. - I wymaszerowała z Flo pod pachą i „he-he-he” na ustach.

-Wielkie nieba! - rzekł pan Forsythe, wybałuszając oczy. - Ona jest biologiczną matką Flo?

- Tak twierdzi, a ja jej wierzę.

- Na pewno weszła w klimakterium, kiedy urodziła to maleństwo.

-Mówiła mi o tym. Nawet nie miała pojęcia, że jest w ciąży.

Po tych słowach rozmowa się urwała na co najmniej godzinę. Och, jaki to cudowny mężczyzna! I jak do siebie pasujemy.

- Musisz przestać myśleć o mnie jako o panu Forsycie i przestać mówić do mnie sir - takie słowa padły po tej godzinie. - Wiesz, jak mam na imię. Duncan. Chciałbym usłyszeć je z twoich ust, Harriet.

-Duncan - powiedziałam. - Duncan, Duncan, Duncan.

To doprowadziło do kolejnego interludium, po którym ugotowałam ziemniaki i podgrzałam przygotowaną rano zapiekankę z jagnięciny. Jadł, aż mu się uszy trzęsły.

- Nie przeszkadza ci, że jestem żonaty? - spytał, wycierając sos kawałkiem chleba.

-Nie, Duncanie. Zrozumiałam wczoraj, że zanim tu przyszedłeś,

przemyślałeś swoją decyzję. Nic to dla mnie nie znaczy, że jesteś żonaty, dopóki nie ma to znaczenia dla ciebie.

Oczywiście, że dla niego fakt bycia żonatym ma znaczenie, co zaczął mi obszernie wyjaśniać, chociaż, szczerze mówiąc, nie miałam ochoty tego słuchać. Jakim ciężarem jest poczucie winy! Prawda jest taka, że to on mnie wypatrzył, on do mnie przyszedł - jego żona jest zimna jak ryba, traktuje go jako źródło utrzymania. Wielu lekarzy nic więcej nie znaczy dla swoich żon. Z rozmów Chris i siostry oddziałowej wiedziałam, że ożenił się z koleżanką szkolną tej drugiej - najładniejszą i najżywszą pielęgniarką na roku. Duncan w tamtych czasach, robiąc specjalizację w Queens, był najatrakcyjniejszym kawalerem. Na dokładkę jego rodzina jest obrzydliwie bogata. Stara fortuna, dorzuciła siostra oddziałowa z szacunkiem. Stara fortuna istotnie budzi szacunek w kraju, który powstał tak niedawno, zaledwie wczoraj, chociaż sądzę, że australijska definicja starej fortuny odbiega nieco od angielskiej.

Przez pierwsze kilka lat Duncan i Cathy byli całkiem szczęśliwi. Duncan rozwijał praktykę specjalistyczną, Cathy urodziła dwóch synów. Teraz Mark ma trzynaście lat, Geoffrey jedenaście. Duncan bardzo ich kocha, ale rzadko widuje, nabijając na liczniku jaguara tysiące mil, spędzając długie godziny w salach operacyjnych i konsultacyjnych, krążąc pomiędzy oddziałami a ambulatorium. Już miałam na końcu języka pytanie, czemu, u licha, wszyscy lekarze mieszkają w North Shore, pracując nieraz w szpitalach na drugim końcu Sydney, a pokoje wynajmują przy Macquarie Street, skąd nie ma wygodnego dojazdu ani do szpitali, ani do rezydencji, natomiast lekarze ze szpitala Saint Vincent's, dokąd jest

wygodny dojazd, to w większości katolicy lub żydzi, którzy mieszkają, całkiem rozsądnie, na wschodnich przedmieściach.

Nie powiedziałam jednak tego wszystkiego, ponieważ Duncan podałby inny powód niż ten, którego się domyślam. Domyślam się, że to ich żony kochają górny North Shore. Skupiają się pomiędzy Lindfield i Wahroonga, gdzie mogą jeździć eleganckimi brytyjskimi samochodami z dala od najbardziej zatłoczonych tras, mogą się spotykać na zebraniach, umawiać na brydża i tenisa. Ich dzieci chodzą do pobliskich luksusowych prywatnych szkół, a okolica obfituje w drzewa - miejscami rośnie tu prawdziwy las. Górny North Shore to raj dla dobrze sytuowanej żony.

W każdym razie Cathy Forsythe jest dla mnie zupełną żołą, chociaż Duncan lojalnie jej broni, winą za niewierność obarczając siebie. No i może - całkiem podświadomie! - troszeczkę mnie.

- Jesteś czarodziejką, moje ciemnonolice kochanie - rzekł, trzymając mnie za rękę, gdy siedzieliśmy przy stole. -Rzuciłaś na mnie urok.

Jak na takie słowa odpowiedzieć? Nie próbowałam.

Uniósł moją dłoń do warg i ucałował.

-Nie wiesz, jak to jest, kiedy osiągnie się sukces -rzekł. - Więc ci powiem. Ludzie, którzy cię kochają, zupełnie nie rozumieją, że znajdujesz radość w pracy dla niej samej. Stajesz się więźniem wizerunku, który należy do wszystkich oprócz ciebie. A sama praca polega w połowie na uszczęśliwianiu ludzi, w połowie na pilnowaniu, żeby na wielkim szpitalnym stawie nie wzbierały przeciwne fale. Mój wuj jest przewodniczącym zarządu, cholerna niedogodność od wielu lat. Byłem zadowolony, pracując jako młodszy konsultant; miałem więcej czasu

zarówno na pracę naukową, jak i dla pacjentów. Jako starszy konsultant na ortopedii spędzam nieproporcjonalnie dużo godzin na zebraniach. W szpitalu też uprawia się politykę, bardzo podobną do tej z pierwszych stron gazet.

- To musi być okropne bagno - powiedziałam ciepło, ucieszona, że jednak nie płaszczył się przed wujaszkiem. Duncan Forsythe jest dokładnie taki, na jakiego wygląda: sympatyczny, porządny, wykształcony i utalentowany. - Mniejsza o to, Duncanie. Jesteś mile widziany przy Victoria Street pod numerem siedemnaście C, kiedy tylko znajdziesz czas na wizytę.

Oczywiście nie taką odpowiedź chciał usłyszeć. Chciał, abym mu powiedziała, że kocham go do szaleństwa, że dla niego przesuwalabym góry, że będę mu prała skarpetki i robiła fellatio. No cóż, mogłabym mu prać skarpetki i robię już semifellatio, jeżeli jest to właściwe słowo na rodzaj aktu przerywanego. Nie jestem jednak pewna, czy chciałabym dać mu klucze do mojej duszy. Głęboko mu współczuję, ogromnie go lubię, upajam się seksem, łączy nas dodatkowa więź, przyjaźń na gruncie zawodowym. Ale miłość? Nie, jeżeli miałyby być kluczem do mojej duszy.

Wyszedł około dziewiątej wieczorem. Siedziałam potem przez godzinę, rozmyślając o nas, ale wciąż nie byłam pewna, czy kocham go do szaleństwa. Niech mnie diabli, jeżeli dla niego zrezygnuję z wolności! Tak jak powiedziałam pani Delvecchio Schwartz, nie chcę mieszkać w eleganckim domu i grać roli pani doktorowej.

Odczytałam na nowo wpis z sobotniego wieczoru i widzę, jak szybko zmieniłam nastawienie. W sobotę wydawało mi się, że to miłość. A teraz widzę, że to jest wszystko, tylko nie miłość. Co mnie tak odmieniło w ciągu

zaledwie doby? Myślę, że wysłuchanie jego wynurzeń o życiu i żonie. To ona załatwiła mu stanowisko starszego konsultanta!

Poniedziałek. 30 maja 1960.

Zabrał mnie dziś wieczorem przy światłach na Cleveland Street, kiedy szłam do domu. Uśmiechnął się rozbrajająco. Oczy mu błyszczały, ale od razu poznałam, że nie myśli o pójściu ze mną do łóżka. Poczułam się trochę lepiej, najwyraźniej jestem dla niego czymś więcej niż tylko atrakcyjnym kobiecym ciałem.

- Nie mam zbyt wiele czasu - rzekł, prowadząc samochód.

- Uzmysłowiłem sobie dziś, że nie zrobiłem nic, aby o ciebie zadbać, Harriet.

Cóż za dziwne sformułowanie!

- Zadbać o mnie?

- Tak, zadbać o ciebie. A może raczej powinienem spytać, jak sama o siebie zadbałaś.

Nareszcie do mnie dotarło, zapaliła się żarówka.

- Och! - powiedziałam. - O to chodzi! Niestety, w ogóle o tym nie myślałam. Moja kariera kochanki jest w powijakach. Ale na razie na pewno jestem bezpieczna. Jutro powinnam mieć okres, jest zawsze regularny.

Usłyszałam, jak westchnął z ulgą. Uspokojony, nie odzywał się przez resztę drogi. Kiedy wpuściłam go do mieszkania, wziął na ręce Marcelinę i trochę ją popieścił. Potem postawił na stole małą czarną torbę lekarską. Wcześniej nawet nie zauważyłam, że ma ją ze sobą - tak działa na mnie

jego obecność.

Wydobył stetoskop i ciśnieniomierz, osłuchał mi płuca i serce, zmierzył ciśnienie, sprawdził, czy nie mam na nogach zmian żyłakowatych, odciągnął dolną powiekę, starannie obejrzał końce palców i płatki uszu. Potem wyjął z torby bloczek i szybko wypisał receptę.

- To najlepszy z nowych doustnych środków antykoncepcyjnych, kochana Harriet - powiedział, chowając wszystkie akcesoria do torby. - Zacznij go brać, kiedy skończy ci się najbliższy okres.

- Pigułka? - wykrztusiłam.

- Tak ją nazywają. Nie powinnaś mieć żadnych problemów, cieszysz się doskonałym zdrowiem, gdybyś jednak odczuwała jakieś bóle w nogach, spłyconie oddechu, zawroty głowy, mdłości, opuchnięcie kostek czy ból głowy, natychmiast odstaw lek i tego samego dnia zgłoś się do mnie - polecił.

Popatrzyłam na nieczytelne pismo, a potem na niego. -Skąd ortopeda wie o pigułce? - spytałam z uśmiechem.

Roześmiał się.

-Każdy medyk, od psychiatry do gerontologa, wie o pigułce, Harriet. Ponieważ w każdej specjalności mamy do czynienia z jakimś aspektem niechcianej ciąży, więc wszyscy z wielką ulgą powitaliśmy tę ślicznotkę. - Ujął mnie pod brodę i z powagą zajrzał mi w oczy. - Nie chcę ci przysporzyć kłopotów, kochanie moje. Przepisałem najskuteczniejszy środek antykoncepcyjny, jaki dotąd wynaleziono, przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Pocałował mnie, zapowiedział, że zobaczymy się w najbliższą sobotę w

południe, i wyszedł.

Ależ mam szczęście! Są samotne kobiety objeżdżające całe Sydney w poszukiwaniu lekarza, który przepisuje słynną pigułkę. Niby ta pigułka jest, ale mamy do niej dostęp, tylko będąc mężatkami. A mój mężczyzna chce o mnie zadbać jak należy. Naprawdę go kocham, choć nie całym sercem.

Poniedziałek. 6 czerwca 1960.

To się musiało zdarzyć prędzej czy później. Chociaż Pappy wiedziała, że kogoś mam, tożsamość mojego przyjaciela pozostawała dla niej tajemnicą aż do dzisiejszego poranka. Pappy weszła przez drzwi od frontu o szóstej, akurat kiedy Duncan wychodził. Nie poznał jej, oczywiście, uśmiechnął się tylko i przepuścił ją uprzejmie, ale ona dobrze wiedziała, kim on jest, i natychmiast przybiegła do mnie.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołała.

- Ja też nie.

- Jak długo to się ciągnie?

- Dwa weekendy.

- Nie przypuszczałam, że go znasz.

- Prawie go nie znam.

Zabawne, że taką rozmowę toczą dwie dobre przyjaciółki, pomyślałam, szykując dla nas śniadanie.

- Pani Delvecchio Schwartz powiedziała mi, że zjawił się król denarów, a Toby - że masz kochanka, ale na myśl mi nie przyszło, że to mógłby być pan Forsythe - rzekła Pappy.

- Mnie też na myśl nie przyszło, że to mógłby być on. Miło, że poczta pantoflowa w Domu nie działa tak sprawnie, jak przypuszczałam. Toby powiedział, że jestem głupia, i od tamtej pory widuję tylko jego plecy, kiedy wchodzi po schodach, a pani Delvecchio Schwartz zaakceptowała go po tym, jak tu wpadła, żeby go poznać - powiedziałam, dając Marcelinę śmietankę.

- Dobrze się czujesz? - spytała Pappy, przyglądając mi się z powątpiewaniem. - Mówisz o tym tak obojętnie.

Usiadłam, przygarbiłam się i popatrzyłam bez apetytu na gotowane jajko.

- Czuję się dobrze, ale czy jestem dobra? Oto zasadnicze pytanie. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, Pappy! Wiem, dlaczego on to zrobił; jest samotny i pełen lęku, a jego żona jest zimną rybą.

- Jest podobny do Ezry - odparła, pochłaniając jajko. Nie podobało mi się to porównanie, ale rozumiałam,

dlaczego je zrobiła, więc puściłam jej słowa mimo uszu. Ciemny zimowy poranek, wpół do siódmej - to niedobra pora na kłótnię, zwłaszcza gdy obie mamy za sobą dwa dni zakazanej miłości z żonatym mężczyzną.

-Nie robił nigdy czegoś takiego. Nie mam pojęcia, czemu wybrał mnie. Zakochał się albo tak mu się wydaje. Kiedy tu się zjawiał, najzupełniej niespodziewanie, nie miałam serca mu odmówić - oznajmiłam.

-Chcesz powiedzieć, że ty się w nim nie zakochałaś? - spytała, jakbym popełniła grzech, jaki nie śnił się mieszkańcom Sodomy i Gomory.

- Jak można kochać kogoś, kogo się prawie nie zna? - odparłam. Nie była to najważniejsza linia obrony wobec Pappy, która tak naprawdę wcale

nie znała Ezry.

- Wystarczy przecież jedno spojrzenie - odparła sztywno.

- Naprawdę? A może to jest to, co moi bracia nazywają słoniową miłością? Właściwie to tylko moja matka i ojciec, którzy bardzo się kochają, są dla mnie jakimś wzorem. Ale mama mówi, że oni to budowali, że to trwało latami i że jest im ze sobą coraz lepiej. - Popatrzyłam na nią bezradnie. - Ja dam sobie radę, Pappy, martwię się o niego. Czy rozpoczęłam coś, za co on będzie musiał zapłacić?

Jej subtelna twarz nagle zhardziała.

- Nie żałuj go tak, Harriet. Mężczyźni i tak zawsze mają lepiej.

- Ezra pewnie wciąż szarpie się z żoną.

-Bez końca. - Wzruszyła ramionami, popatrzyła na moje jajko. - Chcesz je? Jajka to idealne źródło protein. Pchnęłam jajko przez stół.

- Jest twoje, bardziej go potrzebujesz niż ja. Słyszę rozczarowanie w twoim głosie.

- Nie jestem rozczarowana - odparła z westchnieniem. Zanurzyła kawałek tostów w płynnym żółtku, jakby interesowało ją to bardziej niż temat naszej rozmowy. - Chyba przyjełam za pewnik, że Ezra będzie mógł zaangażować się w związek ze mną bez żadnych ograniczeń. Tak bardzo go kocham! W październiku skończę trzydzieści cztery lata, och, jak by to było przyjemnie wyjść za mąż!

Nie zdawałam sobie sprawy, że ma już tyle lat, ale jej wiek wszystko tłumaczył. Pappy cierpi na syndrom starej panny. Przejście od wielu mężczyzn do tego jedyne nie zapewniło jej upragnionego bezpieczeństwa ani w wymiarze psychicznym, ani w wymiarze

materialnym. Proszę Cię, Boże, uchronić mnie przed syndromem starej panny!

Czwartek. 23 czerwca 1960.

Dziś wieczorem, kiedy poszłam na górę do łazienki, żeby wziąć prysznic, stwierdziłam, że wcale mnie nie oszukuje podsycana nadzieją wyobraźnia. Naprawdę, odkąd Duncan wkroczył w moje życie, Harold przestał mnie śledzić. W korytarzu zawsze pali się światło, a jego nie widać. Nie słyszę też za sobą na schodach szelestu stóp w skarpetkach. Nie czai się pod drzwiami, kiedy wychodzę od pani Delvecchio Schwartz. Ostatni raz spotkałam się z nim tamtego dnia, gdy nazwał mnie dziwką. Czy właśnie tego trzeba, żeby zniechęcić psychopatę? Musi pojawić się silny mężczyzna?

Wtorek. 5 lipca 1960.

Zaniedbuję brulion. To już trzeci, ale nie zapełnia się szybko, odkąd w moim życiu zagościł Duncan. Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyzna może zająć tyle czasu, nawet jeśli funkcjonuje w niepełnym wymiarze godzin. Opracował system, dzięki któremu może przebywać ze mną jak najdłużej. W sobotę jestem grą w golfa, która się przedłuża i kończy „drinkiem z kolegami” w budynku klubowym po zaliczeniu osiemnastu dołków. W niedzielę zjawia się rano i zostaje aż do czasu, gdy przychodzi do mnie Flo - owszem, troszkę go to krępuje, ale nie pozwolę, żeby jego

potrzeby okazały się ważniejsze od potrzeb Flo. Jestem po części posiadówką nad dokumentami, a potem albo nagłą operacją, albo jakimś zebraniem.

Nie wierzę, że jego żona niczego nie podejrzewa, choć według zapewnień Duncana jest kompletnie nieświadoma, iż dzieje się coś niezwykłego. Czas ma zresztą wypełniony zajęciami. Jest zapaloną brydżystką, a Duncan nie cierpi brydża i nie gra. Coś mi się zdaje, że jeśli małżonek troskliwie dba o zainteresowania swojej połowicy, łatwo mu uśpić jej podejrzliwość. Ale ta Cathy nie jest chyba szczególnie bystra. A może jest po prostu okropnie samolubna? Usłyszałam z ust Duncana wiele pouczające zwierzenia: o osobnych sypialniach (żeby jej nie budził, kiedy dostanie wezwanie w środku nocy), o relegowaniu go do „łazienki chłopców”. Nie znosi „jej” łazienki, połączonej z „jej” sypialnią - cała jest wyłożona lustrami. Cathy uchodzi za jedną z najlepiej ubranych kobiet w Sydney, a ponieważ zbliża się do czterdziestki, pilnuje wszystkiego - od kurzych łapek wokół oczu do wałeczka tłuszczu w talii. W tenisa, podobnie jak w brydża, gra niemal nałogowo, bo pomaga jej utrzymać figurę. Jest w siódmym niebie, kiedy jej zdjęcie znajdzie się w kronice towarzyskiej weekendowego wydania którejś z gazet. Dlatego Duncan nie może być ze mną w sobotę wieczorem - żona potrzebuje jego męskiego ramienia na jakiejś uroczystości bądź przyjęciu, na którym obowiązują stroje wieczorowe, przy czym najchętniej bywa na takich, gdzie krążą fotografowie i dziennikarze obsługujący kroniki towarzyskie.

Ależ puste życie! Lecz to tylko moje zdanie. Dla niej jest to zapewne właśnie takie życie, o jakim marzyła od czasów szkolnych. Pieniądzy w

bród, dwóch przystojnych synów, którym zdaje się przedłuża dzieciństwo, nie pozwalając im dorosnąć, okazały dom z dala od miasta, w Wahroondze, z prywatnym terenem o powierzchni dwóch akrów, z basenem i z sąsiadami na tyle daleko, że ich nie widać. Ma ogrodnika, służącą do szorowania podłóg, jeżdżenia elektroluksem, zmywania i prasowania, a także kucharkę, która przychodzi w te dni, kiedy Duncan jest wieczorem w domu. Ma samochód marki Hillman Minx i otwarte konta w najlepszych sklepach i dwóch salonach mody w Sydney. Skąd to wszystko wiem? Nie od Duncana, ale od Chris i siostry oddziałowej, które sercem i duszą podziwiają Cathy Forsythe. Ma to, czego pragną kobiety.

Jeśli idzie o mnie, można chyba powiedzieć, że z radością korzystam z tego, czym wzgardziła Cathy Forsythe. Doceniam tę część Duncana, której ona zdecydowanie nie chce. Dużo ze sobą rozmawiamy. O wszystkim, o jego fascynacji mięsakiem i o prywatnej sekretarce w gabinecie przy Macquarie Street, Augustine. To jeszcze jedna stara panna, po pięćdziesiątce. Traktuje Duncana jak jedyne go syna. Świetnie zorganizowana, taktowna, pełna entuzjazmu, po prostu ideał. Wymyśliła nawet specjalny system rejestrowania i przechowywania danych. Uśmiechnęłam się, kiedy mi o tym powiedział. Sprytny sposób na zapewnienie sobie pozycji osoby niezastąpionej! Biedak nie może bez niej niczego znaleźć.

Ponad pięć tygodni minęło od chwili, kiedy zapukał do moich drzwi i zaprosił mnie na kolację w Chelsea. Zmienił się od tamtej pory. Pochlebiam sobie, że na lepsze. Łatwiej przychodzi mu śmiech i te ciemne, zielone jak bagno oczy nie są już takie smutne jak przedtem. O tym, że jego wygląd

znacznie się poprawił, świadczą słowa siostry oddziałowej, która wciąż powtarza: „Zawsze wiedziałam, że pan Forsythe jest przystojny, ale nigdy nie zauważyłam, że aż tak”. Duncan kwitnie - z tego prostego powodu, że ktoś go ceni jako mężczyznę. W odróżnieniu od notorycznych podrywaczy nie jest świadomy swojej atrakcyjności, dlatego zdobycie mnie uważa za cud.

W każdym razie, dopóki Cathy Forsythe nie wyczuje pisma nosem, mam nadzieję, że wszystko pozostanie tak, jak jest. Cierpi na tym tylko mój brulion, ale to niewielka cena, jaką trzeba zapłacić za miłość i towarzystwo bardzo atrakcyjnego i niezwykle miłego mężczyzny.

Piątek. 12 lipca 1960.

Nareszcie widziałam się z Tobym. Niepokoiliam się, że tak się chowa i w ogóle go nie widać. Ilekroć weszłam na piętro Jim, Bob i Klaus, drabina Toby'ego była podciągnięta pod sufit, a dzwonek rozłączony. Jim i Bob nie zmieniły swojego zachowania w stosunku do mnie, dostrzegłam w nich jedynie coś jakby smutek - wybrałam bowiem mężczyznę, co uważają za głupie posunięcie. Klaus w każdą środę wieczorem nadal udziela mi lekcji gotowania. Umiem już smażyć i grillować, jak również dusić i gotować, ale mistrz patelni nie chce mnie nauczyć przygotowywania deserów.

- Żołądek ma osobną przegródkę na desery - rzekł z powagą. - Jeżeli teraz wyćwiczysz tę przegródkę, by się zamykała, droga Harriet, tylko na tym zyskasz, kiedy będziesz w moim wieku.

Podejrzewam jednak, że wcale nie udało mu się zamknąć własnej

przegródki na desery, jeśli wolno sądzić po figurze.

Dziś wieczorem nie poszłam zobaczyć się z Jim i Bob ani z Klausem; wspierałam się na górę specjalnie po to, żeby sprawdzić, czy Toby spuścił drabinę. Spuścił! Dzwonek też znowu wisiał na sznurku.

- Właż na górę! - zawołał Toby.

Zmagał się z ogromnym pejzażem, który nie mieścił mu się na sztalugach, więc atakował go na przymocowanej do nich prowizorycznej ramie - zamalowanej oczywiście na biało. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby tworzył podobne dzieło. Główny element jego wcześniejszych krajobrazów stanowiły zwykle piec hutniczy, wałająca się elektrownia lub dymiąca hałda. A to było coś fantastycznego. Wielka dolina wypełniająca się miękkimi cieniami, piaskowe skały czerwieniejące w promieniach zachodzącego słońca, ledwie zaznaczony zarys gór po sam horyzont, nieprzebyte lasy.

- Gdzie to widziałeś? - spytałam zafascynowana.

- Na północ od Lithgow. To dolina Wolgan, odcięta ze wszystkich stron. Dostać się tam można autem z napędem na cztery koła. Jedyne szlaki prowadzi serpentynami w dół stromego skalistego zbocza i kończy się w Newnes. To prawdziwy relikwiarz. W czasie wojny, kiedy Australia na gwałt potrzebowała paliwa, wydobywano tam łupki roponośne. Jeździłem do doliny weekend w weekend, całymi dniami szkicowałem i malowałem akwarele.

- To jest piękne, Toby, ale skąd ta zmiana stylu?

- Szykuje się umowa na malowidła do westybuli nowego hotelu w centrum, a kierownictwo szuka właśnie prac w tym stylu, tak twierdzi

Martin. - Odchrząknął. - Hotelowi projektanci wewnątrz mają zwykle układ z jakimś właścicielem galerii, ale Martin załatwił to tak, że mam szansę się załapać. On nie umie malować pejzaży, jest portrecistą, jeśli tylko nie ulega kubizmowi.

- Moim zdaniem ten obraz powinien wisieć w Luwrze -orzekłam z całą powagą.

Aż się zarumienił z zadowolenia i odłożył pędzle.

- Chcesz kawy?

- Poproszę. Wpadłam do ciebie, żeby spytać, czy mógłbyś kiedyś przyjść przetestować moje nowo odkryte talenty kulinarne - powiedziałam.

- I przeszkadzać ci, gdy w każdej chwili może się zjawić twój chłopak? Nie, dziękuję, Harriet - odparł krótko.

Ogarnęła mnie wściekłość.

-Słuchaj no, Toby, mój chłopak nie zjawia się bez uprzedzenia, tylko wtedy, kiedy ja go zaproszę! Gdy byłam związana z Nalem, ograniczyłeś się do okazania mi nietolerancji i skrytykowania mojej beztroski, ale odkąd w moim życiu zjawił się Duncan, ignorujesz mnie tak, jakbym miała romans z księciem Edynburga!

- Daj spokój, Harriet - rzekł zza parawanu. – Przecież wiesz dlaczego! Domowa poczta pantoflowa donosi, że on nie jest z tych, którzy odwiedzają dziewczyny mieszkające w Kings Cross. O ile, oczywiście, nie są to dziewczyny pracujące jak Chastity i Patience.

- Toby, masz klapki na oczach! Nie dotknęłabym bywalca przybytków prowadzonych przez madame Fugę i madame Toccatę!

- Brudna woda to brudna woda.

- Nie bądź taki prostacki! A mnie ciśnie się na usta inne pytanie. Co z kochanym profesorem Ezrą Małmazją?

- Ezra tu się nie gnieździ. To Pappy jeździ do niego. A tak w ogóle to kim jest ta twoja lordowska mość?

- Poczta pantoflowa nie dostarczyła tego strzępka wiadomości? - spytałam z sarkazmem. - Jest ortopedą w Queens.

- Kim? - spytał, przynosząc kawę.

- Ortopeda, chirurgiem ortopedą.

- Ale pani Delvecchio Schwartz mówiła o nim „mister”, a nie „pan doktor”.

- Do chirurga, który pracuje w swoim szpitalu, zawsze mówi się „mister” - wyjaśniłam. - Ale nie słyszałeś tego słowa od naszej gospodyni. Przedstawiłam jej Duncana jako lekarza.

Nie rozzłościł się, zwyczajnie uniósł brwi.

- Wobec tego dowiedziałem się od Harolda - rzekł, siadając.

- Od Harolda?

- A co w tym dziwnego? - spytał zaskoczony. - Często zamieniam parę słów z Haroldem, zwykle wracamy o tej samej porze. A to największy plotkarz w Domu, dużo wie.

- No pewnie - mruknęłam.

Ponieważ dobre zdanie Toby'ego wiele dla mnie znaczy, próbowałam mu wyjaśnić, dlaczego zadaję się z Duncanem, próbowałam go przekonać, że to, co robię, nie jest niemoralne, choć odbywa się potajemnie. Zachował twarde sceptycyzm, nie udało mi się go nadkruszyć. Ci cholerni mężczyźni i ich podwójny kodeks moralny! Zakazony jadem takiego węża jak Harold

Warner. Toż on nie przepuściłby okazji, żeby zepsuć moje stosunki z tymi, których kocham! Och, jak to boli, kiedy Toby niesprawiedliwie mnie potępia! Jest taki porządny i prostolinijny, niezdolny do krętactwa i podstępów. Czy nie rozumie, że jeśli tak otwarcie mówię o romansie z Duncanem, świadczy to o moim braku skłonności do oszustwa? Gdyby to ode mnie zależało, mógłby o tym wiedzieć cały świat. To Duncanowi zależy na utrzymaniu naszego związku w tajemnicy, żeby nie wprawić w zakłopotanie kochanej Cathy.

Zmieniłam temat. Znow zaczęłam mówić o obrazie na sztalugach, bardzo zadowolona, że nie ja byłam przyczyną nieobecności Toby'ego. Tak naprawdę to niedola Pappy wygnała go na drugą stronę Lithgow. Potem powalił mnie nowiną, że kupił kawałek ziemi po gorszej stronie torów w Wentworth Falls i buduje tam chałupę.

- Zamierzasz opuścić Dom? - spytałam.

- Za rok będę do tego zmuszony - odparł. - Kiedy roboty przejmą moją pracę, w mieście pozostanie mi tylko wrócić do życia z dnia na dzień, a jeżeli zamieszkać w Górach Błękitnych, zajmę się uprawą własnych drzewek owocowych i warzyw. Będę kupował tanio, bo ceny są tam o wiele niższe. A jeżeli podpiszę tę umowę z hotelem, zbuduję porządny dom, który stanie się moją wyłączną własnością.

Chciało mi się płakać, ale jakoś się powstrzymałam i z uśmiechem zapewniłam go, że cieszę się razem z nim. Szlag by trafił Pappy! To wszystko jej wina.

Środa. 24 sierpnia 1960.

O Boże! Cały miesiąc minął od ostatniego wpisu. Ale o czym tu pisać, skoro życie biegnie zwykłym trybem, którego nic nie zakłóca? Myślę, że wreszcie zostałam pełnoprawną

mieszkanką Cross, bo to, co wcześniej zwałało mnie z nóg, dziś już tak nie działa. Ja i Duncan ułożyliśmy wspólne życie niczym stare małżeństwo, tyle że nie straciliśmy entuzjazmu dla seksu. Przez jakiś czas próbował mnie przekonać, żebym przyjmowała jego odwiedziny częściej, również we wtorki i czwartki, ale ja twardo obstawałam przy swoim. Nawet tak krótkowzroczne idiotki jak Cathy F. mają oczy. Częstsza niż dotychczas nieobecność męża mogłaby ją skłonić do podejrzeń: dlaczego raptem Duncan z takim zamiłowaniem gra w golfa w klubie Lakes, znacznie bliżej Queens niż Wahroongi? On sam tłumaczył ten wybór chęcią gry na torze, na którym nie jest znany.

Może troszkę męczy mnie ta potajemność, lecz instykt samozachowawczy podpowiada mi, że dopóki Cathy F. żyje w błogiej nieświadomości, nie muszę dokonywać wyborów związanych z odgrywaniem roli pani doktorowej. Jego ta sytuacja drażni, ale nie chce wyznaniem zranić uczuć żony. Jest w końcu matką jego synów, a wuj zasiadający w zarządzie szpitala świata poza nią nie widzi. Co powiedział Duncan? Lepiej, żeby na wielkim szpitalnym stawie nie wzbierały przeciwne fale. A ja nie chcę, żeby przeciwne fale wzbierały na moim własnym stawie w Kings Cross.

Dzisiaj nagła fala przetoczyła się po stawie radiologii w urazówce. Chris i Demetrios zamierzają się pobrać. Chris jest uradowana i podniecona. Cały

oddział oglądał pierścionek zaręczynowy - bardzo ładny, niezwykle zestaw brylantów, rubinów i szmaragdów, należący niegdyś do matki przyszłego pana młodego. Szpitalny snobizm działa tak, że nasz skromny Grek sanitariusz, zawróciwszy w głowie starszej techniczce z rentgena, jest teraz uznawany za „obiecującego” i „dobrze się zapowiadającego”. Chris umacnia tę opinię, zachwycając się kursem dla mechaników samochodowych i warsztatem, za który Demetrios zapłacił pierwszą ratę. Sprytnie wybrał miejsce, bo warsztat jest przy Princes Highway w Sutherland i w pobliżu nie ma konkurencji. Na pewno mu się uda. Biedna siostra oddziałowa dzielnie zagryza zęby, co dobrze o niej świadczy. Mówi, że dopóki nie znajdzie odpowiedniej osoby, z którą mogłaby wynajmować mieszkanie, zamieszka w hotelu dla pielęgniarek. Poza tym pojawiła się przed nią przyjemna perspektywa zostania druhną. Mnie też Chris poprosiła, żebym została jej druhną, ale taktownie odmówiłam, obiecując, że przyjdę na ślub. Potem pożartowałam z siostrą oddziałową. Powiedziałam, że świetnie grałam w koszykówkę, więc zamierzam wykosić konkurencję i przechwycić bukiet panny młodej. Doktor Michael Dobkins zostaje w Queens. Kiedy na scenie pojawił się Demetrios, Chris zapomniała o waśni, a siostra oddziałowa uznała, że warto go zatrzymać, bo jest czujny i kompetentny.

No, no. Chris, nawet gdyby miała umrzeć jutro, nie będzie już się zastanawiać, jak to jest. Demetrios chodzi nadęty jak indor, a na twarzy Chris maluje się mina typu „wiem, jak to jest, kiedy ktoś mi dogodzi”. Miałam rację, świetnie jej to zrobiło.

Termin ślubu - ceremonii greckokatolickiej - ustalono w przyszłym

miesiącu. Chris pilnie pobiera nauki u księdza, co zapewne skończy się tym, że będzie bardziej ortodoksyjna od współwyznawców. Neofici są zwykle okropnie upierdliwi.

Niedziela. 11 września 1960.

Kiedy dziś po południu odprowadzałam Duncana do drzwi, z Flo uczeponą mojej nogi, Toby zbiegł hałaśliwie po schodach. Ledwie nas zobaczył, zatrzymał się z miną wyrażającą wewnętrzną rozterkę - dotąd bowiem udało mu się uniknąć spotkania z Duncanem. Ale po chwili wzruszył ramionami i zaczął iść w naszą stronę. Niskiemu mężczyźnie zawsze trudno jest zadzierać głowę, gdy na powitanie wyciąga rękę do kogoś znacznie przewyższającego go wzrostem. Toby poddał się obowiązкови prezentacji, starając się wyglądać jak nieustępujący w niczym bardzo wysokiemu mężczyźnie.

Wymykając się przez drzwi, rzucił mi pytanie:

- Co się dzieje z Pappy? Wygląda okropnie. I tyle go widziałam.

Z Pappy też rzadko się widuję, w tym rzecz. Ale jutro rano wstanę wcześniej i przycisnę ją do muru.

Poniedziałek. 12 września 1960.

Toby miał rację, wygląda okropnie. Nie sądzę, żeby zeszczupłała - gdyby tak było, zostałyby same kości - ale sprawia wrażenie, jakby uszło z niej życie. Kąciki jej pięknych ust opadają, oczy uciekają nerwowo na boki,

nie zatrzymując się na niczym. Nawet na mnie.

- Co się dzieje, Pappy? - spytałam. Przestraszyła się.

-Harriet, spóźnię się do pracy, a od miesiący siostra Agata nie daje mi żyć: a to wyglądam na zmęczoną, a to nie przykładam się należycie do pracy, a to spóźniam się albo w ogóle nie przychodzę w poniedziałek. Jeżeli teraz nie wyjdę, będę miała kłopoty!

- Pappy, podejmuję się odwiedzić dziś przed południem siostrę Agatę i opowiedzieć jej jakąś historyjkę, cokolwiek, co przyjdzie mi do głowy - że przejechał cię autobus, że porwali cię handlarze niewolników albo że chodzi za tobą jakiś maniak i to przeszkadza ci w pracy. Już ja to załatwię z siostrą Agatą, masz moje słowo. Ale nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki mi nie powiesz, co się z tobą dzieje! - wyrzuciłam z siebie gwałtownie.

Nagle Pappy pochyliła głowę, zakryła twarz dłońmi i zaszlochała z tak rozdzierającym smutkiem, że i ja mimo woli się rozplakałam.

Długo musiałam ją uciszać. Dałam jej brandy, posadziłam na fotelu w pozycji półleżącej i podsunęłam pod stopy niski stołek. Do tej chwili zawsze podziwiałam Pappy, która była ode mnie starsza, bardziej odczytana, bardziej doświadczona, potrafiła mocniej kochać i więcej z siebie dawać. Kochała za mocno i dawała za dużo, uświadomiłam sobie teraz. Ni stąd, ni zowąd poczułam się nie gorsza od niej, ponieważ zrozumiałam, że mam dużo tego, czego jej brakuje zupełnie - zdrowego rozsądku.

- Co się stało? - spytałam łagodnie, siedząc przy niej i mocno ściskając jej rękę.

Popatrzyła na mnie załzawionymi oczami.

- Och, Harriet, co ja teraz zrobię? Jestem w ciąży!

To nawet zabawne. Kiedy dziewczynę przepęlnia radość, zawsze mówi, że będzie miała dziecko. Kiedy jednak ogarnia ją przerażenie, mówi, że jest w ciąży. Tak jakby dobór słów wyrażał emocjonalne i umysłowe rozróżnienie pomiędzy zachwycającym faktem a budzącą lęk chorobą.

Zajrzałam w jej zmarniałą twarz z bezbrzeżnym smutkiem: nigdy nie wiadomo, co nam się może przydarzyć.

- Czy Ezra wie? - spytałam. Nie odpowiedziała.

- Czy Ezra wie? - ponowiłam pytanie.

Przełknęła ślinę, potrząsnęła głową, próbowała otrzeć dłonią świeże łzy.

- Proszę - powiedziałam, podając jej nową chusteczkę.

- Próbowałam wszystkiego - szepnęła słabo. - Rzuciłam się ze schodów.

Uderzałam brzuchem o róg stołu. Robiłam sobie irygację amoniakiem, a potem wodą z mydłem. Kupiłam od strażnika ergotaminę, ale po niej tylko wymiotowałam. Posunęłam się nawet do tego, że stopiłam haszysz z serem na grzance i zjadłam, ale po tym też tylko wymiotowałam. Próbowałam wszystkiego, Harriet, wszystkiego! Ale nadal jestem w ciąży. - Jej twarz stężała w wyrazie przerażenia. - Co ja teraz zrobię?

- Przede wszystkim, kochanie, musisz powiedzieć Ezzle. To również jego dziecko. Nie uważasz, że ma prawo wiedzieć?

- Harriet, byłam taka szczęśliwa! Co ja teraz zrobię?

- Powiesz Ezzle - odparłam stanowczo.

- Byłam taka szczęśliwa! A to mi wszystko zepsuje. Ezra pragnie wyemancypowanej partnerki seksualnej, a nie kolejnych dzieci.

- Który to miesiąc? - spytałam.

- Nie jestem pewna. Prawie dwadzieścia tygodni.

- Boże święty! Połowa ciąży!

- Nic jej nie ruszyło, nie!

- Najwyraźniej nie chcesz tego dziecka. Pappy zaczęła drzeć, a potem się zatrzęsła.

-Ależ chcę! Powiedz mi tylko, w jaki sposób mogłabym je mieć. Ezra nie może mi pomóc, przecież ma już siedmioro dzieci! Żona nie chce mu dać rozwodu, chociaż o mnie wie. Jak mogłabym mu o tym powiedzieć?

- Do zrobienia dziecka potrzeba dwojga, Pappy. Musisz powiedzieć! Nieważne, ile ma już dzieci, do tego nowego też musi się przyznać, musi wziąć za nie odpowiedzialność. - Dałam jej jeszcze trochę kawy z dodatkiem brandy. - Dlaczego tak długo trzymałaś to w sekrecie? Przecież wiedziałaś, że wszyscy cię wesprzemy.

- Nie byłam w stanie o tym mówić, nie mogłam o tym powiedzieć nawet pani Delvecchio Schwartz - szepnęła, osuszając łzy. - Zanim w ogóle zaczęłam podejrzewać ciążę, nie miałam chyba dwóch okresów. Potem zaczęłam liczyć, ale widocznie ciąża była tak zaawansowana, że ani ergotamina, ani nic innego nie poskutkowało. Och, Harriet, co ja teraz zrobię?! - powtórzyła znajomy okrzyk.

- Przede wszystkim zadzwonimy do Ezry na uniwersytet, i powiemy mu, że musisz się z nim dzisiaj tutaj spotkać.

Kiedy się dowie, zobaczymy, co dalej - powiedziałam, siląc się na optymizm.

Gdy odmówiła, poszłam do swojej sypialni, gdzie na usilną prośbę Duncana miałam zainstalowany telefon, zadzwoniłam do siostry Agaty i powiedziałam, że Pappy jest taka chora, że żadna z nas nie przyjdzie do

pracy. Potem odszukałam Ezrę i kazałam mu się stawić w ciągu godziny. Gdyby rozmawiała z nim Pappy, pewnie by się wykrecał, ale usłyszawszy mój dziwny, twardy jak stal głos, powiedział, że przyjdzie.

Pappy zasnęła. Próbowałam czytać książkę, ale mój umysł cały czas pracował, nie pozwalając mi zrozumieć ani jednego słowa. Pigułka antykoncepcyjna przynosi kobiecie prawdziwe wyzwolenie, myślałam. Dlatego właśnie, kiedy już ją mamy, kiedy dysponujemy czymś tak wspaniałym, jest tak potępiana, tak trudno ją dostać. Jest w gestii głównie mężczyzn. Niektóre grupy religijne nazywają ją złem, a obłudna zgraja polityków ucieka przed nią z wrzaskiem. Ale już niedługo mężczyźni nie będą w stanie kontrolować dystrybucji pigułki. Decydującą rozgrywkę poprowadzą kobiety. Pigułka to władza.

Przypuszczałam, że Ezra nie zalicza się do grona przeciwników pigułki. Uznał zapewne, że Pappy, pracując w szpitalu, ma do niej dostęp. Sam nie pracuje w służbie zdrowia, więc skąd miałby znać zasady, na jakich działają szpitale? Powinien jednak ją zapytać. Może to zrobił. Pappy powiedziała mi kiedyś, że sama używa krążka dopochwowego. Ale tych dwoje, spędzając razem weekendy, zajmowało się rozszerzaniem gamy przeżyć za pomocą haszyszu i kokainy. Zapewne nie zachowali należytej ostrożności, kiedy odbyli zwykły stosunek. Och, Pappy, trzeba było trzymać się fellatio!

Pozwoliłam jej przespać się pół godziny, potem ją obudziłam i powiedziałam, żeby wzięła prysznic i przygotowała się na wizytę Ezry.

- Jestem zapuchnięta od płaczu - zaprotestowała.

- Sen rozwiązał ten problem, a teraz ty musisz rozwiązać problem Ezry - odparłam twardo.

- Przepraszam, że ci się nie zwierzyłam, Harriet, ale te słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Nie mogłam ich z siebie wykrztusić. I wciąż sobie powtarzałam: jeżeli nie powiem nikomu ani słowa, problem zniknie; jeżeli poczekam jeszcze trochę, problemu nie będzie. Czy to nie dziwne? Można by pomyśleć, że coś tak bardzo niechcianego zniknie z czystej rozpacz. Ale nie to. Nie to.

- W takim razie zdecydowanie nie chcesz podtrzymać tej ciąży - powiedziała, prowadząc ją przejściem.

- Chciałabym! Och, jak bym chciała, żeby to było możliwe! - zawołała.

- Chcę urodzić, bo bardzo kocham Ezrę, a to przecież jego dziecko. Pragnę tego dziecka, bo chciałabym mieć dla kogo żyć. Ale to jest absolutnie niemożliwe. Z czego bym się utrzymała? Samotne matki nie dostają nic, sama o tym wiesz, Harriet.

- Jest jakaś zapomoga na koszty utrzymania, ale oczywiście tak mała, że nie wystarczy nawet na skromne życie bez pracy. Może urodzisz i oddasz do adopcji?

- Nie, nie, nie! Wolałabym zabić embrion, niż oddać dziecko do adopcji! Żeby rosło w przekonaniu, że rodzona matka go nie chciała? Przeszłabym przez wszystko jak głodujący piekarz, który formuje bochenek chleba, żeby nasycił się nim ktoś inny. Nie, aborcja to jedyne wyjście. - Znow miała łzy w oczach. - Och, Harriet, to takie beznadziejne! Już nigdy nie będę taka jak przedtem. Ale czy jest jakieś inne wyjście?

- Ezra ci pomoże - powiedziała z udawanym przekonaniem.

- Nie ma na to pieniędzy - odparła.

- Bzdura! Ma duży dom dla żony i siedmiorga dzieci, mieszkanie w

Glebe i dochody pozwalające na zakup nielegalnych narkotyków - argumentowałam. - Przygotuj się, Pappy, Ezra będzie tu za dwadzieścia pięć minut.

Wizyta trwała krótko. Kiedy usłyszałam trzaśnięcie drzwi od frontu, usiadłam i czekałam na Pappy. Po dziesięciu minutach sama się do niej udałam.

- Poszedł! - powiedziała zdumiona. -Na dobre?!

- O tak, zdecydowanie na dobre. Nie może mi pomóc, Harriet, nie ma pieniędzy.

- Miał pieniądze na to, żeby cię wpakować w ten kłopot - odparłam ostro. Drań! Gdyby był w pobliżu, w zasięgu moich rąk, przyłożyłabym mu do krocza ostry skalpel. Światowej sławy filozof musiałby zmienić zawód i wstąpić do Wiedeńskiego Chóru Chłopięcego.

Potem zaczęła się prawdziwa bitwa, którą przegrałam. Dlaczego uczucia rządzą ludźmi tak wszechwładnie, że nie dopuszczają do głosu odrobiny zdrowego rozsądku? Pappy pragnie mieć to dziecko, ale nie chce nawet słyszeć o tym, by pozwać ukochanego Ezrę do sądu albo choćby pójść do jego żony i poprosić ją o pomoc. Nie, nie, nie, Ezra nie może cierpieć! Nie może ucierpieć jego kariera, za wszelką cenę należy utrzymać jego pozycję zawodową! Ciągłe mówiła o aborcji jako jedynym rozwiązaniu, powtarzała z uporem, że dziecko jest przeklęte, bo ojciec go nie chce, że nie sprowadzi takiego dziecka na świat.

I tak cały czas w kółko. W końcu spytała, czy mogłaby pożyczyć pieniądze na aborcję ode mnie. Jest splukana, bo pomagała drogiemu Ezrze kupować te drogie nielegalne prochy.

Zostawiłam ją i poszłam na górę do pani Delvecchio Schwartz, którą trzeba było zawiadomić o zaistniałym fakcie. Teraz ja się załamalam i nie mogłam przestać płakać. Gospodyni chodziła koło mnie, cmokała ze współczuciem i poila brandy.

- Niech się pani nie waży powiedzieć, że to było w kartach! - wrzasnęłam, kiedy odzyskałam mowę. - Gdyby tak było, powinna pani temu zaradzić!

- Gówno prawda, księżniczko - odparła. - Nie można sterować cudzym życiem, a jeżeli ktoś nie pyta, co wróżą mu karty, nie można się z tą wiedzą narzucać. Karty nie działają w ten sposób. Ani szklana kula, ani progresje.

- Cięża ma już prawie dwadzieścia tygodni - powiedziałam trochę spokojniej. - Wiem, że Pappy bardzo chciałyby mieć to dziecko, chociaż tyle mówi o aborcji. Czy nie moglibyśmy się wszyscy złożyć na to, żeby mogła zachować dziecko?

- Nie, nie moglibyśmy - odparła kobieta, którą zawsze uważałam za dobrą, hojną i wspaniałomyślną. - Pomyśl, Harriet Purcell, pomyśl! Owszem, przez pewien czas moglibyśmy jej pomagać, ale Toby niedługo się wyprowadza, a Jim i Bob nie zechcą wydawać na Pappy i jej dziecko gotówki zebranej na walkę o prawa kobiet. A ty? He? Co będzie, jeżeli jednak zdecydujesz się na życie na przedmieściach i dasz stąd nogę? Wydaje ci się, że ja przejmę całą odpowiedzialność na siebie?

Wstała, obeszła stół i stanęła nade mną, przyszpilając mnie tymi strasznymi oczami.

- Naprawdę myślisz, że nie wiem, że ze mną jest coś nie tak? - spytała surowo. - Mam guz na mózgu. Żyję i tak o wiele dłużej, niż mi dawano.

Może pożyję jeszcze długo, ale gwarancji nie mam. Byłam u samego Gilberta Phillipsa. A on nigdy się nie pomylił. Jeżeli mówi, że masz guz na mózgu, to go masz. Nie jest złośliwy, ale siedzi w mojej głowie i pewnie czasem sobie trochę podраста. Ten cholerny doktor z Saint Vincent's kazał mi brać pięć lat temu jakiś nowomodny hormon, no i bęc! Urodziłam Flo. Więc przestałam brać to świństwo. I co mi pozostaje? Pchać życie do przodu. Wszyscy musimy to robić. Więc zostaw Pappy w spokoju. Niech sama podejmie decyzję, słyszysz, księżniczko?

Siedziałam jak sparaliżowana i gapiłam się na panią Delvecchio Schwartz, jakbym widziała ją pierwszy raz w życiu.

Kiedy odzyskałam dech, podjęłam ostatnią próbę obrony swoich racji. Oznajmiłam, że byłoby mnie stać na utrzymanie Pappy. Na co spytała: a co by powiedział na to mój mąż, gdybym go miała? I tak dalej.

- No dobrze - rzekłam pokonana. - Pozostawię tę decyzję Pappy. Ale jestem głęboko przekonana, że zachowałaby dziecko, gdyby tylko mogła jeszcze poczekać i dojść do równowagi. Ale kiedy ciąża liczy prawie dwadzieścia tygodni, nie może już dłużej czekać. Tylko kto dokona tak późnej aborcji?

- Spytaj tego swojego doktora Forsythe'a - powiedziała. Nie mogę już dłużej pisać, jestem pijana. Ile wstrząsów

można przejść jednego dnia i nie zwariować? Czuję się tak, jakby cały świat zadrżał i usunął się spod moich stóp. Stoję na obcym lądzie, samotna i zagubiona. Jeżeli ja się tak czuję, to jak czuje się biedna Pappy? A ta olbrzymka na górze z rosnącym w mózgu orzeszkiem?

Wtorek. 13 września 1960.

Duncan i ja opracowaliśmy system, dzięki któremu możemy nawzajem dać sobie znać, że musimy się pilnie zobaczyć. Tuż po ósmej zabrał mnie spod świateł na Cleveland Street i odwiózł do domu, gawędząc po drodze niezobowiązująco. To właśnie w nim lubię. Zachowuje niewzruszony spokój, szanuje cudze uczucia, wie, że poważną rozmowę należy prowadzić w odpowiednim czasie i okolicznościach.

Biedny facet! Walnęłam go swoim pytaniem prosto w splot słoneczny, ledwie weszliśmy do mnie.

- Duncanie, czy znasz kogoś, kto usunie ciążę liczącą około dwudziestu tygodni?

- Dlaczego pytasz? - spytał spokojnie, lecz czujnie.

- Chodzi o Pappy - odparłam.

- A więc profesor krzywousty dał dyla? - powiedział, podchodząc do szafki, w której mieszka brandy.

Wyrzuciłam z siebie resztę tej historii, nie pomijając pani Delvecchio Schwartz i jej guza mózgu.

- Bardzo współczuję Pappy - rzekł, podając mi szklanekę brandy. - Nie pomyślała o tym, żeby urodzić dziecko, a potem oddać je do adopcji? To przyjęte rozwiązanie.

- Rzuciła się na mnie jak harpia, kiedy to zaproponowałam.

Pociągnął duży łyk brandy i zatrząsł się.

- Chyba się przyzwyczajam do tych kocich sików. A skoro mowa o kotach... Gdzie się podziała jej mrużająca wysokość Marcelinę?

Przez dobre kilka minut czule ją pieścił - ladacznica mięknie jak wosk pod jego dotykiem. Potem powiedział:

- Skoro świętej pamięci Gilbert Phillips zdiagnozował guz mózgu, w takim razie pani Delvecchio Schwartz na pewno go ma. Na rentgenie czaszki musiało być widoczne jednoznaczne zwapnienie.

Zęby zaszczękały mi o brzeg szklanki.

- Och, Duncanie, co stanie się z Flo, jeżeli... jeżeli ona umrze? To będzie koniec Domu. Nie mogę nawet o tym myśleć.

Odłożył Marcelinę i przysiadł na poręczu mojego fotela.

- Będzie, co ma być, Harriet. Nawet z guzem może dożyć sześćdziesiątki albo i więcej. Teraz mamy problem z Pappy, a nie z panią Delvecchio Schwartz. Czy Pappy nie zastanowiłaby się nad możliwością urodzenia dziecka i zatrzymania go?

- Myślę, że zrobiłaby to z największą radością, ale jej na to nie stać. Jeżeli nie będzie mogła pracować, nie będzie miała na czynsz ani na jedzenie. Cholera, czemu ten mit o upadłej kobiecie dotrwał do drugiej połowy dwudziestego wieku? Czy nigdy nie będziemy posługiwali się rozumem? Bóg stworzył ciążę, ale nie małżeństwo! Małżeństwo wynaleziono po to, aby mężczyźni mogli mieć pewność, że ich dzieci są ich dziećmi. Ale kobiety są przez to obywatelkami drugiej kategorii!

- Przestań mówić jak ten krzywousty profesor, Harriet. Skupmy się na brutalnej rzeczywistości - rzekł, patrząc na mnie srogo.

-Chce przerwać ciążę, a ja nie mogę wybić jej tego z głowy.

-I chcesz, żebym odesłał ją do odpowiedniej osoby - dorzucił z wielką powagą. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że prosisz mnie o złamanie

prawa?

Prychnęłam.

-Głupstwa gadasz, Duncanie! Nie proszę cię, żebyś zrobił to sam, chcę tylko poznać kogoś, kto się tego podejmie. Podaj mi nazwisko, tylko nazwisko! Resztą sama się zajmę.

- Wątpię, czy komisja etyki albo dyscyplinarna są skłonne do dzielenia włosa na czworo, Harriet. Z chwilą gdy podam ci nazwisko, stanę się współwinnym.

No tak, oczywiście!

- Jakie mam inne wyjście? - spytałam. - Jeżeli ja jej nie pomogę, pozostaje pokątny zabieg drutem do robótek, o ile w ogóle ktoś dotknie tak zaawansowanej ciąży. Mogłabym zwrócić się po sąsiedzku o pomoc do burdelmamy, jednej czy drugiej, ale przypuszczam, że drobne wpadki, jakie tam się zdarzają, są załatwiane w ciągu pierwszych sześciu tygodni za pomocą ergotaminy.

- W porządku, kochanie - powiedział, całując mnie. -Mam, co chciałem. Odkąd jesteśmy razem, odrzucałaś każdy dar, który ci ofiarowywałem. Teraz mogę ci wreszcie dać coś, co przyjmiesz. Jest takie bardzo miłe, ustronne sanatorium za miastem, specjalizujące się w przypadkach takich jak Pappy. Zabiegi chirurgiczne są tam na najwyższym poziomie, podobnie jak opieka medyczna i pielęgnarska. Zadzwoń z twojego telefonu i załatwię przyjęcie Pappy jutro z samego rana. - Wstał. - Ale najpierw porozmawiam z nią w cztery oczy.

- Ile to będzie kosztowało? - spytałam, odczuwając ogromną wdzięczność. - Mam na koncie w banku tysiąc funtów.

- Profesjonalne przysługi nic nie kosztują, Harriet. Siedział u Pappy przeszło pół godziny. Wrócił bardzo smutny.

- Mogę skorzystać z twojego telefonu? - spytał.

Poszłam za nim do sypialni, rozebrałam się i wsunęłam do łóżka, co go zaskoczyło. Myślę, że nie spodziewał się z mojej strony fizycznego pocieszenia w ten okropny wieczór, ale ja lubię spłacać długi. Dziwne, pomyślałam, patrząc, jak się rozbiera - zwykle jednocześnie zrzucamy ubranie, więc nigdy tak naprawdę nie miałam okazji dobrze mu się przyjrzeć. Przy swoich czterdziestu dwóch latach mógłby być dla krawca utrapieniem, a jest skarbem.

- Masz przepiękne ciało - powiedziałam.

To zważyło go z nóg. Wstrzymał oddech i znieruchomiał. Czy kobiety nigdy nie prawią mężczyznom komplementów? Z ust żony widać ich nie słyszał. Kiedy się żenił, jego doświadczenia seksualne sprowadzały się do kilku na wpół zatartych w pamięci zbliżeń po pijaku.

Środa. 14 września 1960.

O szóstej rano obudziło mnie walenie do drzwi tak natarczywe, że musiałam wstać i otworzyć.

Toby wepchnął się do środka i stanął, patrząc na mnie ponuro.

- Pani Delvecchio Schwartz posłała mnie na dół- rzekł. -Próbowałem dowiedzieć się czegoś o Pappy. Ona nie chce mi nic powiedzieć, a Pappy nie ma w domu.

Poszłam zrobić kawy, rzucając mu spojrzenie spode łba.

- Pozwól, ja to zrobię - rzekł, odpychając mnie na bok. - Chcę się dowiedzieć, co się dzieje z Pappy, więc skup się na tym.

No to mu powiedziałam. Słuchał z bólem, zgrzytając zębami i waląc pięścią w blat.

- Odnajdę drania i zatłukę go na śmierć!

- Zanim to zrobisz, posłuchaj lepiej, co ma na ten temat do powiedzenia pani Delvecchio Schwartz - poradziłam, kryjąc twarz w kubku. - Pappy nie chce, żeby Ezrze włos spadł z głowy, jest zdecydowana chronić go za wszelką cenę, nawet za cenę życia swojego dziecka. Nie chce podać go do sądu o alimenty, nie chce poinformować żony, nie chce zrobić absolutnie nic, co mogłoby pokrzyżować plany życiowe pana profesora. A pani Delvecchio Schwartz jeszcze ci dołoży, bo powie, że nie jesteś Pappy mężem, ojcem, bratem, wujkiem czy kuzynem, więc nie masz żadnego prawa niczego powiedzieć ani zrobić.

-A miłość nie jest wystarczającym uzasadnieniem? -spytał. - Pappy nie ma żadnej rodziny. Kto się nią zaopiekuje, jeżeli nie my?

- Opiekujemy się nią Toby. Robimy to, czego ona sama sobie życzy - odparłam cicho. - Co się stało, to się nie odstanie. Dzięki Bogu jest Duncan Forsythe. Jeżeli Pappy nie ma, to znaczy, że już wyjechała do sanatorium. Nie wiem, jak się ono nazywa ani gdzie jest, bo Duncan nie chciał mi powiedzieć. Nikomu ani słowa! Trzymaj nerwy na wodzy. Nie waż się kłapać dziobem do Harolda Warnera, kiedy go spotkasz, wracając z pracy, choćbyś tylko chciał zamydlić mu oczy. Jeżeli puścisz parę z ust, przysięgam, Toby, że cię wykastruję! Ten wściekły człowieczek nie da się łatwo oszukać, a jest niebezpieczny.

Wątpię, czy Toby słyszał, co mówię, taki był zdenerwowany. Na dodatek cierpiał z tego powodu, że Duncan może pomóc więcej niż on. Bardzo mu współczułam. Nie chcę nawet myśleć o tym, co przechodził, kiedy Pappy zadawała się z Ezrą.

Drugi kubek kawy trochę go uspokoił. Toby doszedł do siebie na tyle, że obrzucił mnie spojrzeniem pełnym... pogardy?

- Wyglądasz, jakbyś była bardzo zadowolona - rzucił ostro.

- Zadowolona? Jak to?

- Pomimo ciężkiej doli Pappy chyba nieźle się zabawiałaś z tym swoim wielkim chirurgiem, kiedy tylko załatwił przyszłość Pappy - rzekł szyderczo.

Uderzyłam go otwartą dłonią tak mocno, że aż się zachwiał.

-Nie waż się mnie sądzić! - szepnęłam. - Nie waż się, do cholery, mnie oceniać! Nie waż się osądzać Duncana Forsythe'a! Twój problem polega na tym, że nie możesz znieść, kiedy inni potrafią więcej zrobić dla Pappy niż ty! Wielka szkoda, rzeczywiście! Pogódź się z tym i nie wyzywaj się na mnie!

Był taki blady, że ślad po mojej dłoni odcinał się jak znamię na skórze.

- Przepraszam - rzekł sztywno. - Masz rację. Nie martw się, jakoś się z tym pogodzę.

Otoczyłam go od tyłu ramieniem i krótko uścisnęłam. Odwzajemnił uścisk, wysunął się spod mojej ręki, uśmiechnął i znikł.

Nie najlepszy początek dnia. Musiałam pójść do biura siostry Agaty i powiedzieć, że Pappy przez dwa tygodnie będzie nieobecna.

-Ależ to bardzo dziwne i nieprzepisowe, panno Purcell! - rzekła siostra

Agata. - Dlaczego siostra Sutama nie zgłosiła się do izby chorych?

- Poszła do miejscowego lekarza - skłamałam. - A on kieruje swoich pacjentów do Saint Vincent's albo do prywatnych szpitali na wschodnich przedmieściach. - Och, czemu wszyscy tak to komplikują?

- To nie ma nic do rzeczy, panno Purcell. Pielęgniarka Sutama jest pracownicą szpitala, a zatem ma prawo korzystać z łóżka w Queens niezależnie od tego, u kogo się leczy. Oddano by ją po prostu pod opiekę jednego z naszych specjalistów, którzy, o czym z pewnością nie muszę pani przypominać, są najlepsi.

- Siostró Toppingham, naprawdę nic więcej nie potrafię powiedzieć. Wiem tylko, że pielęgniarka Sutama wolała pozostać pod opieką własnego lekarza.

- Bardzo, bardzo dziwne! - powiedziała siostra Agata, zacmokała i przeszyła mnie spojrzeniem tych swoich bladoniebieskich oczu.

Wyczuła pismo nosem, pomyślałam. Sztywna, wykrochmalona starucha. Ale jeśli przez trzydzieści lat dowodziła małą armią młodych kobiet, to przecież wie, że czasem jeden dodać jeden daje trzy.

- Bardzo przepraszam, siostró - odparłam służbiście.

- W porządku, panno Purcell, w porządku. - Nachyliła się nad leżącymi na biurku papierami. - Jest pani wolna.

Weszłam w sam środek kolejnej katastrofy, tym razem zwyczajnej jak szpitalne życie. Zdezorientowany pacjent wymagał kojącej opieki Harriet Purcell.

Na szczęście mniej więcej po godzinie sytuacja uspokoiła się i usiadłyśmy, żeby napić się herbaty. Dołączyła do nas siostra oddziałowa -

ślub coraz bliżej. Ale Chris najpierw uczepiła się mnie.

- Czemu się spóźniłaś? - spytała.

-Musiałam się zgłosić do siostry Agaty. Pappy jest chora.

- Co jej jest?

- Nic takiego, ale miejscowy lekarz odesłał ją do szpitala.

- Biedactwo! A do którego? Do Saint Vincent's czy Sydney? Zajrzymy do niej, Marie i ja, w drodze do domu.

- Nie możecie jej odwiedzić. Jest w sanatorium za miastem.

Chris i Marie wymieniły porozumiewawcze spojrzenie - ach, więc to tak - i zmieniły temat, biorąc na tapetę ślub.

Całe szczęście, że Pappy nie związała się z nikim z personelu! Chris i siostra oddziałowa zachowały się taktownie, ale wieść o nagłej chorobie Pappy ani chybi rozejdzie się pocztą pantoflową. Wszyscy ją znają, od trzynastu lat pracuje niezmiennie na rentgenie. Już przy rozmowie z Chris i siostrą oddziałową dostałam gęsiej skórki. Można sobie myśleć, że sekret i tak wyjdzie na jaw, można nawet uznać, że nie ma to większego znaczenia, ale kiedy człowiek znajdzie się o krok od ujawnienia prawdy, kiedy prywatna sprawa ukochanej przyjaciółki ma się stać tajemnicą poliszynela - och, wtedy wszystko wygląda inaczej! Co by było, gdyby mama i tata się dowiedzieli? Boże święty, chyba bym umarła, gdyby mama i tata pomyśleli, że ich córka zburzyła cudze szczęście rodzinne! Jeżeli Cathy F. dowie się o wszystkim, przylgnie do mnie taka etykietka. Burzycielki cudzego szczęścia.

Sobota. 17 września 1960.

Kiedy dziś w południe przyszedł Duncan, zerwałam z nim.

- Nie mogę znieść niepewności i napięcia - próbowałam wytłumaczyć mu swoją decyzję, nie wchodząc w szczegóły; pominęłam szpitalną pocztę pantoflową i spoliczkowanie Toby'ego za robienie przykrych uwag. - Wiem, że wybrałam nieszczególny moment, akurat po tym, jak wspaniale zająłeś się Pappy... wychodzę na niewdzięcznicę! Ale myślę o mamie i tacie, rozumiesz? To, co robię ze sobą i swoim życiem, jest moją sprawą, dopóki w moim życiu nie ma żonatego mężczyzny. Wtedy to już nie jest tylko moja sprawa. Jak mogłabym spojrzeć w oczy mamie i tacie? Jeżeli będziemy się nadal spotykać, w końcu na pewno wyjdzie to na jaw. Więc musimy przestać się spotykać.

Jego twarz! Jego oczy! Biedak miał taką minę, jakbym go zabiła.

- Masz rację, oczywiście - rzekł drżącym głosem. - Ale ja widzę inne rozwiązanie. Harriet, nie mogę bez ciebie żyć. Trudno się nie zgodzić z tym, co mówisz, kochana. Za nic w świecie nie chciałbym, abyś czuła, że nie możesz spojrzeć w oczy swoim rodzicom. Najlepiej więc będzie, jeżeli bezzwłocznie poproszę Cathy o rozwód. Po przeprowadzeniu rozwodu będziemy mogli się pobrać.

O dobry Boże! Na taką odpowiedź w ogóle nie liczyłam, a już na pewno nie chciałam jej usłyszeć.

- Nie, nie, nie! - krzyknęłam, trzepocząc rękoma jak szalona. - Nie, tylko nie to, nigdy!

- Chodzi ci o skandal - rzekł, wciąż blady jak trup. - Dołożę wszelkich starań, żebyś była z niego wyłączona, Harriet. Wynajmę kobietę, która

odegra rolę tej trzeciej, i nie będziemy się widywać do czasu, aż będę wolny. Niech sobie Cathy trąbi o swoim nieszczęściu na łamach brukowej prasy, niech sobie brukowa prasa używa do woli! Dopóki nie zostaniesz w to wciągnięta, nieważne, ile obrzydliwości trzeba będzie znieść. - Ujął moje dłonie, potarł je o siebie. - Moja ukochana, Cathy może sobie wziąć, co tylko zechce, a tobie i tak niczego nie zabraknie. Pieniędzy jest dość, możesz mi wierzyć.

O Boże! Nie rozumiał, o co mi chodzi. Nie przyszło mu na myśl, że nie chcę grać roli pani doktorowej. Że nie jestem zdolna do odegrania tej roli nawet dla niego. Może gdybym kochała go trochę mocniej, zdobyłabym się na takie poświęcenie. Kłopot jednak w tym, że kocham go nie do końca, nie całkowicie i nie bez reszty.

- Duncanie, wysłuchaj mnie - rzekłam głosem twardym jak stal. - Nie jestem gotowa wyjść za mąż za kogokolwiek, nie dojrzałam do tego, żeby zapuścić korzenie. Szczerze mówiąc, wątpię, że kiedykolwiek do tego dojrzeję, że dojrzeję do takiego życia, jakie wiodłabym z Davidem albo z tobą.

Zazdrość, nawet w takim momencie!

- Kto to jest David? - spytał.

- Mój były narzeczony, nic dla mnie nie znaczy - odparłam. - Wróc do żony, Duncanie, albo znajdź kobietę, która zechce żyć w twoim świecie, jeżeli życie z Cathy stało się dla ciebie nie do zniesienia. A o mnie zapomnij. Nie chcę romansować z żonatymi. I nie chcę, żebyś marzył o mnie jako o drugiej pani Forsythe. Między nami skończone, mówię jasno i wyraźnie.

- Nie kochasz mnie - rzekł głucho.

-Ależ kocham cię. Tylko nie chcę wić gniazdko na przedmieściu. Nie chcę też czuć się zbrukana.

- A dzieci! Przecież na pewno chcesz mieć dzieci! - wyjąkał.

- Nie przeczę, że chciałabym mieć przynajmniej jedno dziecko, ale tylko na moich warunkach. Wolałabym raczej nie mieć dziecka niż prosić mężczyznę, by przejął odpowiedzialność za mój los. Nie jesteś taki jak Ezra, Duncanie, ale należysz do tego samego świata co on, spodziewasz się podobnych zobowiązań, w identyczny sposób szufladkujesz kobiety. Jedne dla rozrywki, inne dla prokreacji. Przyjęłam to jako wielki komplement, że wolałbyś mieć mnie za żonę niż za kochankę, ale nie chcę być ani jedną, ani drugą.

- Nie rozumiem cię - rzekł, nie posiadając się ze zdumienia.

-Nie rozumiesz i nigdy nie zrozumiesz. — Podeszłam do drzwi. - Do widzenia, sir. To prawdziwe pożegnanie.

- A więc żegnaj, ukochana - odpowiedział i wyszedł.

Och, jakie to było straszne! Widocznie kocham go naprawdę, bo okropnie mnie to bolało. Cieszę się jednak, że już po wszystkim, bo przecież z czasem mogło być jeszcze gorzej.

Sobota. 21 września 1960.

Dziś Christine Leigh Hamilton została panią Demetriosową Papadopulos. Uroczystość była cudowna, choć nieco dziwaczna. Domyślałam się, że poprzedziły ją dyplomatyczne zabiegi i targi - ten

zwyczaj przez wzgląd na pannę młodą, a ten przez wzgląd na pana młodego - aż oboje się pogodzili i pojednali. Krewni i przyjaciele pana młodego zasiadali po jednej stronie kościoła, a panny młodej - po drugiej. Jego strona była wypełniona po brzegi, jej strona w jednej trzeciej - kilku lekarzy z żonami, a poza tym same stare panny. Przyszedł doktor Michael Dobkins z żoną fizjoterapeutką. Przy okazji wiele się wyjaśniło. Fizjoterapeutka była uderzająco podobna do Chris, miała nawet takie same klockowate nogi. No cóż, mając pieniądze, mogła sobie pozwolić na soczewki kontaktowe. Skąd wiem, że je nosi? Bo ma minę „jestem ślepa jak kret, kiedy nie noszę okularów”. Nawet jeśli przyrządy optyczne pozwalają ślepotom dobrze widzieć, to ci i tak patrzą na świat mętym wzrokiem krótkowidza.

Ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć, był Duncan. No, ale przyszedł w komplecie ze swoją panią. Uświadomiłam sobie, że przecież Chris musiała go bardzo dobrze znać z czasów, kiedy pracowała w głównym rentgenie - ortopedzi oglądają dużo zdjęć kości. Przyczałam się na tyłach kościoła, w koronkowej różowej chustce na głowie. Nie noszę kapelusza, więc nie włożyłam go nawet na ślub Chris. Byłam całkiem zadowolona ze swojej obcisłej różowej sukienki z dżerseju, dopóki nie popatrzyłam na panią Forsythe. Pani doktorowa - fiu, fiu! Kreacja od Jacques'a Fatha, jeśli sędzić po przylegających do ciała beżowych draperiach. Beżowe skórkowe rękawiczki z siedmioma guzikami, beżowe skórkowe pantofle od Charles'a Jourdana i beżowy kapelusz, tak elegancki, że w życiu nie włożyłaby go żadna przedstawicielka rodziny królewskiej. Pomiedzy nami, wystrojonymi parweniuszami (mniejsza o to, czy ze

Starych, czy z Nowych Australijczyków), wyróżniała się bardzo i odstawała od nas jak jaja od psa, pomimo że jej włosy, cera i oczy też miały beżowy odcień. Dziwne, że nie wtopiła się w tło. Nosiła perły tak spłowiałe i zmatowiałe, że musiały być prawdziwe.

Duncan wyglądał okropnie, choć pani doktorowa zadbała o to, by był odpowiednio ubrany, aczkolwiek sama uroczystość, jestem tego pewna, budziła w niej niesmak. Tylko tydzień, a Duncan tak przygasł. Nie zbliżył się do jej beżowego odcienia, lecz przybrał różne odcienie szarości. Miał szarą cerę i szpakowate włosy - czy w ciągu tygodnia może pojawić się tyle siwizny? Pewnie tak, skoro można całkiem osiwieć z dnia na dzień. Dla mnie wyglądał tak, jakby lada chwila miał go dopaść zawał, ale na to jest przecież zbyt sprawny. Nie, Harriet Purcell, on najzwyczajniej w świecie cierpi, i to przez ciebie, ty cholerna samolubna suko! Ale byłam zadowolona, że przyjrzałam się pani doktorowej. Pewnie jej więcej nie zobaczę.

Okazuje się, że Chris nie ma żadnej bliskiej rodziny, więc prowadziła ją siostra Agata! Panna młoda była w krynolinie od Scarlett O'Hara, z białego tiulu, z niezliczonymi koronkowymi falbankami, z ciągnącym się z tyłu imponująco długim trenem, podtrzymywanym przez dwie małe Greczynki, które potykały się rozkosznie. Jej przejściu towarzyszyły głośnie westchnienia. Siostra Agata miała sukienkę z pastelowej niebieskiej gipiury i kapelusz, za który królowa matka dałaby się zabić - słomkowy, niebieski, w kształcie wazy do ponczu, ozdobiony sztywnymi wiehcami fioletoworóżowej siatki i dwiema fioletowymi orchideami. Takież kwiaty

zdobiły i suknię. Siostra oddziałowa - dziś raczej Marie O'Callaghan - była jedyną druhną i wystąpiła w kremowych koronkach na żółtym jak żonkil atlasie. Panna młoda niosła bukiet, jaki widuje się tylko na zdjęciach ślubnych z lat dwudziestych i trzydziestych - płożąca się masa białych lili i orchidei. W dłoniach druhny pyszniła się równie oszałamiająca wiązanka z kremowych róż. Ponieważ kupno kwiatów należy do pana młodego, chyłę czoło przed Demetriosem.

Przyjęcie urządzono w greckiej restauracji w Kensington. Wypadło, w moim przekonaniu, wspaniale. Rodzice Demetriosy byli tacy z niego dumni! Udało mu się złapać Starą Australijkę, nareszcie można było zapomnieć o tanich biletach za dziesięć funtów i przeprawie z Grecji na pokładzie okropnego jak skorupka karalucha stateczku. Papadopoulosowie dołączyli do głównego nurtu australijskiego społeczeństwa. Forsythe'owie ograniczyli się do wizyty w kościele, a potem wyszli na dwór i tonąc w konfetti, uścisnęli dłoń pana młodego, cmoknęli w policzek pannę młodą, po czym odjechali wielkim czarnym rollsroyce'em, zapewne udając się na kolejną, bardziej odpowiadającą ich wymaganiom uroczystość. Myślę, że żadne z nich mnie nie zauważyło, bo skryłam się w kościele za filarem, a potem, aż do odjazdu rollsa, czaiłam się w przedsionku.

Na przyjęciu mogłam się więc swobodnie zabawić. Tańczyłam z kilkunastoma Grekami, którzy rozbierali mnie błyszczącym wzrokiem, rzucałam razem z najlepszymi z nich talerzami i próbowałam tańczyć przy piosence z filmu Nigdy w niedzielę, ale uznałam, że o wiele zabawniej jest usiąść wygodnie i popatrzeć, jak robią to mężczyźni. Świetnie im szło. Ruszali się z gracją i zapamiętaniem, muzyka była cudowna. Nie

zauważyłam, by w orszaku panny młodej entuzjasmowano się jedzeniem, ale ja pałaszowałam z apetytem. Musaka, gołąbki w liściach winorośli, maciupeńkie klopsiki, sałatka tabuli, pieczona na rożnie jagnięcina, bakłazany, oliwki, karczochy, ośmiorniczki i kalmary. Ryżowy pudding był nie z tego świata, słodki, kremowy, przetykany brązowymi wstążeczkami gałki muszkatołowej i cynamonu. Obzerałam się jak świnia.

Pomimo tylu boskich potraw i wianuszka admiratorów, proszących mnie do tańca albo do łóżka, udało mi się trochę poobserwować stół na podwyższeniu. Chris i Demetrios siedzieli jak w transie i nic nie jedli, za to siostra oddziałowa i drużba Constantin patrzyli sobie w oczy i nieśmiało podrzucali jedno drugiemu smaczne kąski, częściej jednak chichotali, popijając retsinę. Czeka nas drugi ślub na oddziale wypadkowym, ot co! Kiedy Demetrios i Chris mieli już opuścić gości, panna młoda zebrała siły, których nie brakuje komuś, kto na co dzień przerzuca woreczki z piaskiem, i przymierzyła się do ciśnięcia ogromnego bukietu w stronę rozwrzeszczanej hordy zdesperowanych kobiet. Wykorzystałam wówczas dawną umiejętność gry w koszykówkę, tyle że w nieco inny sposób, niż zapowiadałam. Pchnęłam siostrę oddziałową, żeby stanęła, gdzie trzeba, a gdy wiązanka frunęła w moją stronę, wypiąstkowałam pachnący pocisk prosto w jej ręce. Marie była zachwycona.

Niedziela. 25 września 1960.

Ani Harold, ani ja nie widzieliśmy się w poprzednią niedzielę z panią Delvecchio Schwartz, ponieważ przyjmowała swoją najważniejszą

klientkę, panią Desmondową Jak-jej-tam - nigdy nie pamiętam ich nazwisk. Możliwe, że umówiła się tak z premedytacją, z powodu kryzysu Pappy. A propos, Pappy jeszcze nie wróciła. Bardzo się o nią martwię, ale jestem pewna, że gdyby działo się coś niedobrego, to przecież sanatorium by nas zawiadomiło. Może ogólny stan jej zdrowia jest tak kiepski, że lekarze woleli wstrzymać się trochę z zabiegiem, a po zabiegu zatrzymać ją na jeszcze kilka dni.

Tak zasugerowałam dziś pani Delvecchio Schwartz, a ona rozsądnie zgodziła się z moimi domysłami.

Wiedziała już, oczywiście, że pozbyłam się Duncana, choć zrobiłam to po cichu, nikomu, nawet jej, o tym nie wspominając. Lecz ona i tak wiedziała. Wszystko jej mówią karty. Czy to ten guz obdarza ją wieszczymi zdolnościami? Podobno są takie części mózgu, których nie wykorzystujemy, są w nas siły, o których istnieniu nie wiemy. Czy naprawdę są ludzie zdolni do kierowania mocą żywiołów? Zdolni do nadawania biegu zdarzeniom? Przebijający spojrzeniem pomrokę dziejów? Chciałabym to wiedzieć, ale nie wiem. Wiem tylko, że pani Delvecchio Schwartz albo ma najlepszą na świecie siatkę szpiegowską, albo naprawdę, wykładając karty, widzi, co się dzieje.

Musiałam złożyć sprawozdanie z wesela, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu. Opowiedziałam o sześciu kryształowych kieliszkach do wina, które dałam w prezencie szczęśliwej parze, i o tym, jak siostra Agata tańczyła bez wytchnienia, aż migwały jej drobne stopki. Kto by się tego po niej spodziewał? Retsina ma nieprzewidywalną moc.

Flo wyglądała na wyczerpaną, choć jej matka twierdzi, że w ten

weekend nie było klientek. Kiedy przyszłam, Flo wpatrywała się we mnie tak, jakby wiedziała, przez co przechodzę, chociaż kryję się z tym przed całym światem, nie dałam upustu uczuciom nawet na kartkach tego brulionu. Nikt nie ma prawa wtykać nosa w moje sprawy, nawet ten ktoś, kto zerwał włos na szafce z tilsiterem, kiedy odlepił plastelinę i wetknął głowę do środka. Ktoś przeczytał moje stare bruliony. Nie stały tak jak przedtem, równiutko. Kiedy je znalazłam, leżały, a na pewno same się nie przewróciły. Ktoś zna moje sprawy niemal do dnia dzisiejszego, bo właśnie zaczynam nowy brulion. Aż mi się od tego zrobiło gorzko w ustach, chociaż znam winowajcę. Harold! Żeby zdobyć przewagę nad wrogiem, zaciągnęłam zasłony, stanęłam na łóżku i wepchnęłam bruliony do włazu pod sufitem. Harold musiałby przynieść drabinę, jeśli w ogóle przyszłoby mu do głowy tam zajrzeć. Tak bym chciała mieć kogoś, z kim mogłabym porozmawiać o Haroldzie. Zacznie od nowa prowadzić tę okropną wojenkę przeciwko mnie, kiedy nie ma już Duncana?

Flo wie albo wyczuwa, przynajmniej częściowo, to, przez co przeszłam, głowę bym za to dała. Widać to w oczach mojego aniołka. Podeszła do mnie, ledwie usiadłam. Wdrapała mi się na kolana, wycalowała mnie po twarzy, przytuliła się i zaczęła bawić paluszkami. Potem wysunęła ukradkiem rączkę w stronę szklanki z brandy.

-Nie z mojej, kochanie - zaprotestowałam. - Jeżeli chcesz łyczek, poproś mamę.

- Och, pozwól jej pociągnąć odrobinę - zadudniła pani Delvecchio Schwartz. - Odstawiłam ją wreszcie od piersi, więc zasługuje na pocieszenie.

- Co panią do tego skłoniło? - spytałam zdziwiona.

- Zobaczyłam to w kartach, księżniczko. - Sięgnęła do mojej prawej ręki, obejrzała dłoń i roześmiała się. - Nic ci nie będzie, Harriet Purcell. Ciebie to nie zdołuje. Kazałaś mu wrócić do żonki, hę?

- Tak. Robił się coraz bardziej zaborczy, a potem powiedział, że poprosi żonę o rozwód, aby pobrać się ze mną i założyć przykładne stadło. Ale mnie na samą myśl o tym robiło się niedobrze. - Westchnęłam. - Staralam się, żeby to nie było dla niego ciężkim przeżyciem.

- Mężczyźni są bardzo dumni. Każdy ciężko przeżywa, kiedy kobieta pokazuje mu drzwi. To naprawdę piękny mężczyzna, dżentelmen i uczona głowa. Bylibyście dobraną parą, ale nie na stałe. Tego w kartach nie ma. Tyle wody w zetknięciu z takim ogniem to jak wulkan nad oceanem, prędzej czy później byłby wielki wybuch.

- Stawiałaś mu horoskop? - spytałam zaskoczona.

- Tak. Mocny Lew, Baran, Strzelec. Wygląda i zachowuje się jak Panna z domieszką Wagi i Strzelca, ale pod powierzchnią płonie w nim powolny ogień. Pomiędzy Wenus a Saturnem jest obciążona kwadratura. Choć nie ma on jej typowej cechy, czyli samolubstwa, okrutnie go ona pęta. Szkoda, że nie wiem, w jakim znaku wschodzi.

- Skąd pani zna jego datę urodzin? Nawet ja jej nie znam!

- Zajrzałam do australijskiego Who's Who - oparła zadowolona.

- Poszła pani do biblioteki?

- Nie, księżniczko! Mam własną.

Jeżeli to prawda, nie trzyma książek w tym pokoju. Bardzo pomogły mi jej słowa otuchy - wszystko minie, w morzu pływa dużo ryb, moja królowa

mieczny ma dobrą pozycję, mój duch jest silny i niezłomny. Ale jeszcze bardziej pomogła mi Flo. Nie ruszyła się z moich kolan aż do przyjścia Harolda. Wtedy czmychnęła pod kanapę.

Harold wygląda strasznie. Chorobliwa cera, zaniedbany. Sypie się, jego poczucie własnej wartości wyraźnie osłabło. Był kiedyś nieskazitelnie ubrany - nadęty pedant w staroświeckim garniturze, ze złotym zegarkiem i dewizką biegnącą w poprzek kamizelki. A teraz przypomina włóczęgę. Kołnierzyk przy koszuli jest postrzępiony, spodnie pogniecione, na rzadkich szarych włosach widać łupież. Och, pani Delvecchio Schwartz, niech pani będzie dla niego miła!

Nie potrafi się jednak zdobyć na dobre słowo pod jego adresem. Nie lubi go, chciałaby się go pozbyć, ale karty mówią, że on ma coś zrobić dla Domu, a pani Delvecchio Schwartz nie uczyni nic, co sprzeciwiałoby się karcianej wyroczni. Więc dziobie go złośliwościami jak wrona truchło, celując w najmniejsze i najbardziej odsłonięte części.

- Za wcześnie przyszedłeś - warknęła.

Nawet jego głos stracił ostrość, przesadnie dystygowane samogłoski spłaszczyły się i nabrały australijskiej nosowości.

- Na moim zegarku jest punktualnie czwarta - rzekł, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Nienawiść, nienawiść, nienawiść.

- Mam gdzieś twój zegarek! - ryknęła. - Jesteś za wcześnie, więc odwal się.

Coś podobnego, Harold ruszył do ataku!

- Cicho bądź! - krzyknął piskliwie. - Cicho bądź, cicho bądź!

Och, Flo, nie powinnaś tego słuchać, a przecież wszystko słyszysz, siedząc pod kanapą! Skuliłam się na krześle i modliłam w duchu, żeby karty uwolniły matkę Flo z tego ohydneho niewolniczego związku, w którym sama się uwięziła.

Pani Delvecchio Schwartz po prostu go wyśmiała.

- Tfu! Haroldzie, nie jesteś już groźny nawet dla tych chłopaczków w szkole! - powiedziała z pogardą. - Te pokrzykiwania nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. Tak jak twój wąż w rozporku, słonko. - Mrugnęła do mnie porozumiewawczo, upewniając się, że on także to widzi. -Prawdę mówiąc, księżniczko, gdyby był centymetr krótszy, byłaby tam dziura.

- Cicho bądź, cicho bądź! - wrzasnął znowu. Nagle obrócił się na mnie, z oczami płonącymi nienawiścią jak ognisko podlane benzyną. - To twoja wina, Harriet Purcell! To wszystko twoja wina! Odkąd się tu zjawiłaś, wszystko się zmieniło!

Nawet gdybym była w stanie odpowiedzieć, pani Delvecchio Schwartz nie dopuściłaby mnie do głosu.

- Daj spokój Harriet! - zadudniła. - Co ona ci zrobiła?

- Wszystko zmieniła! Wszystko zmieniła!

- Bzdura! - rzekła kpiąco. - Dom potrzebuje Harriet. Usłyszawszy to, zaczął krążyć po pokoju, załamując ręce, wciskając głowę w ramiona, trzęsąc się i wzdrygając. Dobry Boże, pomyślałam, on naprawdę stracił rozum!

- Dom, dom, przeklęty dom! - zawołał. - Wiesz, co sobie myślę, Delvecchio? Myślę, że masz niezdrowy stosunek do tej... tej kobiety! Harriet chce, Harriet dostaje. Niczym się nie różnisz od tamtej obrzydliwej

pary na górze! Och, czemu jesteś taka okrutna?

- Odwal się, Haroldzie - powiedziała z niebezpiecznym spokojem. - Spieprzaj stąd. Karty mogą sobie mówić, że muszę cię tu trzymać, ale dość już się naciupciałeś, słonko. Od tej chwili możesz się masturbować. Spierdalaj!

Rzucił mi jeszcze jedno palące spojrzenie i wyszedł.

- Przepraszam cię za to, księżniczko - powiedziała do mnie. A potem zwróciła się do kanapy: - Możesz już wyjść, aniołku, Harold nigdy więcej nie wejdzie do tego pokoju.

- Pani Delvecchio Schwartz, z Haroldem dzieje się coś złego, jego umysł nie pracuje prawidłowo - powiedziałam z całą powagą i stanowczością, na jaką potrafiłam się zdobyć. - Jeżeli koniecznie chce go pani trzymać w Domu, to proszę, błagam, niech pani będzie dla niego miłsza! Jego stan się pogarsza, na pewno pani to widzi! Szpieguje mnie, a przynajmniej robił to, dopóki nie zjawił się Duncan. A teraz, kiedy Duncana już nie ma, może znów zacząć mnie szpiegować.

Och, jak to możliwe, że ona jest taka inteligentna, a jednocześnie taka tępa?! W odpowiedzi prychnęła szyderczo, głośno jak nosorożec.

- Już ty się o Harolda nie kłopotcz, księżniczko - rzekła. -Karty mówią, że taka pluskwa jak Harold w niczym ci nie zagraża.

Karty, karty, wciąż te cholerne karty!

Przynajmniej miałam dla siebie Flo przez dwie godziny. Byłam zachwycona. Ledwo wytrzymałam scenę, jaka rozegrała się pomiędzy dwojgiem jakże niedobrych kochanków, najgorsza jednak była myśl, od której w trakcie tej utarczki serce zamieniło mi się w ołów - ich zerwanie

oznaczało, że Flo nie będzie już mnie odwiedzać w niedzielne popołudnia. Myślę, że Flo czuła to samo, kuląc się pod kanapą, ponieważ kiedy matka podała ją mnie, ożywiła się tak, że zmiękłam jak niegdyś pod wpływem uśmiechu Duncana. Jak niegdyś. To już przeszłość, Harriet, to już przeszłość. Och, jak mi go brak! Dziękuję Bogu, że nie brak mi mojego aniołka.

Flo przepada za drugim aniołkiem, Marcelinę. Żeby tylko tak jak Marcelinę przybierała na wadze! Moja pięcioletnia kotka waży już dziesięć funtów i nadal tyje. Jakaż to przyjemność patrzeć, jak tarzają się obie po podłodze! Postanowiłam, że Flo musi zacząć się bawić klockami z alfabetem. Próbowałam posyłać jej myśli, ale jakoś do niej nie docierają. Jeżeli więc nauczę ją czytać i pisać, będziemy mogli się porozumieć.

Słuchała z uwagą, kiedy pokazywałam jej A i B, i C, i T, i kilka innych liter. Zdawała się wszystko rozumieć, gdy budowałam słowa CAT (kot) i DOG (pies). Ale kiedy podałam jej klocki, wychodziło z tego CTB i DAC. Nie potrafi nawet podać mi A albo B. Nic to dla niej nie znaczy. Widocznie ośrodek w mózgu odpowiedzialny za umiejętność czytania jest uszkodzony lub w ogóle nie istnieje. Och, Flo!

Poniedziałek. 26 września 1960.

Pappy musiała wrócić bardzo późnym wieczorem, kiedy obie z Marceline już spałyśmy. A widocznie w Domu działają jakieś nadprzyrodzone siły, bo obudziłam się dwie godziny wcześniej niż zwykle, z przekonaniem, że Pappy wróciła. Wzięłam maszynkę do kawy i poszłam

do jej pokoju. Czekwały na mnie szeroko otwarte drzwi.

Pappy siedziała przy stole. Popatrzyła na mnie z uśmiechem. Och, wyglądała o niebo lepiej niż przed wyjazdem! Wyściskałam ją i wycalowałam, nalałam dla nas obu kawy, usiadłam. Na stole leżały porozkładane kartki papieru, jedne czyste, inne z zapisanymi fioletowym atramentem pojedynczymi słowami.

- Ezra Pound... jeszcze jeden EzraL. miał taki zamaszysty charakter pisma - powiedziała. - Napisałam do niego, kiedy siedział w więzieniu. Odpisał. Czy to nie zdumiewające? Muszę ci pokazać list od niego, napisany ołówkiem na kartce wydartej z zeszytu. Jego poezja jest cudowna! Próbowałam napisać wiersz, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów.

- Znajdziesz je, później. I jak było? Nie zrobiła uniku.

- Nie najgorzej. Miałam krwotok pooperacyjny, dlatego dłużej leżałam. Traktowali mnie tak, jakbym miała mięśniaka macicy, taką diagnozę wpisano mi do karty.

To bardzo dobrze zarządzana placówka. Miałam osobny pokój. Nie widziałam innych pacjentek. Bardzo rozważne posunięcie. Jedzenie było dobre; okazali zrozumienie, kiedy powiedziałam, że nie jem mięsa. Przeszedł dietetyk i wytłumaczył mi, że muszę bardzo starannie zbilansować pożywienie, by dostarczyć organizmowi niezbędne aminokwasy, że muszę jeść jajka, ser, orzechy. Więc już nie będziesz mogła się na mnie wściekać, Harriet, będę jadła zgodnie z nakazami zdrowego rozsądku.

Mówiła to wszystko głosem łagodnym, lecz zupełnie pozbawionym życia.

- Harriet - rzekła nagle - czy czujesz się czasami tak, jakbyś nie mogła zrobić kroku naprzód, tylko kręciła się cały czas w kółko?

- Ostatnio dosyć często - odparłam cierpko.

-Taka jestem zmęczona tym ciągłym kręceniem się w kółko.

Przełknęłam ślinę, próbując wymyślić jakieś słowa pocieszenia, które nie otworzyłyby jej ran. Skończyło się na tym, że siedziałam i patrzyłam na nią oczami pełnymi łez.

- Umiesz uczyć? - spytała.

- Ja? Uczyć? Uczyć czego?

-Chciałabym przystąpić do egzaminu kwalifikacyjnego dla pielęgniarek, ale mam braki w elementarnym wykształceniu. To zabawne, umiem czytać i pisać jak prawdziwy literat, ale nie potrafię przeprowadzić analizy ani rozbioru zdania, a podstawowe cztery działania arytmetyczne wykonuję jak przedszkolak. Ale mam już dość bycia pomocą pielęgniarzką. Chcę zostać wykwalifikowaną pielęgniarzką - oznajmiła.

Co za ulga! Nie chciała wrócić do szalonych weekendów i mężczyzn na pęczki. Ezra omal jej nie zabił, ale dzięki niemu się wyzwoliła.

Obiecałam, że postaram się pomóc. zaproponowałam, by spotkała się z siostrą tutorką w Queens i dowiedziała się, jakie wymagania są stawiane na egzaminie.

- Myślisz, że Duncan da mi opinię? - spytała.

- Jestem pewna, że jak najchętniej, Pappy. Odetchnęła głęboko.

-Zaproponował, że będzie łożył na mnie i na moje dziecko. Że da mi tyle pieniędzy, bym nie musiała pracować i mogła je dobrze wykształcić. Wiedziałaś o tym?

Och, Duncanie! Jaki ty jesteś dobry, a ja jaka okrutna!

- Nie - odparłam. - Nie powiedział mi o tym.

- Bardzo się zdenerwował, kiedy odmówiłam. Nie rozumiał mojej decyzji.

- Ja też nie rozumiem.

- Dbanie o dziecko i jego matkę jest zadaniem ojca. Jeżeli ojciec nie wykazuje chęci podjęcia swoich moralnych i etycznych zobowiązań, żaden inny mężczyzna nie może ich wypełnić. W przeciwnym wypadku sąd mógłby dowieść, że ów mężczyzna jest ojcem.

- Prawo jest do dupy - powiedziałam z obrzydzeniem.

- Muszę podziękować Duncanowi za wszystko, co dla mnie zrobił. Poproś go, żeby przy najbliższej wizycie zajrzał też do mnie, dobrze?

- Musisz podrzucić kartkę do jego skrytki w Queens. Zerwałam z Duncanem.

Zasmuciło ją to bardziej niż konieczność uporania się z mięśniakiem, a przynajmniej tak mi się zdawało. Nie mogła pojąć, czemu go odprawiłam. Według niej zdradziłam najwspanialszego mężczyznę na świecie. Nie próbowałam jej wyjaśniać swojego punktu widzenia. Po co jeszcze bardziej ją dołować?

Środa. 19 października 1960.

Tracę zapał do wszystkiego, nawet do wpisów w tym brulionie, chociaż poprzednie wydają się bezpieczne nad sufitem.

Harold powrócił do starych zagrywek. Może dlatego, że tak mi brak

Duncana, zbzikowany drań wygrał przynajmniej bitwę, jeżeli nie wojnę. Przestałam chodzić na górę, żeby wziąć prysznic; korzystam z łazienki w pralni. Och, doszło już do tego, że włosy jeżyły mi się na głowie i dostawałam gęsiej skórki, zanim postawiłam stopę na ostatnim schodku. Kiedy zerkałam zza węgła, żarówka się nie świeciła, drzwi do toalety były zamknięte. Głęboka, przerażająca ciemność.

- Dziwka! - szeptał. - Dziwka!

Zamierzam więc kupić sitko natryskowe, kawałek rury i parę kolanek. Spróbuję, może sama skonstruuje sobie prysznic. Spytałam panią Delvecchio Schwartz, czyby go nie zainstalowała, ale ostatnio ona też była w jakimś dziwnym humorze. Chyba nawet nie usłyszała, co do niej mówię. Negatywne wpływy przybrały na sile, powtarzała, a raczej mamrotała pod nosem. Wynika z tego jasno, że już nie jadamy razem lunchu w niedzielę. Najważniejsze, że jeszcze odwiedza mnie Flo. Ale nauka alfabetu jej nie idzie.

Toby w weekendy znika - buduje chałupę w Wentworth Falls. W tygodniu trzyma się uczeniem Pappy, która zawzięła się, że pod koniec listopada podejdzie do egzaminu wstępnego. Próbowałam sama ją uczyć, ale jestem na tyle dobra z matematyki, że nie mogę zrozumieć kogoś, kto ma kłopoty z prostą arytmetyką. Niestety, nie jestem urodzoną nauczycielką. Natomiast Toby okazał się cudownie cierpliwy i wyrozumiały. Spędzają razem długie godziny od poniedziałku do piątku. Pappy wygląda dobrze, jest tylko przygaszona.

Dzięki Klausowi umiem już świetnie przyrządzać europejskie potrawy, a dzięki Nalowi i Pappy również kilka indyjskich i chińskich dań. Czy to

nie zabawne, że nie chce mi się gotować dla siebie? Kulinarne talenty zachowuję dla gości - nielicznych - którzy przychodzą na kolację. Właściwie głównie dla Jim i Bob. Przychodzą w czwartek wieczorem, czasem razem z adwokatką Joe i jej przyjaciółką Bert. Poznałam ich prawdziwe imiona. Jim to Jemima; nie dziwię się, że nienawidzi tego imienia. Jak rodzice mogą zrobić coś takiego własnemu dziecku? Bob i Bert mają obie na imię Roberta, a Joe to Joanna. Po tamtej okropnej historii z policjantami Frankie (Frances) trzyma się daleko od Cross, mieszka teraz gdzieś w Drummoyne. A to dlatego, że biedną Olivię odesłano z Rozelle do Callan Park - biedaczka całkiem zwariowała, żyje we własnym świecie. Ale Frankie jej nie opuszcza, choć opuściła ją własna rodzina. Żałosne, prawda?

Kiedy zaprosiłam na kolację Norma - pieczony kurczak, pieczone ziemniaki, tradycyjne australijskie jarzynki, jakżeby inaczej - dowiedziałam się, że straszna historia o Frankie i Olivii zatacza coraz szersze kręgi, a nasi policjanci z Kings Cross są oburzeni i zawstydzeni. No cóż, jak w każdej dużej grupie, tak i wśród policjantów są różni ludzie - dobrzy, źli, obojętni. Nasi mundurowi zostawiają lesby w spokoju, nie uważają dziewczyny za gorszą tylko dlatego, że jest lesbą, podobnie jak nie uważają za gorszą takiej, która pracuje w branży. Dbają tylko, żeby stróż moralności nie podnosili rabanu. A mnie się zdaje, że to właśnie ci ostatni, podburzając ludzi przeciw temu co nieuniknione, przyczyniają się do szerzenia najgorszych występków, natomiast politycy podlizują się stróżom moralności dla własnych interesów. Należy strzec się ludzi uzależnionych od władzy. Ambicji polityków nie towarzyszy talent. Są to albo prawnicy,

którym się nie udało, albo niespełnieni nauczyciele, ewentualnie czasem jacyś działacze związkowi.

Zejdź z tego pudła po mydle, z którego wygłaszasz mowę, Harriet Purcell!

Wspomniałam Jim i Bob o Haroldzie, wierzą mi.

- Jak myślicie, chyba nie zacznie się czaić w pralni, co? - spytałam z drżeniem.

Jim zastanowiła się, pokręciła głową.

- Nie, nie przypuszczam, Harry. Przykleił się do piętra pani Delvecchio Schwartz, to centrum jego wszechświata. Chce cię odizolować od staruszki, to wszystko. Gdyby zamierzał cię zaciukać, to już by spróbował.

- Was też nienawidzi - dodałam posepnie.

- Tak, odzywa się w nim stróż moralności. Och, jest o nas zazdrosny, ale wie, że nie znaczymy dla staruszki tak wiele jak ty.

Jim jest wspaniałą osobą! Siedziała przede mną mocna jak rzemień albo jak stalowa sprężyna, szczupła i muskularna, z kościstą twarzą zdecydowanie bardziej męską niż kobiecą. Nic dziwnego, że gdy gna z rykiem na harleyu davidsonie z Bob na tylnym siodełku, świat postrzega ją jako młodego mężczyznę - wypisz, wymaluj chłopak pędzący na złamanie karku ze swoją ukochaną. Mogę nawet zrozumieć, czemu rodzice Bob, niemłodzi, żyjący poza miastem, nigdy sobie nie uprzytomnili, że Jim jest kobietą. Jak to mądrze z ich strony!

Jim zaproponowała, że pomoże mi zainstalować prysznic.

Poniedziałek. 7 listopada 1960.

No, jestem oficjalnie odpowiedzialna za rentgen na oddziale urazowym. Chris odeszła w zeszły piątek po małym przyjęciu zorganizowanym przez siostrę oddziałową, która dawniej oblałaby takie pożegnanie łzami, a teraz zniosła je z uśmiechem, bo w cichości ducha ma nadzieję, że za rok pójdzie w ślady Chris. Constantin (kucharz w restauracji Romano's) wciąż jest w niej zakochany. Kiedy Chris oznajmiła, że spodziewa się dziecka, gromadka techniczek i pielęgniarek zaczęła się rozplýwać w zachwytach, piszczeć i chichotać. Na szczęście kilka skomplikowanych nagłych przypadków położyło kres zabawie i wszystkie wróciłyśmy do pracy.

Na moje miejsce przyjęto nową techniczkę - bardziej doświadczoną. Jest zaręczona ze starszym rezydentem, więc pośledniejsze stanowisko w ogóle jej nie przeszkadza. Nazywa się Ann Smith i czeka ją długie narzeczeństwo, bo doktor Alan Smith (nie potrzebuje zmieniać nazwiska!), zanim zwiąże się węzłem małżeńskim, musi najpierw pokierować swoją karierą zawodową. Ale czemu wybrano mnie na kierownicze stanowisko?

- Pracuje pani znakomicie, panno Purcell - rzekła siostra Agata, gdy stałam na baczność przed jej biurkiem. -Postanowiłam zastąpić pannę Hamilton panią, ponieważ jest pani bardzo sprawna, doskonale zorganizowana i potrafi szybko podejmować decyzje, co ma pierwszorzędne znaczenie w pracy na oddziale urazowym.

- Tak, siostro, dziękuję, siostro - odpowiedziałam odruchowo.

- Chyba że... - zawiesiła głos złowieszczo.

- Chyba że co, siostro? - spytałam.

- Chyba że planuje pani zamążpójście, panno Purcell. Mimo woli uśmiechnęłam się.

- Nie, siostrze, zapewniam panią, że nie planuję zamążpójścia.

- Świetnie, świetnie! - Nie do wiary, uśmiechnęła się. - Jest pani wolna, panno Purcell.

Kierownicze stanowisko to jednak zupełnie co innego. Chris była bardzo dobrą techniczką, ale jej metody zarządzania pozostawiały według mnie co nieco do życzenia. Teraz mogę wprowadzić zmiany - pod warunkiem, że ani siostra przełożona, ani siostra Agata nie zgłoszą zastrzeżeń.

Zmiany polegają na tym, że zaczynam pracę o szóstej rano, praktykantka pracuje od ósmej do czwartej, a Ann od dziesiątej, tak jak przedtem ja. Ann nie jest zachwycona, ale mam to gdzieś. Jeżeli z powodu takich godzin pracy będzie się rzadziej widywać z Alanem, to najwyżej zaciśnie zęby. No proszę, co czyni z człowiekiem odrobina władzy. Zrobił się ze mnie niemiły babsztyl.

Piątek. 11 listopada 1960.

(moje urodziny).

Rano, tuż po szóstej, usłyszałam cudną rozmówkę między siostrą przełożoną a inspektorem ogólnomedycznym. Siostra przełożona nie zna, oczywiście, wyrażenia „po dyżurze”, ale co tu robił o tej porze inspektor? Bóg raczy wiedzieć.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że doktor Bloodworthy tak się zachowa

- rzekła chłodno tuż pod moimi drzwiami.

Ciekawe, co też zmalował doktor Bloodworthy. Jest patologiem specjalizującym się w chorobach krwi. Blood-worthy, czyli Wart-krwi. Czy to nie dziwne, że ludzie o nazwiskach, które coś oznaczają, wiążą z nimi swoje drogi życiowe? Tak jak lord Brain, czyli Mózg, który został neurologiem.

- Przekomiczne! - odparł inspektor, zaśmiewając się. -Może to nauczy te kwoki z jadalni dla sióstr nie wtrącać się w nie swoje sprawy.

- Łaskawy panie - rzekła siostra przełożona tonem, od którego mój sprzęt pokrył się warstwą lodu. - O ile dobrze pamiętam, tyle samo tchórzliwych kwok siedziało w jadalni dla lekarzy. Coś mi się nawet zdaje, że pan Naseby-Morton zniósł jajko, położył je na łyżce i pobiegł z nim na dół.

Zapadło krótkie milczenie, które przerwał inspektor.

- Nadejdzie dzień, siostró, kiedy ostatnie słowo będzie należało do mnie! I wtedy zobaczymy, kto tu jest tchórzliwą kurą, a kto dumnym kogutem! Żegnam panią.

Uuuuuuła! Mam gdzieś urodziny. Pojechałam do Bronte.

Środa. 23 listopada 1960.

Widziałam dziś Duncana. Przybył do nas profesor Sjórgen ze Szwecji i wygłosił wykład o hipotermicznych metodach zwalczania anomalii naczyniowych w mózgu. Na wykład chcieli pójść wszyscy oprócz personelu najniższego szczebla, ale nasza sala wykładowa mieści tylko

pięćset osób, więc walczono o miejsca. Szwed jest światowej sławy neurochirurgiem, pionierem metody mrożenia pacjenta, co spowalnia pracę serca i krążenie, pozwalając założyć zaciski przy tętniaku, zamknąć przetokę i wykonać inne zabiegi. Dla mnie, technika kierującego rentgenem na urazówce, znalazło się miejsce siedzące między siostrą oddziałową a panem Duncanem Forsythe'em. Och, co za udręka! Mimo woli się dotknęliśmy. Potem przez kilka godzin czułam palenie w prawym boku. Duncan powitał mnie skinieniem głowy, bez uśmiechu, a później albo patrzył na podium, albo wymieniał uwagi z siedzącym obok panem Naseby-Mortonem.

Po drugiej ręce siostry oddziałowej siedziała siostra Tesoriero zarządzająca ortopedią dziecięcą. Jak zwykle się czubiły.

- Ja to pracuję naprawdę - rzekła Marie O'Callaghan. -A wy, zarządzające oddziałami, pełnicie funkcję czysto dekoracyjną. Zagładcie do kieszeni konsultantom i podrzucacie im kanapki z pomidorem, podczas gdy zwykli śmiertelnicy jedzą kanapki z masłem orzechowym.

- Ciiii! - uciszyłam je. - Nie widzicie, koło kogo siedzę?!

Siostra oddziałowa zareagowała lekceważącym uśmieszkiem, a siostra Tesoriero popatrzyła przerażona i umilkła. Jej ukochany pan Forsythe, szef ortopedii dziecięcej, mógłby się nie zgodzić na kanapki z pomidorem, gdyby się zorientował, że inni, zwykli śmiertelnicy, mają kanapki z masłem orzechowym. Był aż tak miły.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie przycisnąć ręki do ust i nie czmychnąć, udając, że jest mi niedobrze. Niestety, siedzieliśmy na środku długiej drewnianej ławy, więc takim zachowaniem zwróciłabym na siebie

uwagę. Postanowiłam wytrzymać do końca.

Nie dotarło do mnie ani jedno słowo wykładu. Ledwie dobiegł końca, wstałam, by dołączyć do exodusu. Bogu dzięki, pomyślałam, Duncan wyjdzie razem z panem Naseby-Mortonem drugim przejściem. Nie ruszył w drugą stronę. Poszedł za mną, a za nim szef kardiochirurgii, podejmując przerwana rozmowę. Wtem położył mi dłonie na biodrach. Idiota! Czy nie zdaje sobie sprawy, że w każdym zgromadzeniu przyciąga spojrzenia połowy kobiet? Dotknięcie było delikatne jak pieszczota i wywołało falę wspomnień. Te duże, zadbane ręce potrafiły domacać się kości, a po mojej skórze wędrowały takie drżące, pełne czci. Zakręciło mi się w głowie, zachwiałam się. Teraz myślę, że nic lepszego nie mogłam wtedy zrobić. Nie odrywając dłoni od moich bioder, podtrzymał mnie, a nawet obrócił do siebie, żeby popatrzeć mi w twarz.

-Dziękuję, sir, dziękuję! - szepnęłam, wyrwałam się i czmychnęłam do siostry oddziałowej i siostry Tesoriero, które sporo mnie wyprzedziły.

- Co tam się stało? - spytała siostra oddziałowa, kiedy je dogoniłam.

- Potknęłam się - wyjaśniłam. - Pan Forsythe mnie złapał.

- Ta to ma szczęście! - rzekła z westchnieniem siostra Tesoriero.

Szczęście, też coś! Łobuz specjalnie tak się zachował, żeby zobaczyć, jak zareaguję, a ja, kurczę, spełniłam jego oczekiwania.

Siostra oddziałowa, która zna mnie o wiele lepiej, popatrzyła mi w oczy zamyślona i nic nie powiedziała. Co ja miałam wypisane na twarzy?

Czwartek. 1 grudnia 1960.

Nie mogę uwierzyć, że rok 1960 już dobiega końca. Rok temu na początku grudnia miałam wciąż praktyki w szpitalu Ryde, dopiero co zdałam egzaminy, jeszcze nie widziałam w szkole punktu informacyjnego Royal Queens, nie pomyślałam nawet o tym, że mogłabym tam pracować. Nie znałam Pappy, nie słyszałam ani o pani Delvecchio Schwartz, ani o Domu. Nie wiedziałam o istnieniu mojego aniołka. Podobno, jak mówią, niewiedza jest błogosławieństwem, ale ja w to nie wierzę. Niewiedza jest pułapką. Schwytani w nią ludzie podejmują błędne decyzje. Pomimo zawirowań z Haroldem i Duncanem przepoczwarzyłam się w dużą piękną ćmę bogong, a nie w kruchego motyla.

Jeżeli nie trafi się ciężki dzień, jestem w domu o czwartej albo wpół do piątej. Dzisiaj było tak sobie, wyszłam z pracy po piątej i ruszyłam do domu na piechotę razem z Pappy, która ma już za sobą egzaminy. Wydaje jej się, że zdała, a ja jestem tego pewna. Pielęgniarek ciągle brakuje. To dlatego, że muszą znosić ostrą dyscyplinę, ciężko pracować i obowiązkowo mieszkać w domu dla pielęgniarek. Najbardziej martwi mnie to ostatnie, bo z najsurowszą dyscypliną Pappy zdążyła już się oswoić jako pomoc pielęgniarska, która stoi wszak najniżej w hierarchii. Ale jak ona zniesie mieszkanie w małym pokoiku (jeżeli będzie pracować w szpitalu dysponującym dużym domem) albo w małym pokoiku ze współlokatorką (jeżeli trafi do szpitala ze skromniejszym zapleczem)?

-Zachowasz pokój w Domu - powiedziałam, kiedy wychodziłyśmy na ulicę.

-Nie stać mnie - odparła. - Szczerze mówiąc, droga Harriet, nie wiem, czy tego chcę.

Co się dzieje? Najpierw Toby mówi o wyprowadzce, a teraz Pappy! Zostanę z Jim, Bob, Klausem i Haroldem. I dwiema nowymi lokatorkami, z których jedna zamieszka w sąsiednim pokoju. Bez książek zakrywających ścianę od podłogi do sufitu będę wszystko słyszała, leżąc w łóżku - oddzielają nas drzwi z paneli cienkich jak sklejka. Brzmi to bardzo samolubnie i pewnie jestem samolubna, ale nie mogę znieść myśli, że Pappy miałyby zniknąć. Boże, ukarż profesora Ezrę Małmazję! Zabijając jego dziecko, Pappy zabiła w sobie coś więcej.

- Uważam, że powinnaś się postarać i zachować swoją kryjówkę w Domu - powiedziałam, kiedy przechodziłyśmy przez Oxford Street. - Po pierwsze, nie będziesz mogła zabrać ze sobą nawet jednej dwudziestej książek, a po drugie, jesteś za stara na takie rozchichotane życie na kupie. Pappy, to przecież jeszcze dzieci!

Och, niepotrzebnie mi się wymysknęło to słowo! Pappy nie zareagowała.

- Pewnie uda mi się wynająć w Stockton coś pośredniego między szopą a chałupką - odparła. - Będę tam trzymać książki i spędzać wolne dni.

- Stockton? - jęknęłam. Tylko to do mnie dotarło.

- Tak, ubiegam się o etat pielęgniarki psychiatrycznej w Stockton - rzekła.

- Chryste, Pappy, nie rób tego! - krzyknęłam, zatrzymując się przed szpitalem Saint Vincent's. - Pielęgniarka w psychiatryku ma strasznie ciężko, wiadomo, że pielęgniarki i lekarze mają tam bardziej nierówno pod sufitem niż pacjenci, a Stockton jest najgorszym zsympem z możliwych! Jak ty będziesz żyła wśród piaszczystych wydym po drugiej stronie rzeki Hunter, między niedorozwiniętymi i z demencją, w tym biologicznym koszmarze?

To cię zabije!

- Mam nadzieję, że mnie uzdrowi - odparła.

No tak, oczywiście. Tego można się było spodziewać po kimś takim jak Pappy. O ileż łatwiej jest katoliczce, która może wyrzec się świata i wstąpić do klasztoru. Pytanie: co może zrobić niekatoliczka? Odpowiedź: może zostać pielęgniarką w psychiatryku w Stockton, przejechać ponad sto pięćdziesiąt kilometrów do Newcastle i wsiąść na prom donikąd. Pappy chce odpokutować za swoje grzechy w jedyny znany sobie sposób.

- Rozumiem cię najzupełniej - rzekłam i zaczęłam iść dalej.

W holu wejściowym zaczęła się na nas pani Delvecchio Schwartz. Kiedy tam weszliśmy powitała nas dość dziwnie.

- Och, jesteście mi bardzo potrzebne! - krzyknęła, wyraźnie zmartwiona i zdenerwowana. Ale zaraz potem stłumiła wybuch śmiechu.

To mnie od razu uspokoiło - a więc nie chodzi o Flo. Gdyby coś jej się stało, nie usłyszałybyśmy śmiechu.

- O co chodzi? - spytałam.

-Mogłabyś zerknąć na Harolda, Harriet? - odparła pani Delvecchio Schwartz.

Ostatnią rzeczą, jaka mi się marzyła, było oglądanie Harolda, prośba dotyczyła jednak oględzin medycznych. W kwestiach medycznych zaś, w oczach naszej gospodyni, jestem bardziej biegła od Pappy.

- Oczywiście. A co mu dolega? - spytałam, wchodząc po schodach.

Zamiast odpowiedzieć, pani Delvecchio Schwartz zatkała usta dłonią, powstrzymując wybuch śmiechu, a potem zaczęła machać ręką i dała upust gromkiej wesołości.

- Wiem, że to nie jest śmieszne, księżniczko, ale, Jezu, jakie to śmieszne! - powiedziała, kiedy znów mogła mówić. - Najśmieszniejsza rzecz, jaką widziałam od lat!

O Jezu, już nie mogę! To takie śmie-śmie-śmieszne!

- I znowu parsknęła.

- Niechże pani przestanie! - rzuciłam. - Do diabła, co z Haroldem?

- Nie może siusiać! - krzyknęła wśród paroksyzmów śmiechu.

- Słucham?

- Nie może siusiać! Nie... może... siusiać! O Jezu, jakie to śmieszne!

Jej wesołość była tak zaraźliwa, że z trudem zachowałam powagę.

- Biedny Harold. A od kiedy tak jest?

- Nie wiem, księżniczko - odparła, ocierając oczy rąbkiem sukienki i odsłaniając imponujące różowe reformy niemal do kolan. - Wiem tylko, że ostatnio okupuje kibelki. Myślałam, że to zatwardzenie, Harold już tak ma, że się korkuje. No, w każdym razie Jim i Bob narzekały, Klaus narzekał, a Toby po prostu gna do kibelka w pralni. Poradziłam Haroldowi, żeby wziął gorzką sól albo szakłaka, albo co innego, a on się na to obraził. I tak już od kilku dni! Dziś po południu zapomniał zamknąć się od środka w kibelku, więc wparowałam do środka, żeby wygarnąć, co o tym myślę. - Znów groził jej wybuch śmiechu, lecz bohatersko go pokonała. - Patrzę, a on stoi przed kibelkiem, okłada biednego siusiaka i rozpaczliwie płacze. A ile to trwało, zanim się przyznał. Wiecie, jaka z niego stara panna. Nie... może... siusiać! - I znowu parsknęła niepowstrzymanym śmiechem.

Już miałam jej dosyć.

- Pani może tu sobie stać i zaśmiewać się do rozpuku, ale ja muszę

obejrzeć Harolda - powiedziałam i podeszłam do jego drzwi.

Nigdy jeszcze za nimi nie byłam. Pokój, na podobieństwo mieszkańca, był posępny, schludny i zupełnie pozbawiony fantazji. Na gzymsie nad kominkiem stała oprawiona w srebrną ramkę fotografia starej wyniosłej kobiety o złośliwych oczach, a po obu jej stronach bukietki kwiatów w dobranych kolorystycznie wazonikach. I tyle książek!

Beau Geste, Szkarłatny Kwiat, Więzień na zamku Zenda, Skaczące bomby, Koń trojański, Hrabia Monte Christo, Tap Roots, These Old Shades, Fozowie z Harrow. Wszystkie powieści z cyklu o Homblowerze. Nadzwyczajny zbiór bohaterskich czynów, rycerzy w lśniącej zbroi i romantycznej fantastyki, którą przestałam czytać, kiedy skończyłam dwanaście lat.

Uśmiechnęłam się do Harolda i cicho go przywitałam. Biedaczek siedział zgarbiony na brzegu wąskiego łóżka. Kiedy się odezwałam, popatrzył na mnie zbolalymi oczami. Lecz gdy uprzytomnił sobie, kto do niego przyszedł, ból znikł i na jego miejsce pojawiła się wściekłość.

- Powiedziałaś jej! - wrzasnął do pani Delvecchio Schwartz, która stanęła w drzwiach. - Jak mogłaś?!

-Haroldzie, pracuję w szpitalu, dlatego pani Delvecchio Schwartz mi powiedziała. Przyszłam, żeby ci pomóc, więc proszę, nie rób scen! Nie możesz oddać moczu, tak?

Twarz miał wykrzywioną, grzbiet zgięty jak łuk, rękoma obejmował troskliwie brzuch, drżał na całym ciele i kołysał się w przód i w tył. Po chwili skinął głową.

- Od jak dawna to ci dokucza? - spytałam.

- Od trzech tygodni - szepnął.

-Od trzech tygodni! Och, Haroldzie! Czemu nikomu nie powiedziałeś?
Dlaczego nie poszedłeś do lekarza?

Zamiast odpowiedzieć, zapłakał. Tama puściła, ale łzy spływały skąpo spod dolnej krawędzi okularów, jak sok wyciskany z podsuszanej cytryny. Odwróciłam się do Pappy.

- Musimy natychmiast odwieźć go do Saint Vincent's na urazówkę - powiedziałam.

Mimo bólu Harold wyprostował się jak kobra.

- Nie pojedę do Saint Vincent's, to szpital katolicki! - syknął.

- W takim razie zabierzemy cię do szpitala Sydney -syknęłam w odpowiedzi. - Założą ci cewnik i od razu poczujesz wielką ulgę. Będiesz sobie pluł w brodę, że nie szukałeś pomocy wcześniej.

Wyobrażenie Harolda, któremu zakładają cewnik, wywołało kolejną salwę śmiechu pani Delvecchio Schwartz. Miałam tego dość.

- Proszę wyjść - rozkazałam. - Niech pani zrobi coś pożytecznego!
Proszę przynieść stare ręczniki, a potem wezwać taksówkę, szybko!

We dwójkę z Pappy postawiłyśmy Harolda na nogi, zachęcając, by oparł się na stopach, lecz przejmując na siebie jego ciężar. Z bólu nie mógł się wyprostować ani oderwać rąk od podbrzusza. Kiedy sprowadziłyśmy go na dół, taksówka już czekała.

Młodszy rezydent i siostra na oddziale ratunkowym w szpitalu Sydney wybałuszyli oczy, kiedy usłyszeli, na czym polega wymagające pilnej interwencji niedomaganie Harolda.

- Trzy tygodnie! - wykrzyknął lekarz mało taktownie i skulił się, gdy

wszystkie trzy - siostra, Pappy i ja - obrzuciłyśmy go karcącymi spojrzeniami.

Popatrzyłyśmy, jak sadzają Harolda na wózku i pospiesznie z nim odjeżdżają, a potem wyszłyśmy na ulicę i złapałyśmy tramwaj kursujący po Bellevue Hill.

- Wezmą go w obroty - rzuciła Pappy, kiedy wsiadałyśmy do tramwaju.

- Zrobią mu cystoskopię, urografię dożylną i Bóg wie co jeszcze, nim go stąd wypuszczą.

- Ty też myślisz, że przyczyna nie jest organiczna - powiedziałam.

- Za dobrze wygląda. Ma prawidłowe zabarwienie skóry, a źródłem bólu jest powiększony pęcherz. Wiesz, jak wygląda pacjent chory na nerki, z kamieniami w drogach moczowych albo zmianami nowotworowymi w obrębie miednicy. Ma zaburzoną równowagę elektrolitową, to na pewno, ale jeśli mu się przyjrzeć? Przyczyna nie jest organiczna.

Och, Pappy, dlaczego nie robisz kursu pielęgniarstwa ogólnego! - pomyślałam. Na głos nie śmiałam tego powiedzieć.

Tak więc na jakiś czas uwolniłam się od Harolda, co nie znaczy, że przestałam się martwić. Wręcz przeciwnie. Ten pełen tłumionych uczuć człowiek szedł w stronę ostatecznego stłumienia. Nie wystarczało mu już wstrzymywanie wypróżnień; towarzyszący temu ból i poniżenie nie zaspokajały jego chorych potrzeb, dlatego posunął się dalej - do wstrzymywania moczu. A co potem? Po wstrzymywaniu moczu pozostawało jedynie powstrzymanie się od życia w ogóle. Przeklęta pani Delvecchio Schwartz! Jak mogła tak się z niego śmiać! Jeżeli nie zacznie panować nad swoim zachowaniem, Harold w końcu targnie się na własne

życie. Oby tylko nie posunął się jeszcze dalej, nie zabrał ze sobą Jim, Pappy albo mnie! Ale jak ktokolwiek z nas mógłby wdać się w dyskusję z taką siłą natury, jaką jest pani Delvecchio Schwartz? Ona jest prawem sama dla siebie. Zdumiewająco mądra, bezdennie głupia. A jeśli on naprawdę się zabije, będzie skruszona, niepoczyszona, zrozpaczona. Dlaczego nie dostrzega tego w kartach? Przecież to widać! Jak na dłoni! Harold i dziesiątka mieczy. Ruina Domu.

Sobota. 10 grudnia 1960.

Zaprosiłam dziś Toby'ego na lunch. Co ważniejsze, przyszedł. Sobotnie przedpołudnie spędził na zaopatrywaniu się w specjalistyczny sprzęt do swojej chałupy. Musiał zostać w Sydney, bo Nock & Kirby's to jedyny sklep, gdzie mógł kupić, co chciał.

- Ta sobota już i tak ci przepadła, więc chociaż zjedz lunch, zanim wskoczysz do pociągu - zachęciłam go ujmująco.

Podjęłam go zapiekanką z ziemniaków, tuńczyka i grzybów, połączonych sosem ze świeżego majeranku. Ziemniaki przed zapieczeniem utłukłam z furą masła i mielonym różowym pieprzem. Osobno podałam sałatkę przyprawioną olejem orzechowym wstrząśniętym z wodą i łagodnym octem.

-Jeżeli będziesz tak dalej gotować, to może będę się musiał z tobą ożenić, kiedy tylko stanę się sławny - powiedział z pełnymi ustami. - To pyszne!

-Ponieważ staniesz się sławny dopiero po śmierci, więc jestem

bezpieczna - odparłam z uśmiechem. - Gotowanie to świetna zabawa, chociaż pewnie tak by nie było, gdybym musiała to robić dzień w dzień jak moja matka.

- Jej też to na pewno sprawia przyjemność - rzekł, przesiadając się na fotel naprzeciw Marcelinę, której nie ofiarował nic poza krzywą miną.

- Może i tak, ale tylko dlatego, że cieszy się, widząc, jak jej mężczyźni napychają sobie żołądki - odparłam cierpko. - Jadłospis jest dość ograniczony: stek i frytki, ryba i frytki, pieczony udziec barani, duszona baranina, kiełbaski w sosie curry, kotlety baranie panierowane, gotowane krewetki ze sklepu, a potem od początku to samo. Czemu nie lubisz mojej pięknej Marcelinę?

- Zwierzęta nie powinny mieszkać w domach zajmowanych przez ludzi - odparł.

- Odezwał się typowy buszmen! Pies nie sprawdza się jako pasterz, więc trzeba go zastrzelić.

- Trochę ołowiu do lewego ucha to dobra śmierć - zaproponował. - Żadnych problemów, w sekundę jest po sprawie.

- Jesteś prawdziwym samotnikiem - powiedziałam, przysiadając się do kota.

- Uczysz się nim być, kiedy przez cały czas nie dostajesz tego, czego chcesz. A mówiąc „przez cały czas”, mam na myśli „przez cały czas”, a nie „z rzadka”.

- Ona wróci do ciebie, Tobie, ja to wiem - rzekłam ciepło.

- O czym ty mówisz? - spytał z głupią miną.

Ja też nie miałam najmądrzejszej.

- Przecież wiesz!

- Nie wiem. Wyjaśnij mi.

- Pappy.

- Pappy? - spytał zdumiony.

- No właśnie, ty kretynie, Pappy!

- Czemu Pappy miałyby do mnie wrócić? - spytał, ściągając brwi.

- Och, daj spokój! Wydaje ci się, że skutecznie kryjesz się z uczuciami, Toby, ale nie trzeba być jasnowidzem, aby dostrzec, że kochasz Pappy.

- Oczywiście, że kocham Pappy, ale nie jestem w niej zakochany. Chyba żartujesz, Harriet.

- Ależ z pewnością jesteś w niej zakochany! - ciągnęłam zdezorientowana.

Oczy mu się zaczerwieniły.

- Wierutna bzdura.

- Ależ, Toby! Widziałam ból w twoich oczach, nie oszukasz mnie - brnęłam dalej.

- Panno Purcell, wyobrażasz sobie, że zjadłaś wszystkie rozumy i zdobyłaś życiowe doświadczenie, a tak naprawdę jesteś ślepa, głupia, bezrozumna i zapatrzona w siebie!

Tak mi przyłożył na pożegnanie i wyszedł. Zostałam z Marceliną na kolanach, zastanawiając się, co mi spadło na głowę.

Z Domem dzieje się coś niedobrego, czuję to, a Toby jest po prostu kolejnym objawem niewidocznego procesu rozpadu. Z pani Delvecchio Schwartz nie mogę wyciągnąć nic sensownego ani na temat Domu, ani jej samej. Harold po wyjściu ze szpitala wrócił do jej łask. Pewnie nawet nie

słyszał, cierpiąc straszny ból, jak się z niego śmiała. Kiedy w szpitalu Sydney dali mu skierowanie do psychiatry, poczuł się bardzo urażony, natychmiast się wypisał i wrócił do domu.

Och, Duncanie, tęsknię za tobą!

Niedziela. 25 grudnia 1960. (Boże Narodzenie).

Pojechałam do Bronte, ale za nocleg na kanapie w salonie podziękowałam. Jutro, w pierwszy dzień świąt, pracuję. Na terenach rekreacyjnych na wschód od Queens zaplanowano multum imprez sportowych, więc zwałą się do nas ofiary wypadków drogowych i pijackich burd. Mam też dyżur w Nowy Rok, ale przynajmniej Ann Smith zgłosiła się na ochotnika na dyżur sylwestrowy, ponieważ tego wieczoru pracuje na urazówce jej narzeczony. W sylwestra w każdym szpitalu jest na urazówce urwanie głowy, przy czym najbardziej obciążony jest Saint Vincent's, bo połowa mieszkańców Sydney jedzie do Cross, żeby się upić, zaśmiecić ulice, zwymiotować i nie dać chwili wytchnienia Normowi, Mervowi, Bumperowi Farrellowi i całej reszcie miejscowych policjantów, którzy uwijają się jak w ukropie.

Dałam Williemu butelkę brandy, babci fantastyczny hiszpański szal, Gavinowi i Peterowi obiektyw do zdjęć makro do aparatu Zeissa, tacie pudełko kubańskich cygar, a mamie bardzo ładną bieliznę (seksowną, lecz przyzwoitą). Rodzina złożyła się i dała mi bon, żebym kupiła sobie masę płyt u Nicholsona. Wielkie dzięki, kochani.

Środa. 28 grudnia 1960.

Ledwie weszłam po południu do Domu, pani Delvecchio Schwartz złapała mnie za mankiet i zaprosiła na małą brandy w szklaneczce z reklamą pasty serowej Krafta.

Zirytowałam się.

-Czemu wciąż używa pani tych szklanek? - spytałam. - Przecież dostała pani ode mnie na Boże Narodzenie siedem pięknych kryształowych szklaneczek!

Prześwietlające spojrzenie nie jest skupione, gospodyni patrzy nieobecny wzrokiem. Moje pytanie nie sprowokowało błysku wewnętrznej latarni.

- Och, nie mogę ich używać na co dzień! - wykrzyknęła. - Oszczędzam je na wyjątkowe okazje, księżniczko.

- Oszczędza je pani na wyjątkowe okazje? Nie dałam ich pani po to, żeby je pani odłożyła! - rzekłam z wyrzutem.

- Gdybym ich używała, mogłabym którąś zbić.

- Nic by się nie stało! Jeżeli któraś się stłucze, dokupię pani jeszcze jedną.

- Nie można zastąpić czegoś, co się stłukło - odparła. - Aurą otoczone są oryginały, księżniczko, te siedem, których dotykałaś i które tak ładnie zapakowałaś. I miałaś dobry pomysł, żeby kupić siedem, a nie sześć.

- Tej na zastępstwo też dotknę i ładnie ją zapakuję - zapewniłam.

- To nie to samo. Nie, zachowam je na wyjątkową okazję.

Dałam za wygraną i opowiedziałam o dziwnej rozmowie z Tobym.

- Przysięgłabym, że kocha się w Pappy!

- Nie, nigdy się w niej nie kochał. Sprowadziła go tu prawie pięć lat temu na szybkie barabara i okazało się, że właśnie jego szukałam, zobaczyłam go w kartach. Król mieczy. W Domu musi być król mieczy, księżniczko, ale znacznie trudniej o króla niż o królową. Mężczyźni są biedni, często my, kobiety, jesteśmy od nich silniejsze. Ale Toby jest silny. To dobry człowiek - rzekła, kiwając głową.

- Wiem o tym! - rzuciłam.

- Niby o tym wiesz, księżniczko, ale nie zdajesz sobie w pełni sprawy.

- Nie zdaję sobie w pełni sprawy?

Zmieniła temat. Powiedziała, że w sylwestra jak co roku urządza przyjęcie. Wielką fetę z fikaniem. Jej bal stał się tradycyjnym wydarzeniem kulturalnym w Cross, więc wszystkie miejscowe osobistości pojawiają się na nim obowiązkowo, chociaż na chwilę. Nawet Norm, Merv, madame Fuga, madame Toccata, Chastity Wiggins i kilka innych „stałych” dziewcząt wpada na sylwestrową zabawę pani Delvecchio Schwartz. Obiecałam, że też przyjdę, ale ponieważ w Nowy Rok muszę iść do pracy, nie będę mogła pójść w tango na całego.

- Nie ma dla ciebie pracy w Nowy Rok - rzekła. - Jestem tego pewna.

- Karty tak mówią - dopowiedziałam zrezygnowanym tonem.

- Trafiłaś w dziesiątkę, księżniczko!

Okazało się, że potrzebna jestem do pomocy w kuchni. Jasne. Faceci otrzymali polecenie dostarczenia alkoholu, a dziewczyny mieszkające w Domu (oraz Klaus) mają zadbać o wyzerkę. Pani Delvecchio Schwartz sama piecze indyka - pewnie będzie suchy i gumowaty, pomyślałam i

wzdrygnęłam się. Klaus upiecze prosiaka, Jim i Bob przygotowują sałatki, ostro przyprawione kiełbaski i krokietki z mięsem, Pappy musi zrobić chińskie mięsno-warzywne naleśniki i tosty z krewetkami, a mnie przypadły w udziale desery, koniecznie takie, jakie da się jeść palcami. Zamówiono więc eklerki, babeczki, ciastka ponczowe w polewie czekoladowej i tarteletki z dwukolorowym lukrem.

-Dodaj też trochę tych pysznych ciasteczek owsianych - zażądała stara wiedźma. - Nie przepadam za słodyczami, ale lubię zamoczyć w herbacie dobre kruche ciastko.

Roześmiałam się.

- Ty oszustko! Od kiedy pijesz herbatę?

- W sylwestra wypijam dwie filiżanki, rok w rok - zapewniła mnie z powagą.

- Jak się miewa Harold? - spytałam.

- Harold to Harold - odparła, robiąc minę. - Szczęście, że już niedługo wypełni zadanie, które ma tu wypełnić, tak mówią karty. Kiedy tylko to się stanie, odchodzi z Domu.

-Nie ma więc sensu mówić, że tracimy też Pappy i Toby'ego - powiedziałam i westchnęłam. - Dom się rozpada.

W jej oczach zapaliły się reflektorki.

- Nigdy więcej tak nie mów, Harriet Purcell! - upomniała mnie surowo.

- Dom jest wieczny.

Weszła Flo, ziewając i pocierając oczy. Zobaczyła mnie i jednym susem wylądowała na moich kolanach.

- Jeszcze nigdy nie widziałam jej śpiącej - rzekłam.

- Sypia.
- Ani nie słyszałam, jak mówi.
- Mówi.

Zeszłam na dół, prowadząc Flo za rączkę. Nadchodzący wieczór miał być znośny tylko dlatego, że pani Delvecchio Schwartz pozwoliła mi zabrać aniołka do siebie. Kiedy odprowadziłam Flo tuż przed dziewiątą (ona nie kładzie się o tej porze co zwyczajne dzieci, idzie spać chyba dopiero razem z matką - co powiedziałyby na to moja matka?), pani Delvecchio Schwartz siedziała w ciemnym pokoju, a nie, jak zwykle latem, na balkonie. Przed nią, na stole, stała kula. Zdawała się wyłapywać promienie światła rzucane przez uliczną latarnię, żarówkę w korytarzu i czasami reflektory rollsa, którym szofer dowoził klienta pod numer 17B lub 17D. Kiedy tylko Flo zobaczyła matkę, znieruchomiała i uścisnęła moją dłoń, dając w milczeniu znać, żebym się zatrzymała. Stałyśmy tak w mroku dość długo, chyba z pół godziny, a potężna postać siedziała zastygła w bezruchu, nachylając nad kulą ocienioną twarz.

Wreszcie pani Delvecchio Schwartz opadła z westchnieniem na oparcie krzesła i otarła twarz zmęczoną dłonią. Stąpając cicho, podprowadziłam Flo do stołu.

- Dzięki, że jej przypilnowałaś, księżniczko. Musiałam popatrzeć w przyszłość.
- Czy mam zapalić światło?
- Tak. Dzięki. A potem wróć tu do mnie na chwilkę. Kiedy znów podeszłam, Flo siedziała u niej na kolanach, patrząc ze smutkiem na zapiętą sukienkę.

- Szkoda, że odstawiła ją pani od piersi - powiedziałam bez zastanowienia.

- Musiałam - odparła krótko.

Sięgnęła do moich dłoni i położyła je na kuli. Flo wpatrywała się w nie jak urzeczona, a potem przeniosła spojrzenie na moją twarz. Ze zdziwieniem? Sama nie wiem. Stałam, obejmując kulę i czekając, aż coś się zacznie dziać. Nic się nie działo. Powierzchnia kryształu była gładka i chłodna, to wszystko.

- Pamiętaj - rzekła pani Delvecchio Schwartz - pamiętaj, że los Domu spoczywa w kuli. - Zdjęła z niej moje dłonie i złożyła je ze sobą, przytykając palce do palców, tak jak robią to aniołowie na obrazach. - Spoczywa w kuli.

Piątek. 30 grudnia 1960.

Znów te cholerne karty miały rację! W końcu nie pracuję w Nowy Rok. Doktor Alan Smith ma wyznaczony całodzienny dyżur na urazówce, więc Ann chce być w pracy. Wcale jej się nie dziwię. Zaliczając dwa dyżury z rzędu na urazówce, doktor Alan będzie wykończony, będzie potrzebował chwili wytchnienia u boku Ann w pracowni rentgena. Nasza praktykantka jest na urlopie, więc przyjęliśmy na jej miejsce kogoś na tymczasowe zastępstwo. Dziewczyna jest dobra. Nie zgodziłabym się, gdyby Ann nie potrafiła stanąć na wysokości zadania, ale ona daje sobie radę. Zrobiłam więc uprzejmość tym dwojgu, bo potem przez dwa kolejne dni będą mieli razem wolne.

Niedziela. 1 stycznia 1961.

(Nowy Rok).

Rok 1961 liczy już prawie dobę. Zapadła noc. Prowadzę te zapiski od roku i chociaż jestem tak zalana, że ledwie się ruszam, muszę odnotować wszystkie dzisiejsze wydarzenia, zanim opadną emocje. Przekonałam się, że brulion pozwala mi na osiągnięcie swoistego katharsis, bo jeśli myśli krążą nieraz wokół tego, co zaszło, to pisanie biegnie inaczej, nie w kółko.

Sylwestrowe przyjęcie zaczęło się bombowo - bambucho fantastiko, jak powiedziała pani Delvecchio Schwartz, otaczając ramieniem Merva. Twarz miała czerwoną jak burak, ale nie była pijana, naprawdę nie była. Najwyżej troszeczkę wstawiona. Pomyślałam wtedy, że jest strasznie szczęśliwa.

Przyszedł cały Cross, niektórzy wpadli tylko na kilka minut, inni zamierzali zostać na zawsze - tak to wyglądało, kiedy schodziłam na dół o trzeciej nad ranem, podtrzymywana przez Toby'ego. Wspomnienia z tej nocy mam mgliste, utkwiły mi w pamięci urywki. Lady Richard wkroczyła w tlenionej peruce, na dwunastocentymetrowych obcasach, w czerwonej sukni tubie z cekinami. W sięgających niemal bioder rozcięciach łyśkały białą bezwłose nogi nad brzegiem czarnych jedwabnych pończoch. Piersi na pewno nie były sztuczne, a poniżej nie rysowała się męska wypukłość. Pappy teatralnym szeptem powiedziała, że podobno jeździł do Skandynawii „wymienić instalacje”. Więc pewnie jego droga moczowa, odszepnęłam, jest w nieodwracalnie kiepskim stanie. Biedny Norm nie mógł zostać, obślnił mnie tylko przy pocałunku i poszedł. Merv wykorzystał wyższy

stopień służbowy i kręcił się trochę dłużej, flirtując bez skrępowania z panią Delvecchio Schwartz. Nie podobało się to ani trochę Lernerowi Chusovichowi. Ani, jak zauważyłam, Klausowi, który wpatrywał się w gospodynię z nieskrywanym pożądaniem. Jim pocałowała mnie umiejętnie, co sprawiło mi przyjemność, bo już mi trochę szumiało w głowie. Bob się wściekła, więc odepchnęłam Jim i zajęłam się Tobym. Puściliśmy w niepamięć naszą małą sprzeczkę. Jego pocałunki dorównywały pocałunkom Duncana, ale całując Toby'ego, nie wyobrażałam sobie Duncana. Toby to Toby, nikt inny.

Leżąc w wieczorowym stroju na łóżku, zasnęłam. Dziś rano, koło ósmej, obudziła mnie Marcelinę, której życiem rządzi żołądek. Toby zaciągnął zasłony, jak to dobrze. Zaczęłam snuć się po domu. Nastawiłam kawę, wypiliśmy dużą dawkę dexnalu, żeby uspokoić mdłości, i zatkałam miauczący pyszczyk tłuszczoszką śmietanką i puszką sardynek, które śmierdziały tak, że pochyliłam się nad zlewem, bo zebrało mi się na mdłości. Nie zwymiotowałam, ale na wszelki wypadek wycofałam się do sypialni, czekając, aż Marcelinę sprzątnie rybki do czysta.

Na moim łóżku, zwinięta w kłębek, spała Flo. Aniołek, mój aniołek! Nie dostrzegłam jej wcześniej w półmroku, nie wyczułam jej obecności. Widocznie jubel na górze był taki huczny, że nie wytrzymała i zeszła do mnie. A może Harold wylądował w łóżku jej matki. No tak, przecież był na przyjęciu, popijał brandy, stojąc z boku i przyglądając się, jak pani Delvecchio Schwartz zadaje się z Mervem. Mamrotał pod nosem, rzucał na mnie gniewne spojrzenia, zwłaszcza kiedy całowałam się z Jim. Dziwka, powiedział bezgłośnie.

Gdy już uznałam, że mdłości przeszły mi na dobre, wróciłam do salonu i otworzyłam szeroko drzwi, żeby wpuścić świeżego powietrza. Zaczepnęłam go głęboko. Na zewnątrz panowała zupełna cisza. Na sznurach do suszenia nie łopotąło pranie, zza fioletoworóżowych firanek w oknach pod 17D nie dobiegały ani kłótnie, ani frywolne odgłosy, cały Dom zamarł. Spodziewałam się, że pani Delvecchio Schwartz lada chwila zacznie głośno wołać swojego aniołka, ale nic takiego nie nastąpiło. Noworoczny poranek jest chyba najcichszym momentem, jaki można przeżyć w Cross. Wszyscy mieszkańcy śpią jak zabici.

Musiałam zabrać Flo na górę, bo jej matka mogła się obudzić i zaniepokoić. Poszłam do sypialni, usiadłam na łóżku, wzięłam Flo na rękę, przyłożyłam policzek do miękkich włosów, przytuliłam ją i pocałowałam. Kiedy byłam mała, tak właśnie budziła mnie mama. Do dziś pamiętam to cudowne uczucie: wypływałam z krainy snów prosto w czułe objęcia i całusy.

Była mokra. Och, aniołku, tylko nie to! Jak ja zarzucę kapokowy materac na sznur do bielizny? Taka była moja pierwsza reakcja. Jednak nie czułam zapachu sików, a fartuszek Flo stwardniał i zeszywniał, jakby wyschło na nim coś innego. Moje całusy nie zbudziły jej ze snu. Nie widziałam, czym nasiąkła tabaczkowa tkanina. Ale ten jedyny w swoim rodzaju zapach... Boże! Szybko! Odsunąć zasłony!

Krew. Flo była mokra od krwi. Skóra na mnie ścierpła, lecz zachowałam przytomność umysłu. Powoli, delikatnie obmacałam Flo, uniosłam fartuszek, zsunęłam postrzępione majtki i obejrzałam dół brzuszka. Boże, błagam, nie! Tylko nie to, nie to! Powtarzałam te słowa w kółko, trzęsąc się

cała. Nie, nic. To nie własną krwią była utyłana od stóp po dłonie - zwłaszcza dłonie miała grubo, grubo oblepione. W tym momencie obudziła się, uśmiechnęła się sennie i objęła mnie za szyję. Wzięłam ją z łóżka i zaniiosłam do salonu, gdzie siedziała i myła się Marcelinę, wylizawszy do czysta miseczkę.

-Kochanie, pobaw się z Marcelinę - powiedziałam, czując, jak ogarnia mnie przeraźliwe odrętwienie. Posadziłam Flo koło kotki. - Muszę na chwilę wyjść, aniołku, więc zostań tu i uważaj na Marcelinę. Przypilnuj jej, żeby była grzeczna.

Wbiegłam po schodach, przeskakując po pięć stopni naraz, jednym susem pokonałam korytarz i wpadłam do pokoju. Skamieniałam. Pod stołem i wokół niego zalewało podłogę jezioro krwi - zgalaretowiałe w zagłębieniach linoleum i powlekające cienką warstwą wybrzuszenia. Przedtem ktoś sprzątał po przyjęciu i zgarnął do kąta resztki po uczeniu, ale na stole też piętrzyły się puste naczynia i leżał zewłok niejadalnego indyka. Moje oczy rejestrowały wszystko, każdy szczegół. Krew nie trysnęła i nie zachlapała ścian, ale jedno miejsce było nią pomazane - ta ściana, na której ostatnio bazgrała Flo. Widniały tam wielkie brązowiejące wiry krwi, z odcisniętym tu i ówdzie śladem małej rączki. Krwawe ślady drobnych stóp biegły po czystym linoleum między brzegiem jeziora a tym fragmentem ściany - prowadziły do ściany i powracały do jeziora. Kredki nie wystarczyły, by wyrazić uczucia. Flo malowała palcami maczanymi we krwi.

Pani Delvecchio Schwartz leżała twarzą w dół obok stołu, martwa. Niedaleko niej klęczał Harold Warner, z dłońmi obejmującymi rękojeść

kuchennego noża, wbitego we własny brzuch, z głową bezwładnie opadającą na pierś, jakby kontemplował własną zgubę.

Otworzyłam usta i zawylałam. Nie rozszlochałam się, nie rozplakałam ani nie zaczęłam krzyczeć - wydawałam zwierzęce odgłosy przerażenia i rozpacz całą mocą płuc i nie mogłam przestać.

Toby przybył pierwszy i przejął kontrolę. Zdaje się, że kazał komuś wezwać policję, bo słyszałam - słabo, ale słyszałam - jak rzuca polecenia ludziom, stojąc w drzwiach. Nie opuścił mnie ani na chwilę. Kiedy już nie miałam siły wyć, wyprowadził mnie z pokoju i zamknął drzwi. Pappy, Klaus, Jim i Bob stali zbici w gromadkę na korytarzu. Nie było śladu po Chikkerze i Marge z pokoju na parterze od frontu.

- Wezwałam policję... Toby, co się stało?! - krzyknęła Pappy.

- Ruina Domu - powiedziałam, szcękając zębami. -Dziesiątka mieczy i Harold. Był tu po to, żeby rozbić Dom.

To było zadanie, które musiał wykonać, a ona nie zobaczyła tego w kartach, zobaczyła to w kuli, wiem, bo byłam przy tym. Wiedziała, wiedziała! I poddała się wyrokowi.

- Pani Delvecchio Schwartz i Harold nie żyją - rzekł Toby.

Kiedy wyprowadził mnie na dróżkę, wszystkie okna pod 17D były szeroko otwarte i z każdego wystawała głowa.

- Pani Delvecchio Schwartz nie żyje - powtórzył kilka razy, a potem wprowadził mnie do mojego mieszkania.

Flo leżała na podłodze jak obwarzanek, owinięta ciasno wokół mruczącej Marcelinę. Toby rzucił raz okiem na Flo, potem popatrzył z przerażeniem na mnie i chciał iść po brandy.

- Nie! - jęknęłam. - Nigdy więcej tego świństwa! Nic mi nie jest, Toby, nic mi nie jest.

Przez cały ranek przewinęło się przez Dom mnóstwo ludzi, poczynając od policji. Nie przyszli, naturalnie, zaprzyjaźnieni policjanci z obyczajówki, tylko jacyś obcy, ubrani po cywilnemu. Ponieważ Toby przejął dowództwo i jednocześnie nie chciał zostawić mnie samej, ośrodkiem wzmożonego ruchu stał się mój salon. Przed przyjściem obcych Pappy zabrała Flo, żeby ją wykąpać i przebrać, a ja poszłam do pralni wziąć prysznic i zrzuciłam sylwestrową sukienkę, by zamienić ją na coś spokojniejszego. Spokojniejszego.

Policjantów najbardziej zainteresowały pozostawione przez Flo ślady malowania palcami. Byli nimi zafascynowani, podczas gdy sama zbrodnia najwyraźniej niczym ich nie zafrapowała. Ot, zwyczajne morderstwo i samobójstwo, sprawa jasna jak słońce. Wszystkich przepytali, szukając motywu, ale nikt z nas nie zauważył żadnej zmiany w zachowaniu ani pani Delvecchio Schwartz, ani Harolda. Musiałam opowiedzieć o tym, jak Harold mnie śledził, o braku stabilności emocjonalnej i umysłowej, o wstrzymywaniu moczu, o odmowie poddania się badaniu psychiatrycznemu. Chikker i Marge z mieszkania na parterze od frontu ulotnili się bez śladu, nie zostawiając po sobie nawet odcisku palca. Ale oni nie wzbudzili szczególnego zainteresowania policji, chociaż wydano polecenie odszukania ich i przesłuchania. Ponieważ znajdowali się w pokoju bezpośrednio pod miejscem tragedii, mogli coś słyszeć.

- Dzieciak wszystko widział, to pewne - rzekł sierżant do Toby'ego. - Dowiemy się, jak było, kiedy wysłuchamy opowieści małej.

- Flo nie umie mówić - wtrąciłam się. - Jest niemową.

-Jest niedorozwinięta? - spytał sierżant, ściągając brwi.

- Wręcz przeciwnie, jest nadzwyczaj inteligentna - odparłam. - Po prostu nie mówi.

- Pan podziela tę opinię, panie Evans? Toby potwierdził, że Flo nie mówi.

-Nigdy nie wiem, czy jest obdarzona nadludzkimi zdolnościami, czy upośledzona - dodał, drań jeden.

Na koniec tej rozmowy weszła Pappy, wprowadzając Flo ubraną w czysty tabaczkowy fartuszek i, jak zwykle, bosą. Dwaj policjanci popatrzyli na Flo jak na odmieńca. Czytałam w ich myślach jak w książce: ona wygląda jak pięcioletnia dziewczynka, ale to monstrum.

Tak, Flo ma pięć lat. Dziś są jej urodziny. Mam dla niej prezent, śliczną różową sukienkę. Nadal leży zapakowana w szafce.

Potem przeszliśmy do konkretów, typowych w oficjalnym dochodzeniu. Czy są jacyś krewni? Wszyscy po kolei udzieliliśmy odpowiedzi przeczącej. Nawet Pappy, która najdłużej z nas mieszkała w Domu, powiedziała, że ani razu, o ile jej wiadomo, nie pokazał się nikt z rodziny. Pani Delvecchio Schwartz nie wspominała też nigdy o żadnym krewnym.

Wreszcie sierżant zamknął notes i wstał, dziękując Toby'emu za małą brandy na wzmocnienie - wielkie dzięki, brachu, jestem zobowiązany. Policjanci wyraźnie się cieszyli, że mogli porozmawiać z mężczyzną, że nie musieli zadawać się na gruncie towarzyskim z paczką bardzo dziwnych kobiet. Bo w tym wszystkim był element towarzyski - paskudna robota, a zawsze łatwiej jest się dogadać z rozsądnym facetem.

W drzwiach sierżant zwrócił się do mnie:

- Byłbym wdzięczny, gdyby mogła pani przez godzinę zaopiekować się dziewczynką, panno Purcell. Co najmniej tyle potrwa, nim przyjedzie tu ktoś z pogotowia opiekuńczego.

Poczułam, że otwierają mi się szerzej oczy. -Nie ma potrzeby wzywać pogotowia opiekuńczego - zapewniłam. - Zaopiekuję się Flo na stałe.

- Bardzo mi przykro, panno Purcell, ale to nie takie proste. Ponieważ nie mamy żadnych wiadomości o krewnych, odpowiedzialność za małą Florence - (Florence? - zdziwiłam się) - przejmuje od tej chwili pogotowie opiekuńcze. Jeżeli uda nam się dotrzeć do kogoś z rodziny, kto zechce wziąć dziecko, wówczas pojedzie ono do tej osoby. W takich przypadkach jak ten niemal zawsze krewny wyraża chęć przejęcia opieki. Jeżeli jednak nie uda się znaleźć żadnych krewnych, Florence Schwartz zostanie podopieczną stanu Nowa Południowa Walia.

Włożył elegancki kapelusz policjanta po cywilnemu i wyszedł. Posterunkowy podążył za nim.

- Toby! - jęknęłam.

- Pappy, zabierz Flo i Marcelinę do sypialni - powiedział Toby i odczekał, aż jego polecenie zostanie wykonane.

Potem ujął mnie za ręce, posadził w fotelu i przysiadł na poręczy, tak jak kiedyś Duncan. Jak kiedyś. Było, minęło, Harriet.

- Tak nie może być - zaprotestowałam.

Jeszcze nigdy Toby nie był tak surowy, bezwzględny, zimny.

- Tak jest, Harriet, tak jest. Sierżant powiedział, że Flo prawdopodobnie nie ma krewnych, nie ma rodziny. Jej matka zmarła, jak wszystko na to

wskazuje, w trakcie pijackiej kłótni z niezrównoważonym kochankiem, który nie był ojcem Flo. Sierżant uważa, że Flo jest rażąco zaniedbanym dzieckiem z patologicznego domu i że ma pomieszane w głowie. Jak tylko wróci na posterunek, opowie o wszystkim funkcjonariuszom pogotowia opiekuńczego i zarekomenduje, by od tej chwili opiekę nad Flo przejęło państwo.

- Nie może tego zrobić, nie może! - wykrzyknęłam. -Flo nie zniesie wyprowadzki z Domu! Umrze, jeżeli ją stąd zabiorą!

- Zapomniałaś o jednej ważnej okoliczności, Harriet. Flo była w tym pokoju, kiedy to się stało, i mazała krwią po ścianie. To akt oskarżenia - rzekł Toby surowo.

Mój przyjaciel mówi takie rzeczy? Czy nikt oprócz mnie nie stanie w jej obronie?

- Toby, Flo ma dopiero pięć lat! - powiedziałam. - Co my byśmy zrobili w jej wieku w takich okolicznościach? Bądź sprawiedliwy! Takich wypadków nie wykazują zgrabne zestawienia statystyczne! Przez całe życie wolno jej było bazgrać po ścianach w domu matki. Kto to może wiedzieć, czemu posłużyła się krwią? Może myślała, że to przywróci matce życie? Nie mogą zabrać mi Flo, nie mogą!

- Mogą i zrobią to - rzekł ponuro Toby i poszedł nastawić czajnik. - Harriet, ja po prostu gram rolę adwokata diabła. Zgadzam się z tobą, że Flo nie będzie umiała żyć poza Domem, ale nikt, kto ma zdecydować o jej losie, nie zobaczy tego w takim świetle. A teraz idź po Pappy i Flo. Jeżeli nie chcesz brandy, to przynajmniej napij się herbaty.

Koło południa zabrały Flo dwie kobiety z pogotowia opiekuńczego.

Nawet całkiem sympatyczne - choć pracę mają okropną. Flo w żaden sposób nie chciała iść im na rękę, nawet kiedy podpowiedziałam, żeby nazywały ją Flo, a nie Florence, jak ma pewnie zapisane w świadectwie urodzenia - jeżeli w ogóle posiada taki dokument, o czym, znając panią Delvecchio Schwartz, wcale nie jestem przekonana. Aniołek, mój aniołek. Nie pozwoliła się dotknąć i pozostała niewzruszona, gdy dwie panie przymilały się do niej, perswadowały, namawiały i błagały. Cały czas trzymała się mnie kurczowo, chowając twarz w moje kolana. W końcu postanowiły uspokoić ją wodzianem chloralowym, ale za każdym razem, kiedy próbowały zaaplikować jej środek, wymiotowała, nawet jeśli zatkały jej nos.

Akurat wtedy zeszły z góry Jim i Bob. Wolalabym, żeby się nie pokazywały. Dowodząca akcją kobieta obrzuciła je wzgardliwym spojrzeniem i dodała jeszcze jeden czarny znak do swojej opinii o Domu, w którym na cztery poziomy mieszkalne przypada jedna porządna łazienka i toaleta. Czemu Flo chodzi boso? Nie ma butów? Obie intruzki bardzo się tym przejęły. Kiedy po czwartym podejściu z wodzianem chloralowym Flo mnie puściła i zaczęła biegać po pokoju jak ptak, który wleciał do jakiegoś pomieszczenia i obijając się o ściany, kuchenkę, meble, usiłuje się wydostać, straciłam panowanie nad sobą i rzuciłam się na pogotowie opiekuńcze z pięściami. Toby mnie chwycił, powstrzymując równocześnie przed interwencją Jim.

W końcu postanowiły zrobić jej zastrzyk z paraldehydu, nieodmiennie skuteczny. Flo osunęła się na podłogę. Wzięły ją na ręce i wyniosły. Ruszyłam za nimi, nie odstępując na krok i ciągnąc za sobą Toby'ego, który

cały czas mnie przytrzymał.

- Jak ją odnajdę? - spytałam na dworze.

- Proszę dzwonić na pogotowie opiekuńcze - brzmiała odpowiedź.

Załadowały ją do samochodu. Kiedy odjeżdżały, zobaczyłam już tylko nieruchomą bladą twarzą mojego aniołka.

Wszyscy chcieli zostać ze mną i dotrzymać mi towarzystwa, ale ja nie potrzebowałam teraz nikogo, a już najmniej Toby'ego, który najbardziej się upierał. Krzyczałam na niego: idź sobie! idź sobie! Aż w końcu poszedł. Pappy zajrzała niedługo potem i powiedziała, że Klaus, Lerner Chusovich i Joe Dwyer ze stoiska z alkoholem w Piccadilly są w pokoju Klause na górze i pytają, jak się czuję, co mogliby dla mnie zrobić. Dziękuję, nic mi nie jest, niczego od nich nie chcę, odparłam. W nozdrzach czułam jeszcze słodkawą, mdłą woń paraldehydu.

Koło trzeciej poszłam do sypialni i zadzwoniłam do Bronte. Musiałam opowiedzieć mamie i tacie całą historię, zanim rozpiszą się o niej gazety, chociaż morderstwo i samobójstwo w noc sylwestrową w Kings Cross nie zasłużyłoby pewnie na więcej niż króciutką wzmiankę na dziesiątej stronie. Podniosłam słuchawkę i odkryłam, że telefon jest głuchy - ktoś wyciągnął przewód z gniazdka w listwie przypodłogowej. Pewnie Toby, kiedy kładł mnie w nocy do łóżka. Ledwie podłączyłam telefon, zadźwięczał dzwonek.

- Harriet, gdzieś ty się podziewała? - spytał tata. - Szalejemy z niepokoju!

- Jestem tu cały czas - odparłam. - Ktoś rozłączył telefon. Już wszystko wiecie?

- Natychmiast przyjeżdżaj do domu - rzekł krótko i był to rozkaz, nie

prośba.

Powiedziałam Pappy, dokąd jadę, i na Victoria Street złapałam taksówkę.

Kierowca popatrzył na mnie dziwnie, ale nic nie powiedział.

Mama z tatą siedzieli przy stole w jadalni, tylko we dwoje. Mama miała zaczerwienione oczy, jakby przez kilka godzin płakała, tata raptem zaczął wyglądać na swój wiek - serce mi się ścisnęło, bo naprawdę było widać, że ma prawie osiemdziesiątkę na karku.

- Cieszę się, że nie muszę wam o tym opowiadać - rzekłam, siadając.

Oboje patrzyli na mnie jak na kogoś obcego. Dopiero teraz, kiedy to piszę, zdaję sobie sprawę, że musiałam wyglądać, jakbym wydostała się z trumny. Groza tak działa.

- Nie chcesz wiedzieć, skąd wiemy? - spytał tata.

- Chcę. Skąd wiecie? - spytałam posłusznie.

Tata wyciągnął z koperty list. Wzięłam go i przeczytałam. Piękne kaligraficzne pismo, biegnące prościusieńko po gładkim drogim papierze z profesjonalnie naddartymi brzegami. Pismo i papier osoby superwytwornej.

Szanowny Panie!

Pańska córka jest dziwką. Najzwyklejszą ordynarną wszetecznicą niegodną żyć na tym świecie, a na tamym z pewnością nieoczekiwaną.

Od ośmiu miesięcy oddaje się wstrętnej rozpuście w ramionach żonatego mężczyzny, słynnego lekarza z jej szpitala. Uwiodła go, co widziałem na własne oczy, o zmroku na Victoria Street. Omamiła go! Kusila swoimi wdziękami! Wślizgnęła się podstępnie do jego życia i uczuć! Poniżyła go, zdegradowała i jeszcze się z tego cieszyła! Ale

porządny mężczyzna nie może jej zadowolić. Jest lesbijką, pełnoprawnym członkiem towarzystwa obrzydliwych dewiantek mieszkających z nią pod wspólnym dachem. Rzeczony lekarz nazywa się Duncan Forsythe.

Zatroskany obywatel.

- Harold - powiedziałam, odkładając list, jakby mnie parzył.

- Wnoszę, że oskarżenia mają oparcie w faktach - rzekł tato.

Uśmiechnęłam się, zamknęłam oczy.

-Tylko częściowo, tato. Odprawiłam Duncana we wrześniu minionego roku. Zapewniam cię też, że nie jestem lesbijką, choć mam wiele przyjaciółek lesbijek. Są o wiele lepszymi ludźmi niż ten okropny człowieczek, który to napisał. Kiedy przyszedł ten list? - spytałam.

- Wczoraj po południu.

Tata zmarszczył brwi. Nie jest głupi, zrozumiał, że mój dzisiejszy wygląd nie ma nic wspólnego z zakończonym cztery miesiące temu romanssem.

- Co się stało, skoro nie o to chodzi? - spytał. Zdałam im relację z dzisiejszego dnia.

Mama była przerażona, na nowo się rozplakała, ale tata... Tata był zdruzgotany. Poruszony do głębi. Co poczuł do pani Delvecchio Schwartz w trakcie tamtego spotkania, by tak po niej rozpaczać? Brakowało mu tchu, przyciskał rękę do serca, aż mama wstała i podała mu dużą szklaneczkę brandy Williego. To go troszkę uspokoiło, ale i tak nie od razu mogłam mu powiedzieć to, co musiałam - że będę się starać o przyznanie mi prawa do opieki nad Flo. Może jego reakcja na wieść o śmierci gospodyni wzbudziła we mnie nadzieję, że stanie po mojej stronie. Jednak nie stanął.

- Chcesz przejąć opiekę nad tym dziwolągiem?! - zawołał podniesionym głosem. - Harriet, nie możesz tego zrobić! To już się skończyło, wyprowadzasz się z tamtego domu! Najlepiej wróć do nas.

Nie chciałam wdawać się w kłótnię, nie miałam na to siły, więc wstałam i wyszłam, zostawiając ich siedzących przy stole.

Biedni, też przeżyli ciężki dzień. Mają córkę, która romansowała z ważnym panem doktorem, żonatym, ale ta historia bladła i traciła na znaczeniu wobec morderstwa, samobójstwa oraz powziętego przez rzeczoną córkę zamiaru starania się o opiekę nad szalonym dzieckiem, które nie mówi i maluje palcami unurzany w krwi. Nic dziwnego, że patrzą na mnie jak na kogoś zupełnie im obcego.

Tyle miałam do napisania o Nowym Roku. Nie senny koszmar, lecz rzeczywistość.

Poniedziałek. 2 stycznia 1961.

Dziś o piątej rano śnił mi się taki horror, że aż zaczęłam się dusić, a kiedy się zbudziłam, usiadłam na łóżku, rżąc i walcząc o oddech. Nadal czułam, jak podnosi się czerwone jezioro krwi, podnosi się coraz wyżej, podczas gdy ja stoję na palcach, z zalanyimi nozdrzami, a na to wszystko patrzy Harold, rycząc ze śmiechu.

Słońce już wstało, przez rozsunięte zasłony wlewało się światło. Wstałam, nakarmiłam Marcelinę, zaparzyłam kawę i usiadłam przy stole. Powtarzałam sobie w kółko, że pani Delvecchio Schwartz nie żyje. Ludzie tacy jak ona są tak pełni życia, że kiedy umierają, nie można w to uwierzyć

- czuje się tylko, że to niemożliwe, że to jakaś pomyłka. Nie wiem, dlaczego to się stało, nie wiem, dlaczego do tego dopuściła. Bo tak było! Dopuszciała do tego! Widziała to w kuli, kiedy ostatni raz w nią patrzyła, i nie zrobiła nic, by zapobiec nieszczęściu. A mimo to na przyjęciu była taka szczęśliwa. Może poczuła, że guz w mózgu zaczął rosnać, i wybrała szybszą śmierć z uzbrojonej w nóż ręki Harolda.

Nie potrafiłam pograć się w żalu, nie mogłam płakać ani rozpaczać. Było tyle do zrobienia. Musiałam się dowiedzieć, gdzie jest Flo. Jak minęła jej noc? Pierwsza noc życia poza Domem.

W pierwszej kolejności zadzwoniłam do rentgena w Queens i powiadomiłam osobę odpowiedzialną za grafik dyżurów, że nie przyjdę do pracy. Nie podałam powodu, tylko przeprosiłam i odłożyłam słuchawkę, w której skrzeczał gniewny głos. Nie musiałam robić tego samego dla Pappy, ponieważ skończyła pracę w Royal Queens w Wigilię. Na horyzoncie majaczył Stockton.

Ubrałam się i poszłam zobaczyć, czy Pappy już się obudziła. Zajrzałam do jej pokoju, zobaczyłam, że mocno śpi, zamknęłam drzwi i poszłam na górę. Nie do pokoju od frontu, na to jeszcze nie byłam gotowa. Odwiedziłam natomiast inne pokoje, w sumie trzy, z których korzystała pani Delvecchio Schwartz.

Zaczęłam od ponurej sypialni, której ściany były niemal tak dokładnie wypełnione książkami jak królestwo Pappy. I to jakimi książkami! Czy dopuściła Harolda do tej tajemnicy, czy nic z tego nie zrozumiał?

- Teraz już wiem, jak to robiłaś, stara wiedźmo - powiedziałam z uśmiechem.

Albumy z wycinkami z gazet - najstarsze sprzed trzydziestu lat - o politykach i biznesmenach, o ich życiu, skandalach, tragediach, dziwactwach. Who's Who wszystkich narodowości mówiących po angielsku. Almanachy. Sprawozdania sądowe. Stenopisy parlamentarne. Wszystko, co mogło się przydać - od biografii Australijczyków po spisy stowarzyszeń, związków, instytucji. Kopalnia informacji dla wróżbity.

Obok sypialni mieścił się kącik Flo ze starym żelaznym łóżkiem, na którym leżał goły materac, i komódka. Na ścianach ani jednego obrazka z pieskiem, kotkiem czy wróżką, żadnego śladu - oprócz bazgrołów na ścianach - że ktoś tu kiedykolwiek mieszkał. Miejsce to przypominało raczej niszę po zmarłym lokatorze instytucji niż pokój żywego dziecka. Zadrzałam z przerażenia. Czemu ogołociła łóżeczko Flo, jeżeli nie wiedziała, że ona odejdzie? Czy była to wiadomość, że Flo, wyrwana z życia w Domu, umrze?

Za kuchnię służyła ciasna wnęka, w której trudno byłoby przygotować coś dobrego do jedzenia. Sprzęt kuchenny był stary i wysłużony, popękany, powgniatany, poobijany.

Co sprawiło, że nie zależało jej na prostych wygodach? Jaka kobieta nie dba o własne gniazdo?

Wyszłam stamtąd i wróciłam na dół dręczona poczuciem, że mroki tajemnicy gęstnieją, że śmierć pani Delvecchio Schwartz jest zaledwie początkiem rozgałęziającego się bez końca labiryntu.

Pappy już wstała, więc zaprosiłam ją na kawę i śniadanie. Tak, śniadanie. Tyle jest do zrobienia, a na to wszystko potrzeba sił i zdrowia.

Jim i Bob zajrzały do mnie w drodze do pracy. Powiedziały, że mogą

zostać, gdybym tego chciała, ale odesłałam je. Kiedy zjawił się Toby, też zamierzałam go odesłać, ale to nie wchodziło w rachubę - wmaszerował do pokoju i stanął gotów do walki.

- Będę ci dziś potrzebny - rzekł zdecydowanie. Twarz miał bardzo bladą, brodę wysuniętą do przodu, oczy błyszczące.

W odpowiedzi wstałam i uścisnęłam go. On też mnie wyściskał, mocno.

- Przepraszam cię za wczoraj, ale ktoś musiał to zrobić - rzekł.

- Tak, wiem. Siadaj, mamy dużo do obgadania.

- Na początek należy przygotować jej ciało do pochówku, poszukać testamentu, dowiedzieć się, gdzie trzymają Flo - wyliczył.

Skończyło się na tym, że najpierw wykonaliśmy we trójkę najgorszą robotę. Poszliśmy na górę i wysprzątailiśmy pokój od frontu.

Toby zadzwonił na policję i dowiedział się, że ciało pani Delvecchio Schwartz będzie udostępnione dopiero po wydaniu orzeczenia przez koronera - nie wcześniej niż za tydzień, a może nawet za trzy tygodnie. Potem wyszedł na ulicę i ruszył na poszukiwanie Martina, lady Richard lub kogoś, kto miał jakieś doświadczenie z przedsiębiorcami i procedurami pogrzebowymi - jak mało wiemy o tych sprawach, dopóki się z nimi nie zetkniemy! Ojciec Toby'ego zmarł w buszu, pan Schwartz - kiedy Pappy była w Singapurze, w mojej rodzinie za mego życia nikt nie odszedł.

Zadzwoiłam do pogotowia opiekuńczego. Nie mogłam zapewnić, że jestem bliską bądź daleką krewną, wobec czego odmówiono mi udzielenia informacji na temat Flo. Usłyszałam jedynie, że znajduje się pod bardzo dobrą opieką w bliżej nieokreślonym miejscu.

- Byle nie w Yasmar! - powiedziała Pappy, kiedy odłożyłam słuchawkę.

Usiadłam bezwładnie.

- Dobry Boże, nie pomyślałam, że może być w Yasmar! -Flo ma już pięć lat, Harriet, mogli ją odesłać do Yasmar.

Yasmar to zakład, w którym umieszczano dziewczyny bezdomne lub z problemami do czasu podjęcia decyzji o ich dalszym losie. Ostatnio stał się obiektem ostrej krytyki, ponieważ nie dokładano tam starań, by oddzielić nieszczęsne ofiary tragicznych okoliczności, takie jak Flo, od zahartowanych, zdziczałych, czasem nawet agresywnych dziewcząt, wziętych pod kuratelę za rozmaite czyny, od prostytutki po zabójstwo.

Zadzwoiłam więc do Joe, do kancelarii adwokackiej, i zaczęłam ją wypytywać o testamenty, o to, jakie byłyby konsekwencje braku ostatniej woli.

-W przypadku, gdy nie ma testamentu ani adwokata prowadzącego sprawy rodziny, wkracza powiernik państwowy. Daje anons w prasie prawniczej, by zgłosiła się osoba, która testament posiada, a w międzyczasie opiekuje się majątkiem. Szukaj nie tylko testamentu, ale jakichkolwiek dokumentów i aktów prawnych, Harriet, a ja postaram się zrobić co w mojej mocy - powiedziała Joe rzeczowo. Wyobraziłam sobie, jak od jej czystego, mocnego głosu dźwięczą krokwie w sali rozpraw.

- Nie odkładaj słuchawki - rzuciłam pospiesznie. - Potrzebuję jeszcze nazwy kancelarii, która specjalizuje się w sprawach dotyczących opieki nad dzieckiem. Jeśli przecucie mnie nie myli, nie znajdziemy testamentu. Powiernik też nie. W związku z czym wystąpię o przejęcie opieki nad Flo.

Joe przez dłuższą chwilę nie odpowiadała, a potem westchnęła.

- Jesteś absolutnie pewna, że chcesz to zrobić? - spytała.

- Absolutnie pewna.

Obiecała, że rozejrzy się za taką kancelarią, i rozłączyła się.

Zaczęliśmy szukać testamentu. Przyszedł Klaus, który nie wiadomo gdzie się podziewał, i zaczął razem z nami otwierać i przetrząsać każdą książkę, odwracać strona po stronie albumy, macać wycinki prasowe, sprawdzając, czy nie ma gdzieś pod spodem złożonego papieru. Nic, nic, nic. Znaleźliśmy w końcu coś, co wyglądało na akt własności numeru 17 przy Victoria Street. Zaskakujące: nie 17C, tylko po prostu 17.

- Czy to znaczy, że była właścicielką wszystkich pięciu domów? -
pisnęła Pappy.

- Na pewno nie - odparł Klaus, rozglądając się wokoło. - Nie była bogata.

Pod schodami, za puszką z mydłem eukaliptusowym, którym szorowaliśmy pokój od frontu, stała drewniana skrzynia. Nie zwracaliśmy na nią uwagi, zakładając, że to schowek na narzędzia. W końcu Toby, zawiedziony bezowocnymi poszukiwaniami, poszedł do szafki pod schodami i wyciągnął skrzynkę. Postawił ją na małym stole w kuchni pani Delvecchio Schwartz i uniósł wieko, przygotowany na każdą niespodziankę - od Drakuli do wyskakującego papierowego klauna.

W środku leżał stary, lecz nieużywany dziecinny niebieski kocyk, duży kryształ z przezroczystego kamienia w różowofioletowym odcieniu, siedem szklaneczek z rżniętego szkła zapakowanych w cylindryczne kartoniki, wykuta w białym marmurze dziecięca dłoń z pulchnym przedramieniem oraz dziesiątki oszczędnościowych książeczek bankowych.

Toby wziął kilka z nich i po kolei, z rosnącym zdumieniem, otwierał je i

oglądał.

- Chryste! - krzyknął. - Każda, co do jednej, opiewa na mniej więcej tysiąc funtów, to znaczy tyle, ile można trzymać na rachunku oszczędnościowym bez konieczności ujawniania źródła przychodu.

Naliczyliśmy tych książeczek w sumie przeszło sto, choć już dalej ich nie otwieraliśmy. Po co, skoro to było oczywiste. Pani Delvecchio Schwartz wprowadziła w życie prosty, lecz żmudny plan. Nigdy nie korzystała dwa razy z tego samego banku, a zatem miała rachunek w każdym oddziale każdego banku w Sydney. Robiąc to przez dwadzieścia lat, z czasem musiała jeździć coraz dalej, aż dotarła ze swoim tysiącem funtów do banków w Newcastle, Wollongong i Bathurst. A co robiła z Flo, kiedy wyjeżdżała na cały dzień?

- No, przynajmniej Flo niczego nie zabraknie - rzekł Toby, pakując książeczki bankowe do pustego pudła, które następnie owinał papierem pakowym i obwiązał sznurkiem, gospodyni bowiem zachomikowała kilometry sznurka i stertę papieru pakowego, wygładzonego i starannie poskładanego.

- Flo może nie zobaczyć nawet pensa z tych pieniędzy, nie mówiąc już o dziedziczeniu Domu - powiedziałam ponuro. - Rząd położy łapę na całym majątku, jeśli nie znajdziemy jej świadectwa urodzenia.

Wznowiliśmy poszukiwania ze zdwojoną energią, lecz bez skutku. Ani testamentu, ani świadectwa urodzenia, ani nazwy jakiejś firmy prawniczej. Ani świadectwa ślubu. A kiedy zaczęliśmy wypytywać Pappy, nie mogła przysiąc, że Flo naprawdę jest dzieckiem pani Delvecchio Schwartz - Pappy spędziła dwa lata w Singapurze, starając się odnaleźć krewnych ojca.

Dopiero po powrocie przyprowadziła do Domu Toby'ego, więc od niego też nie mogliśmy się niczego dowiedzieć. Gdziekolwiek się obróciliśmy, trafialiśmy na mur. Zupełnie jakby pani Delvecchio Schwartz wkroczyła w życie jako osoba dorosła, nigdy nie wyszła za mąż, nie urodziła dziecka. Aż trudno sobie wyobrazić, że w dzisiejszych czasach coś takiego w ogóle jest możliwe, a jednak! Była na to dowodem. Ilu jest ludzi, o których istnieniu nie wiedzą organa władzy? Nie znaleźliśmy zeznań podatkowych, jedynie prostą księgę rachunkową z wpisanymi minimalnymi czynszami za 17C. Żadnych potwierdzeń opłacenia podatku od nieruchomości, żadnych rachunków za wodę, elektryczność i gaz, żadnych pokwitowań napraw.

- Za wszystko płaciła gotówką - powiedział zdenerwowany Klaus.

Na sam koniec - musieliśmy przejść przez pokój od frontu, żeby się tam dostać - otworzyliśmy szafkę na balkonie, w której pani Delvecchio Schwartz trzymała kule, karty i koła nieba. I to było wszystko, co się tam znajdowało. Przetrzęsaliśmy efemerydy, obejrzeliliśmy każdy formularz horoskopowy, obracając go na drugą stronę i oglądając pod światło, rozdzieliliśmy nawet karty do tarota. Ani świadectwa urodzenia, ani testamentu, nic.

- No dobra, odłóżmy to z powrotem - zarządziłam. Pappy gwałtownie zaczerpnęła tchu i złapała mnie za ramię.

- Nie, Harriet, nie! Nie rób tego! Zabierz to wszystko na dół i ukryj w swoim mieszkaniu.

Popatrzyłam na nią, jakby oszalała.

- Nie mogę tego zrobić! - odparłam. - Te rzeczy należały do niej, są częścią jej majątku. Szklana kula jest niezwykle cenna. Gdyby ją sprzedała,

tak mi powiedziała, mogłaby kupić hotel Australia.

Toby dostrzegł w tej sytuacji coś, co mi umknęło.

- Pappy ma rację, weź te rzeczy. Odmówiłam. Zirytowany, zaczął na mnie warczeć.

- Nie bądź głupia, Harriet! Rusz głową! W pierwszej kolejności przyjdą obejrzeć mieszkanie ludzie z pogotowia opiekuńczego. Jak myślisz, co powiedzą, kiedy to znajdą? Zwłaszcza razem z książeczkami bankowymi. Jeżeli chcesz starać się o opiekę nad Flo, jej życie, a także życie jej matki musi wyglądać możliwie najzwyczajniej.

I tak pomyślałam, że staruszka była ekscentryczna, nic na to nie poradzimy, ale, na litość boską, Harriet, nie wręczaj im takiej amunicji jak ta!

Upchnęliśmy okultystyczne akcesoria do drugiego pudła i zbiegliśmy galopem po schodach do mojego mieszkania, przerażeni, że w każdej chwili może zabrzmieć dzwonek u drzwi.

Zabrzmiało, ale dopiero o piątej. Dziwna godzina jak na pogotowie opiekuńcze. Zostawiłam Klause przy mojej kuchence, zajętego pichceniem posiłku, i poszłam otworzyć - wczoraj zaryglowaliśmy drzwi frontowe i teraz już zamykamy je na stałe.

Na werandzie stał Duncan Forsythe.

- Nie wejść - rzekł. - W samochodzie czeka żona.

Wyglądał jeszcze gorzej niż na ślubie Chris Hamilton - chudy, przygarbiony, zgębiony. Pasma zupełnie białych włosów przeplatały się z siwymi - bardzo niezwykle. Oczy miał zmęczone, ale patrzył na mnie z taką miłością, że aż ścisnęło mi się serce.

Zerknęłam ponad jego ramieniem. Jaguar stał z przednimi kołami tuż

przy krawężniku, żeby szanowna małżonka mogła obserwować wszystko, co dzieje się na werandzie pod numerem 17C. Po co ryzykować? - pomyślała pewnie.

-Twoja żona otrzymała list napisany kaligraficznym pismem na bardzo drogim papierze - uprzedziłam jego słowa. - Dowiedziała się z niego, że znalazłeś się w szponach dziwki, wulgarnej, pospolitej ladaczniczki niegodnej żyć na tym świecie i nieoczekiwanej na tamtym. Ramy czasowe się nie zgadzały, autor bowiem dał do zrozumienia, że nadal się spotykamy.

- Tak właśnie było - rzekł bez zdziwienia. - List przyszedł dziś rano.

-Musiał pokonać dalszą drogę - dopowiedziałam. -List do mojego ojca dotarł do Bronte w sylwestra. To go zabolalo tak, że musiał wziąć głęboki oddech.

- Och, Harriet, moja kochana! Tak mi przykro!

Tyle się wydarzyło! Patrzyłam na niego jak przez siatkę uplecioną z bólu i zatroskania, których nie czułam, dopóki nie stanął przede mną. Ale ten ból nie wiązał się z jego osobą, nie on wzbudzał moje zatroskanie. Poszłam dalej i teraz, patrząc na niego, zadawałam sobie pytanie, czy potrafiłabym wrócić do tego miejsca, które zajmowaliśmy razem. Zanim popełniono morderstwo. Zanim zabrano mojego aniołka i skazano go na śmierć.

Odpowiedziałam więc chłodno:

- Jeżeli to cię pocieszy, Duncanie, zapewniam, że więcej takich listów nie będzie. Napisał je Harold, a on nie żyje. Ciekawe, czy siostra Agata też taki dostała.

- Niestety, tak. Zadzwońiła do mnie dziś rano. Wzruszyłam ramionami.

- Fatalnie. Co ona może mi zrobić? Wyrzucić z pracy? To już nie te czasy. Najgorszą karą może być przeniesienie mnie z urazówki do rutynowych zdjęć klatki piersiowej, ale taka głupia to chyba nie jest. Jestem za dobra w pracy, żebym marnowała się w rentgenie klatki piersiowej.

Wpatrywał się we mnie, jakbym była zupełnie inną Harriet Purcell. Tak zresztą się czułam. Poklepałam go po ramieniu, starając się, żeby pani małżonka to widziała.

-Duncanie, nie musiałeś przyjeżdżać, naprawdę. Nic mi nie jest.

- Cathy nalegała - wyjaśnił stropiony. - Mam ci powiedzieć, że puści w niepamięć nasz romans i będzie nas popierała, zaprzeczając prawdzie, jeżeli ktoś jeszcze dostanie taki list.

Rety, ale bezczelna! Chłodny spokój gdzieś się ulotnił, zaczął wzbierać we mnie gniew. Jak ona śmie traktować go tak protekcyjnie?! Jak śmie mnie tak traktować! Jakby jej słowo miało moc odbierania znaczenia faktom!

- Bardzo szlachetnie z jej strony - powiedziałam. - Bardzo szlachetnie. - Miałam ochotę rzucić się na nią z pazurami.

- Dałem jej słowo, że nigdy więcej nie będę z tobą rozmawiał.

Tego było już za wiele. Odepchnęłam Duncana na bok ramieniem, podeszłam do samochodu i szybkim szarpnięciem otworzyłam drzwi od strony pasażera, zanim stara zdążyła je zablokować. Zacisnęłam rękę na wyścielającej ramię krawieckiej poduszczyce - ach, ten francuski szyk! -i wyciągnęłam panią Duncanową Forsythe na chodnik. Oparłam ją plecami o ogrodzenie 17C i popatrzyłam na nią z góry - czemu wysocy mężczyźni zenią się z kobietami z kaczą chorobą? Była przerażona! Nie przewidziała,

że kiedy weźmie Duncana na celownik i zmusi do przyjazdu tutaj, napotka żeńską wersję Jesse Jamesa.

- Nie wtrącaj się do mojego życia! - warknęłam, przybliżając twarz do jej twarzy. - Jak śmiesz mi rozkazywać?! Gdybyś wywiązywała się z obowiązku i dogodziła czasem mężowi, nie szukałby przygód na boku. Ciągniesz z niego pieniądze, a swoich długów nie spłacasz. Ja je spłacam, tak jak teraz spłacam dług twojemu mężowi, który jest porządnym człowiekiem i cudownym kochankiem! To nie jego wina, że go wykastrowałaś, więc zostaw go teraz w spokoju, słyszysz?

Gulgotała, z twarzą spurpurowiałą i oczyma wychodzącymi z orbit. Na balkonie pod numerem 17B zaczęła mi kibicować madame Toccata, na balkonie pod numerem 17D madame Fuga i Chastity.

Duncan wyszedł na chodnik, ale wcale nie po to, by pospieszyć na ratunek żonie. Oparł się o ogrodzenie, skrzyżował nogi, zaplótł ręce i uśmiechnął się.

- Pilnuj swojego nosa, głupia babo! - wrzasnęłam, ciągnąc ją z powrotem do samochodu. - Jeżeli chcesz się doczekać tytułu lady Forsythe, trzymaj buzię na kłódkę i noś sobie ciuchy od Balenciagi, ty chudy wieszaku na ubrania, ale mnie się nie czepiaj! - Wrzuciłam ją do samochodu.

Duncan stał, rycząc ze śmiechu, a stara skuliła się w fotelu jaguara, popłakując w koronkową chusteczkę.

- Nokaut w pierwszej rundzie - powiedział, ocierając oczy własną chustką. - Boże, jak ja cię kocham!

- Ja ciebie też - powiedziałam, dotykając jego twarzy. - Nie wiem czemu,

ale tak jest. Masz w sobie tyle siły i odwagi, Duncanie, musisz je mieć, żeby radzić sobie z życiem i śmiercią, okaleczeniem i chorobą. Ale w życiu osobistym jesteś tchórzem. Bądź sobą, wykorzystaj swoje możliwości, do diabła z tym, co myślą ludzie! A teraz odwieź ją do domu.

- Czy możemy się spotkać? - spytał. Znów był taki jak dawniej, jak tamtego wieczoru, kiedy weszliśmy do mnie prosto z Victoria Street, rozświetlony od wewnątrz, tryskający życiem.

- Nie teraz i nie wiem kiedy - odparłam. - Bóg wie, ile czasu upłynie, zanim się zobaczymy. W sylwestra Harold zamordował panią Delvecchio Schwartz, a potem sam się zabił. Muszę trzymać się z dala od kłopotów, bo chcę wystąpić o opiekę nad Flo.

Był wstrząśnięty, przerażony, pełen współczucia i chęci pomocy, ale nie rozumiał, czemu chcę zająć się Flo. Nie szkodzi. Wciąż mnie kocha, a to jest ogromną pociechą.

Wtorek. 3 stycznia 1961.

Dziś praca. Mężne słowa skierowane do Duncana nie zmieniają faktu, że nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy. Gdyby udało mi się znaleźć jakąś dobrą duszę, która zaopiekuje się Flo, kiedy będę w pracy, to z tego, co zostanie z mojej pensji, po dołożeniu czynszów z Domu, mogłybyśmy żyć przyzwoicie - okropne słowo! - a nawet z wygodami. W wieku pięciu lat powinna już rozpocząć wstępną naukę szkolną, ale jaka szkoła ją przyjmie? Musiałabym się dowiedzieć o szkoły specjalne, ale nie słyszałam o takich, przynajmniej nie w systemie państwowym. A jak zniósłaby Flo szkołę

specjalną, otoczona upośledzonymi lub spastycznymi dziećmi? Nic właściwie jej nie jest, ale zachowuje się jak roślina, która przy najlżejszym dotknięciu zamyka kwiaty. No tak, jest jeszcze Centrum Spastyczne w Mosman, cieszące się znakomitą opinią, ale czy Flo zostałaby do niego zakwalifikowana? Nie jest spastyczna, po prostu nie mówi.

Te pytania odsuwam na przyszłość, kiedy zostanie mi przyznana opieka nad Flo. Tymczasem muszę zachować pracę z męską płacą i jak najwięcej zaoszczędzić. Jeżeli powiernik państwowy okaże się nieprzychylny - a jakie instytucje państwowe są przychylne? - możliwe, że nie będę mogła zamieszkać z Flo pod numerem 17C, nie mówiąc już o inkasowaniu czynszów. Brak aktu urodzenia, aktu zawarcia małżeństwa. Flo przyszła na świat na podłodze w toalecie, nie na szpitalnym oddziale położniczym.

Nie ma co dywagować. Pozostaje tylko czekać.

Dziś o dziewiątej siostra Agata wezwała mnie na dywanik. Na czas mojej nieobecności wysłała techniczkę na zastępstwo. Poważna, bardzo poważna sytuacja.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, ile kłopotów nam pani wczoraj przysporzyła, panno Purcell? - spytała siostra Agata. - Zadzwoiła pani za dziesięć szósta rano... dziesięć minut przed rozpoczęciem dyżuru!... uprzedzając, że pani nie przyjdzie. Czy podała pani jakieś wytłumaczenie? Nie, nie zrobiła tego. Rzuciła pani słuchawkę, kiedy panna Barker jeszcze do pani mówiła.

Wpatrywałam się w jej niebieskie oczy i stanęła mi przed oczami siostra Agata tańcząca. Nijak nie mogłam połączyć tej dziwnej wizji z soplem lodu na krześle przede mną. Ona także otrzymała list od Harolda, co nie było

okolicznością sprzyjającą, lecz podsunęło mi pewien pomysł. Wiedziałam, że gdybym zaczęła jej opowiadać o pani Delvecchio Schwartz, Haroldzie i Flo, zwróciłabym ją przeciwko sobie. Szanujące się kobiety nie wplątują się w morderstwa i ich konsekwencje.

- Bardzo mi przykro, siostró Toppingham - powiedziałam. - Wczoraj rano ze zdenerwowania nie byłam w stanie logicznie myśleć. To krępujący temat, ale chyba muszę pani o tym powiedzieć. - Koloryzuj, Harriet, kłam, skoro to konieczne. Flo warta jest miliona kłamstw. - Mój ojciec otrzymał anonimowy list oskarżający mnie o romans z panem Duncanem Forsythe'em. Jest to, oczywiście, wierutna bzdura. Z pewnością jednak rozumie siostra, że wytrąciło mnie to z równowagi. Ojciec zażądał, żebym przyjechała do domu, więc musiałam pojechać.

- Hmmm - mruknęła i umilkła. - Czy wyjaśniła pani tę nad wyraz niepokojącą sprawę, panno Purcell?

-Owszem, siostró, z pomocą pani Duncanowej Forsythe.

Spryciuga, nawet się nie zająknie, że coś wcześniej wiedziała. Ale wzmianka o pani Duncanowej odniosła skutek.

-Pani przeprosiny zostały przyjęte, panno Purcell. Może pani wracać do pracy.

Nie spieszyłam się z odejściem.

- Siostró, ta okropna sprawa wywołała niefortunne konsekwencje. Wygląda na to, że będzie prowadzone dochodzenie, w związku z czym w ciągu najbliższych tygodni będę musiała w niektóre popołudnia wyjść z pracy pod koniec dyżuru. Zapewniam, że postaram się przesunąć terminy rozmów na jak najpóźniejszą godzinę, ale z pracy będę wychodzić

odpowiednio wcześniej, żeby zdążyć na umówione spotkanie.

Nie spodobały jej się moje słowa, ale okazała zrozumienie. Żadna siostra kierująca oddziałem szpitalnym nie lubi wysłuchiwać, że podległy jej personel wypracowuje bezpłatne nadgodziny.

- Może pani wychodzić na umówione spotkania, panno Purcell, proszę jednak danego dnia wcześniej mnie o tym uprzedzać.

- Tak, siostrze, dziękuję, siostrze - odparłam i czmychnęłam.

Poszło nie najgorzej, zważywszy na okoliczności. Och, czemu w Royal Queens nie jest tak jak w innych szpitalach, w Saint Vincent's albo Royal Prince Alfred, gdzie nigdy nie ma spokojnego weekendu? Gdybym miała dyżury w weekendy, mogłabym dysponować wolnymi dniami w ciągu tygodnia i wtedy załatwiać swoje sprawy. Czyżbym, wybierając Ryde i Queens, podjęła nie najlepsze decyzje?

Czwartek. 5 stycznia 1961.

Adwokatka Joe podała mi nazwę firmy specjalizującej się w sprawach dotyczących dzieci. Partington, Pilkington, Purblind i Hush na Bridge Street. Zupełnie jak z powieści Dickensa. Joe powiedziała, że mnóstwo firm prawniczych nosi dickensowskie nazwy, to należy do tradycji, a większość wymienionych partnerów - o ile całkiem nie zmyślono ich nazwisk - nie żyje od tysiąca lat. Wybrałam z tej listy pana Purblinda, ale stanęło na tym, że spotkam się w poniedziałek o czwartej z panem Husem.

Nadal nie mogę się dogadać z pogotowiem opiekuńczym. Nie chcą wyjawić, gdzie przebywa Flo. Ma się dobrze, jest szczęśliwa, to, tamto,

siamto, ale nie powiedzą, czy umieścili ją w Yasmar. Przesłuchania w sprawie Harolda i pani Delvecchio Schwartz będą prowadzone w przyszłą środę, muszę więc wymyślić fantastyczny powód, dla którego mogę potrzebować całego dnia wolnego. Wszyscy mieszkańcy Domu mają się stawić na wezwanie i odpowiedzieć na pytania. Od Norma wiem, że policja nie natrafiła na ślad Chikkera i Marge z pokoju na pierwszym piętrze od frontu. Wysunięto hipotezę, że uciekli do innego stanu, co oznacza, że nawet jeśli nie działali w branży, to jednak coś knuli. Bez odcisków palców nie można nawet stwierdzić, kim są. Może rabowali banki. Myślę, że to podejrzani ludzie odnoszący się nieufnie do władzy.

Ostatniej nocy, jakieś dziesięć po trzeciej, wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Wszyscy byli w Domu, wszyscy spali. Obudziło mnie ciężkie stąpanie, łomot kroków posuwających się korytarzem na piętrze. Zupełnie jakby pani Delvecchio Schwartz robiła nocny obchód. Nikt inny tak nie chodzi! Kiedy szła, trząsał się w posadach cały Dom, solidny wiktoriański szeregowiec. Ale przecież pani Delvecchio Schwartz nie żyje, widziałam ją martwą na własne oczy, a teraz biedaczka leży w szufladzie w kostnicy. A jednak chodziła na górze! Zadudnił tubalny śmiech -nie he-he-he, tylko ha-ha-ha. Pierwszy raz w życiu włosy stanęły mi dęba.

Chwilę potem wszyscy zebrali się pod moimi drzwiami. Klaus był roztrzęsiony, jęczał i szlochał, Bob tak samo. Jim robiła dziarską minę, Toby był biały jak ściana. Ja też zbielełam, co nie jest łatwe dla kogoś z taką ciemną cerą.

Wpuściłam ich do środka i porozsadzałam na fotelach. Nie mogli usiedzieć w miejscu, wiercili się, podskakiwali, drżeli. Ja też.

Jedna jedyna Pappy nie była śmiertelnie przerażona.

- Ona jest tu z nami - powiedziała. Oczy jej błyszczały. - Wiedziałam, że nigdy nie opuści Domu.

- Bzdura! - rzucił Toby.

- Nie, cokolwiek to jest, jest naprawdę - rzekłam. -Wszyscy spaliśmy i to nas obudziło.

Nastawiłam czajnik, zaparzyłam herbatę i do każdego kubka nalałam serdeczną dawkę brandy. Przysięga, że nigdy nie tknę tego świństwa, nie wytrzymała próby pani Delvecchio Schwartz.

Potem Pappy zaskoczyła nas sensacyjną nowiną. Nocne przeżycie napełniło ją radością, jakiej nie widziałam u niej od czasu jej cudownych chwil z Ezrą. Po prostu promieniała.

- Nie jadę do Stockton - oznajmiła. Wybałuszyliśmy na nią oczy.

- Pani Delvecchio Schwartz ukazała mi się po śmierci - szepnęła.

- Nie we śnie, lecz kiedy czytałam. Powiedziała, że nie powinnam opuszczać Domu. Więc poszłam do sióstr w Saint Vincent's i spytałam, czy mogę odbywać tam praktykę pielęgniarstwa, a mieszkać tutaj. Zakonnice są takie miłe, takie wyrozumiałe! Uznały, że biorąc pod uwagę mój wiek i doświadczenie w pracy w szpitalu, można się spodziewać, że będę lepszą pielęgniarką, mieszkając poza szpitalem. Pod koniec miesiąca dołączę do grupy nowych praktykantek w Saint Vincent's.

Nareszcie jakaś dobra wiadomość, pierwsza od sylwestra i jakże nam wszystkim potrzebna. Pappy jest dziwna, ma skłonności do mistycyzmu. Ale nawet po wysłuchaniu tego, co miała do powiedzenia, nie wierzę, że słyszałam tam na górze kroki prawdziwej pani Delvecchio Schwartz.

Prędzej gotowa jestem uwierzyć, że to emanacje mojego zaginionego aniołka wkradły się do naszych umysłów i nas omamiły.

Gdzie jesteś, Flo? Czy czujesz się dobrze? Czy ci, którzy się tobą opiekują, rozumieją cię? No nie, na pewno nie czujesz się dobrze i na pewno nikt cię nie rozumie. Po odejściu matki należysz do mnie, poruszę niebo i ziemię, żeby tylko nie odesłali cię do sierocińca. Jeżeli nie sprowadzę cię do Domu, umrzesz. Twój los spoczywa w moich rękach, ponieważ twoja matka mi ciebie powierzyła. I to jest największa tajemnica.

Sobota. 7 stycznia 1961.

Dziś przyszła pracownica pogotowia opiekuńczego. Zobaczyłam ją na werandzie, kiedy wróciłam z zakupów. Mała elegancka paniusia po pięćdziesiątce z oznakami stanu staropanieńskiego - od braku obrączki do sterczących na brodzie włosków. Czemu one ich nie wrywają albo nie golą? Można by się spodziewać, że skłoni je do tego zwykła, wybaczalna próżność, a jednak połowa ich obnosi się z tymi włoskami jak ze znakiem rozpoznawczym. Dobrze, że wojna wyzwoliła takie kobiety, że mogą pracować, w przeciwnym razie co by się z nimi stało? Chociaż z drugiej strony wojna zmniejszyła pulę kandydatów na mężów. Na pewno nie ma tylu samotnych kobiet w moim wieku, ile jest ich w wieku Chris i Marie albo starszych. Nie można zapominać, że Australijczyka trudno złapać i jeszcze trudniej utrzymać przy sobie. W porównaniu z nimi Nowi Australijczycy, jak przekonały się Chris i Marie, to bułka z masłem albo raczej kawałek weselnego tortu.

Stara panna przedstawiła się, więc uczyniłam to samo. Panna Farfer albo Arthur, albo Farfin - wypowiedziane szczekliwym głosikiem nazwisko brzmiało jak Arf-Arf. Nazywałam ją więc panną Arf-Arf, czego zdawała się nie zauważać. Otworzyłam zaryglowane drzwi i ruszyłam przodem. Nie widziałam jej reakcji na bazgroły i brzydotę zaniedbanych wspólnych korytarzy Domu. A potem, trzeba trafu, wyszliśmy na boczne przejście akurat w momencie, gdy madame Fuga wymyślała Verity.

- Ty głupia pieprzona dziwko!

Tak brzmiały jedyne, na szczęście, słyszalne słowa, podejrzewam jednak, że ten fragmencik wystarczył.

- Co tam się mieści? - spytała, gdy otworzyłam drzwi swojego mieszkania.

- Prywatny hotel - odparłam, wprowadzając ją do swojego miłego różowego królestwa.

Poinformowała mnie, że przyszła zobaczyć, w jakich warunkach żyła przedtem Florence Schwartz. Przedtem.

- Przychodzę tu codziennie od wtorku i nigdy nikogo nie zastałam - rzekła rozdrażniona.

Ojej. Niedobry początek. A potem było coraz gorzej. Pani Arf-Arf wyciągnęła notes i sporządzała skrupulatne notatki, podczas gdy ja objaśniałam specyfikę Domu, opowiadałam o jego mieszkańcach, o tym, kim jesteśmy i jak zarabiamy na życie, od jak dawna tu mieszkamy, jak dobrze znaliśmy panią Delvecchio Schwartz i Flo, którą panna Arf-Arf uparcie nazywała Florence. Z jej pytań wynikało w sposób oczywisty że rozmawiała już z tymi dwiema, które zabrały Flo. Czy Flo nosiła buty?

Dlaczego nie chciała mówić? W jakich godzinach spała? Czym karmiła ją matka? Dziękowałam Bogu, że Pappy zachowała przytomność umysłu i kazała schować okultystyczne akcesoria, bo panna Arf-Arf obeszła całe mieszkanie, odwracając każdy kocyk i zaglądając do każdej szuflady. Co by powiedziała na to, że Flo została odstawiona od piersi niedługo przed śmiercią matki? Pozostało to naszą tajemnicą, podobnie jak przepowiadanie przyszłości.

Nie pozwoliłam jej zajrzeć do mieszkania Jim i Bob ani do pokoju Klause podczas ich nieobecności. Okazała z tego powodu niezadowolenie, które wzrosło jeszcze bardziej, gdy usłyszała odpowiedź Toby'ego na propozycję, że odwiedzi go na mansardzie.

- Spierdalaj! - warknął i zatrzasnął klapę w podłodze.

Pokój od frontu zostawiłam na koniec, mając cichą nadzieję, że pani Arf-Arf go sobie daruje. Ale jakżeby mogła pominąć miejsce zbrodni! Była bardzo rozczarowana. Wysprzątałismy pokój tak dokładnie, że nawet kredkowe esy-floresy zbladły i zwały się ze ścianami. A z malowania umazanymi krwią palcami nie została ani smużka.

- Widziałam policyjne zdjęcia - powiedziała zadowolona z siebie.

Z największą ochotą powiedziałabym jej „spierdalaj”, ale się nie odważyłam. Ponieważ los Flo był niepewny, w rozmowie z przedstawicielami pogotowia opiekuńczego musiałam być przyjazna, otwarta, rozsądna i zrównoważona. Toteż na koniec obchodu zaproponowałam panie Arf-Arf filiżankę herbaty. Zaproszenie zostało przyjęte.

-Zważywszy na obskurne otoczenie domu oraz stan prywatnego

mieszkania matki Florence, moja droga panno Purcell, urządziła sobie pani tutaj bardzo przytulny kącik - powiedziała i skosztowała twarde owsiane ciasteczko. Taka osoba nie pozwoli sobie na maczanie ciastek w herbacie!

Powiedziałam, że wystąpię o przyznanie mi opieki nad Flo.

- Ależ to nic nie da! - odparła.

Spytałam dlaczego. Wyjaśniła, że Florence ma zapewnioną dobrą opiekę tam, gdzie jest (nie wspomniała gdzie, więc mogło to być równie dobrze Melbourne jak Timbuctoo), a kwestia przyznania opieki prawnej może zostać rozważona dopiero po stwierdzeniu, że nie ma ani testamentu, ani krewnych.

- To może potrwać wiele miesięcy - podsumowała.

Popatrzyłam w jej wodniste niebieskie oczy i zrozumiałam, że gdybym zaczęła błagać, pozwalając sobie na upust nagromadzonych emocji, gdybym powiedziała, że Flo umrze, jeżeli szybko nie wróci do domu, wówczas moje szanse na jej odzyskanie natychmiast by zmalły.

- One nie są odczłowieczone ani okrutne - powiedziałam później do Toby'ego, kiedy wspiełam się na poddasze. - One po prostu kierują się przepisami, ignorując specyficzne okoliczności każdego przypadku.

- Oczywiście - mruknął, przecierając obraz w hotelowym stylu, przedstawiający eukaliptus gałkowy na polanie. - Pracują w służbie publicznej, Harriet, a pracownicy służby publicznej nie stają okoniem i nie rozrabiają. O wszystkim decydują bezduszne urzędasy zasiadające w jakiejś komisji. Raport pani Arf-Arf zostanie dołączony do akt Flo razem z innymi raportami, a kiedy teczka będzie odpowiednio gruba, trafi gdzieś wyżej, gdzie zapadnie decyzja.

- Ona może wtedy już nie żyć - powiedziałam, mrugając, bo do oczu napłynęły mi łzy.

Toby odłożył pędzle, podszedł i usiadł na wprost mnie na krześle, bardzo blisko. Nachylił się, odgarniając mi kosmyk włosów z czoła.

- Dlaczego tak ją kochasz? - spytał. - Owszem, to miłe dziecko, chociaż trochę dziwne, ale kiedy o niej mówisz, można by pomyśleć, że jest twoją rodzoną córką. Mówisz, że mam skłonność do obsesji, a sama masz o wiele większą obsesję na punkcie Flo, większą niż jakiegokolwiek dziwactwo, które mógłbym wymyślić.

Co miałam odpowiedzieć, aby przekonać go, że Flo jest wyjątkowa?

- Trudno to zrozumieć komuś patrzącemu z zewnątrz, komuś, kto nie wejrzał w serce. Po prostu pokochałam Flo, kiedy ją ujrzałam - odparłam.

- Wcale nie jest trudno to zrozumieć - rzekł i wzruszył ramionami. - To proste... ja też mam serce. - Uśmiechnął się ciepło i znów poprawił mi włosy. - Skoro musisz to zrobić, Harriet, walcz z całą energią i entuzjazmem, na jakie potrafisz się zdobyć, nawet w tak trudnym czasie. Ale zrób dla mnie jedno: pomyśl o swoim życiu. Jeżeli odzyskasz Flo, już nigdy nie będziesz wolna.

To prawda. Ale z góry wiadomo, jakie jest rozstrzygnięcie tej kwestii. Widocznie Toby tego nie widzi. Flo jest dla mnie warta każdego poświęcenia, nawet utraty wolności. Ani dla Duncana Forsythe'a, ani dla żadnego mężczyzny nie chodziłabym po rozżarzonych węglach, ale dla Flo? Jest moim aniołkiem. Moim dzieckiem.

Poniedziałek. 9 stycznia 1961.

Stawiłam się w kancelarii panów Partingtona, Pilkingtona, Purblanda i Husha na Bridge Street dokładnie minutę przed wyznaczonym terminem spotkania z panem Husem, który, jak poinformowała mnie wyniosła i nadąsana sekretarka, zwykle nie przyjmuje klientów o tak późnej porze, to jest o czwartej po południu. Przeprosiłam za sprawienie kłopotu panu Husemowi - oto cudowne skutki szpitalnej musztry! Gdyby śmieciarz zbeształ mnie za wgniecenie w pokrywie śmietnika, przyjęłabym przepisową postawę z rękoma do tyłu i przeprosiłabym. O ileż łatwiej tak właśnie postąpić, niż szukać usprawiedliwień i tłumaczeń! Wyniosła i nadąsana sekretarka, zachwycona moją postawą, posłała mi uśmiech, stulając wargi tak, że przypominały koci odbyt, po czym kazała mi usiąść i czekać. Firmy prawnicze są w lidze amatorskiej w porównaniu ze szpitalami, pomyślałam. Gdybym miała wolne pół godzinki, już ja bym dała jej szkołę, panna Jak--jej-tam służyłaby na dwóch łapkach. Ciekawe, że firmy prawnicze też zatrudniają stare panny. Jak by sobie bez nich poradził świat wolnych zawodów? I co będzie, kiedy pałeczkę przejmie moje pokolenie, w którym jest o wiele więcej mężatek? Prywatne sekretarki i szefowe oddziałów oprócz pracy będą miały na głowie chore dzieci i niewywiązujących się z obowiązków mężów. Uuuuuu!aa!

Pan Hush wygląda jak rzeźnik. Duży i muskularny, z sinawym pijackim nosem. Jedno spojrzenie i decyzja: odrzucić tłuszcz, ściągnąć skórę ze ścięgien, zaserwować dobre czerwone mięso. Zatem bez zbędnych wstępów przedstawiłam krótko swoją sprawę, pozbawiając opowieść barw i smaczków, i zakończyłam słowami:

- Chcę zdobyć prawo do opieki nad Flo, panie Hush.

Moja zwięzła i logiczna wypowiedź zrobiła na nim nadzwyczajne wrażenie - no i co, może nie umiem sobie radzić z mężczyznami!

- Poproszę najpierw o dane osobiste, panno Purcell. Ile ma pani lat? Czy pani pracuje?

- Mam dwadzieścia dwa lata i pracuję jako technik w pracowni rentgena.

- Czy stać panią na coś, co może okazać się kosztownym przedsięwzięciem?

-Tak.

- A więc ma pani prywatne źródła dochodu.

- Nie. Zaoszczędziłam dość, żeby pokryć koszty prawne.

- Z pani odpowiedzi wynika, że nie ma pani innego źródła dochodu oprócz wykonywanej pracy. Zgadza się?

- Tak - odparłam szeptem, tracąc pewność siebie.

- Czy jest pani mężatką? Albo jest pani zaręczona?

- Nie - szepnęłam. Wiedziałam, dokąd zmierza.

- Hmmmm. - Postukał w zęby ołówkiem.

Wyjaśnił mi następnie, że istnieją trzy rodzaje opieki nad dzieckiem - adopcja, kuratela i dom zastępczy.

- Jeśli mam być szczery, to nie kwalifikuje się pani do żadnej z tych form - podsumował, obojętnie wymachując rzeźnickim tasakiem. - W naszym stanie nie było przypadku przyznania opieki nad dzieckiem kobiecie niezameężnej, pracującej i niebędącej krewną dziecka. Pani wiek także jest argumentem przeciwko przyznaniu pani opieki. Może byłoby

rozsądniej wycofać się już teraz.

Z miejsca przywdziałam zbroję. Popatrzyłam na prawnika z wściekłością.

- Nie wycofam się! - rzekłam zdecydowanie. - Flo należy do mnie, tego chciałyby jej matka. Przysięgam, zrobię wszystko, żeby ją odzyskać. I odzyskam! Odzyskam!

Pan Hush poderwał się zza biurka, obszedł je i pocałował mnie w rękę!

-Ależ z pani wspaniała wojowniczką, panno Purcell! - zawołał. - Szykuje się kapitalna zabawa! A teraz proszę opowiedzieć resztę, bo nie wszystko mi pani wyjawiała, prawda?

Opowiedziałam mu tyle, ile uznałam za rozsądne. Owszem, pan Hush mi się spodobał, ale nie aż tak, żebym mówiła mu o wróżbiarstwie i karmieniu piersią. Poinformowałam go o książeczkach oszczędnościowych, o aktach własności, które zdawały się obejmować wszystkie budynki z numerem 17 przy Victoria Street, o braku innych dokumentów: aktów małżeństwa, aktów urodzenia i zeznań podatkowych. Zachwycony tymi nowinami, coraz bardziej przypominał rzeźnika. W jego umyśle powstawał nowy przepis na kielbasę z funkcjonariuszek pogotowia opiekuńczego.

Stało na tym, że pan Hush osobiście zainteresuje się poszukiwaniem testamentu i próbą dotarcia do krewnych. Weźmie także pod lupę powiernika państwowego oraz jakiegokolwiek osoby, które mogłyby zacząć węszyć za truflami - dość znacznym majątkiem, być może zdobytym bezprawnie.

Tak wyglądał mój pierwszy kontakt z firmą prawniczą czy wręcz z wymiarem sprawiedliwości. Jeżeli wziąć pod uwagę epizod z atakiem furii

abstynenckiej Williego oraz Norma, Merva i policjantów z wydziału dochodzeniowo-śledczego, to miałam więcej do czynienia z prawem niż większość dziewcząt w moim wieku, oczywiście tych, które nie pracują w wiadomej branży.

Nie przyszło mi na myśl, że ludzie mający władzę nad Flo mogą mnie uznać za nieodpowiednią opiekunkę. Że mój wiek, konieczność pracy zarobkowej i stan cywilny są ważniejsze od czegoś tak abstrakcyjnego jak miłość. Co świadczy o tym, jaka jestem głupia. Przecież widać to było jak na dłoni, wystarczyło popatrzeć na te panie z pogotowia opiekuńczego, bardziej interesujące się bucikami niż miłością. Nie, źle mówię. Stawiające między bucikami a miłością znak równości.

Wiem tylko, że Flo umrze, jeżeli nie sprowadzę jej do Domu. Zgaśnie, a ci, którzy mieli nad nią władzę, będą zachodzić w głowę, co się stało. I o niczym nie będą mieli pojęcia.

Środa. 11 stycznia 1961.

Koroner prowadził przesłuchania dziś rano. Wielkie nic. Wezwano nas wszystkich do złożenia zeznań. Pracowałam od szóstej do dziewiątej, pognałam do miasta taksówką, a kiedy było już po wszystkim - z powrotem taksówką do Queens. Na użytek siostry Agaty wymyśliłam bajeczkę o policyjnym dochodzeniu w sprawie anonimowych listów. Przyjęła to tłumaczenie bez komentarza.

Nie, nie dostrzeżliśmy żadnego szczególnego napięcia między panem Warnerem a jego lubą, panią Delvecchio Schwartz. Nawet Pappy nie

potrafiła podać imienia. Nie, nikt z nas nic nie słyszał. Odnotowano nieobecność Chikkera i Marge, lecz policja była zdania, że ta dwójka nie uczestniczyła w incydencie. Orzeczenie: zabójstwo i samobójstwo. Sprawa zamknięta. Mogliśmy odebrać ciało pani Delvecchio Schwartz celem pochówku. Kremacja zabroniona! Dlaczego? Żeby mogli ją znów wykopać, gdyby wyszły na jaw nowe okoliczności? Wspólnie doszliśmy do wniosku, że tak.

Ktoś dowiedział się - pewnie stara puściła farbę -o moim romansie z Duncanem, bo siostra oddziałowa rzuciła mi parę kąśliwych uwag. Udawałam głupią. A niech sobie węszą, ile chcą.

Moja wiarygodność w oczach siostry Agaty znowu została nadszarpięta, kiedy musiałam jej powiedzieć, że w piątek w ogóle nie przyjdę do pracy. Śmierć w rodzinie, wyjaśniłam. Chyba mi nie uwierzyła.

Piątek. 13 stycznia 1961.

Walka o pochówek trzynastego w piątek wyjaśniła, czemu siostra Agata mi nie uwierzyła. Przedsiębiorca pogrzebowy na samą myśl uniósł ręce z przerażenia, ale Toby i ja, wybrani na organizatorów uroczystości, nie ustąpiliśmy. Jaki inny dzień byłby bardziej odpowiedni dla pani Delvecchio Schwartz niż piątek trzynastego? W końcu nakłoniliśmy przedsiębiorcę do ustępstwa, zgadzając się na udział duchownego, choć pani Delvecchio Schwartz pewnie by sobie tego nie życzyła. Coś mi się zdaje, że facet widział w nas satanistów - Kings Cross i te rzeczy, wiadomo. Toby i ja popatrzyliśmy na siebie i wzruszyliśmy ramionami. Może staruszkę

rozśmieszy, że zostanie pochowana w obrządku Kościoła anglikańskiego. Prochem jesteś i w proch się obrócisz, i tak dalej. Człowiek zrodzony z kobiety - nasz duchowny nie zgodzi się na „kobietę zrodzoną z kobiety”. W jakim dziwnym świecie żyjemy! Najeżonym formułkami, jak mówi Pappy.

Trudno sobie wyobrazić gorszy dzień na pogrzeb. Zakorkowane Sydney w czasie fali upałów. O dziewiątej temperatura dochodziła do czterdziestu stopni, a wiatr z zachodu podsyczał żar niczym ogromny miech przy paleniskach piekła. W całych Górach Błękitnych płonął busz, więc powietrze było brązowe, śmierdziało dymem i sypało popiołem. Przerażony pastor z pewnością myślał, że to sam Lucyfer szykuje wielkie przyjęcie powitalne dla jednego z najważniejszych ziemskich diabłów. Karawan wyjechał z zakładu pogrzebowego bez nieprzewidzianych wypadków, a za nim żałobnicy w dwóch dużych czarnych fordach - Pappy, Toby, Jim i Bob, Klaus, Lerner Chusovich i Joe Dwyer ze stoiska z alkoholem w pubie Piccadilly. No i ja, oczywiście. Flo się nie zjawiła, chociaż zawiadomiliśmy pogotowie opiekuńcze. Madame Fuga i madame Toccata wraz z przyjaciółmi dołączyły do konduktu w ogromnym czarnym rollsie, zapewne pożyczonym od klienta. Kiedy dotarliśmy do miejsca pochówku, Norm i Merv już tam czekali. Wóz policyjny zaparkowali nieopodal, pomiędzy przewróconym aniołem a zardzewiałym metalowym krzyżem. Podjechał rolls, z którego, wspierając się na ramieniu Martina, wysiadła lady Richard, olśniewająca w prostej sukni z czarnego szantungu i w czarnym toczku na fioletoworóżowych włosach. Zwiewna czarna siateczka opadała jej na twarz. Doskonale! Stawili się wszyscy, których staruszka chciała tu widzieć. Oprócz Flo.

Pochowaliśmy ją na Rookwood, największym w świecie i najbardziej zaniedbanym cmentarzu, ciągnącym się kilometrami w środku zachodnich przedmieść. Zarastają go chaszczce, wybujała trawa, samotne skarłale drzewa, nieliczne „bycze dęby” i eukaliptusy. Na rozsianych z rzadka grobach ani jedna stojąca płyta nie trzyma pionu, zniszczone nagrobki przechylają się każdy pod innym kątem.

Toby, Klaus, Merv, Norm, Joe i Martin, stękając i pojękując, zaczęli popychać wielką trumnę, aż udało im się dźwignąć ją na ramiona - zawierała oczywiście drugą, ołowianą, co było koniecznością po tak długim przechowywaniu zwłok w kostnicy. Chwiejąc się pod ogromnym ciężarem, dotarli do świeżo wykopanego grobu i przy wtórze niemiłosiernych przekleństw opuścili trumnę na trzy leżące w poprzek deski. Pastor gapił się na nią, gdyż dopiero teraz miał okazję się jej przyjrzeć, a przedsiębiorca pogrzebowy, rozmawiając po cichu z robotnikami, upewniał się, czy zgodnie z poleceniem przygotowano odpowiednio obszerne miejsce ostatniego spoczynku.

Kobiety stanęły po jednej stronie, a mężczyźni po drugiej - jak to na australijskim pogrzebie. Jim stanęła razem z mężczyznami. My, kobiety, wyglądałyśmy pięknie - ja w szokująco różowym stroju, Pappy w szmaragdowej chińskiej sukni cheongsam, Bob w niebieskiej haftowanej organdynie, lady Richard w kreacji z szantungu, a madame Fuga i madame Toccata wystrojone jak spod igły w obcisłe sukienki z czarnego atłasu, czarne szpilki i gęste czarne welony w stylu królowej brytyjskiej. Wszystkim panom udało się znaleźć jakiś krawat (ten Martina przypominał wyrzyganą marchewkę z groszkiem), no i rozsądnie pozbyli się marynarek.

Mieli natomiast czarne opaski.

Wyobrażam sobie, jaką pani Delvecchio Schwartz miała uciechę! Gdy pastor stanął nad grobem, by rozpocząć pożegnalny obrzęd, potwornie gorący podmuch wiatru z szatańskim świstem poderwał mu poły ubrania i zarzucił na twarz, strącając okulary. Pastor omal nie przewrócił się na trumnę - prostą, bez jednego kwiatka, nie mówiąc o wieńcu. Uzgodniliśmy wcześniej, że pani Delvecchio Schwartz nie byłaby nam wdzięczna za tradycyjną oprawę, to znaczy kwiaty, ponieważ najwyraźniej jeszcze nie przeniosła się na tamten świat. Już nawet trochę się przyzwyczailiśmy do nocnych galopów po korytarzu i gromkich wybuchów śmiechu. Budzimy się, wzdychamy, uśmiechamy - i zasypiamy z powrotem.

Sześciu mężczyzn podłożyło pod trumnę pasy i uniosło ją na tyle, by przerażony przedsiębiorca pogrzebowy mógł wysunąć deski. Potem trumna zjechała w dół przy akompaniamencie podobnych jak przedtem przekleństw. Ustaliliśmy wspólnie, że pani Delvecchio Schwartz chciałyby zabrać ze sobą niebieski dziecinny kocyk, wielki fioletowo-różowy kryształ, marmurową rękę i siedem szklaneczek z rżniętego szkła. Nikt nie rzucił grudki ziemi z ponurego Rookwood - odeszliśmy, pozostawiając dopełnienie obowiązku stojącym obok z szacunkiem robotnikom.

- Cholerny krzyż, wysiadł mi kompletnie! - zakwilił Merv.

- Cięższa po śmierci niż za życia - rzekł z powagą Klaus.

- Kurde! Poszło mi oczko w pończosze! - jęknęła lady Richard.

- Dobrze, że ma cień - rzekł Toby, wskazując eukaliptus.

- Nigdy tego nie zapomnę! - powiedział Joe Dwyer, ocierając łzy. - Nie zapomnę!

Wróciliśmy do domu i urządziliśmy przyjęcie u Toby'ego na poddaszu.
Kto pochowa Harolda? Mało mnie to obchodzi.

Sobota. 14 stycznia 1961.

Mam dziś chandrę. Zrozumiałą po wczorajszym. Zadziwiające, że szczególnym zbiegiem okoliczności mogliśmy pochować panią Delvecchio Schwartz w piątek trzynastego. Poprzedni taki dzień wypadł w maju, a następny będzie dopiero w październiku. To jakby omen, podobnie jak pojawienie się Marcelinę w moim życiu. Czy tym, co się zdarza, naprawdę rządzi przypadek?

Toby pojechał zobaczyć, czy pożar buszu dotarł do jego chaty w Wentworth Falls, Jim i Bob śmignęły na harleyu davidsonie, a Klaus wybrał się do Bowral z Lernerem Chusovichem, który poczuł się pominięty, bo nie pozwolono mu nieść trumny. Taki chudzina. Nieśmiały i tajemniczy.

Pappy była w domu, więc zjadłyśmy razem kolację. W najbliższy poniedziałek zaczyna pracę w Saint Vincent's z innymi praktykantkami. Dzięki Bogu, że wykreśliła Stockton ze swoich planów. A raczej dzięki zjawie pani Delvecchio Schwartz. Pappy naprawdę wierzy, że stara wiedźma materializuje się i do niej przemawia, chociaż ja w to nie mogę uwierzyć. Owszem, słyszę tupot nóg i śmiech, lecz uważam, że to zjawisko wytwarzane przez Flo.

- Wyjmowałeś szklaną kulę i karty? - spytała Pappy.
- Wielkie nieba, nie! Są w szafce z tilsiterem.

- Jej by się to nie podobało, Harriet. Kulę i karty trzeba brać do ręki, bo inaczej tracą moc.

Nie było rady, musiałam wyciągnąć wróżbiarskie akcesoria z szafki. Położyłam je na stole w przybrudzonych jedwabnych osłonach, ale odmówiłam wykładania kart i zagładania do kuli.

- Będę je czasem brała do ręki, ale to wszystko - rzekłam stanowczo. - Sama mi mówiła, że to kant, o czym zresztą świadczą te wszystkie książki w jej pokoju.

- Kiedyś tak rzeczywiście było - odparła niewzruszona Pappy. - Ale dawno temu, zanim się zorientowała, że ma moc. Książki przechowywała, bo nie mogła ich wyrzucić.

- Książki obejmują ostatnie lata, a moc ma Flo.

- Może aktualizowała informacje, żeby przekazać je Flo w spadku. Nawet ktoś obdarzony mocą musi najpierw raczkować, nim zacznie chodzić. Ten zbiór czeka, aż Flo zacznie go studiować.

- Bzdury wygadujesz! Pani Delvecchio Schwartz wiedziała równie dobrze jak ja, że Flo nie nauczy się czytać, podobnie jak nie może nauczyć się mówić - odparłam. - Mam nadzieję, że przynajmniej opowiesz mi, jak wyglądały seanse mediumiczne z udziałem Flo.

Ale Pappy mówi, że nie może mi o tym opowiedzieć, bo ani razu nie widziała seansu z klientką. Żadna z klientek, dodała pośpiesznie (widząc moją minę), nie chciała rozmawiać o seansie.

Rozłączyliśmy telefon pani Delvecchio Schwartz, a kiedy z podłogi w holu wejściowym podnieśliśmy kilka listów z rozpaczliwymi prośbami klientek, przypięliśmy do drzwi kartkę z informacją, że pani Delvecchio

Schwartz odeszła z tego świata. I zakończyła działalność. Co za okropna myśl - taka bogata pani z Point Piper, Vaucluse, Killara albo Pymble mogła spotkać na schodach przed Domem powiernika państwowego albo kogoś z pogotowia opiekuńczego!

Pappy dobrze wygląda, jest spokojna. Przybrała na wadze, odzyskując dawną formę, i ma dość sił, by podołać trudom praktyk pielęgniarstwa. Z jednej strony chciałabym, żeby powiedziała coś o utraconym dziecku albo o Ezzie, choćby po to, by zacząć uwalniać się od tego ciężaru, a z drugiej strony jestem zadowolona, że zepchnęła przeszłość w otchłań zapomnienia.

Czwartek. 2 lutego 1961.

Więc jednak działają ukryte siły! Wystarczy spojrzeć, jak zakończyłam ostatni wpis prawie trzy tygodnie temu. Otchłań zapomnienia. To coś, w czym ostatnio żyjemy. Minał przeszło miesiąc od śmierci pani Delvecchio Schwartz, a nadal nie mam żadnych wieści. Flo jakby zapadła się pod ziemię. Wydzwaniam i pytam o nią dzień w dzień, telefonistki w pogotowiu opiekuńczym znają już mój głos nie gorzej od własnego, a wciąż nie wiem, gdzie jest Flo. Tak, panno Purcell, Florence Schwartz jest zdrowa i szczęśliwa. Nie, panno Purcell, nie pozwalamy znajomym odwiedzać naszych dzieci, dopóki nie rozstrzygnie się ich przyszły los... Grozi mi, że stracę cierpliwość, choć nie mogę sobie na to pozwolić. A nuż nagrywają moje telefony? Jeżeli wyrwie mi się jakieś ostre, nieprzyjemne słowo, może któregoś dnia użyją go przeciw mnie? Już wysuwają przeciw mnie argumenty - moją młodość, mizериę finansową i stan cywilny. Ze względu

na Flo muszę być miła i umiarkowanie zaniepokojona. Ach, dlaczego w urzędniczym świecie miłość nic nie znaczy?! Nie znaczy, bo nie można jej ujrzeć, dotknąć ani zważyć. Rozumiem, naprawdę. O wiele łatwiej jest mówić o miłości niż się do niej przyłożyć.

Od pana Husha dowiedziałam się, że testament nie wypłynął, że w urzędzie stanu cywilnego nie zarejestrowano narodzin Florence Schwartz, że nie ma żadnego dokumentu potwierdzającego zawarcie małżeństwa przez osoby o nazwiskach Delvecchio i Schwartz. Wygląda na to, że ten nieśmiały tajemniczy żydowski dżentelmen, pan Schwartz, w ogóle nie istniał. Sprawdzono lub sprawdzi się wszystkich Schwartzów na listach wyborców. W Nowej Południowej Walii żaden Schwartz nie chce się przyznać do Flo. Nie ma również świadectwa zgonu jakiegoś Schwartz, który pasowałby na ojca Flo! Po rozmowie z Pappy pan Hush doszedł do wniosku, że nasz pan Schwartz nosił inne nazwisko, pod którym się urodził, ożenił i zmarł.

Kłopot w tym, że Pappy wyjechała do Singapuru akurat na te dwa lata, które mają znaczenie dla rozwikłania tajemnicy pana Schwartz. Pappy pamięta, że ktoś nieśmiały i tajemniczy wprowadził się do pokoju zajmowanego później przez Harolda. Nie narzucał się ani jej, ani pani Delvecchio, która jednym słowem o nim nie wspominała.

Po powrocie z Singapuru Pappy zastała w Domu panią Delvecchio Schwartz i nowo narodzoną Flo. Coraz bardziej tajemniczo. Pan Hush jest zachwycony.

Psem pilnującym naszej otchłani zapomnienia, bezosobowym i obojętnym, jest powiernik państwowy. Co cztery tygodnie płacimy czynsze

czekiem albo przekazem pocztowym, podając nasz Oficjalny Numer. Wszyscy rozumiemy, że pies czeka, aż splątany supeł spraw pani Delvecchio Schwartz zostanie rozwikłany i będzie można podjąć pozytywne działania. Przecież ten testament może się w końcu znaleźć w zakurzonych aktach jakiegoś staruszka adwokata. Czekamy w otchłani zapomnienia, aż spadnie topór.

To dziwne, ale w ciągu tych ostatnich tygodni bardzo się zbliżyłam z Tobym. Dobrze mu się wiedzie. Bogu dzięki, że przynajmniej jemu się szczęści! Podpisał umowę z hotelem i znalazł właściciela galerii, który nie grabi artystów - to rzadkość, jak mnie zapewnił - a jakaś figura w Canberze być może zleci mu namalowanie obrazów do australijskich ambasad. Więc nie ma dla niego znaczenia, że pracę w fabryce przejmą roboty. A teraz najlepsza wiadomość: ponieważ za poddasze płaci tylko trzy funty tygodniowo, pewnie uda mu się utrzymać i poddasze, i chatę w Wentworth Falls. Wciąż się przymawiam, żeby pozwolił mi obejrzeć swoją górską samotnię, ale on się tylko śmieje i mówi, że dopiero wtedy, kiedy założy szambo i podłączy toaletę. Troskliwy facet. Nienawidzę latryn. Ludzie debatują nad tym, co stanowi cywilizację, a ja mam swoją definicję - toaleta ze spłuczką i gorąca woda doprowadzona do kuchni i łazienki.

Obniżasz loty, Harriet Purcell. Nie masz o czym pisać, tylko o kanalizacji?

Mam nadzieję, że nie przywiążę się zbyt do Toby'ego. Zawsze mi się podobał, ale troszkę się obawiam, że jeśli okażę mu swoje przywiązanie, może sobie za dużo pomyśleć. Ma absolutną rację, kiedy mówi, że nie radzi sobie dobrze z kobietami. Jest taki - australijski. Pomimo doświadczeń z

tata, Duncanem i innymi mężczyznami stwierdzam, że wielu Australijczyków odnosi się do kobiet z lekką pogardą. Typowy przykład - moi starsi bracia. Są tak dalecy od homoseksualizmu, że już bardziej nie można, a jednak jeżeli chcą poważnie porozmawiać albo dobrze się zabawić, wybiorą męskie towarzystwo. Kobiety - cytuję Gavina i Petera - potrafią rozmawiać tylko o strojach, dzieciach, okresach i prowadzeniu domu. Słyszałam to z milion razy. Wprawdzie Toby żyje inaczej niż moi bracia, mam jednak dziwne uczucie, że tylko cząstką siebie gotów jest podzielić się z jakąkolwiek kobietą, nawet z którąś z dziwacznych mieszkanek Domu. Nie wyobrażam sobie, żeby Toby cały drżał jak galareta z powodu kobiety. Na pewno powstrzyma nadmiar wzruszeń. Tupot i wybuchy śmiechu powtarzają się co noc.

Poniedziałek. 20 lutego 1961.

Jadłam dziś z Tobym kolację: zimna szynka, sałatki z ziemniaków i z kapusty kupione w moich ulubionych delikatesach. Jest tak parno i duszno, że nie chce się jeść nic gorącego. Nie rozmawiamy dużo, nie odczuwamy konieczności zagadywania nieuniknionych chwil milczenia i zamyślenia. Kiedy rozmawiamy, to najczęściej o Pappy, która kwitnie w Saint Vincent's. Nie rozmawiamy o moim aniołku. Toby wyraził mi swoje poparcie, wiem jednak, że w głębi duszy nie pochwała takiej miłości, pasji i zaangażowania. Pozostawiam więc sobie to wszystko na czuwania po obowiązkowym nocnym przemarszu pani Delvecchio Schwartz. Dziesięć po trzeciej, punktualnie jak w zegarku. Im bardziej Flo oddala się ode mnie,

tym trudniej jest mi zasnąć, może dlatego, że o wpół do piątej i tak wstaję. Leżę więc i myślę o niej, próbuję posyłać jej mentalne przekazy miłości i pocieszenia, siłą woli przywołuję przed jej oczy moją postać. Wymyślne bzdury, ale to mnie podnosi na duchu, a jeżeli któraś z tych myśli dotrze do Flo, też ją pocieszy. Tak za nią tęsknię!

Dziś rano, wiedząc, że już nie zasnę, poszłam zrobić kawę. Marcelinę, sypiąca w nogach łóżka, nigdy nie przepuszcza okazji do pochwycenia jakiegoś kąska, więc też wstała. Przekonałam się, że przechadzanie się z miękkim, mruczącym kłębuszkiem w ramionach jest skuteczną tarczą obronną przed samotnością. Po chwili Marcelinę chciała jednak zejść na podłogę. I wtedy wskazówka minutowa na dużym kolejowym zegarze na ścianie zatrzymała się i nie chciała pójść dalej. Spojrzałam: wpół do czwartej. Godzinę później znów spojrzałam: wpół do czwartej. Może biegam z prędkością światła. Zdesperowana usiadłam przy stole, odpakowałam karty, wzięłam książkę do tarota. Nie, nie zabrałam się do wykładania kart. Po prostu zaczęłam uczyć się na pamięć znaczenia każdej z nich, położonej właściwie i odwróconej. Może jeżeli nauczę się tych znaczeń na pamięć, to później, kiedy wyłożę karty, zobaczę układający się z nich wzór. Przynajmniej ćwiczę w ten sposób umysł, mogę go czymś - czymkolwiek - zająć. Nie wiem, od jak dawna nie mogę przeczytać książki, nic mnie nie interesuje. No i ćwiczenie podziałało. Zegar wskazywał czwartą, kiedy znów na niego spojrzałam.

Zawinęłam karty i zdjęłam jedwabną zasłonkę z kuli. Przysunęłam ją bliżej. Przypomniały mi się nagle związane z nią drobne wydarzenia, głównie z powodu Flo. Na początku zeszłego roku pani Delvecchio

Schwartz podsunęła mi kulę i zachęciła, bym jej dotknęła. Flo raptownie zaczerpnęła tchu, a na jej buzi odmalował się lęk i zdumienie. Wówczas nie miało to dla mnie wielkiego znaczenia, lecz teraz rozumiem, że byłam pierwszą osobą, której pani Delvecchio Schwartz pozwoliła dotknąć kuli. Potem, mniej więcej wtedy, gdy spotykałam się z Duncanem, powiedziała do mnie coś w tym duchu, że wszystko zależy od kuli. Nie pamiętam dokładnie co, ale jest to zanotowane w którymś z brulionów. Bardzo wyraźnie za to pamiętam, co powiedziała ostatniego wieczoru, kiedy weszliśmy razem z Flo do pokoju od frontu i zastałyśmy ją siedzącą w ciemności, w łączności z kulą.

- Los Domu spoczywa w kuli - rzekła i przyłożyła do niej obie moje dłonie. Potem połączyła je. A Flo przyglądała się temu z wielkim podziwem.

Może w ten zagadkowy, określony sposób - cała ona -usiłowała mi zakomunikować, że udzieli mi formalnej zgody na używanie kuli, że jestem wybraną przez nią dziedziczką jej tajemnic.

Wstałam, pogasiłam światła i znów usiadłam przy stole, z twarzą przybliżoną do lekko zamglonej kuli. Z zewnątrz wpadało akurat tyle światła, żeby coś widzieć. Wpatrywałam się w kryształ, utkwiałam skupiony wzrok w jego wnętrzu i tak trwałam.

„Los Domu spoczywa w kuli”. Skoro tak, to ja tego nie widziałam. Po półgodzinie bezustannego wpatrywania się w jeden punkt nie zobaczyłam niczego, czego nie byłoby wcześniej w pokoju. Żadnej wizji, żadnej twarzy, niczego.

Przykryłam kulę i zaczęłam się szykować do wyjścia.

Wieczorem, jak już wspomniałam, jadłam kolację z Tobym. Kiedy skończyliśmy, on wziął się do zmywania, a ja odkładałam rzeczy do lodówki. Wtedy zadzwonił dzwonek. Toby wytarł ręce w ścierkę i poszedł otworzyć. Od śmierci pani Delvecchio Schwartz tylko Toby, Klaus albo Jim otwierają drzwi. Gdy zabrakło gospodyni mającej pieczę nad Domem, trzeba było zdwoić czujność.

Wydało mi się, że Toby długo nie wraca, już się nawet zaczęłam niepokoić. Potem usłyszałam zbliżające się kroki - jego i gościa - i szmer dwóch męskich głosów.

- Doktor Forsythe chce się z tobą zobaczyć, Harriet - rzekł Toby. Wszedł pierwszy, bardzo nachmurzony. Och, czemu on tak nie lubi Duncana?

Duncan wkroczył z chłodną, obojętną miną, jaką lekarze przybierają niczym ekstraubiór. Powitał mnie skinieniem głowy i nikłym uśmiechem, bez ognia uczuć w oczach.

Poprosiłam, żeby usiadł, i rzuciłam wymowne spojrzenie Toby'emu, który nic sobie z tego nie robiąc, tkwił w drzwiach.

- Nie, dziękuję, nie mogę zostać dłużej. Jak zapewne wiesz - ciągnął z wypraktykowaną beznamietnością - w Queens krążą o nas plotki. - Kiedy otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, machnął ręką. - Z tego powodu przyszedł dziś do mnie lekarz z pawilonu psychiatrycznego i spytał o moją Harriet Purcell. Widział to nazwisko w policyjnym raporcie i w raporcie pogotowia opiekuńczego. Chciał się dowiedzieć, czy Harriet Purcell, o której krążą plotki, i Harriet Purcell z raportów to jedna i ta sama osoba. Spytałem, czemu zamiast do ciebie zwraca się z tym do mnie, na co odparł, że uznał za sensowne uzyskać najpierw potwierdzenie od - gorzki

uśmieszek - rozsądnego mężczyzny.

- Flo - powiedziałam, kiedy zrobił przerwę. - Chodzi o Flo.

- Jest w pawilonie psychiatrycznym, Harriet. Przyjechała tam dwa dni temu z ośrodka pogotowia opiekuńczego.

Kolana odmówiły mi posłuszeństwa, więc szybko usiadłam i zadarłam głowę.

- Co z nią, Duncanie?

- Nie powiedział, a ja nie pytałem. Lekarz nazywa się Prendergast, John Prendergast. Prosił, by ci powiedzieć, że jutro będzie cały dzień na oddziale. Zależy mu na tym, żeby się z tobą rozmówić.

Z oczu popłynęły mi łzy, pierwsze od chwili, kiedy zabrali mojego aniołka. Może gdyby Duncana nie kępowała obecność Toby'ego, a Toby'ego obecność Duncana, któryś z nich starałby się mnie pocieszyć. A tak, gdy zakryłam twarz dłońmi i rozplakałam się jeszcze bardziej, pozostawili mnie samej sobie.

Zanim zamknęły się za nimi drzwi, usłyszałam, jak Toby mówi do Duncana:

- Cholera bierze, że ona żadnego z nas nie kocha w jednej dziesiątej tak jak to dziecko!

Aniołku, aniołku, jesteś w drodze do Domu! Teraz, kiedy cię odnalazłam, nic nas już nie rozdzieli. Pogotowie opiekuńcze podrzuciło cię na moje terytorium, skąd jest o wiele bliżej do Domu niż z Yasmar.

Wtorek. 21 lutego 1961.

Oddziały psychiatryczne przy szpitalach ogólnych to coś nowego. Maja je tylko duże szpitale kliniczne, a pacjentami nie są smutni chroniczni epileptycy, syfilitycy w późnym stadium choroby ani osobnicy z demencją starczą lub inną, jak w szpitalach psychiatrycznych Callan Park czy Gladesville. Są to pacjenci, których symptomy nie są tak zdecydowanie skutkiem organicznych uszkodzeń mózgu - głównie schizofrenicy i osoby cierpiące na psychozę maniakalno-depresyjną, chociaż nie mam wielkiego rozeznania w psychiatrii. Kiedy robiłam rutynowe prześwietlenia klatki piersiowej, trafiały do mnie czasem anorektyczki, to wszystko.

Pawilon psychiatryczny jest zatem nowym budynkiem, jedynym nieosłoniętym szkłem w aluminiowych ramach. To solidny gmach z czerwonej cegły, z nielicznymi, okratowanymi oknami. Na tyłach są duże stalowe podwójne drzwi dla personelu, oprócz tego drugie, też stalowe, z grubą na parę centymetrów szybką wzmocnioną stalową siatką. Dotarłam tam tuż po czwartej. Zobaczyłam, że na drzwiach są dwa zamki zamontowane tak, iż na zewnątrz znalazły się te ich części, które normalnie znajdują się od wewnątrz. Nie miałam kłopotu z dostaniem się do środka, wystarczyło przekręcić równocześnie dwie gałki. Ledwie jednak drzwi się za mną zamknęły, zobaczyłam, że aby wydostać się na zewnątrz, musiałabym mieć dwa różne klucze. Trochę jak w więzieniu.

Budynek jest klimatyzowany i bardzo ładnie urządzone. Jak, u licha, udało im się przekonać siostrę przełożoną, żeby pozwoliła zaszaleć z jaskrawymi kolorami i tkaninami? Odpowiedź jest prosta. Wszyscy, nawet siostry przełożone, czują respekt przed manią. Cały arsenał środków obronnych, jakimi dysponujemy, nie zda się na nic wobec tych, którzy

cierpią na zaburzenia w rozumowaniu, bo przecież nie trafiają do nich argumenty rozumowe. Przerazająca myśl. Każdy z czterech poziomów budynku ma inne przeznaczenie. Na parterze są biura i laboratoria, na pierwszym piętrze pacjenci mężczyźni, na drugim kobiety, a na trzecim dzieci. Recepcjonistka zadzwoniła po doktora Johna Prendergasta i powiedziała mi, żebym pojechała windą na górę, na trzecie piętro, gdzie doktor wyjdzie mi na spotkanie.

Doktor, niedźwiedziowaty szatyn o szarych oczach, był zbudowany jak rugbysta. Wprowadził mnie do swojego gabinetu, wskazał krzesło, a sam zasiadł za biurkiem, co zawsze ustawia gościa w roli petenta. Już przy wstępnej wymianie grzeczności zorientowałam się, że cwana z niego sztuka. Łagodna gapowatość była maską. Mnie nie nabierzesz, pomyślałam. Jestem nie tylko zdrowa na umyśle, ale i bystra. Nie wydusisz ze mnie nic, czym mógłbyś się później posłużyć przeciwko mnie.

- Przejdźmy więc do Florence... Pani nazywa ją Flo? -zagadnął.

- Tak nazywała ją matka. Z tego, co wiem, Flo to prawidłowa forma jej imienia. Florence to wymysł pań z pogotowia opiekuńczego.

- Nie lubi pani pogotowia opiekuńczego - rzekł, bez intonacji pytającej.

- Nie mam powodu lubić.

- Z raportów wynika, że dziecko było zaniedbane. Czy było także źle traktowane?

- Flo nie była zaniedbana ani źle traktowana! - obruszyłam się. - Była aniołkiem dla matki, która ogromnie ją kochała. Pani Delvecchio Schwartz nie była zwyczajną matką, ale okazywała Flo wiele troski. Flo też nie jest zwyczajnym dzieckiem.

Po tym dość gwałtownym wstępie zapanowałam nad sobą i starałam się zachować spokój i czujność. Opowiedziałam Prendergastowi o życiu, jakie wiodła Flo, o braku zainteresowania wygodami, o guzie mózgu zagrażającym matce i o jej dziwnym wyglądzie, o bólu brzucha, który skończył się przyjściem na świat Flo w toalecie, o lekarzu, który przepisał hormon, przyczyniając się do narodzin dziecka.

- Dlaczego przyjęto Flo do Queens? - spytałam.

- Podejrzenie obłądu.

- Chyba pan w to nie wierzy! - wykrztusiłam.

-Nie wydaję żadnych opinii, panno Purcell. Upłynie wiele tygodni, zanim zbadamy, na czym polegają problemy Flo. Musimy ustalić, w jakim stopniu jej obecny stan jest wynikiem zdarzeń, których była świadkiem, a w jakim stopniu są to cechy trwałe. Czy ona mówi?

- Nikt nie słyszał, żeby mówiła, ale jej matka twierdziła stanowczo, że Flo mówi. Odkryłam, że odpowiedzialne za umiejętność czytania ośrodków w jej mózgu są albo uszkodzone, albo w ogóle nie istnieją.

-Jakim ona jest dzieckiem? - spytał z zainteresowaniem.

-Nadmiernie wrażliwym na okazywane przez innych emocje, nadzwyczaj inteligentnym, przeuroczym, łagodnym. Tak bała się człowieka, który później zamordował jej matkę, że nurkowała pod kanapę, kiedy miał się zjawić. Nikt inny, oprócz mnie, nie uważał go za niebezpiecznego.

Nasza rozmowa trwała dalej w podobnym stylu, niczym niekończący się pojedynek szermierczy. Wiedział, że nie mówię mu wszystkiego, a ja wiedziałam, że próbuje zastawić na mnie pułapkę. Impas.

- Jak wynika z raportów policji i pogotowia opiekuńczego, Flo była obecna w pokoju, gdy mordowano jej matkę.

Po śmierci obu stron konfliktu pozostała nadal w pokoju, nie próbując wezwać pomocy. Użyła krwi do malowania palcami po ścianach - dodał, ściągając brwi i poprawiając się na krześle. Wpatrywał się przy tym intensywnie we mnie. - Najwyraźniej wcale pani nie dziwi, że Flo niszczyła ściany. Dlaczego?

Patrzyłam na niego pustym spojrzeniem.

- Bo Flo bazgrała - odparłam.

- Bazgrała?

No, no! Panie z pogotowia opiekuńczego, uważając zapewne, że i dziecko, i dom są straszliwie zaniedbane, nie wspomniały o bazgrołach na ścianie! W ogóle nie dostrzegły ich znaczenia.

- Flo bazgrała po ścianach za zgodą matki. Było to jej ulubione zajęcie. Dlatego nie zdziwiło nas aż tak bardzo malowanie krwią.

Sapnął i wstał.

- Chce pani zobaczyć Flo?

- Jeszcze jak!

Kiedy szliśmy korytarzem, doktor Prendergast wyraził ubolewanie z powodu zamków na drzwiach wyjściowych i krat w oknach. Przy nowych lekach, zdecydowanie zmieniających zachowanie pacjentów, środki bezpieczeństwa nie były konieczne.

- Koła tej maszyny, jaką jest szpital ogólny, obracają się powoli - rzekł z westchnieniem. - Royal Prince Alfred już zlikwidował zamki, więc tylko patrzeć, jak to samo robi Queens.

Flo miała osobny pokój. Asystowała jej pielęgniarka nosząca oprócz odznaki ogólnego przygotowania do zawodu również odznakę pielęgniarki psychiatrycznej. Mój aniołek siedział cichutko w łóżeczku, chudy i drobny w kusej szpitalnej koszulinie. Chciało mi się płakać. Przerazonym spojrzeniem ogarnęłam gorset z grubego płótna, zapięty na ramionach i plecach skórzanymi pasami ze sprzączkami. Od tego gorsetu biegły pod łóżeczko mocne sznury ograniczające swobodę jej ruchów w ten sposób, że mogła siedzieć lub się położyć, lecz nie mogła stanąć na nogach.

Zatrzymałam się oszołomiona.

- Kaftan bezpieczeństwa z pasami dla Flo? Prendergast puścił mimo uszu moje pytanie, podszedł do łóżeczka i opuścił boczną poręcz.

- Jak się masz, Flo - rzekł z uśmiechem. - Przyprowadziłem do ciebie specjalnego gościa.

Ogromne smutne oczy zwróciły się na mnie ze zdumieniem, a potem różane usteczka rozszerzyły się w szerokim uśmiechu i Flo wyciągnęła do mnie obie rączki. Usiadłam na materacu, objęłam ją i obcałowałam małą twarzyczkę. Aniołek, mój aniołek! Ona też mnie całowała, głaskała, tuliła się do mnie i zaglądała mi w oczy. No i co pan na to, doktorze Prendergast?! Nikt, kto przyglądałby się temu powitaniu, nie miałby wątpliwości, że Flo jest zachwycona moim przybyciem.

Przez dłuższy czas nie czułam nic oprócz radości, że mogę ją trzymać w ramionach. Potem, kiedy uważniej się jej przyjrzałam, zauważyłam duże brzydkie siniaki na rączkach i nóżkach.

- Ktoś ją bił! - krzyknęłam. - Kto? Kto śmiał? Postawię pod pręgierzem opinii publicznej całe pogotowie opiekuńcze!

-Uspokój się, Harriet, uspokój się - mitygował mnie Prendergast. - Flo sama to sobie zrobiła, zarówno tutaj, jak i wcześniej w schronisku dla dzieci. Dlatego jest przywiązana. Możesz mi nie uwierzyć, ale to maleństwo podarło bawełniane szelki na strzepy, dosłownie na strzepy. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy sięgnąć po skórzane pasy i mocne sznury.

-Ale dlaczego? - spytałam, bo nadal miałam wątpliwości.

- Próbowła uciec, jak się domyślamy. Ledwie uwolni się z krępujących więzów, zaczyna się ciskać, dosłownie rzuca się na najbliższy przedmiot. Widziałem to na własne oczy. Obijała się o ścianę jak żywy pocisk. Nie obchodzi jej, że może zrobić sobie krzywdę. W schronisku dla dzieci rozbiła szybę i wyskoczyła z pierwszego piętra. Dlatego przysłali ją tutaj. Nikt nie wie, jak to się stało, że się nie zabiła ani niczego sobie nie złamała. Ale mocno się pokaleczyła. - Dużą kształtną dłonią podsunął koszulinę i odsłonił równy rząd szwów po wewnętrznej stronie obu ud. - Mieliśmy do wyboru albo mocniejsze szelki ograniczające ruch, albo mocne środki uspokajające, a my tutaj nie lubimy stosować środków uspokajających. Są wygodne dla personelu, ale maskują objawy i opóźniają postawienie diagnozy.

- A krocze? - szepnęłam.

- Niestety, też szyte. Ściągnęliśmy na konsultację chirurgów plastycznych, na szczęście uważają, że nic jej nie będzie. Lekarz, który ją zszywał na urazówce szpitala Royal Prince Alfred, spisał się na medal.

- Na urazówce RPA? A więc Flo była w Yasmar.

- Ja tego nie powiedziałem.

- Dlaczego nie przyjęto jej na oddział psychiatryczny RPA?

- Nie było wolnych łóżek - odparł. - Poza tym jesteśmy najlepszym oddziałem dziecięcym.

- Wszystko to dowodzi jednego! - zatriumfowałam. - W ten sposób Flo pokazała, czego chce. Chce mnie. Jest gotowa zaryzykować życie, żeby mnie odnaleźć. To wiele mówi.

Popatrzył mi w oczy zamyślony.

- Tak, chce pani, to nie ulega wątpliwości. Hm, czy mogłaby pani na nią wpłynąć, żeby tak nie szalała? - spytał.

Wykrzywiłam usta.

- Nie ma mowy, słonko!

- Ależ, na litość boską, dlaczego?

- Bo nie i już. Miałabym wam pomagać, żebyście ją zmiękczyli, urobili, a potem odesłali do Yasmar? Flo jest moja. Gdyby jej matka żyła, tak by powiedziała. Dlatego chcę się starać o przyznanie mi opieki nad nią.

- Jest pani osobą młodą i niezamężną, panno Purcell. Nie ma pani szans na adopcję.

-Tak wszyscy mówią, ale ja o to nie dbam. Dostanę Flo. - Uśmiechnęłam się do niej. - Prawda, aniołku?

Flo zamknęła oczy, wetknęła palec do buzi i zaczęła nucić swoją melodię.

Pozwolili mi zostać z nią przez pół godziny. Prendergast nie popuścił, na wszystkie sposoby usiłował dociec, co ukrywam. Chytry lis wie, że w tej sprawie kryje się więcej, niż mu wyjawiałam. Kombinuj, słonko, kombinuj! Mnie nie złamiesz. Jestem jak stary eukaliptus, jej matka tak powiedziała.

Sekretarka, która wyszła ze swojej dziupli, żeby otworzyć drzwi,

wręczyła mi zaklejoną kopertę.

- Doktor Forsythe prosił, żebym to pani oddała - powiedziała, nie okazując najmniejszego zainteresowania. Jak pacjent przyjmujący chlorpromazynę. A może tym ją szpikują?

Koperta zawierała liścik z prośbą o spotkanie w barze kawowym w podziemiach stacji kolejki Circular Quay o szóstej. Za godzinę. Postanowiłam iść na piechotę. Przebyć te kilometry z głową w chmurach, na rauszu radości. Nie mam jeszcze Flo, ale przynajmniej wiem, gdzie jest. A pogotowie dziecięce dowie się, że trzeba się ze mną liczyć, he-he-he. Mała Florence Schwartz mnie chce! Nawet jeżeli odeślą ją do sierocińca, nie mogą zabronić mi do niej dostępu. Wścibiśki doktor John Prendergast stwierdzi w raporcie jednoznacznie, że Florence Schwartz jest emocjonalnie uzależniona od dwudziestodwuletniej panny, która musi zarabiać na życie. Będą mieli bezduszni idioci twarde orzech do zgryzienia! Fantastiko.

Kiedy zanurzyłam się w brudnawy półmrok podziemi stacji Circular Quay, uzmysłowiłam sobie, że do ostatnich wydarzeń doszło zaraz po tym, jak popatrzyłam w szklaną kulę. Może właśnie na tym polega wróżenie? Możliwe, że wróżka nie widzi konkretnych rzeczy, ale akt skupiania mentalnej energii na przedmiocie o kunsztownym układzie molekuł może wpływać na bieg zdarzeń. Co za myśl!

Tak mnie pochłoneły te rozważania, że wchodząc do pustego baru kawowego, zupełnie zapomniałam o Duncanie. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, co ja tu robię. I wtedy Duncan wychynął zza masywnego ekspresu Gaggia, powitał mnie uśmiechem radości i odsunął

krzesło. Ledwie usiadłam, ujął moją dłoń i pocałował, wpatrując się we mnie z taką miłością, że się rozkleiłam. Może mi to robić, kiedy tylko zechce. Och, czemu jest ofiarą konwencji?

- Szkoda, że mężczyzna nie potrafi się przepołować - powiedziałam. W głowie wciąż kłębiły mi się myśli o Flo i szklanej kuli. - Tej połowy ciebie, której chce żona, ja zdecydowanie nie pragnę, natomiast tej połowy, której ja pragnę, zdecydowanie nie chce żona. Doszłam do wniosku, że na tym polega cały problem z mężczyznami, przynajmniej z punktu widzenia kobiet. My chcemy tylko połowy mężczyzny.

Nie poczuł się urażony. Uśmiechnął się wesoło.

- Cudownie widzieć, że wróciłaś do formy, ukochana - rzekł czule. - Jeżeli wystarczy jedna ósma, pozwalam ci natychmiast przystąpić do sekcji.

Uścisnęłam jego rękę.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Muszę się pilnować, żeby uzyskać zgodę na opiekę nad Flo.

Zorientowaliśmy się, że stoi przy nas kelnerka i cierpliwie czeka na zamówienie. I słucha nas zafascynowana.

- Bardzo przepraszam, moja droga - rzekł do niej Duncan i zamówił dwie cappuccino.

Kelnerka odeszła z taką miną, jakby sam papież przyjął ją na prywatnej audiencji. Uprzejmość Duncana działa na kobiety nadzwyczajnie. Co tylko dowodzi, że nie nawykliśmy do tego, by nas traktowano jak delikatne kwiaty.

Opowiedziałam mu o Flo i doktorze Johnie Prendergaście. Słuchał,

jakby naprawdę bardzo go to interesowało. Wiem, że to niemożliwe. Chociaż z drugiej strony wiem też, że darzy mnie uczuciem, a skoro tak, to może się naprawdę przejąć moimi sprawami.

- Można by sądzić, że przeszłaś przez poletko rozżarzonych węgli - powiedział, gdy skończyłam opowieść. Obejrzał wewnątrz mojej dłoni, jakby kryło rozwiązanie zagadki. - Wciąż nie rozumiem, czemu pokochałem cię od jednego spojrzenia? Wystarczył ułamek sekundy w łączniku i wpadłem po uszy. Czy dlatego, że należysz do świata Kings Cross? Mieszkasz w okropnym starym domu z karaluchami, lubisz chodzić na piechotę, popijasz tanią brandy, pociągają cię dziwactwa, pretensjonalność, rzeczy niepożądane.

- Przemawiasz tak słodko, słonko - rzekłam z uśmiechem - jakbyś polizał przedtem miód.

- Nie lizałem - odparł szybko i ugryzł mnie w rękę. -Ale jeśli pozwolisz, pojedę z tobą do domu i prędko znajdę miód.

Kelnerka przyniosła cappuccino. Duncan uśmiechnął się do niej i podziękował - dwie audiencje u papieża!

- Czemu poprosiłeś mnie o to spotkanie? - spytałam.

- Chciałem zobaczyć się z tobą na osobności - odparł. -Na moje terytorium wkroczył pan Toby Evans.

- On ma swoje terytorium - powiedziałam i zliziałam piankę z łyżeczki. Powróciło odurzające uczucie szczęścia. - Och, Duncanie, tak się cieszę, że odnalazłam mojego aniołka!

- Jak stoisz z pieniędzmi? - spytał.

- Dobrze.

- Jeżeli będziesz potrzebowała zastrzyku finansowego, wiesz, do kogo się zwrócić.

Wie, że nie mogę przyjąć od niego pieniędzy. Ale miło, że to zaproponował. Tęsknię za nim. Uzmysławiam to sobie szczególnie wtedy, gdy go widzę, choćby pijąc razem z nim cappuccino w Quay.

Kiedy już zbierałam się do odejścia, wstałam, nachyliłam się nad stolikiem i pocałowałam Duncana namiętnie, a on nie był mi dłużny i całując, musnął dłonią moją pierś. Kelnerka patrzyła na nas, jakbyśmy byli Heathcliffem i Katarzyną z Wichrowych Wzgórz.

- Nigdy nie będę mógł się od ciebie uwolnić - rzekł.

- To dobrze!

Wyszłam, zostawiając go, żeby zapłacił za kawę. W Domu wszyscy czekali na mnie, żądni wiadomości o Flo. Ponieważ przez pierwsze trzy miesiące praktykantki nie pracują na oddziałach, nasza Pappy też jest wieczorami w Domu. Przygotowała furę chińskiego jedzenia, które zanieśliśmy na poddasze Toby'ego, ponieważ tam jest największy pokój, w dodatku z cudownymi widokami. Zabawne. Kiedyś Toby drżał na samą myśl, że ludzie zrobią najazd na jego samotnię i ktoś odcisnie ślad gumowej podeszwy na białej podłodze, wyszczerbi blat stolika czy coś takiego. Ostatnio jednak jest bardziej otwarty i przystępny, może dlatego, że sami ustanowiliśmy pewne zasady, na przykład: że zdejmujemy buty, zanim zaczniemy wchodzić po drabinie, oraz że nie pomagamy przy zmywaniu. Podejrzewam, że nawet Toby'emu brak pani Delvecchio Schwartz, chociaż słyszy ją co noc.

I ja, i moi przyjaciele wiemy, że nie przybliżyłam się do upragnionego

celu, jakim jest opieka nad Flo, ale czuję się zupełnie inaczej, wiedząc, gdzie przebywa - wszyscy czujemy się inaczej, wiedząc, że możemy ją odwiedzić. Upewniłam się co do tego. Prendergast będzie oczywiście obecny przy każdej wizycie, żeby słyszeć, o czym mówimy, i widzieć, jak wyglądamy. Z nikogo nie wyciągnie więcej, niż usłyszał dzisiaj ode mnie. Mieszkańcy Kings Cross potrafią trzymać język za zębami. Nikt się nie dziwił, że nasza Flo rozbiła szybę w oknie ani że przeżyła ten desperacki skok, tylko kiedy mówiłam, jak się pokaleczyła, Bob zaczęła strasznie płakać. Jest taka wrażliwa. Klaus wymyślił, że zabierze do szpitala skrzypce i zagra dla Flo -nie powiedziałam mu, że ktoś może mieć zastrzeżenia. Kiedy jednak usłyszą, jakie dźwięki wydobywa, przeciągając smyczkiem po strunach, na pewno pozwolą mu grać. Przypuszczam, że gdyby nie wojna, Klaus zrobiłby karierę jako muzyk. No cóż, świat stracił, ale my zyskaliśmy. Jest przemiłym facetem, zakochanym w swoich papużkach. W ogóle wszyscy są tacy mili.

Kiedy zbieramy się razem, nie rozmawiamy o jednym -o przyszłości. Urząd powiernika państwowego, ośmielony nieco tym, że po blisko dwóch miesiącach nadal nie odnaleziono testamentu, przysłał urzędnika na inspekcję Domu, kiedy była w nim tylko Pappy. Och, co za marnotrawstwo! - cmokał ów dżentelmen z dezaprobatą, stwierdziwszy, że dwa mieszkania i jeden pokój są niewynajęte. Zainteresował się też, czemu czynsze są takie niskie. Spodziewamy się więc, że za parę miesięcy, a może wcześniej, do mieszkania na parterze od frontu, do pokoju Harolda i do mieszkania pani Delvecchio Schwartz wprowadzą się obcy ludzie. Jak powiedzieć powiernikowi państwowemu o mieszkaniach na parterze od

frontu w Kings Cross? Znow zaroj się od marynarzy. Jim złożyła sprawozdanie z rozmowy z adwokatką Joe. Jej zdaniem, żeby podnieść nam czynsze, urząd musiałby powalczyć o to w Komisji Regulacji Czynszów, ponieważ sama właścicielka ustaliła je przed laty na takim, a nie innym poziomie. Bardziej niepokoi nas myśl, że wprowadzą się tu ludzie bez selekcji. Przecież to jest Kings Cross, mieszkania nie są mieszkaniami z prawdziwego zdarzenia, a pokoje są okropne. To sprawy poufne! A teraz jakiś cholerny urząd, powiernik państwowy, będzie nam zaglądał pod spódnice. Przejęcie kontroli nad Domem przez powiernika to istne trzęsienie ziemi. Wydadzą większość należnych Flo oszczędności na przerobienie Domu, by pasował do litery prawa, a sami zadecydują, który akt prawny ma tu zastosowanie. Pewnie wprowadzą zakaz bazgrania po ścianach.

Kiedy wszyscy już sobie poszli, zostałam z Tobym trochę dłużej.

W czasie spotkania mówił niewiele. Siedział po turecku na podłodze i słuchał, przenosząc spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Oczy miał zaczerwienione. To pewny znak, że waży coś w myślach albo czymś się denerwuje. Jestem przekonana, że przynajmniej po części jego spokój burzy Flo, choć nie ma nad nim takiej władzy jak nad resztą z nas. Toby, choć zawsze był dla niej miły, opiera się, co zapewne jest cechą jego australijskiego charakteru. Pozwolić, żeby kobieta miała nad nim władzę? Nigdy w życiu!

- Zastanawiasz się, czy zachować ten pokój? - spytałam, kiedy wziął się do zmywania.

Stał odwrócony plecami do mnie. -Nie.

- To co cię gryzie? -Nic.

Stałam przy zlewie i oparłam się o szafkę, żeby widzieć przynajmniej jego profil. -A jednak coś cię gryzie. Flo? Odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Flo to nie moja sprawa.

- W tym rzecz. Wszyscy czujemy, że musimy coś dla niej zrobić.

Dlaczego cię nie obchodzi los osieroconego dziecka?

- Bo ona zrukuje ci życie - odparł, zwrócony twarzą do zlewu.

- Flo nigdy tego nie robi, Toby - odparłam łagodnie.

- Nie rozumiesz - rzekł przez zaciśnięte zęby.

- Nie rozumiem. Więc może mi wyjaśnisz?

- Zwiążesz się z dzieckiem opóźnionym w rozwoju. Flo nie jest całkiem normalna, a ty, jeśli się nią zaopiekujesz, przez najbliższe dwadzieścia lat będziesz się zamartwiać, ciągnąć ją po lekarzach i wydawać na nią pieniądze, których nie masz za dużo. - Spuścił wodę z kranu.

- A książeczki oszczędnościowe? - spytałam.

- Nie ma testamentu, Harriet, a wiesz, jakie są urzędy. Dzieciak nie zobaczy złamanego pensa z tego, co miała matka. Flo będzie ciężarem spoczywającym wyłącznie na twoich barkach. Zestarzejesz się przed czasem.

Usiadłam zachmurzona na fotelu.

- A więc to chodzi o mnie, nie o Flo?

- W tym domu jest jedna osoba, za którą poszedłbym na koniec świata.

Tą osobą jesteś ty, Harriet. Nie mogę znieść myśli, że staniesz się jedną z tych szarych, przegranych kobiet, których tyle jest w Sydney, kobiet, które

wszędzie ciągną ze sobą dzieci, kiedy stary przesiaduje w pubie - powiedział, krążąc po pokoju.

- Wielkie nieba! - rzekłam słabym głosem. - Chcesz powiedzieć, że kochasz się we mnie? Czy to dlatego...

- Jesteś ślepa jak pieprzony nietoperz, Harriet - przerwał mi. - Potrafię zrozumieć, że zakochałaś się w Forsycie, wielkim specjalście od kości, ale nie pojmuję, czemu zakochałaś się we Flo.

- Och, to okropne! - krzyknęłam.

- Dlaczego? Bo mnie nie kochasz? - spytał ostro. - Przywykłem do tego. Da się z tym żyć.

- Nie. Okropne jest to, że przemawiasz do mnie bez miłości - zaczęłam wyjaśniać. - Powinieneś mówić w taki sposób, żebym mogła odpowiednio zareagować, a ty walisz mnie obuchem w głowę! Nie potrafię wytłumaczyć ci miłości do Flo, Toby, popatrzyłam na nią i pokochałam ją, to wszystko.

-Ja też popatrzyłem na ciebie i pokochałem cię tego dnia, gdy zaprawiłaś Davida na werandzie - odparł z uśmiechem. - Wielki specjalista od kości też na pewno spojrzał na ciebie i pokochał cię od pierwszego wejrzenia.

- Tak twierdzi. Stało się to w łączniku w Queens. Więc wszyscy wiemy, jak to jest popatrzeć i zakochać się.

I gdzie nas to zaprowadziło? Ja jedna jestem gotowa zaangażować się całkowicie, ale nie zwiążę się ani z tobą, ani z Duncanem. - Wstałam. - Niezglobiona tajemnica, nie uważasz? - Podeszłam do niego. Pocałowałam końce swoich palców i przyłożyłam do jego czoła. - Może pewnego dnia rozwikłamy ten węzeł, słonko, he, he, he.

Środa. 15 marca 1961.

Od śmierci pani Delvecchio Schwartz minęło dwa i pół miesiąca, a sprawy nie posunęły się ani trochę. Pan Hush zapewnia, że niebawem zostanie wydane oświadczenie, iż zmarła, nie pozostawiwszy testamentu. Musi się tym wszystkim zająć jakiś sąd dla dzieci, ponieważ pan Schwartz nie istnieje, podobnie jak nie istnieje - według prawa - Flo.

Flo przebywa nadal w pawilonie psychiatrycznym w Queens, gdzie jest poddawana badaniom EEG i niezliczonym neuropsychologicznym testom. Nie wyjaśniły one niczego Prendergastowi ani jego profesorowi. Zapisy EEG mieszczą się w normie, rytm alfa, który pojawia się, kiedy Flo zamknie oczy, wygląda pięknie, ma wysoką amplitudę i prawidłową modulację. Mieli niezłą zabawę, wymyślając testy IQ dla niemówiącego, a inteligentnego i słyszającego dziecka. Tyle że Flo nie chce odpowiadać na pytania. Szczęśliwa jest tylko wtedy, kiedy przychodzą goście z Domu. Chociaż znają ją już dobrze wszystkie pielęgniarki, psychiatrzy i terapeuci, Flo z nikim, kto nie mieszka w Domu, nie chce się zaprzyjaźnić.

- Czemu nadal ją tu trzymacie? - spytałam dziś Prendergasta, kiedy przyszedłam w odwiedziny zaraz po pracy.

- Bo jest jej tutaj lepiej niż w sierocińcu - odparł, ściągając brwi. - Tu może przynajmniej bez kłopotu przyjmować gości. Ale prawdziwy powód jest inny. Profesor Lewelyn i ja przypuszczamy, że możemy mieć do czynienia z przypadkiem, który kiedyś określano nazwą „wczesna schizofrenia”, a teraz zaczyna się nazywać autyzmem. Flo nie ma

klasycznych objawów, ale dostrzegamy charakterystyczne oznaki. Nieczęsto mamy możliwość obserwowania tak małego dziecka przez tak długi okres. Z reguły rodzice chcą jak najszybciej zabrać dziecko do domu, nawet jeżeli jest bardzo kłopotliwe w prowadzeniu. Więc Flo spadła nam jak z nieba. - Miał smętną minę. - Chcielibyśmy wykonać angiogram, wprowadzić do mózgu trochę powietrza, żeby zobaczyć, czy nie ma uszkodzonego ośrodka mowy albo atrofii korowej, ale ryzyko jest zbyt duże.

- Myślcie tak dalej! - rzuciłam ostro. - Spróbujcie tylko zrobić z niej królika doświadczalnego, a pójdę z tym do prasy!

- Poddaję się! - zawołał, unosząc ręce. - Prowadzimy wyłącznie obserwacje.

Czuję się permanentnie zmęczona, a bezsilność mnie przygnębia. Moja praca nie ucierpiała, zadbałam o to, ale szczerze powiem, że mam dość szpitali. Dość dyscypliny, rytuałów, bezustannej walki z kobietami stojącymi wyżej w hierarchii. Bez pozwolenia nie można nawet bąka puścić. A po liście od Harolda siostra Agata wzmogła czujność. Nikt nie zdobył dowodu potwierdzającego plotkę o moim romansie z Duncanem, ale wszyscy aż się pałą, by tego dokonać. W jakim celu? Nie mam pojęcia. Nie można by mnie za to wyrzucić z pracy ani zaszkodzić Duncanowi. Przydałby się w Queens jakiś nowy, mięsisty skandal, ale na razie wszyscy zachowują się nadzwyczaj grzecznie i wstrzemięźliwie i nie dają okazji do plotek.

Siostra oddziałowa zareczyła się z Constantinem, ale nie planują ślubu przed końcem tego roku. Najpierw Constantin chce otworzyć restaurację w

Parramacie, z porządnym parkingiem i odpowiednim dla lokalnej społeczności zestawem dań - w sam raz dla podniebień nawykłych do steku z frytkami. Miło.

Naturalnie wszyscy wiedzą, że codziennie odwiedzam małą pacjentkę w pawilonie psychiatrycznym, ale nikomu nie udało się dowiedzieć, czemu to robię. W szpitalu huczy od plotek. Pielęgniarki na psychiatrii dokładają swoje, jednak nikt nie wywęszył, że się staram o przyznanie opieki nad dzieckiem.

Na razie stoję w miejscu. Co tydzień rozmawiam przez telefon z panem Hushem, który ostrzega, że nawet po przesłuchaniach i rozprawie, kiedy sprawa Flo oficjalnie trafi do jakiejś szufladki, nie mogę liczyć na przyznanie mi nad nią opieki. Stawiam na raport doktora Johna Prendergasta, ale pan Hush nie spodziewa się, że urzędnicy z pogotowia opiekuńczego przypiszą mu takie znaczenie i wagę, jakich bym sobie życzyła. Jeżeli u Flo zostanie zdiagnozowana wczesna schizofrenia, być może wyślą aniołka do Stockton. Kto by pomyślał! Historia choroby wyklucza oddanie Flo do adopcji lub rodziny zastępczej! Można by przypuszczać, że powinni chętnie skorzystać z mojej propozycji. A tu nie. Jestem za młoda, za biedna i niezamężna. To niesprawiedliwe.

- Harriet, musisz zrozumieć urzędowy sposób myślenia - powiedział dziś po południu pan Hush. - Do rozstrzygnięcia tej kwestii na twoją korzyść potrzeba byłoby mądrości i odwagi, jakich nie mają urzędnicy instytucji państwowych. Wszystko sprowadza się do tego, żeby w nic się nie wmieszać. Urzędnicy wiedzą że ktoś, kto miałby w tym interes, mógłby uczeplić się nietypowej adopcji i wywołać straszną aferę. Wina spadłaby na

urzędników. Dlatego, moja droga, nie zechcą ryzykować. Nie i już.

Pięknie. Po prostu pięknie. Flo siedzi skrepowana kaftanem bezpieczeństwa, żyje od wizyty do wizyty, a ja nie mogę zrobić nic, żeby ją stamtąd zabrać. Ach, jakie szalone pomysły harczą mi po głowie! Pierwszy był taki, że oświadczę się Toby'emu, ledwie jednak zaświtał, zgasł jak świeczka na wietrze. Gdyby Toby zgodził się na dziecko, to tylko na własne, żadne inne. I koniecznie musiałby być syn, nie córka. Kocham tego człowieka - jest prostolinijny, błyskotliwy, lubi podróżować, ciekawie spędza się z nim czas, no i bardzo mnie pociąga. Z doskoku fantastyczny partner. Na stałe pedant nie do zniesienia. Potem znów mnie oświeciło. I rozważam ten pomysł do tej pory. Mogłabym porwać Flo i uciec najpierw ze stanu, a potem z kraju. Australia jest bardzo duża. Gdybyśmy we dwie ruszyły do Alice Springs albo do Katherine i gdybym pracowała jako służąca w jakimś motelu na zapadłej prowincji, nikt nie zwracałby na Flo uwagi. Bawiłaby się całymi dniami w piachu z małymi Aborygenami, którym ani trochę nie przeszkadzałyby jej niemota - pewnie zresztą czytaliby w jej myślach tak jak matka; stałaby się częścią duchowej wspólnoty. A kiedy kończyłabym pracę, byłaby ze mną. Ten plan ma swoje plusy.

Karty tarota znam na pamięć, chociaż jeszcze nie próbowałam ich wyklądać. To taka luźna uwaga, rzucona, by odwlec to, co chcę teraz napisać. Trzęsą mi się ręce, szczypią oczy, czuję się tak, jakby machina mojego ciała wymagała kapitalnego remontu albo wymiany baterii. Idiotyczne, wiem. To tylko chwilowy nastrój. Minie. Och, żeby coś się wydarzyło!

Co noc, po pobudce, jaką urządziła pani Delvecchio Schwartz dziesięć po trzeciej, wpatruję się w kryształową kulę. Kiedy Duncan znalazł Flo, wymyśliłam piękną teorię, lecz życie jej nie potwierdziło. Muszę więc przyjąć, że to, co przydarzyło się tamtego dnia, było czystym przypadkiem.

Piątek. 24 marca 1961.

Dziś wieczorem miałam niespodziewaną wizytę. Po szóstej zadzwieczał dzwonek. Poszłam otworzyć, bo nie było w domu żadnego mężczyzny. Kogo zobaczyłam na werandzie? Madame Fugę z 17D. Kurczę! Jak ona się nazywa naprawdę?

- Miło panią widzieć - powitałam ją bezpieczną formułką.

- Ciebie też miło widzieć, kochanie - zagruchała.

- Proszę wejść. Napije się pani kawy? Podziękowała, musiała wracać do siebie, zanim zrobi

się ruch w interesie. Zacinając się przy co drugim słowie, spytała, czy mamy jakieś plany w związku z wolnymi pokojami.

- Niektóre z moich dziewcząt byłyby zainteresowane - rzekła na koniec.

Dziwne! Akurat w tym momencie nadszedli na harleyu davidsonie Jim i Bob. Podeszły do mnie, gdy wyjaśniałam madame, że sprawy przejął urząd powiernika państwowego i na razie nie wiemy, kiedy planowane jest wynajęcie wolnych lokali.

- Pieprzone babszty! - rzuciła madame i odeszła, pozostawiając smuzkę silnego aromatu perfum Joy Jeana Patou.

- Interes kręci się nieźle - powiedziałam do Jim. - Te perfumy są droższe od brylantów i od trufli.

- Brylantów też jej nie brakuje. Chyba nie myślisz, że te kolczyki i wisiołek były ze szkła - rzekła Jim.

- To niesprawiedliwe - oznajmiła Bob z lekkim smutkiem. - Dobre dziewczyny takie jak ty i lilijski takie jak ja mają szczęście, jeśli dostaną pudełko czekoladek Black Magie za dwa szylingi.

Złapałam gałkę u drzwi, udając, że chwieję się z wrażenia.

- Bob! Chcesz powiedzieć, że Jim daje ci całe pudełko czekoladek Black Magie?

Bob uśmiechnęła się, odsłaniając kły jak u Drakuli.

- Jim mnie kocha.

-Zastanawiam się poważnie nad tym, żeby poprosić madame Fugę o kilka wskazówek i rozpocząć działalność w branży - powiedziałam. - To jedyny sposób, żeby zarobić jakieś przyzwoite, pardon, nieprzyzwoite pieniądze i utrzymać się, nie wychodząc z domu! Flo miałyby mnóstwo wujków.

Jim ściągnęła brwi, ale nie z powodu naszych żartów.

-Wiesz, Harry, bardzo mnie dziwi wizyta madame. Przecież musi wiedzieć, że nie od nas zależy, komu zostaną wynajęte pokoje. Czego ona tu szukała?

- Nie mam pojęcia - odparłam. Bob parsknęła śmiechem.

- Ciekawe, co by powiedziały panie z pogotowia opiekuńczego, gdyby wiedziały o pensjonatach siedemnaście B i siedemnaście D? Uuuuuuułaa!

Przecież wiedzą, co się tam mieści, na pewno wiedzą. Jim słusznie dziwi się niespodziewanym odwiedzinom madame Fugi. Czego ona tu szukała? Przypuszczam, że sąsiadujące z nami burdele mniej zszokowały

pannę Arf-Arf niż wyhaftowany na dzinsach Jim, po wewnętrznej stronie uda, fallus ze skrzydełkami. Zobaczyła go przy drugiej wizycie. Duże wrażenie zrobiła na niej wtedy lady Richard wspierająca się na ramieniu Jim. Lady Richard, jedyna z naszego grona, nosiła żałobę po pani Delvecchio . Zapowiedziała jednak, że niebawem zrzuci czarny strój i będzie nosić kolory lila i szary. Ubierze się nawet na biało, gdy nadarzy się odpowiednia okazja.

Wtorek. 4 kwietnia 1961.

Sekretarka pana Husha zadzwoniła dziś do mnie rano do pracy i spytała, czy mogłabym przyjść do kancelarii o drugiej. Instynkt podpowiedział mi, że nie jest to prośba, lecz wezwanie. Poszłam więc do siostry Agaty, by powiadomić ją, że będę musiała wcześniej wyjść z rentgena.

-286-

Tego dnia nie było natłoku pacjentów, co oczywiście nie ma znaczenia.

- Doprawdy, panno Purcell - zaczęła siostra Agata poirytowana. - Ostatnio ma pani niemiły zwyczaj nagłego rzucania narzędzi i wyfruwania z pracy jak gdyby nigdy nic. To niedobrze.

- Siostró Toppingham - odparłam sztywno. - Przesadza pani. W tym roku zwolniłam się z pracy trzy razy. Drugiego stycznia, jedenastego stycznia i trzynastego stycznia. Akurat trzynastego, w piątek, uczestniczyłam w pogrzebie, choć pani może się ta data wydać nieodpowiednia. Nie prosiłam, by zapłacono mi za dni, w które byłam nieobecna. Nie proszę także, by zapłacono mi za te dwie popołudniowe

godziny, których dziś nie przepracuję. Panna Smith i praktykantka poradzą sobie we dwie, na urazówce jest spokojnie. Wiem, że sprawiam pewien kłopot, lecz jest to drobna niedogodność, nic więcej. Szpital nie przestanie zapewniać usług na najwyższym poziomie z powodu mojej krótkotrwałej nieobecności.

Siostra Agata zagulgotała zupełnie jak Duncanowa.

- Zachowuje się pani impertynencko, panno Purcell! - odcięła się. Na nic lepszego nie potrafiła się zdobyć.

- Nie, siostrzo Toppingham, nie zachowuję się impertynencko. Po prostu się bronię, co jest, jak widzę, niewybaczalnym błędem - odparłam.

Siostra Agata sięgnęła po dziennik dyżurów.

- Może pani odejść. Zapewniam panią, że nie zapomnę tej rozmowy.

Uuuuuuła! Stara wiedźma na pewno nie zapomni. Ach, ale jakie to przyjemne uczucie wysunąć rogi!

Pan Hush był w nieco lepszym humorze niż siostra Agata. Minę miał taką, jakby w chwilę po zamknięciu sklepu przed długim weekendem odkrył, że zepsuła się chłodziarka z mięsem.

- Byłem wczoraj w pogotowiu opiekuńczym - rzekł. - Zamierzałem złożyć wniosek o adopcję Florence Schwartz.

Niestety, funkcjonariuszki wyraziły znacznie gwałtowniejszy sprzeciw, niż się tego spodziewałem, panno Purcell. Poinformowały mnie, że jest pani moralnie niezdolna do przejęcia opieki nad dzieckiem.

- Moralnie niezdolna?

- Taki jest termin. Moralnie niezdolna. Po pierwsze, po obu stronach domu zajmowanego przez pani zmarłą gospodynię, gdzie zamierza pani

wychowywać dziecko będące jej rzekomą spadkobierczynią, znajdują się dwa domy pod czerwoną latarnią. Po drugie, jedna z funkcjonariuszek pogotowia opiekuńczego rozmawiała z panią Duncanową Forsythe. Krąży plotka łącząca panią z doktorem Forsythe'em. Funkcjonariuszka dowiedziała się o tym od przyjaciółki z Queens. Pani Duncanowa Forsythe nie zostawiła na pani suchej nitki. - Jego twarz zdradzała, że mięso już śmierdzi. - Bardzo mi przykro, lecz sytuacja tak właśnie się przedstawia.

- A to suka! Zabiję ją - wycodziłam. Popatrzył na mnie ze współczuciem.

- Rozumiem, że ulżyłoby pani, gdyby ją pani zabiła, ale czy to pomoże Flo? - Wyciągnął noże i wybrał najostrzejszy, żeby sprawić mi mniej bólu. - Pogotowie opiekuńcze powiadomiło mnie też, że Flo ma zostać wypisana z Royal Queens. Zdiagnozowano u niej niespecyficzną postać autyzmu, wobec czego zostanie odesłana do odpowiedniej instytucji.

- Stockton - rzekłam głucho.

- To mało prawdopodobne. Pogotowie opiekuńcze wie, że Flo odwiedzali regularnie goście mieszkający w Sydney. Przypuszczam, że odeślą ją do Gladesville.

- Zaszufładowana Flo schodzi ze sceny. - Popatrzyłam mu prosto w oczy. - Panie Hush, nie dbam o to, co mówią panie z pogotowia opiekuńczego. Proszę o złożenie formalnego wniosku. Kiedy zostanie odrzucony, proszę złożyć następny. I tak za każdym razem, choćby to się miało ciągnąć latami. Chcę, żeby Flo, kiedy dorośnie, wiedziała, że próbowałam bez końca. Jeżeli oczywiście przeżyje, w co wątpię. To prawdziwa tragedia.

Wracalam do Domu przez Domain. Zrzucilam buty, sciagnelam pończochy i szlam po twardej, sprężystej trawie broniącej się przed naciskiem moich stóp. Och, czemu publicznie upokorzyłam Duncanową? Wyciągnęłam ją z samochodu pod nosem madame Fugi i madame Toccaty, powiedziałam swoje i wepchnęłam z powrotem. Czemu wytknęłam jej małostkowość? No więc się zemściła. Myślę jednak, że zrobiłaby to samo, nawet gdybym jej nie zaatakowała. Ale już ja się na niej odegram, o tak! Zacznę w przyszłym tygodniu. Ponieważ jestem „moralnie niezdolna”, czy to ma jakieś znaczenie, jeżeli zaproszę do swojego mieszkania jakiegoś pana? Zadzwonię do Duncana, do domu, i zaproszę go na całą noc. Jeżeli chce pani grać w brudną grę, pani Forsythe, przekona się pani, jaki brudny może być brud. Karaluchy... Nałapię ich do wielkiej urny i wypuszczę do pani pedalskiego, brytolskiego samochodzika. Takich dużych, latających, he-he-he. Stanę na pikiecie w czasie zebrania Komitetu do spraw Równego Traktowania Czarnych i Białych. Będę trzymała dużą tablicę z napisem: Pani Duncanowa Forsythe nie dogadza MĘŻOWI, DLATEGO ZACZAŁ SIĘ SPOTYKAĆ Z MORALNIE NIEZDOLNĄ DZIEWCZYNĄ, KTÓRA MOGŁABY BYĆ JEGO CÓRKĄ.

Milusie myśli. Towarzyszyły mi aż do Woolloomooloo, gdzie włożyłam buty i przestałam myśleć o tym, co mogłabym zrobić Duncanowej. Wiem, że nie mogę nic zrobić, bo ucierpiałby na tym Duncan. Ale te karaluchy dałoby się podrzucić. I już zdecydowałam, że zaproszę Duncana, żeby spędził noc w moich ramionach. Wymyśliłam coś jeszcze lepszego - rzucę na nią klątwę. Niech ją męczy nieprzyjemny zapach potu i cuchnący oddech. Nieuleczalna drożdżycza. Nadwaga nieustępująca nawet po

głodówce. Zmarszczki. Opuchlizna stóp tak potworna, że galaretowate ciało będzie się wylewać z pantofli. Zapalenie spojówek. Łupież. Robaki, które składają jajeczka w odbycie, żeby musiała się tam drapać w miejscach publicznych. O tak! Niech pani powoli ulegnie chorobom, pani Forsythe! Niech pani umrze z niezaspokojonej próżności! Niech pękają lustra, kiedy pani w nie spojrzy, niech szykowne stroje haute couture zmieniają się w jutowe worki i buciory hydraulika.

Z tymi myślami doszłam do schodów McElhone'a. Zaczęłam drapać się na górę, ale w połowie stanęłam i rozplakałam się. Flo, moja Flo! Aniołku! Jak ja ciebie sprowadzę do Domu?

Płakałam jeszcze, kiedy otwierałam drzwi do holu. Nawet przez szarą zasłonę łez widziałam, że bazgroły przyblakły. Ona odchodzi ode mnie. Będę musiała przycupnąć na poboczu jej życia poddanego rygorom instytucji opiekuńczej, z sercem złamanym, bo nie mogę tam z nią spędzać całego dnia. Jestem młoda, biedna, niezamężna. Muszę pracować. Muszę pójść jutro do siostry Agaty i przeprosić. Niech cię Bóg skarże, pani Forsythe, za twoje złośliwości. Rujnujesz życie nie tylko mężowi, bojaźliwemu frajerowi.

Rzuciłam się na łóżko i ryczałam tak długo, aż zasnęłam. Obudziłam się, kiedy już było ciemno. Okna pod numerem 17D jaśniały różowofioletowym migotliwym światłem; płynęły stamtąd pogwarki i śmiechy, zagłuszone raz krzykliwą kłótnią Prudence i Constance, które nigdy nie mogą się ze sobą zgodzić. Powodzenia, moje panie, pomyślałam, zajmując się obrażoną kotką. Są gorsze sposoby zapewnienia sobie lepszego życia. O wiele gorsze sposoby, pani Duncanowo Forsythe,

cholerny pasożycie.

No cóż, pozostaje porwanie, ucieczka gdzieś na Terytorium Północne, gdzie mężczyźni są mężczyznami, a kobiet jest za mało. Czuję się jak w imadle. Nie mogę powiedzieć o swoich planach nawet mamie i tacie, nie będę mogła się z nimi skontaktować, kiedy znajdę sobie nowe miejsce do życia. Flo i ja powinniśmy zniknąć z mapy. Zdradź jednej osobie sekret, a przestanie być sekretem. Muszę wyczyścić konto w banku, a całą gotówkę schować w torbie pod fartuszkim Flo. Szare ubranie. Mamy przecież wyglądać jak nędzarki. Rzeczy Flo idealnie się do tego nadają, natomiast ja będę musiała pomyszkować w używanych ubraniach w Armii Zbawienia albo w Saint Vincent de Or - żart, he-he-he. Tak, dam radę. Dlaczego? Bo jestem bystra i zapamiętam wszystkie nitki w pajęczynie kłamstw. Mąż mnie rzucił - historia jakich wiele. W Australii jest pełno porzuconych żon. Kupić obrączkę. Moja biedna córeczka tak tęskni za tatusiem, że nie mówi. Nie, to nie brzmi najlepiej - czemu miałyby tęsknić za draniem, który wykręcił taki numer mamusi? Nie mówi, bo zrobiło jej się coś z głową, kiedy tata uderzył ją w pijanym widzie. Tak, to brzmi przekonująco. Marcelinę! Biedny staruszek powierzył mi swojego aniołka - jakże mogłabym go teraz zawieść? A jednak będę musiała - koty nie znoszą podróży. A może jednak? Gdyby Marcelinę schowała się do płóciennej torby na zakupy, może zechciałaby wyruszyć z nami w podróż. Wybiorę się z nią najpierw na próbę w Góry Błękitne. Jeżeli dobrze zniesie taką wyprawę, zabiorę oba swoje aniołki do interioru.

...Piszę to później, o wiele później. Północ już się zbliżała, kiedy przestałam chodzić w kółko, planować, kombinować, opracowywać

założenia logistyczne. Nie jadłam kolacji, a mimo to nie byłam głodna. Nie miałam ochoty napić się kawy ani herbaty, ani nawet łyknąć trzygwiazdkowej. Już prędzej zjadłabym coś, co wypluła Marcelinę. Przynajmniej nie muszę się przejmować Haroldem i swoimi brulionami. Stare zapiski wróciły do szafki z tilsiterem.

Podeszłam do stołu i moje oko przyciągnęła szklana kula - trzeba przyznać, że w całym pokoju nic tak nie przyciąga wzroku jak właśnie ona. Tkwiła na swoim miejscu, rozsiewając różowawą poświatę. Oszukańczy przedmiot. Bijące źródło dramatu. Zastanawiałam się, czy popatrzeć w nią teraz, zanim położę się spać, nie poczekawszy, aż stara obudzi mnie w nocy galopując ze śmiechem po korytarzach. Może, jeśli to zrobię, kula zacznie do mnie przemawiać? Ale gdzie tam! Usiadłam przygnębiona i przyrzekłam sobie, że już nigdy nie poniżę się przed bryłą dwutlenku krzemu. Toż to najzwyklejszy w świecie stopiony piasek.

Siedząc tak, rozpamiętywałam, jacy wszyscy byli dziś dla mnie okropni. O wiele gorsze jest jednak, że okropne traktowanie czeka Flo, i to nie wiadomo jak długo. Okropne to znaczy pełne złości, nie obojętne i smutne. Złość jest nie do zniesienia, jeżeli nie ma komu przywalić w głowę i nie ma się jaj do kolan. Niech nikt nie myśli, że te straszne baby w pogotowiu opiekuńczym nie mają jaj. Mają, jak każdy szczur.

Popatrzyłam na kulę i przyszła mi do głowy dziwna myśl. Co się stało z panią Delvecchio Schwartz? Jeżeli to ona straszy na piętrze co noc, to znaczy, że jeszcze przebywa w sferze ziemskiej. W takim razie czemu pozwala na to, żeby zabito jej aniołka? Czemu zostawiła po sobie taki bałagan? Przecież musiała o tym wiedzieć! A zatem musiała też zostawić

jakiś sposób, by się z nim uporać. W wielu sprawach postępowała głupio, ale jednocześnie była bardzo sprytna. Dała mi dwie wskazówki: że Los Domu spoczywa w kuli; że zależy od kuli. Czyżby tak gorąco wierzyła w siebie i swoje moce, że założyła, iż zobaczę w kuli wszystko jasno i wyraźnie? Położyła na niej moje dłonie, jakby mnie błogosławiła. Ale ja nic w kuli nie widzę! Od miesiąca się staram i nic. Żadnego efektu.

Popatrzyłam z wściekłością na kryształ, na różowawe, bajkowe, odwrócone odbicie mojego pokoju. Los Domu spoczywa w kuli. Wszystko zależy od kuli. Chwyciłam ją i zrobiłam coś niewyobrażalnego - uwolniłam kulę od podstawy, unosząc ją obiema dłońmi. Kiedy ją postawiłam, zaczęła się toczyć. Zatrzymałam ruch. Nie poczułam wibracji ani dziwnych elektrycznych prądów. To po prostu bardzo ciężka bryła stopionego pod ciśnieniem krzemu. Widocznie stół ma lekko przechylony blat. Pchnęłam maselniczkę za moją nemezis, nie pozwalając jej się toczyć, i przeniosłam spojrzenie na podstawę z czarnego drewna. Wyścielala ją okrągła, płaska poduszeczka, nie z jedwabiu, lecz z aksamitu, wygniecionego i wyświeconego pod ciężarem kuli.

Harriet Purcell, ty idiotko! Jak mogłaś być taka niedomyślna? Rozwiązanie problemów spoczywało tu sobie od czterech miesięcy!

Uniosłam podstawę i zaczęłam podważać tkaninę, tam gdzie tworzyła na drewnie cienki wałeczek. Odrywałam ją strzep po strzepie, bo klej był bardzo mocny. Przytrzymał sam brzeg materiału. I proszę, pod aksamitem leżała złożona kartka, wypełniająca płytkie zagłębienie, które pani Delvecchio Schwartz musiała specjalnie w tym celu wydłubać dłutkiem. Prosty drukowany formularz, jaki można kupić w kiosku albo

sklepie papierniczym. Diaboliczny pomysł. Ileż czasu poświęciła na przygotowanie tej ostatniej zagadki, stawiając cały swój świat, z aniołkiem włącznie, na jedną kartę. Nie zabezpieczyła się, polegając na moim nosie do tajemnicy, do łamigłówek. Wskazówki, które mi dała, nie były całkiem czytelne. Los Domu nie spoczywał w kuli, lecz pod kulą. Różnica jednego słówka. Gdyby użyła właściwego przyimka, odnalazłabym testament w ciągu jednego dnia, może nawet prędzej. Ale dla niej to byłoby za proste, zbyt nudne.

Testament nie był długi. Stwierdzał, że cały majątek, ruchomy i nieruchomy, oraz oszczędności dziedziczy Flo Schwartz, jedyne dziecko, do czasu zaś osiągnięcia przez nią pełnoletności ma nim zarządzać w jej imieniu ukochana przyjaciółka, panna Harriet Purcell, zamieszkująca pod tym samym adresem. Może ona swobodnie, wedle życzenia dysponować wszystkimi dochodami. Opiekę i troskę o Flo Schwartz, swoje jedyne dziecko, pani Delvecchio Schwartz powierza tejże pannie Harriet Purcell, żywiąc przekonanie, że wymieniona wychowa Flo zgodnie z jej życzeniem. Pod testamentem widniał podpis: Harriet Purcell Delvecchio Schwartz. Na dokumencie podpisali się także dwaj świadkowie, Otto Werner oraz Fritz Werner, o których nigdy nie słyszałam. Czyżby bracia? A może ojciec z synem?

Harriet Purcell! Pani Delvecchio Schwartz urodziła się jako Harriet Purcell. Brakujące pokolenie. Ale jeżeli pochodziła z tej samej rodziny co tata, to nigdy mu o niej nie powiedziano. To możliwe, jeżeli od urodzenia nie wyglądała tak jak należy. Dziewiętnastowieczni rodzice bardzo byli czuli na punkcie odstępstw od normalnego wyglądu -jeżeli coś było nie tak,

oddawali dziecko do domu opieki albo ukrywali jako coś wstydliviego lub hańbiącego. Bardzo możliwe, że jest bliską krewną - siostrą taty? Tata urodził się w 1882 roku, ona zaś najprawdopodobniej około 1905. A może około 1902, kiedy tata walczył w wojnie burskiej w Afryce Południowej? Tata ma dwie siostry bliźniaczki, które przyszły na świat po nim, w roku 1900 -wielki wstyd, jak zawsze ze śmiechem powtarza. A jeżeli po cioci Idzie i cioci Joan urodziła się jeszcze jedna córka? Która źle wyglądała i została ukryta? Tej tajemnicy zapewne nigdy nie objaśnimy. Tłumaczy ona jednak inną zagadkę: czemu nadano dziewczynce przekłete w rodzinie imię. Pani Delvecchio Schwartz - wielowarstwowa cebula. A w samym jądrze dzieciństwo, o którym nie wspominała żadnemu z mieszkańców Domu, nawet Pappy.

Nie skakałam ani nie krzyczałam z radości. Tyle się wydarzyło, że aż trudno było uwierzyć, że to prawda. Odłożę wszystko do jutra rana, kiedy wreszcie będę mogła pokazać testament panu Hushowi.

Środa. 5 kwietnia 1961.

Obudziłam się o szóstej z bardzo dziwnym uczuciem. Jeżeli autorka zagadek, która zafundowała mi tyle ciężkich przeżyć, cwałowała i wybuchała śmiechem dziesięć po trzeciej w nocy, to ja jej nie słyszałam. W pierwszej kolejności zadzwoniłam do biura siostry Agaty, by zawiadomić, że nie przyjdę dzisiaj do pracy. Nie, bez żadnego powodu, bardzo mi przykro, panno Barker. Sprawy prywatne. Potem trochę się pokręciłam, cudownie oszołomiona, dałam Marcelinę dodatkową porcję śmietanki,

wypiłam kilka filiżanek kawy, zjadłam jajecznicę z grzanką i ubrałam się w nowy, kupiony na raty, jesienny strój w kolorze wyblakłego różu. Co chwila rozkładałam testament i sprawdzałam, czy rzeczywiście zawiera te cudowne sformułowania. Tak. Tak, tak!

Pod drzwiami kancelarii Partingtona, Pilkingtona, Purblinda i Husha zjawiłam się, zanim panna Jak-jej-tam zdążyła je otworzyć. Oznajmiła mi z pogardą, iż pan Hush jest dziś tak zajęty, że nie znajdzie dla mnie czasu. Powiedziałam, że mimo to zaczekam. Znajdzie dla mnie pół minuty, ćwierć minuty, nieważne, muszę się z nim zobaczyć! Usiadłam w recepcji, zerkałam co chwila na testament, nuciłam pod nosem, kartkowałam z głośnym szelestem magazyny i ogólnie tak się dawałam we znaki, że kiedy o dziesiątej pan Hush stanął w drzwiach, panna Jak-jej-tam, której cierpliwość się wyczerpała, miała ochotę mnie udusić.

- Panna Purcell nie chciała odejść, proszę pana! - zabeczała jak baranek.

- W takim razie niech wejdzie - rzekł z westchnieniem. Pogodził się z tym, że zamiast befsztyku musi się zadowolić jagnięcą karkówką. - Nie mogę pani poświęcić dużo czasu, dzisiaj prawie cały dzień spędzę w sądzie.

Zamiast odpowiedzieć, podałam mu testament.

- Niech mnie kule biją! - rzekł, przejrzawszy go szybko. - A to skąd się wzięło?

- Znalazłam testament wczoraj wieczorem. Był ukryty w podstawie ulubionego bibelotu pani Delvecchio Schwartz.

- Czy ona naprawdę nazywała się Harriet Purcell? - spytał, patrząc na mnie tak, jakby podejrzewał, że sfalszowałam dokument. Potem poddał go

dokładnym oględzinom. - Wygląda na autentyk, sporządzony tym samym charakterem pisma co wpisy w książeczkach oszczędnościowych, opatrzony zeszłoroczną datą. Zna pani świadków?

Musiałam przyznać, że nie, zapewniłam jednak, że o nich popytam.

- Czy to ma znaczenie? - spytałam w napięciu. - Czy ktoś może podważyć testament?

- Droga Harriet, sądzę, że wszyscy powitają tajemnicze pojawienie się tego dokumentu z westchnieniem ulgi. To jedyny istniejący testament pani Delvecchio Schwartz. Uznaje w nim Flo za swoje dziecko, a opiekę nad nim powierza jednoznacznie pani. W sądzie jej rozkazy są naszymi rozkazami.

-Ale panie z pogotowia opiekuńczego nie zmienia o mnie opinii, prawda?

- Zapewne nie - rzekł spokojnie. - Testament zdejmuje z ich barków ciężar odpowiedzialności za Flo. Nie muszą już decydować o jej przyszłości, a z tego będą niezmiernie zadowolone. Dodam, że testament obdarza panią finansową niezależnością. Dochody z nieruchomości zapewnią pani dostatnie życie. Nie będzie pani musiała pracować. Jest pani urzędzona.

Odchrząknął podejrzenie. Nadstawiłam uszu.

- Ponieważ nie wymieniono egzekutora testamentu, musi pani zdecydować, kto zajmie się stroną prawną. Może pani skorzystać z urzędu powiernika państwowego lub, jeśli pani woli, ja mogę poświadczyć autentyczność dokumentu. Ostrzegam tylko, że powiernik państwowy pracuje w żółwym tempie, a opłata, jaką trzeba wnieść, dorównuje tym w

prywatnych firmach.

Sygnal dla mnie!

- Wolę, żeby pan się wszystkim zajął, panie Hush.

- Świetnie, świetnie! - Jagnięca karkówka zamieniła się raptem w befsztyk. - Rozumie pani, że miałem okazję rozmawiać z powiernikiem państwowym o spadku. Pani Delvecchio Schwartz zdeponowała przeszło sto tysięcy funtów na kontach oszczędnościowych w całym Sydney. Eksperti nie potrafią ustalić źródła tego majątku. Nie sposób dowieść, że są to zarobki. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, co dzieje się w domach siedemnaście B oraz siedemnaście D. Oba pensjonaty pozostają jednak poza sferą zainteresowania, hm, oficjalnych organów, wobec czego eksperci muszą uwierzyć na słowo właścicielkom, że płacą trzydzieści funtów czynszu tygodniowo. Domy siedemnaście A i E, z lokalami do wynajęcia, także wnoszą trzydzieści funtów tygodniowo. Dobry prawnik dowiedzie, że pieniądze te wydawane są na remonty, opłaty i podatki, ponieważ wszystkie cztery domy są w świetnym stanie, czego nie można, jak rozumiem, powiedzieć o domu, w którym mieszkała pani Delvecchio Schwartz. Urzędnicy podatkowi podnieśli raban, jeżeli jednak nie znajdą konkretnych dowodów, mogą jedynie opodatkować procenty i czynsze. Gdyby urząd podatkowy zgłosił sprzeciw, dobry zespół prawników mógłby związać sprawę w sądzie na dziesiątki lat. Skontaktuję panią, oczywiście, z firmą doradców finansowych, którzy podpowiedzą pani, gdzie ulokować kwotę główną Flo. Na tych kontach oszczędnościowych kapią z tego nędzne pensy, brrr! Najlepsza firma to Birdwhistle, Entwhistle, O'Halloran i Goldberg.

A więc tego pani szukała, madame Fugo! Chciała pani wywęszyć, ile wiem. Proszę się nie martwić, ze mną jest pani bezpieczna. Nie możemy przecież odebrać przemysłowcom, politykom, bankierom i sędziom możliwości wylewania brudnej wody w idealnie utrzymanych ogródkach. Trzydzieści funtów tygodniowo? Akurat! Prędszej trzysta. Ale ostrzegam! W imieniu Flo postawię twarde warunki, drogie burdelmamy. Nie na darmo nazywam się Harriet Purcell.

Tak mnie ucieszyła ta perspektywa, że nachyliłam się nad biurkiem i pocałowałam pana Husha prosto w usta. Z interesującym zapachem odwzajemnił to pozdrowienie.

- Jest pan prawdziwym skarbem! Roześmiał się.

- Przyznaję, że zawsze tak o sobie myślałem, lecz miło jest mieć potwierdzenie. Najlepiej będzie, jeżeli pozwoli mi pani zająć się uwolnieniem Flo. Ale najpierw dopilnuję, żeby miała pani dość pieniędzy na życie do czasu poświadczenia autentyczności testamentu. Nim to się stanie, odzyska pani Flo.

Złapałam taksówkę i pojechałam do Queens. Nie poszłam od razu do biura siostry Agaty. Pobiegłam do pawilonu psychiatrycznego i złapałam doktora Johna Prendergasta, który udawał się na jakąś naradę.

- John, John! Pani Delvecchio Schwartz zostawiła testament, w którym ustanawia mnie opiekunką Flo! - zawołałam. - Już niedługo pogotowie opiekuńcze mi ją odda, hura!

Twarz mu złagodniała, zrobił się bardziej misiowaty.

- Wobec tego zatrzymamy ją dla ciebie tutaj. - Podniósł mnie jak piórko i zaczął się kręcić. - Nie pociągają mnie pielęgniarce - rzekł chwilę później,

prowadząc mnie do pokoju Flo - a jeżeli jakaś kobieta mi się spodoba, to należy do pacjenta, więc nie mogę do niej startować. Ty niedługo odbierzesz stąd naszą pacjentkę, w związku z czym chciałbym spytać, czy znajdziesz wolny wieczór i umówisz się na kolację z niezbyt szalonym psychiatrą?

- Masz mój numer telefonu - przypomniałam, patrząc na niego świeżym okiem.

Hmmmm. Poszerzają mi się horyzonty. Ten jest w typie napastnika z pierwszego rzędu w rugby. Pani Delvecchio Schwartz doradzała mi urozmaicenie. Próbuj różnych, księżniczko, a zanim umrzesz, musisz mieć prawiczka. Wątpię, czy John Prendergast jest prawiczkiem.

Flo jak zwykle powitała mnie, rozkładając szeroko rączki. Wyściskałam ją i wycalowałam, roniąc kilka łez.

- Kochana Flo, już niedługo wrócisz ze mną do Domu -szepnęłam jej do uszka.

Drobną twarzączkę rozjaśnił największy na świecie uśmiech. Flo zarzuciła mi rączki na szyję i uścisnęła z całych sił.

- Nasza Flo wcale nie jest głupia - rzekł John Prendergast bez zdziwienia.

- Autystyczna, też coś! - prychnęłam. - Flo jest wyjątkowa. Bóg ma już dość naszych błędów i wynaturzeń, więc pracuje nad nowym modelem. To mowa wywołuje nieporozumienia i kłopoty. Jeżeli będziemy czytali w myślach, znikną kłamstwa i obłuda. Nie będziemy mogli udawać, że jesteśmy kimś innym.

Następna na liście była siostra Agata, która -jeśli sądzić po jej minie,

gdy wparowałam do biura - przygotowała się do walki. Nie dałam szans starej grymaśnicy.

- Siostrzynie Toppingham, odchodzę! - oznajmiłam, zanim zdążyła otworzyć usta. - Dziś jest środa i nie pracuję. Przyjdę jutro i w piątek, a potem już więcej mnie pani nie zobaczy!

Siostra Toppingham się naindyczyła. -Wymagam dwutygodniowego okresu wypowiedzenia, panno Purcell.

- Ciężka sprawa, słonko, bo innego wypowiedzenia nie będzie. W piątek po południu odchodzę i nie wracam.

Gulgotanie.

- Co za impertynencja!

- Impertynencja wzrasta wprost proporcjonalnie do niezależności finansowej - odparłam. Posłałam jej powietrznego całusa i wyfrunęłam. Zegnaj, siostrzynie Agato!

Znów wskoczyłam do taksówki i kazałam się zawieźć do Bronte, żeby podzielić się nowinami ze zmarłą rodziną.

Z rozmysłem wybrałam godzinę. Tata i bracia byli w sklepie, więc w domu zastałam tylko mamę i babcię. Jaka szkoda, że babcia nie jest matką taty. Wówczas poznalibyśmy całą prawdę. Niestety, rodzice taty przenieśli się na tamten świat - chyba te wyrażenia są zaraźliwe - zanim ja pojawiłam się na tym. Podlewany nocnikiem trawniczek - jak zauważyłam, wchodząc tylnymi drzwiami -rośnie bujnie i jadowicie zielono. Willie wygrzewał się na słoneczku.

- A kuku! Spójrzcie, kto przyszedł! Ktoś, kto tarza się w forsie i nie musi pracować! - zaanonsowałam swoje przybycie.

Mama z babcią jadły lunch. Na stole leżał chleb i masło, stała puszka dżemu morelowego firmy DCL i czajniczek z herbatą. Co za posepne miny - już wiem, po raz kolejny wałkowały wydarzenia, które rozegrały się pod numerem 17C przy Victoria Street. Romans z żonatym chirurgiem, morderstwo, samobójstwo, zaginione dziecko, córka, której odbiła szajba - nie tak wygląda raj rodziców i dziadków.

Kiedy odtrąbiłam swój triumf, wyprostowały się.

- Napij się herbaty, kochanie? - spytała mama.

- Nie, dziękuję - odparłam. Podeszłam do szafki i zza sosów worcestershire, pomidorowego i kawy Camp z cykorią wyciągnęłam butelkę brandy Williego. - Poczęstuję się tym. Brandy - ciągnęłam, nalewając trunek do kryształowego kieliszka - jest dobra dla duszy. Spytaj Williego. Wiesz, mamó, powinnaś zachować te stare szklaneczki z logo pasty serowej Krafta. Są niezniszczalne i wcale nie wyglądają źle z tym tulipanowym wzorkiem. - Usiadłam i wzniosłam toast eleganckim kryształem Stuarta. -Sursum sempiternas, jak powiedział biskup do chórzystów.

- Harriet! - jęknęła babcia.

Mama jest domyślna. Odprężyła się.

- A więc załatwione - powiedziała.

- Owszem - odparłam i opowiedziałam im całą historię.

- Harriet Purcell! - powtórzyła z westchnieniem mama, kiedy skończyłam. - Ciekawe, czy była siostrą Roberta. To by wiele wyjaśniało.

-Jeżeli tak, to ani tata, ani ciocia Joan, ani ciocia Ida o tym nie wiedzą. Ale można snuć domysły. Może pamiętają jakąś niezrozumiałą uwagę

rzezoną przez któreś z rodziców wiele lat temu. Albo tajemnicze nieobecności i wyjazdy do jakiegoś miejsca, którego nazwę wypowiadano szeptem. Spytajcie ciotkę Idę, ma pamięć jak słoń i lubi plotkować, jak to stara panna.

- Nie będziesz żałowała, że rzuciłaś pracę w rentgenie? - spytała mama.

Biedna mama, pewnie bardzo by chciała mieć jakieś zajęcie oprócz prowadzenia domu, ale dawniej to było trudne. Podobno około roku 1920 złożyła podanie z prośbą o przyjęcie na kurs dla pielęgniarek w Royal Prince Alfred, ale babcia ukróciła tę samowolę. Mama jest o wiele młodsza od taty. Może dlatego lubię starszych mężczyzn? Pappy na pewno by tak powiedziała, ale ona ma freudowskie skojarzenia z kremem na ciastku.

- Mamo, pracy zarobkowej mam powyżej uszu - odparłam. - Sama praca jest fantastyczna, ale ludzie, którzy nią kierują, są strasznie staroświeccy. Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma. Będę miała sporo na głowie. Muszę mieć oko na niesfornych najemców, muszę wypracować sposób porozumiewania się z Flo i korzystnie ulokować odziedziczone przez nią pieniądze.

- No cóż - westchnęła mama. - Widzę, że jesteś w siódmym niebie, kochanie, więc cieszę się razem z tobą. -Zakasłała i lekko poróżowiała. - Hm, a co z doktorem Forsythe'em?

- Niby co ma być? - spytałam bezceremonialnie. Matkę opuściła odwaga.

- Hm, nic.

Wychodząc, podeszłam do stojącej w słonecznym kątku klatki Williego. Po zlepionych piórach na piersi poznałam, że nadal żywi się owsianką z

brandy. Ma ptaszysko gust.

- Cześć, piękniśiu - zagruchałam do niego. Otworzył jedno oko i łypnął na mnie.

- Wypchaj się! - powiedział.

- Uważaj, słonko! - odparłam.

Odeszłam od niego na trzy kroki i wtedy odpowiedział:

- Sama uważaj, księżniczko!

Odwróciłam się zdumiona, ale on znów drzemał.

Przygotowałam ucztę w moim salonie. Czego tam nie było - wędzony węgorz, sałatka ziemniaczana, sałatka z kapusty, szynka, chrupiące bagietki, masło (nie za miękkie ani nie za twarde), tona greckiego ryżowego puddingu i tyle brandy, ile mogliśmy wypić, licząc się z tym, że jutro pracujemy. Lerner Chusovich był w odwiedzinach u Klause, więc też przyszedł. Zadzwoiłam do Martina, żeby przyprowadził lady Richard; zjawiała się w stroju w kolorze lila, przełamany czerwienią peruki. Ucieszyliśmy się, że Martin wreszcie dał się przekonać i zrobił sobie protezy w szpitalu Sydney Dental, gdzie nic się nie płaci, bo na tamtejszych pacjentach uczą się studenci. Dzięki nowym zębom jego kariera pięknie się rozwija. Jest niesamowicie przystojny, pełen gracji jak wierzba płacząca i czarujący jak George Sanders - panie pchają się drzwiami i oknami, żeby je sportretować. Na bok, Annigoni! Zaprosiłam też adwokatkę Joe z przyjaciółką Bert, a potem jeszcze przyszedł Joe Dwyer z Piccadilly z dwiema butelkami dom perignon. Zastanawiałam się, czy zaprosić burdelmamy, ale uznałam, że mogę je potrzymać kilka dni w niepewności. Chastity Wiggins sama się wprosiła, kiedy doszły ją przez okno radosne

okrzyki. Kazałam jej obiecać, że nic nikomu nie powie.

-Wprowadzę w Domu trochę zmian - oznajmiłam zgromadzonym. - Na każdym piętrze urządzą łazienkę z toaletą, pomaluję ściany, zainstaluję porządne oświetlenie, położę linoleum i dywaniki, kupię lodówki i kuchenki, do pralni parę pralek, a na podwórku wstawię wygodną suszarkę parasol. Nie będzie liczników gazu! Urządzą się w stylu ultranowoczesnym, żeby bazgranina Flo wyglądała jak awangardowa dekoracja. Zastępuję Flo matkę, ale działać będę inaczej niż pani Delvecchio Schwartz. Postawię na wygodę, nowoczesność, miłe otoczenie.

- To będzie trudne - rzekła Jim, marszcząc czoło. - Rada miejska niechętnym okiem patrzy na remonty.

- Nie zamierzam powiadamiać rady, Jim. Nie obchodzi mnie, co myślą urzędnicy. Zrobię wszystko po cichu.

-Bracia Werner! - powiedzieli jednocześnie Klaus i Pappy.

- Zrobią wszystko, co zechcesz, Harriet - zapewnił Klaus. - O zmroku podrzucą materiały i narzędzia.

No i proszę. Fritz i Otto Wernerowie odnaleźli się. Drogi pan Hush będzie bardzo zadowolony!

- A co z pustymi mieszkaniami? - spytała Bob.

- Zaczekamy, aż się je odnowi. Potem starannie dobiore nowych lokatorów - powiedziałam i uniosłam kieliszek szampana. - Za Flo, za panią Delvecchio Schwartz i za Dom.

Gdy głośny gwar przycichł i goście zaczęli zbijać się w małe grupki, Toby usiadł przy mnie w kącie na podłodze.

- Dziwię się, że nie zaprosiłaś Norma i Merva - rzekł.

- Norm i Merv zostali zaliczeni do tej samej kategorii co madame Fuga i madame Toccata. Powiem im, kiedy będę gotowa. - Dopiliśmy szampana i odstawiłam kieliszek. Szampan nie umywa się do brandy. - Przebaczysz mi, że biorę na wychowanie Flo? - spytałam.

Pieścił mnie wzrokiem, oczy miał zaczerwienione z miłości.

-Jak mógłbym ci nie wybaczyć? Wygląda na to, że w żyłach twoich i Flo płynie ta sama krew. Rozumiem więzy krwi. Zresztą nie będziesz przez nią cierpieć. Staruszka już się o to postarała. Ależ wymyśliła skrytkę na testament!

Przytuliłam się do Toby'ego i oparłam dłoń na jego ramieniu, odkrywając przyjemnie wybrzuszone mięśnie.

- Spodobałoby ci się, jak opowiadałam panu Hushowi, że znalazłam testament w jej ulubionym bibelocie.

- Jak na żywą, gadatliwą kobietę potrafisz trzymać język na wodzy, jeśli zechcesz.

-Nic nikomu do tego, co robiła pani Delvecchio Schwartz dla chleba. To jest wewnętrzna sprawa tego Domu.

- Podłączyłem szambo - rzekł, odgarniając mi włosy z czoła. - Chcesz przyjechać w weekend do Wentworth Falls i rozejrzeć się?

- Jeszcze jak, słonko, jeszcze jak, he-he-he.

Pappy pomogła mi posprzątać, kiedy ją o to poprosiłam. Wypchnęła protestującego Toby'ego za drzwi.

- Ile wiedziałaś? - spytałam.

Migdałowe oczy wydłużyły się, różane usteczka wygięły w lekkim uśmiechu.

- Na pewno nie wszystko. Zawsze trzeba było dedukować, i to nieraz nie ze słów, tylko z tego, co przemilczała. Odkąd powiedziałam jej, że poznałam w Queens Harriet Purcell, nie dawała mi spokoju, dopóki cię nie przyprowadziłam. Widać było, że twoje nazwisko ma dla niej jakieś znaczenie, ale jakie - o tym nie miałam pojęcia. Harold najmocniej odczuł, że jesteś jej bliższa niż wszyscy pozostali mieszkańcy Domu razem wzięci. Nie sądzę, żeby mu coś powiedziała. Biedak kochał ją i nie mógł pogodzić się z myślą, że miałby dzielić się kobietą, która zajęła miejsce jego matki. Pamiętaj, że matkę miał tylko dla siebie przez prawie czterdzieści lat. Wiedział, że pani Delvecchio Schwartz cię kocha, zanim jeszcze pojawiłaś się tu osobiście, i gryzł się tym coraz bardziej, kiedy obserwował was razem. Słusznie się go obawiałaś. Moim zdaniem przez dłuższy czas nosił się z zamiarem, że cię zamorduje. Na pewno nie planował tego, co się wydarzyło. Nigdy się nie dowiemy, co zaszło między nimi tamtego wieczoru. Domyślałam się, że rzuciła mu w twarz jakąś straszną obelgę. A on złapał nóż, który był pod ręką, i zrobił z niego użytek. Nie, nie sądzę, żeby to było zamierzone.

- Czy ona naprawdę coś widziała w kartach albo w kuli?

- Wiesz to lepiej niż ja, Harriet. Ja wiem jedynie, że nie była szarlatanką, no, może tylko na samym początku, kiedy zaczynała. Widziała różne rzeczy, zwłaszcza w kartach, gdy wróżby dotyczyły Domu, i korzystała z pomocy Flo, kiedy przychodziły klientki. Te kobiety uważały ją za autorytet, a nie radziły się w sprawach prywatnych. Konsultowały się z nią, żeby potem mówić mężom, co będzie się działo na giełdzie, na rynku pieniężnym, jak posunięcia rządu wpłyną na handel. Płaciły jej mnóstwo

pieniędzy, co oznacza, że przepowiadała trafnie. Znaleźliśmy wycinki o ludziach, ale nie znaleźliśmy materiałów o ekonomii i trendach w biznesie.

- Najbardziej nie daje mi spokoju to, że poddała się bez walki - powiedziałam.

-Wierzyła bez zastrzeżeń w przeznaczenie, Harriet. Skoro przyszła pora na pożegnanie się z tym światem, przyjęła to jako rzecz naturalną. To wszystko zaczęło się zresztą tuż przed nadejściem roku 1960. To wtedy pierwszy raz pojawił się Harold i dziesiątka mieczy. Wtedy jeszcze o tobie nie słyszała, chociaż twoja karta wychodziła jej razem z Haroldem i dziesiątką mieczy. Byłaś jej zbawieniem, królową mieczy spod znaku Skorpiona, z potężnym Marsem. Mnie powiedziała tylko, że uratujesz Dom.

No proszę, teoria Papele Sutamy. Nawet mi ona dość pasuje.

Poniedziałek. 10 kwietnia 1961.

Dziś rano wróciłam pociągiem z Wentworth Falls. Toby został, żeby wykańczać domek. Dla niego, tak jak dla mnie, dzisiejszy dzień jest pierwszym dniem niezależności. Oboje, bez zbędnego szumu, w ostatni piątek rozstaliśmy się ze stałym miejscem pracy.

Kiedy moim oczom ukazała się samotnia Toby'ego, zdumiałam się. Spodziewałam się prostej chaty, bo sam tak o niej mówił, a zobaczyłam piękny, nowoczesny, prawie gotowy domek. Stał tu przedtem stary, rozpadający się dom, z którego Toby odzyskał piękne bloki piaskowca na fundamenty, a także podłogi, filarki międzyokienne i kilka ścian

wewnętrznych. Z własnej kieszeni musiał dołożyć głównie na okna, dach z blachy falistej, instalacje i armaturę.

-Wzorowałem go na domu zaprojektowanym przez Waltera Burleya Griffina w Avalon - wyjaśnił. - Teraz jest on własnością Saliego Hermana. Nie mam takich widoków na wodę, ale za to widzę góry i lasy. Miło, że dawniej nie powycinano drzew w tej surowej krainie, a teraz, dzięki wprowadzonym przez rząd zakazom, w ogóle nie wolno stąd pozyskiwać drewna.

- Po południu zagląda tu słońce - zauważyłam, marszcząc brwi. - Przy takich wielkich oknach będzie wewnątrz gorąco jak w piecu.

- Od strony zachodniej chcę zbudować szeroką werandę - powiedział. - Będę tam siadywał wieczorami i oglądał zachody słońca nad doliną Grose.

Dzieła budowy dokonał sam z niewielką pomocą Martina i kilku przyjaciół z kolorowego światka Cross.

-Jestem człowiekiem buszu - wyjaśnił. - Tam, gdzie się wychowywałem, nie można zadzwonić po hydraulika, stolarza czy kamieniarza. Trzeba umieć wszystko robić samemu.

Obok okropnego chaszczowiska zachowała się resztkę starego sadu, w którym właśnie teraz gałęzie uginają się od jabłek. Obzerałam się nimi jak świnia. Byłam niezmiernie wdzięczna za toaletę podłączoną do szamba. Toby powiedział, że zainaugurował je, wrzucając do środka martwego królika. Czego to się człowiek nie dowie!

Poszliśmy do łóżka, kiedy już zjedliśmy i Toby pozmywał - niektóre rzeczy się nie zmieniają, nadal ma obsesje. W to mi graj! Nie będę musiała zajmować się pracami domowymi. Tylko trochę pogotuję.

Zastanawiałam się, jakim taki obsesyjny człowiek będzie kochankiem, ale niepotrzebnie się niepokoiłam. To artysta, docenia piękno i z jakiegoś powodu uważa, że jestem piękna. Ja wcale tak nie uważam, ale podobno piękno jest w oku patrzącego. Co powiedzą mama i tata, kiedy w galeriach sztuki zawisną akty Harriet Purcell? Seks jest cudowny, ale myślę, że Toby woli mnie malować. Kiedy stanie się sławny, straci pewnie chłodne oko i spróbuje sił w czymś, co docenią koneserzy wysokiej sztuki, zresztą to oni najhojniej potrząsają kiesą. Nadal podoba mi się dymiąca hałda w czasie burzy. I portret Flo, który mi podarował. Nie wziął się nigdy do portretowania pani Delvecchio Schwartz, ale tego raczej nie żałuje.

Jest pięknie owłosionym mężczyzną, co jej na pewno by się spodobało. Nie ma czarnych włosów jak pan Delvecchio, tylko ciemnorude. Jest silny, muskularny, a niski wzrost w niczym mu nie wadzi. Mówi, że dzięki temu ma bliżej do moich piersi. Czesalam językiem splątane kudełki, nie powiem gdzie, he-he-he.

- Nie myśl tylko, że masz mnie na własność, Toby -ostrzegłam go, pakując weekendową torbę i szykując się do sześć i półkilometrowej wędrówki do stacji.

Oczy miał ciemne, pewnie dlatego, że dopiero świtało.

- Nie musisz mi o tym przypominać, Harriet - rzekł. -Już ci to mówiłem i powtórzę jeszcze raz: jesteś bardzo podobna do pani Delvecchio Schwartz. Żaden mężczyzna nie może mieć na własność siły Natury.

Świetny facet!

Duża lokomotywa C-38 podjeżdżała do stacji, gdy przechodziłam mostkiem nad torami. Zatrzymałam się i pochyliłam nad barierką, czekając,

aż owioną mnie kłęby czarnego dymu z drobinami sadzy Wspaniała maszyna przyjechała z Mount Victoria. Uwielbiam pociągi z lokomotywami parowymi. Przez całą drogę wychylałam się przez okno i wsłuchiwałam w pracę pchającej korbownicy pary - pach, pach, pach. Wdychałam woń węglowego dymu. Rząd wymienia lokomotywy parowe na spalinowe, które są okropne. Nie widać potężnej pracy. Uwielbiam patrzeć na demonstrację siły, również u muskularnych mężczyzn.

Piątek. 21 kwietnia 1961.

Dziś wróciła do Domu Flo. Cała w uśmiechach, wczepiona we mnie jak małpka. Kiedy zobaczyła utuczoną Marcelinę, zsunęła się z mojego biodra i zaczęła się z nią bawić, jakby nie przeżyła tych kilku miesięcy w pogotowiu opiekuńczym i na oddziale psychiatrycznym Queens. Jakby nie bazgrała palcami umazanymi krwią, nie wyskoczyła przez okno, tłukąc szybę, ani nie zmusiła z natury dobrych ludzi, by przywiązali ją do łóżka.

Jestem skołowana. Czy ona mówi? Rozumie każde moje słowo, ale ja nie odbieram od niej żadnych telepatycznych sygnałów. Po cichu na to liczyłam - kiedy Flo wróci do Domu i pogodzi się z tym, że matka zniknęła z jej życia. Bzdura! Ona się z tym pogodziła tej nocy, gdy matka zmarła.

Bracia Wernerowie to prawdziwy skarb. Zarabiają na życie dorywczymi pracami na lewo, zapłatę biorąc w gotówce.

Przekonałam się, że są majstrami od wszystkiego, podobnie jak Tony. Zawarliśmy układ. Pozwalam im mieszkać za darmo w mieszkaniu na parterze od frontu i płacę za pracę, którą dla mnie wykonują. Oby tak

zostało. Pięć domów pod numerem 17 przy Victoria Street ma teraz mieszkających na miejscu majstrów, którzy dbają o ich stan. Lerner Chusovich zajął moje dawne mieszkanie za ten sam czynsz i może wędzić węgorze na naszym podwórku. Nikomu to nie przeszkadza. Mieszkanie już nie jest różowe. Lerner lubi kolor żółty (w odcieniu wędzonego węgorza), a stolarkę czarną.

Toby i ja wymyśliliśmy, jak urządzić łazienkę na piętrze zamieszkanym przez Jim, Bob i Klause. Bracia Wernerowie odetną po kawałku z obu lokali, których drzwi wychodzą na jeden podest. Otto już wykombinował, jak zmieści dwie toalety, chociaż łazienka będzie jedna, za to z gorącą wodą z bojlera, z kabiną prysznicową i wanną. Znalazłam kafelki malowane w papuzki - na ściany. Klaus jest zachwycony. Pokój Toby'ego jest taki duży, że Wernerowie po prostu powiększyli część kuchenną i dodali jeszcze jeden parawan. Na parterze trzeba nadal biegać do pralni. Fritzowi i Ottonowi zdarza się odcedzić kartofelki pod okropną plumerią w naszym miniaturowym ogródku od frontu, ale drzewo tak się poprawiło, rosnąc w ziemi wzbogaconej mocznikiem, że patrzę na te praktyki przez palce. Stawiamy teraz na stołach miseczki z wodą, w której pływają wonne kwiaty plumerii.

Wprawdzie początkowo się przed tym wzdragałam, ale w końcu zacisnęłam zęby i zajęłam całe piętro po pani Delvecchio Schwartz. Jest odmalowane (głównie na różowo), w salonie i sypialniach leży wykładzina dywanowa, stoją porządne meble. Wyzbyłam się lęku. Na pewno w każdym domu wydarza się jakaś tragedia. Dziwnie mnie pociesza przebywanie w tym samym miejscu, gdzie mieszkała. Mieszkała. Czas przeszły, do którego

nie ma powrotu.

Można by sądzić, że prace są ukończone, ale wcale tak nie jest. Potrwają jeszcze kilka miesięcy, więc wszędzie jest pył, w korytarzach stoją sedesy, wanny, umywalki, kuchenki, prysznice i bojler, a na podwórku piętrzą się kafelki na ściany i podłogi. Wernerowie wnoszą wszystko chyłkiem przez przeszklone drzwi na werandę od frontu.

Taka jestem szczęśliwa, że mój aniołek wrócił do Domu.

Powinnam odnotować, że moje życie erotyczne ułożyło się pięknie, w moim pojęciu. Weekendy mam dla Toby'ego. Jeździmy do Wentworth Falls. W przyszłości Flo będzie nam towarzyszyć. Toby nie był tym zachwycony, ale postawiłam warunek: albo obie, albo żadna. Skrzywił się i powiedział, że woli obie. Co do Duncana, to na pewno nie jest zadowolony.

Duncan przychodzi we wtorki i czwartki. Zawarł umowę z żoną, która cierpi strasznie z powodu klątwy Harriet Purcell. Nie jest to łupież ani uporczywa drożdżycza. Dokucza jej neuropatia w nogach - nie jest to śmiertelne, lecz mocno uprzykrza życie. Duncan był lekko przerażony kompletnym brakiem współczucia z mojej strony. No cóż, rozumiem go; w końcu są małżeństwem od piętnastu lat. Powiedziałam, żeby przekazał jej wiadomość ode mnie - jeżeli okaże zrozumienie i nie powie przy synach złego słowa o ojcu, zdejmę z niej klątwę. Nie może grać w tenisa, chodzi o lasce i bierze kortykotropinę, co przy braku ruchu powoduje gwałtowny przyrost wagi. Niedługo będzie czterdziestką, nosi sznurowane buciki na płaskiej podeszwie i gumowe rajstopy przeciwobrzękowe. He-he-he.

Co do Johna Prendergasta jeszcze nie jestem pewna, więc forteca się nie poddała. Podejrzewam, choć on temu zaprzecza, że patrzy na mnie trochę

jak na dziwny przypadek psychopatii. Z psychiatrami jest właśnie taki kłopot - nigdy tak naprawdę nie kończą dyżuru. Pewnie na dokładkę analizuje swoje łózkowe wyczyny. Zgadzam się więc, żebyśmy czasem coś razem zjedli, ale wodzę go za nos dookoła krzaczka.

Środa. 17 maja 1961.

Jesteśmy zdumieni i zdezorientowani. Cholera wie, co to znaczy. Flo jest w Domu już od miesiąca, a nie bazgrze po ścianach. W całym mieszkaniu, które zajmuję, we wspólnych korytarzach i przy podestach ściany są świeżo pomalowane do połowy, dokupiłam też kredki i codziennie powtarzam sto razy, że może sobie bazgrać do woli. A Flo kiwa główką, uśmiecha się, zostawia kredki na podłodze i idzie przyglądać się Fritzowi i Ottonowi. Podaje im uszczelki, gwoździe, śrubki, bolce, kielnie, zawsze to, co akurat jest potrzebne. Bracia są nią zafascynowani.

Och, Flo wciąż czepia się moich nóg, siada mi na kolanach, nuci swoją melodię. Brązowe fartuszki należą do przeszłości, ale nie zmuszam jej do noszenia butów, a sukienki, które dla niej kupiłam, są stonowane. Dla Flo kolorowe są kredki, choć już nimi nie rysuje. Chodzi ze mną po sklepach, czego nigdy nie robiła z matką. Zastanawiam się więc, czy przypadkiem nieumyślnie nie wsadziłam kija w szprychy i nie zaburzyłam funkcjonowania Flo i Domu. Flo jest dla mnie barometrem. Jeżeli coś jej się podoba lub sprawia wyraźną przyjemność, tym się zajmujemy. Z pewnością bardzo ją cieszą weekendy w Wentworth Falls. W piątek wieczorem pakuje małą walizeczkę i wietrzy płócienną torbę dla Marcelinę.

Biedny Toby! Nie jedna, lecz trzy kobiety.

Urządziłam sobie - niezbyt chętnie - sypialnię w dawnym pokoju Harolda, a Flo umieściłam w dawnej sypialni matki. Ta dziupla, w której przedtem mieszkała Flo, służy teraz jako bielizniarka i biblioteczka podręczna imienia Delvecchio Schwartz. Zastanawiałam się, czy nie odsunęłam się zbyt daleko od Flo, ale na szczęście Marcelinę przeniosła się do jej łóżka, więc problem znikł. Mój aniołek śpi tak słodko, tak mocno, nigdy się nie wierci, nie dręczą go złe sny.

Nocna bieganina i śmiech ustały z chwilą, gdy znalazłam testament, ale nadal nie jestem przekonana o tym, że pani Delvecchio Schwartz naprawdę przeniosła się na tamten świat. Kiedy z duszą na ramieniu weszłam pierwszy raz do pokoju Harolda i zamknęłam drzwi, usłyszałam westchnienie. Westchnienie Harolda. Jakby żegnał się na zawsze.

A potem przemówiła ona:

- Dobrze się spisałaś, księżniczko. Fantastiko!

Coś zatrzepotało. Jedna z papużek Klaus. Popatrzyłam na nią, a ona na mnie. Wyciągnęłam rękę, papużka przysiadła na moim palcu i zaczęła wesoło podrygiwać.

- Bogu dzięki, znalazła się! - zawołał Klaus, kiedy przyniosłam mu ptaszka. - Moja mała Mausie wyleciała przez okno, ledwie je otworzyłem. Myślałem, że straciłem ją na zawsze.

- Nie bój bidy, słonko - odparłam. - Tak łatwo nie pozbędziesz się małej Mausie. Prawda, Mausie?

Tak czy owak Flo nie rysuje i jest to dla nas wszystkich niepojętą zagadką. Jim i Bob, Klaus i Pappy siedzą przy niej godzinami, podsuwają

kredki i namawiają do rysowania. Nawet Toby uległ tej bazgromanii. Kupił szarego pakowego papieru, pokazał Flo, jak się na nim bazgrze, ale ona popatrzyła na mnie smutno i upuściła różową kredkę, którą jej podałam.

Czwartek. 25 maja 1961.

Udało się wreszcie, ku zadowoleniu wszystkich stron, dojść do porozumienia z madame Fugą i madame Toccatą. Dłuższy czas trzymały się wersji, że płacą tylko trzydzieści funtów czynszu tygodniowo, a ja prychałam niedowierzająco. Ale dziś uzgodniłyśmy, że dostanę od każdej z nich czterysta funtów tygodniowo, z czego trzydzieści zostanie wpisane do ksiąg. Lubię te damy, ale ktoś, kto prowadzi luksusowy burdel zaspokajający niezwykle apetyty klientów, musi być twardy jak para starych butów. I burdelmamy są twarde. Początkowo chciały pociągnąć za sznurki sięgające rady miejskiej, żeby wpakować mnie w tarapaty, ale posłałam każdej z nich laleczkę z igłami o porcelanowych główkach, wbitymi w główne otwory ciała - z przodu, z tyłu, a trzecia na dokładkę prosto w usta. Uuuuuuła! Przesłanie zostało prawidłowo odczytane - burdelmamy ustąpiły.

Minęłam kamień milowy. Pierwszy raz wyłożyłam dziś karty, kiedy Flo poszła spać, a Dom pogrążył się w ciszy, w której rozchodziły się dźwięki skrzypiec Klausa.

Dom jest szczęśliwy. Królowe mieczy są bardzo dobrze umiejscowione, podobnie król denarów i król mieczy. Tylko giermek mieczy - Flo - nie jest całkowicie spokojny. Pewnie chodzi o bazgranie, na pewno. Nie mam

karty, której znaczenie mogłabym powiązać z bazgraniem po ścianie, ale coś mi zaczęło wychodzić, kiedy wyłożyłam szóstkę kielichów, odwróconą. Coś niebawem się wydarzy. Zwłaszcza że następną kartą był głupiec - niespodziewany gość? Potem trzy dziewiątki i cztery dwójki - rozmowa, korespondencja, wiadomości. Och, oby to znaczyło, że wkrótce zacznę się porozumiewać!

Sobota. 3 czerwca 1961.

Początek zimy. Pada tak, że musieliśmy zrezygnować z Tobym z weekendu w Wentworth Falls. Flo i Marcelinę snuły się cały ranek bardzo zawiedzione. Drzwi frontowe znowu nie są ryglowane, ale zabroniłam im obu otwierać je i wychodzić na werandę.

Siedzieliśmy w moim salonie, popijając kawę i planując lunch. Jakie to przyjemne, pomyślałam, czując obmywającą mnie falę błogostanu. Dziękuję pani, pani Delvecchio Schwartz, za to, że mogłam zrealizować swoje przeznaczenie. Jesteś fantastiko, księżniczko, fantastiko. Och, kiedy pani wreszcie przeniesie się na tamten świat?

Wtem Flo przestała szurać nóżkami po dywanie, podbiegła do kredek, błyskawicznie wybrała trzy i zaczęła bazgrać po ścianie. Cielisty różowy, popielatoniebieski, a potem dużo ciemnego fioletu.

I wtedy już wiedziałam.

- Dziwna kobieta z niebieskawymi włosami, w ciemno-fioletowej sukni, wchodzi po schodach - oznajmiłam.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy zamarli.

A potem podskoczyli, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Toby pobiegł otworzyć. Dziwna kobieta z włosami po płułkance, w ciemnofioletowej sukni, stanęła w progu.

- Bardzo przepraszam - rzekła z wahaniem. - Szukam pani Delvecchio Schwartz.

Wskazano na mnie.

- To ona - rzekł Toby, dając brwiami znaki reszcie, która powstała w milczeniu.

- Jestem żoną Charlesa Pomfrett-Smythe'a - przedstawiła się nowo przybyła. - Zastanawiałam się, hm, czy...

- Proszę wejść, proszę - zachęciłam ją, gdy pozostali wychodzili gęsiego. - Okropnie dzisiaj pada, księżniczko.

- Rzeczywiście - odparła, siadając naprzeciw mnie na różowym aksamitnym fotelu przy orzechowym stoliku. - Ale mój szofer zawsze ma parasol.

- Dobrze móc na kimś polegać - rzekłam, głaszcząc kulę.

Pani Pomfrett-Smythe rozejrzała się.

- Nie przypuszczałam, że pani dom jest taki ładny. Elma Pearson opisywała go inaczej.

- Zaszły zmiany, księżniczko, zaszły zmiany. Nagłe ściągnięcie wyrzutu spowodowało konieczność zmiany wystroju, aby przywrócić do normy przepływy energii chrząstkowej - odparłam gładko. - A więc to pani Pearson skierowała tu panią?

- Niezupełnie. Wszyscy uważają, że pani Delvecchio Schwartz przeniosła się na tamten świat, ale ja jestem w takiej rozterce, że

postanowiłam spróbować - odparła, zdejmując ciemnofioletowe skórkowe rękawiczki.

- Zawsze znajdzie się jakaś pani Delvecchio Schwartz. Jestem jej, hm, drugim wydaniem. A to moja córka Flo.

- Jak się masz, Flo? - spytała przyjaźnie pani Pomfrett-Smythe.

Flo wystawiła język, ale nie niegrzecznie, raczej tak, jak robią to dzieci, które kręcą się koło nóg mamy i oglądają obcego ze wszystkich stron.

- Co się stało, pani Pomfrett-Smythe? - spytałam. Chwyła rękawiczki, konwulsyjnie zaciskając palce. - Droga pani Delvecchio Schwartz, chodzi o mojego

męża! Zaryzykował z akcjami pewnej firmy, która produkuje takie małe urządzenia działające jak bramy do selekcji owiec, tyle że rozdzielające elektryczność - wyjaśniła bardzo zdenerwowana.

- Bramy do selekcji owiec? - powtórzyłam obojętnie.

- Może pani nie wie, jak się selekcjonuje owce na wsi, ale ja wiem, mój ojciec był hodowcą. Brama kołysze się między dwiema zagrodami, a ten, kto jej pilnuje, może posyłać owce albo do jednej, albo do drugiej zagrody - wyjaśniła. - Mój mąż kupił najpierw jeden pakiet akcji, a potem, kiedy zebrał trochę informacji, wykupił ich znacznie więcej, wydając wszystkie pieniądze. - Denerwowała się coraz bardziej, co kazało mi się domyślać, że grozi jej utrata szofera z parasolką, limuzyny i posiadłości na półwyspie Point Piper.

- Może napije się pani herbaty? - spytałam łagodnie.

- Och, bardzo chętnie, ale nie ma na to czasu! - jęknęła. - Musiałam przyjechać natychmiast, bo mąż dostał propozycję kupna akcji i musi dać

odpowieź najpóźniej o drugiej po południu. Zdaje mi się, że chciałby je zachować, ale wszyscy przyjaciele i znajomi z pracy są przekonani, że straci wszystko, dlatego naciskają, żeby sprzedał te akcje. - Zaczęła rozciągać rękawiczki w sposób, jakiego nie pochwaliby lady Richard.

- Straszny dylemat - rzekłam.

- Tak! - Intensywne rozciąganie.

- Dziwi mnie jedno, pani Pomfrett-Smythe - powiedziałam, marszcząc brwi. - Czemu taki znakomity biznesmen jak pani mąż szuka porady u wróżki? Przecież pani nigdy przedtem tu nie była.

- On nie wie, że tu jestem! - zawołała, znęcając się nad rękawiczkami. -

Decyzję pozostawił mnie!

Rozjaśniło mi się w głowie.

- Żeby mieć kogo winić, gdyby decyzja okazała się błędna.

- No właśnie! - powiedziała żałośnie.

-Nie możemy na to pozwolić, księżniczko. Prawda, Flo?

Flo starannie wybrała cztery kredki ze swoich zapasów i podeszła do ściany. Nadszedł trudny moment. Należało skupić uwagę pani Pomfrett-Smythe na mnie, a zatem wypadało zachować się jak medium - wpaść w trans, prosię bardzo, pojęczeć i pomamrotać, nic trudnego, ale jak wywołać efekt cieknącej z ust ektoplazmy? Zmieszać gumę do żucia z mydłem? Sprawdź to, Harriet, sprawdź to!

Dzisiaj opadłam na różowy fotel, wzdychałam, przechylając się bezwładnie, i wydawałam ciche piski. A spod na wpół przymkniętych powiek zezowałam na Flo. Najpierw zaczęła kreślić ciemnofioletową kredką. Pani Pomfrett-Smythe. Potem narysowała zielone prostokąty o

falujących brzegach. Pieniądze. Mnóstwo jasnożółtych kółek. Złote monety. I wreszcie piramidę kropek w kolorze ochry. Góra piasku. Teraz, kiedy już wiem, to proste. Flo zastępuje słowa kolorami i kształtami. Ponieważ rysuje coraz lepiej, staje się to jeszcze wyraźniejsze. Ale prawdziwym cudem jest to, że Flo widzi odpowiedzi na wszystkie pytania, które zadają „moje panie”. Widzi udrekę duszy, zagłębia do serca. Widzi szykujące się morderstwo. Mój aniołeczek, nowy boski eksperyment. Ze mną przynajmniej jest bezpieczna. To właśnie pojęła pani Delvecchio Schwartz. Wiedząc, że nie jest dostatecznie przygotowana do radzenia sobie z przyszłą Flo, przekazała pałeczkę młodszej, lepiej wykształconej Harriet Purcell. Dziś wreszcie pojęłam, czemu pani Delvecchio Schwartz tak potulnie przyjęła swój los. Żyjemy dla naszego aniołka; on jest najważniejszy.

Kiedy Flo upuściła kredki, jęknęłam i powoli wybudziłam się z transu. Pani Pomfrett-Smythe gapiała się na mnie jak na ciele z trzema głowami.

- Księżniczko - powiedziałam. - Poradzi pani mężowi, żeby trzymał się tych śmiesznych nowinek i nie wypuszczał ich z rąk. Świat czekał na wynalezienie sposobu oddzielania elektrycznych owiec od kóz. Te śmieszne małe urządzenia to istny dynamit. - Pogłaskałam kulę. - Silikon! Zdumiewający materiał.

-Jest pani tego absolutnie pewna, pani Delvecchio Schwartz? - spytała z powątpiewaniem.

Ja nie, ale Flo tak, pomyślałam. Bramy segregujące owce to tranzystory - nowinka, ale ja mam przecież techniczne przygotowanie. Tranzystory posłużyły do skonstruowania kilku urządzeń medycznych, nawet

komputerów. Obrotny pan Pomfrett-Smythe! Najwyraźniej podczepił się pod coś nowego, jakieś oszałamiające ulepszenie, więc może dni lamp próżniowych i emisji termoelektronowych są policzone?

Potem przyszła mi do głowy inna myśl: a może przyjaciele i znajomi spiskują, żeby wykupić akcje pana Pomfrett-Smythe'a?

Ledwie o tym pomyślałam, Flo wzięła groszkową kredkę, narysowała coś na kształt wątroby i dodała zjadliwie żółte promienie. Otóż to, zazdrość. Flo czytała w moich myślach, odpowiedziała na niewypowiedziane na głos pytanie. Przełom! Nareszcie! Flo dopuściła mnie do swojego umysłu, stałyśmy się jednym. Moje przypuszczenia się potwierdziły.

Pani Pomfrett-Smythe wciąż patrzyła na mnie pytająco, bo przecież jej nie odpowiedziałam.

- Jestem absolutnie, całkowicie, zdecydowanie pewna -odparłam z pełnym przekonaniem. - Może też pani przekazać mężowi dobrą radę od pani Delvecchio Schwartz, proszę podać to nazwisko. Mądry człowiek nie powinien wierzyć we wszystko, co mają mu do powiedzenia przyjaciele i znajomi z pracy.

- Powtórzę mu, powtórzę! - Pani Pomfrett-Smythe nie jest idiotką, załapała, o co chodzi. Otworzyła jasnofioletową torebkę. - Hm, ile się należy?

Wykonałam szeroki gest dłonią.

- Za pierwszym razem bez opłaty, księżniczko, ale potem będę się cenić wysoko.

Miałabym dzisiaj brać od niej pieniądze? Mowy nie ma! W poniedziałek

otworzę dwa portfele akcji, jeden dla Flo, a drugi dla siebie, a naszym inauguracyjnym zakupem będą akcje producenta śmiesznych urządzeń pana Pomfrett-Smythe'a.

Moja pierwsza klientka patrzyła na mnie ze zdumieniem i ogromnym szacunkiem. Potem jej spojrzenie zatrzymało się na Flo, wyrażając podziw i tkliwość, jakie czują kobiety na widok pięknych dzieci.

- Będę wdzięczna - rzekłam, wstając - jeżeli zadzwoni pani do pani Pearson i zawiadomi ją, że pani Delvecchio Schwartz otworzyła interes w nowym wcieleniu. Magnetyczne mu jest mniejsze od jedności i wektorowanie spokojów dobiegło końca. W Domu przy Victoria Street sytuacja wróciła do normy.

Razem z Flo odprowadziłyśmy naszą klientkę na dół. Zaczekałyśmy na werandzie, aż elegancki szofer przybiegnie usłuźnie z parasolką.

- Aniołku - powiedziałam, kiedy poprzez strugi deszczu pomachałyśmy rollsowi na pożegnanie – zachowajmy w tajemnicy twoje rozkwitające zdolności rysunkowe, dobrze? Wkrótce będą walić do nas tłumy, a nie chcemy, żeby ludzie wiedzieli, jak my to robimy, prawda? Pani Delvecchio Schwartz musi pozostać wyjątkowa, jest schronieniem dla ciebie przed światem, który jeszcze nie jest gotów na przyjęcie takiej istoty jak ty.

I w tym momencie, niespodziewanie, zajrzałam do jej umysłu! Mignęły mi niewyraźnie kontury mebli biurowych, nagły ból, gdy się na coś rzuciła, miliard okruchów potłuczonego szkła, zatroskane, nic nierozumiejące twarze. Wszystko to jednak, jak rozumiem, jest niczym wobec miłości, jaką żywi dla dwóch matek, dwóch pań Delvecchio Schwartz.

Uśmiechnęła się do mnie, energicznie pokiwała główką. Nasza

tajemnica.

- Zastanawiam się, czy pierwsze wydanie kiedykolwiek przeniesie się na tamten świat na dobre - powiedziałam, opierając rękę o drzwi. - Jak myślisz, aniołku?

Flo wyjęła z różowej kieszonki trzy kredki - żółtą, niebieską i zieloną - i narysowała dużą papugę i małą papużkę na jaśniejszej białej ścianie między numerem 17D a naszym Domem.

Coś mi się zdaje, że mama ani trochę się nie zdziwi, kiedy poproszę ją o oddanie mi bezterminowo pod opiekę Williego. Zapewne zostało to już ustalone.

TLR